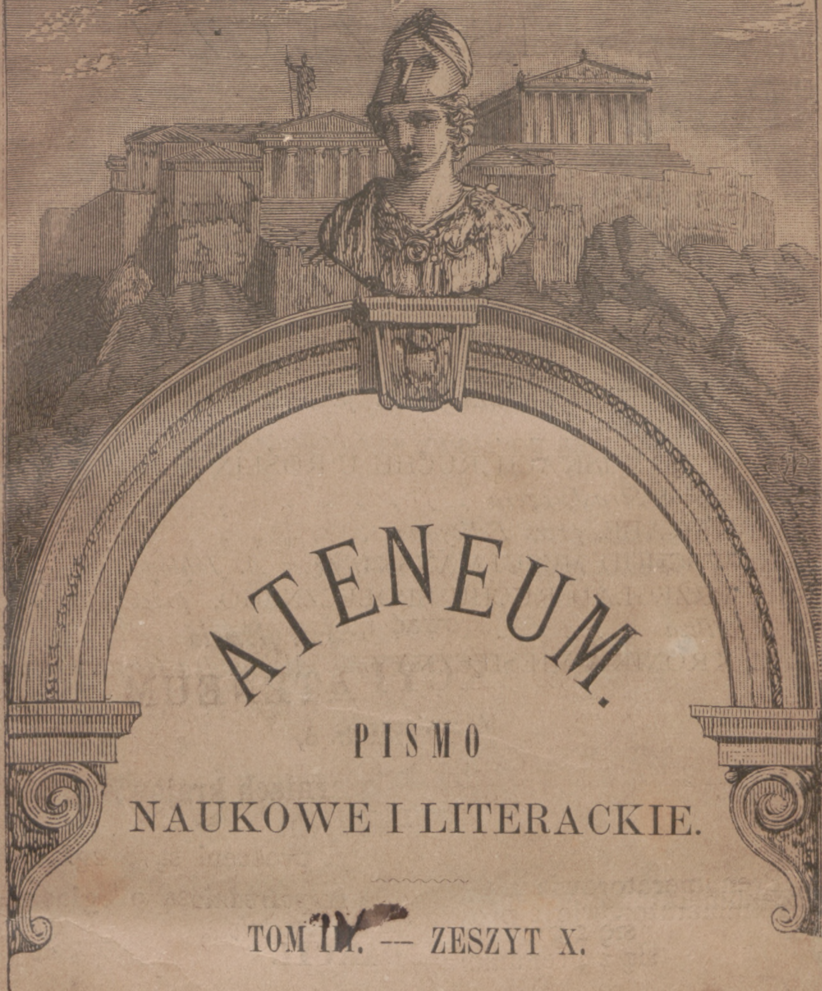


ATENEUM.

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT X.

Październik.

WARSZAWA.
DRUKIEM JANA NOSKOWSKIEGO,
ulica Mazowiecka Nr. 11.

1876.

SPIS RZECZY.

Str.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 13 Октября 1876 г.

OJCIEC STANISŁAWA AUGUSTA

przez

KLEMENSA KANTECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Chodziło Sieniawskim o to, aby ze srożącéj się burzy wojny domowéj wyjść jak najobronniejszą ręką; podczas więc gdy hetman jako stojący po stronie Augusta, pewnym był, że go oszczędzać będą Sasi i Rossyanie, hetmanowa przez Poniatowskiego starała się utrzymać dobre stosunki z Karolem i Leszczyńskim i wyrabiać dostojeństwa dla krewniaków, bo owo podskarbstwo w. litewskie po Sapieże miało się niezawodnie dostać komuś z jéj rodziny. „Będzie mi świadkiem Jmć Pan generał wielkopolski — pisze w tymże liście jeszcze Stanisław,—żem ja tu (t. j. w szwedzkim obozie, w Słupcy) jest prawdziwym sługą Wm Państwa Dobrodziejstwa i jak mogę ten kredyt, na który sobie Jm Dobrodziéj zasłużył, utrzymuję, o czém *suffisamment* niepodobna opisać, boby ten dyalog srodze długo trwał.“

Dopóki górą był Leszczyński, świadczył Stanisław usługi Sieniawskim; kiedy znów z po za czarnych chmur wychyliło się słońce fortuny Augusta, a wraz ze śmiercią Karola zstąpiła do grobu ostatnia nadzieja generała, wówczas przyszła koléj na panią hetmanową. Wyliczyliśmy już mnogie okoliczności, zapewniające Poniatowskiemu łaskawe przyjęcie u dworu, lecz nie wiemy doprawdy, czy ich wszystkich nie przeważył wpływ Sieniawskiéj, bo jeśli prawda, co mawiają Francuzi, że „czego chce kobieta, tego Bóg chce,“ czegoż nie mogła w Polsce pierwsza na całą Rzpltą pani, zarówno stanowiskiem męża, jak własnym rozumem i ogromnym majątkiem znakomita — w téj pełnéj szewaleryi Polsce, do któréj więcéj może niż do któregokol-

wiek kraju stosują się znane wszystkim, nieśmiertelne słowa księcia biskupa warmińskiego... Szczególniéj w XVIII wieku wpływ pięknych i rozumnych niewiast był u nas wszechwładnym, choć mniéj na pierwszy rzut oka widocznym, niżeli we Francyi, i bez wątpienia wielkąby ten literaturze oddał przysługę, ktoby zajrzawszy w najskrytsze tajniki epoki, na podstawie wydobytych z głębi domowych archiwów, korespondencyj familijnych, opowiedział, o ile ówczesne kobiety oddziaływały na bieg spraw publicznych. Nie wiem, czyby poszukiwanie takie wyszło im na korzyść, to pewno, że słynny dwuwiersz Krasickiego znalazłby w niém najświetniejszą illustracyą.

Gorące dziękczynienia, składane Elżbiecie przez Poniatowskiego niedługo po powrocie do kraju, silnie przemawiają za naszym domysłem. W jednym z listów (1) wyraża nadzieję, że hetmanowa nie odmówi mu i nadal poparcia *que Vous ne cesserez jamais d'être ma Dobrodzika et ma protectrice*; w innym zaś (2) jeszcze wymowniéj sze: „Ja zaś mając tak wielkie Wm Pani Dobrodziejce mojéj obligacye, wprzód pewnie żyć przestanę, niżelibym ich zapomnieć miał. Łaska Imć Dobrodzieja, jestto dzieło rąk Wm Pani Dobrodziejki; jakoś tedy Mości Dobrodziejko raz mnie do swojéj przygarnęła protekcyi, tak suplikuję, nie chciéj mnie z niéj wypuszczać, a ja upewniam, że żadnéj nigdy nie opuszczę okazyi do zasłużenia sobie na nią u obojga Wm Państwa Dobrodziejstwa.“

Zobaczymy później, ile wyrazów uwielbienia, ile pochlebczych kadzideł i wylewów czułości dla dostojnéj korespondentki mieści się w tych listach rycerskiego generała; tymczasowo zaś podajemy w dosłownym z francuskiego przekładzie gładki i zręczny list, datowany z Feriolu w księstwie Dwóch Mostów d. 27 listopada 1718 r. (3), a więc jeszcze przed śmiercią Karola XII, — gdyż dostarcza nam ciekawych szczegółów o trybie życia nietylko naszego bohatera, ale i króla Stanisława w téj nadreńskiéj krainie, a nadto charakteryzuje lekkie, światowe, giętkie usposobienia i pióro autora, umiejące się zawsze wszędzie zastosować do charakteru osoby, do któréj przemawia. Na wstępie oświadcza, że zaszczytna dlań łaska i pamięć pani Sieniawskiéj wprawiły go w tak wielki zachwyt i uniesienie, iż gotów był w pierwszéj chwili, zapominając o świecie, porzucić swoje rządy w księstwie, pójść pod jéj słodkie panowanie i złożyć tysiączne, najuniżeńsze podziękowania za tyle dobroci i względów. Chcąc zaś na

(1) Archiwum XX. Czartoryskich vol. 2859 list z Warszawy b. d.
(2) Ibid. z dnia 17 Stycznia 1726.
(3) Ibidem.

przyszłość zachować jéj życzliwość, posłuszny jak zawsze rozkazowi, zdaje wiernie sprawę ze wszystkich swych zajęć. „Powracam właśnie—pisze—z piętnastodniowéj przejażdżki po kraju. Zauważyłem, że mieszkańcy są pełni galanteryi; najwięcéj petycyi otrzymuję od biednych dziewcząt lub wdów, skarżących się na niewierność kochanków. Łatwość, z jaką zdrajcom uwierzyły, dowodząc wielkiéj z ich strony uległości, nasuwa mi smutne refleksye; spostrzegam bowiem, że nierównie lepiéj rządziłbym tym krajem przed dziesięciu laty, aniželi dzisiaj...

„Przebywa tu dwór króla polskiego, Stanisława; cały poranek schodzi na modlitwach. Rozpoczęliśmy dziś adwent sześciu mszami; łatwo pojąć, jaką niespodziankę sprawiłem dobremu Bogu, ja, który nie wysłuchałem tylu mszy w ciągu sześciu lat. Wynagradzamy sobie to po południu pięknemi koncertami, a mamy bardzo piękne męskie i żeńskie głosy (1). Gra w lombr lub tryktrak połączona z dobrą wieczerzą, kończy dzień.

„Poczta przybywa do nas dwa razy tygodniowo. Ci, co nie mają nic do roboty, decydują o sprawach politycznych, dzielą monarchie, tworzą przymierza, wypowiadają wojny, a wreszcie godzą się z rzeczywistością. Ja zaś, nie lubiąc się zajmować tak wielkiemi rzeczami, marzę dzień i noc o tém, aby uporządkować interesa i następnie, znalazłszy wolną chwilę, podążyć za Panią do Paryża, podziękować Jéj za względy, prosić o zaszczycanie mię nimi i nadal, i zapewnić, że nikt nigdy nie był ani z więszym szacunkiem, ani z szczerszém przywiązaniem dla pani, jak najniższy i najpowolniejszy sługa,

„Poniatowski.“

Brzmienie powyższego pisma nie pozostawia, jak mniemam, wątpliwości o rodzaju stosunków, łączących generała z hetmanową, z którą się ma spotkać niebawem w stolicy Francyi, aby wolny od przymusu pobożnego dworu Leszczyńskiego, oddać się przyjemnościom stolicy pospołu z dostojną przyjaciółką. Trudno wierzyć, aby się w życiu krępowała osoba, odbierająca podobne listy; jeżeli zaś kto, to nasz ostrożny i rozważny bohater nie odważyłby się na tak śmiałe zwroty, gdyby mu nie dała do tego prawa i zachęty sama korespondentka. Była to znać jedna z tych wielkich dam naszych, co na wzór lwic wersalskich czuły się wyższe nad uprzedzenia i przesądy jak wówczas mawiano, co pod względem zewnętrznym starały się naśladować wychowaną na dworze Ludwika XIV Izabellę z Morsztynów

---

(1) „Tant malles, que femelles.“

Kazimierzową Czartoryską, a zapominając o wstydzie niewieścim, hołdowały wytwornéj galanteryi i modnemu zepsuciu, w czém rozpasany August i jego otoczenie dawali świetny przykład.

Pisywane do niéj listy noszą dwojaki charakter; jedne z nich poważne i pozbawione romantycznego kolorytu, przeznaczone również dla hetmana, jak dla żony—drugie serdeczne, poufne, pełne oświadczeń, acz zawsze oględnych, widocznie z rąk jéj wyjść nie mają. Nie wątpię ani na chwilę, że niemała jeszcze liczba bilecików uległa zniszczeniu, podobnie jak wiele innych listów, o których posiadam niezbitą pewność; zniszczono je z powodów łatwo zrozumiałych, tak, że śladu po nich nie zostało, co jednak w niektórych wypadkach, jak zobaczymy niżéj, nie zdołało zatopić w „niepamięci piasku“ pewnych niezbyt chlubnych stosunków.

Przybyłemu do kraju generałowi nie dozwolono gnuśnieć w bezczynności. Król z nowo zyskanego sługi chciał co rychléj jak największe zyskać korzyści, a on sam pragnął okazać, jak użytecznym być umie i pomyślném wywiązaniem się z zadania zaskarbić sobie względy monarsze. Niebawem więc wybrał się w podróż, dla ułożenia pokoju ze Szwecyą. Lękał się Stanisław, aby w drodze nie doznał przeszkód ze strony nieprzyjaznej Szwedom Danii i dla tego postarał się dlań August o pasport od Jerzego króla angielskiego (1). Wkrótce miało się okazać, że obawy nietylko płonnemi nie były, lecz nadto, że środki ostrożności nie wystarczały, że pasport angielski nie zabezpieczył go od pochwycenia przez Duńczyków, jako jeńca wojennego. Kiedy się dostał do niewoli i jak długo w niéj zostawał, nie wiadomo, dość, że jak widzimy z raportu odnoszącego się do traktatu między londyńskim a berlińskim dworem (2) w dniu 22 lipca 1719 jeszcze się znajdował w więzieniu, a król Jerzy upominał się, aby go wypuszczono na wolność.

Stanąwszy wreszcie w Sztokholmie, rozpoczął układy pokojowe, mające na celu nietylko doprowadzenie przyjaznych stosunków między obydwoma państwami, ale także ubezpieczenie się przeciw samowoli Piotra, zwaśnionego właśnie w owéj chwili z Augustem. Zawarto przymierze bez wielkich trudności, bo ze śmiercią Karola XII zniknęły powody do dalszych zatargów, Ulryka Eleonora zaś widząc znękanie skołatanego długoletniemi bojami narodu, wyczerpanie i ruinę kraju, pragnęła zgody z całéj duszy.

---

(1) Teka Gabr. Junoszy Podoskiego (wyd. Jarochowski) t. II p. 471.

(2) Ibidem.

Poniatowski proponował, by August i Ulryka wyrzekli się nawzajem wszelkich uroszczeń, z tém tylko zastrzeżeniem, że gdyby Szwedzi musieli się zrzec praw swych do prowincyi, w ostatniéj wojnie straconych, elektorowi przysługiwałaby wolność uczestniczenia w zaborze— aby zaręczyli sobie wspólnie utrzymanie wszelkich praw i swobód w obu królestwach i za własnego nieprzyjaciela uważali tego, coby je śmiał gwałcić—aby królowa jedynie Augusta uznawała królem, po jego zaś zgonie wolnemi głosami szlachty ogłoszonego elekta i aby nie wspierała nadal Leszczyńskiego, któremu tamten zapewni przyzwoite wyposażenie ze skarbu Rzplitéj,—wreszcie, aby obydwa dwory obstawały silnie przy powyższych warunkach, choćby im się inne gabinety najenergiczniéj nawet miały opierać.

Ulryka Eleonora zgodziwszy się na podane przez generała punkta, dodała tylko do nich życzenie, aby August pozwolił Stanisławowi do śmierci używać królewskiego tytułu, zwrócił dziedziczne dobra i wypłacił milion talarów, aby na wszystkich jego stronników rozciągnął amnestyą i pooddawał im skonfiskowane majątki—aby potwierdził traktat oliwski, i w końcu, aby dla większéj pewności pokoju, zniósł się z innemi interesowanemi rządami i wciągnął do związku Rzplitę. Gdy król przyjął poprawki szwedzkiéj monarchini, zawarto w grudniu zawieszenie broni, warując sobie ścisłą tajemnicę, a przyrzekając zawiązanie wkrótce przyjaźniejszych stosunków (1). Na nieszczęście błogie owoce, jakie ztąd mogły dla Polski wypłynąć, zmarniały w skutek podstępu Piotra W., który w dwa lata późniéj bez udziału Rzpltéj, a ku jéj szkodzie zawarł ze Szwecyą pokój nejstacki (30 sierpnia 1721). Był to z jego strony odwet za niniejsze układy, wymierzone głównie przeciw niemu, bo mające na celu stawienie tamy jego uroszczeniom i potędze. Niemniéj przeto ułożone przez generała preliminarya były tak trwałe, że dopiero w lat dziesięć ustąpiły miejsca stałemu pokojowi (2).

W dniu 28 października 1719 r. wywiązawszy się szczęśliwie z przyjętéj na się missyi, stanął Poniatowski z powrotem we Wschowie, dokąd właśnie zjechał król na radę senatu (3).

Brak nam bliższych szczegółów o jego życiu i zajęciach w pierwszych miesiącach po przybyciu do kraju, lecz zdaje się, że przebywał

---

(1) Parthenay. Dzieje panowania Fryderyka Augusta II, p. 642—544. Massuet Histoire de rois de Pologne, tom 3 p. 257—261.

(2) Böttiger. Geschichte des Kurstaates u. Königreiches Sachsen, t. II, p. 256 Heinrichs Deutsche Reichsgeschichte t. VII, p. 735.

(3) Teka Podoskiego t. II p. 8.

wówczas wyłącznie na dworze, w bezpośredniem otoczeniu monarchy, ujętego towarzyskiemi zaletami nowego sługi. Utwierdza nas w tém przekonaniu w rok właśnie późniéj pisany list do pani Sieniawskiéj, dowodzący, że generał podzielał wtedy prywatne zabawy Augusta (1). Błaga on o wstawienie się za sobą do starościanki gostyńskiéj (Granowskiéj?) w następnéj sprawie. Król zapragnąwszy pląsów, polecił mu pójść do starościanki i poprosić ją, aby przyszła na królewskie pokoje razem ze swym fraucymerem. Nieszczęściem ta, któréj szukano, spała właśnie; wysłaniec nie śmiejąc przerywać słodkiego snu, zwrócił się do jéj panien i zabrał jednę z sobą. Przetańczono raz tylko, podziękowano grzecznie i wyprawiono ją do domu. Ale starościanka dowiedziawszy się po przebudzeniu, co zaszło, rozżalona, że opuściła sposobność przypodobania się Augustowi, zapłonęła strasznym gniewem ku sprawcy nieszczęścia, a tłómaczeń słuchać nie chciała. Do żywego niełaską kobiecą tknięty Stanisław, zaklinał hetmanówą na wszystkie obowiązki, aby tego samego dnia jeszcze wyjednała mu przebaczenie u zagniewanéj piękności.

Przed upływem roku od chwili stałego osiedlenia się w Polsce, bo 14 września 1720 roku, ożenił się z księżniczką Konstancyą Czartoryską, córką Kazimierza, wtenczas podkanclerzego, a od 1722 r. kasztelana wileńskiego, księcia na Klewaniu i Żukowie, i wspomnianéj już podskarbianki Morsztynównéj, córki głośnego w literaturze Jędrzeja, który za Sobieskiego porzuciwszy niewdzięczną Polskę, zamieszkał stale we Francyi.

Nie było to pierwsze małżeństwo, bo wprzód za panowania Leszczyńskiego w Polsce zaślubił Wojniankę Jasieniecką, kasztelankę nowogrodzką, owdowiałą po Ogińskim, mieczniku litewskim (2); ale ta —mówi Matuszewicz—przykrego humoru pani—wkrótce się z nim rozwiodła (3).

Powszechnie przyjętém jest przez pisarzy naszych mniemanie, jakoby Czartoryscy sami pociągnęli generała do tego związku, aby wpływ swój i znaczenie pomnożyć za jego pomocą, aby w jego rozumie i talentach znaleść dzielne poparcie dla dopięcia swych planów. Zdanie powyższe znajduje też ogólną wiarę, choć w wysokim stopniu nieprawdopodobne i zostaje w rażącéj sprzeczności z opowiadaniem historyka dobrze w téj mierze poinformowanego. Nasamprzód Stanisław, choć lubiony przez króla, choć bystry i zdolny, nie mógł być

(1) Dnia 28 października 1720 r. Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 2859.

(2) Niesiecki, t. VII p. 377.

(3) Matuszewicz, Pamiętniki, p. 20.

pożądanym dla książąt nabytkiem; mniéj im chodziło o talenta, bo wierzyli, że je posiadali sami, a niedaleka przyszłość miała okazać, że tak było w istocie, jak raczéj o fortunę, o materyalne środki, niezbędne dla uskutecznienia wyniosłych zamysłów, a tych im właśnie wówczas niedostawało. Podobniejszém też jest do prawdy, co powiada Rulhière (1), że z razu bardzo byli niezadowoleni z mezaliansu siostry, która nie padła bynajmniéj ofiarą politycznéj rachuby i widoków braci, lecz oddała rękę człowiekowi szczerze kochanemu, wbrew woli rodziny, która jéj bez wątpienia gotowała świetniejsze zamęźcie. Jeśli zaś w owéj epoce mniéj jeszcze zważano na indywidualne upodobanie panien, ulegających wszechwładnéj woli rodzicielskiéj nawet w sprawach sercowych, to piękna córka pani Izabelli wychowała się w innych pojęciach, zaczerpniętych ze swobodniejszéj pod tym względem Francyi. Zarówno siła charakteru i energia, przebijając się w klasycznie pięknych rysach twarzy na portretach (2), a objawiana też wielokrotnie w późniejszém życiu, jak inne strony charakteru, napomknięte przez Rulhièra, przemawiają za naszém zdaniem. „Kobieta dumnego usposobienia—są jego słowa (3)—z romantycznéj wyobraźni, powzięła żywą namiętność dla człowieka, zawdzięczającego swoje stanowisko niezwykłym zdolnościom.“ O ile wspomniane wpierw tłómaczenie grzeszy naciąganiem, o tyle drugie wydaje nam się tak naturalném i prawdziwém, że nie widzimy najmniejszego powodu do podawania go w wątpliwość. Wystawmyż sobie, jak na rozkołysaną marzeniami, wrażliwą imaginacyę księżniczki podziałać musiał urok wyższości umysłowéj, burzliwych kolei życia nabytéj w świetnych towarzystwach i długich podróżach ogłady, ujmującego wzięcia i wymowy, które mu już tyle zjednały powodzenia—urok połączony z rycerską postawą i niepospolitą urodą. Poniatowski miał wówczas lat czterdzieści cztery, lecz dzięki żelaznemu organizmowi mógł uchodzić za daleko młodszego. Widać to z portretu zdjętego znacznie późniéj. Twarz Stanisława jaśnieje tu niezamąconą niczém pogodą, wyraz spokojnéj energii osiadł na obliczu, nie przywykłém do odbijania na sobie wrażeń i uczuć nurtujących może w głębi. Bije zeń czerstwość i zdrowie. Z pięknych, myślących oczu, z pełnych zaokrąglonych policzków, z tłustego podbródka

---

(1) Rulhière. Histoire de l' anarchie de Pologne, tom I p. 196. Les princes Czartoryski désaprouvèrent hautement le mariage de leur soeur avec cet homme.

(2) W muzeum Ossolińskich i w zakrystyi kościoła parafialnego w Janowie, dziś własności hr. Gołuchowskiego.

(3) Rulhière, loco citato.

widzisz, że mu dobrze na świecie. Wyniosłe szerokie czoło, poważne brwi, szerokie kształtnie utoczone, flegmą nacechowane usta, nos duży, lecz proporcyonalny dopełniają obrazu téj fizyognomii, tchnącéj pańską dystynkcyą, wyróżniającéj się z pośród wielu innych, budzącéj od razu zaufanie i pewną sympatyą, a czujesz, że gdyby ten człowiek chciał przyjaźń twoją pozyskac, gdyby się uśmiechnął do ciebie i przemówił z właściwą sobie swobodą, nie byłbyś w możności oprzeć się czarowi jego osoby, pewny, że ta twarz, teraz zimna i obojętna na rozkaz swego pana może się ożywić i zagrać barwami uczuć, których nawet nie posiada, olśnić i wziąć cię jeńcem na życie całe. Pomiędzy portretem Bacciarellego, malowanym w późnym już wieku, bo w r. 1758, a innym nierównie wcześniejszym, choć bez daty, istnieje niezaprzeczone podobieństwo. W drugim tylko wzrok żywszy, świeżość młodości, golona czupryna i mały wąsik; gdy w pierwszym srebrny włos spada w długich splotach na czoło, twarz bez zarostu.

Bez tak szczęśliwéj nawet powierzchowności byłby Poniatowski po powrocie do ojczyzny pożądanym gościem w najpierwszych polskich domach. Wszakże to on lat kilkanaście spędził po za granicami kraju, walcząc wytrwale dla jednéj sprawy na polach bitew i na dyplomatycznéj arenie, po większéj części u boku bohatera, co sławą swoją długo zapełniał całą Europę, a po niedawnym zgonie był przedmiotem tém żywszéj ciekawości. Wieść o względach, jakiemi go zaszczycał Karol, o pomyślnych rezultatach jego zabiegów, dobiegła bez wątpienia do kraju, a przez tysiące ust przechodząc, urosła do olbrzymich rozmiarów. Wiedziano, że cieszy się łaskami dworu, co go podniosło w oczach ogółu. Rozrywano go zapewne, wypytywano o przeszłość, o udział w ważnych wypadkach, o stosunki, jakie go łączyły z królem szwedzkim i Leszczyńskim. Grzeczny generał opowiadał, a niezrównanym był we wdzięcznéj sztuce opowiadania; zbyt doświadczony i znający ludzi, by pospolitą chełpliwością obudzać nieufność, podobnie jak w broszurze umiał pewnie w sposób na pozór skromny i bezpretensyonalny oddawać sprawiedliwość własnym zasługom.

Jeśli kto, to córka podskarbiego, księżna kasztelanowa Czartoryska gromadząca koło siebie śmietankę towarzystwa, musiała mieć w swym salonie takiego człowieka. Jéj młoda, nadzwyczajnych wrażeń łaknąca córka ubolewając może, iż ludzie, co ją otaczają, tak dalecy, od wyśnionych w marzeniu, od spotykanych w romansach ideałów, po raz pierwszy ujrzała kogoś, kto do ostatnich wydawał się podobnym, a gdy jął opowiadać sceny, których był świadkiem i współuczestnikiem, nie dziw, że rozgorzała młodociana wyobraźnia. Gdy tak gorącą miłością ku Poniatowskiemu pałała, nie wiemy wprawdzie z ja-

kiem uczuciem wstępował na ślubny kobierzec pan młody, lecz znając go, możemy ręczyć, że nie z tak świeżém i nie tak płomiennėm. Czterdzieści kilka lat życia spędzonych przeważnie, albo w obozach, albo w dyplomatycznych gabinetach, gdzie trzeba było ćwiczyć umysł w sztuce obłudy i przebiegłości; po za pierwszém nieszczęśliwém małżeństwem wplątanie się w niejedną miłostkę, mniéj pewnie za popędem uczucia, jak raczéj rozsądku dla zapewnienia sobie poparcia wpływowych przyjaciółek, cośmy mieli sposobność zauważyć na hetmanowéj Sieniawskiéj—wszystko to mogło ostudzić i wyziębić większą nawet czułość na kobiece wdzięki. Ale w niniejszym razie działały nań silniejsze motywa. Dom XX. Czartoryskich, acz nie tak jeszcze jak w ćwierć wieku późniéj, potężny i bogaty, w stosunku do generała stał na niedościgniionych wyżynach. Wedle przysłowia, na jego nogi były to progi bardzo wysokie. Posag księżniczki, któréj matka wniosła księciu Kazimierzowi bogaty spadek po ojcu, podskarbim Morsztynie, znacznie bez wątpienia przewyższał majątek Stanisława, bo dobra jego uwolnione przez króla od konfiskaty (1), nie mogły żadną miarą stanowić większéj fortuny. Jakkolwiek należało się spodziewać, że względy monarsze utorują mu drogę do urzędów i dostojeństw, nie był dotąd ani senatorem, ani nie zajmował w kraju wybitniejszego stanowiska; cały jego los spoczywał w królewskim ręku, zawisłym był od pańskiéj łaski, na pstrym koniu, wedle przysłowia, jeżdżącéj. Wzgląd powyższy tak samo popychał Poniatowskiego do skoligacenia się z Czartoryskimi, jak ich od niego oddalał. Ale co innego silniejszym jeszcze wstrętem przejmowało książąt do związków ze Stanisławem. Dumni prastarym tytułem książąt, nie kwestyonowanym wówczas przez nikogo, pochodzeniem od Gedymina, szlachetnéj krwi co w ich żyłach płynęła, nie byliby chcieli wedle pojęć wieku kazić, mieszając ją z krwią człowieka bez imienia, syna podstarościch, wywodzącego swój ród z pod ciemnéj gwiazdy, bo nikt jeszcze wówczas nie wiedział o włoskich protoplastach Torellich, hrabiach Montechiarogullach, co się mieli wynurzyć późniéj i aureolą starożytności otoczyć polskich Ciołków.

O wykształceniu i wiadomościach Stanisława po za wojskowością i polityką nic pewnego i dokładnego powiedzieć nie możemy. Zdaje się że pod tym względem stał znacznie niżéj od Konstancyi, któréj rozległéj na owe czasy nauce oddają hołd różni ludzie, między innymi podróżujący w przeszłym wieku po Polsce

---

(1) Niesiecki, Herbarz XVII, p. 377 i inni.

Jan Bernoulli, zowiący ją „jedną z najrozumniejszych i najuczeńszych pań w całéj Polsce“ i twierdzący, że taką opinią cieszyła się już wówczas, kiedy jeszcze nikt nie przypuszczał, iż jéj syn pozyska koronę (1). Za najlepszy dowód jéj umysłowéj wyższości posłużyć może świetne naukowe wychowanie, jakie przeważnie sama dała synom. Król też w pamiętnikach (2) z wielkiem uznaniem mówi o tém, o wykształceniu zaś ojca wcale nie wspomina, choć nie byłby omieszkał oddać mu należnych pochwał, gdyby to był mógł uczynić bez ubliżenia prawdzie. Rulhière (3) wprawdzie twierdzi, jakoby z łaski Sapiehów odebrał wykwintną edukacyę, lecz prawdopodobnie nie wybiegła ona ponad poziom zwykłego szlacheckiego ukształcenia. Ale jeśli mu brakło ścisłéj wiedzy szkolnéj i humanitarnéj kultury, wysokie wrodzone zdolności zastąpiły w znacznéj części owe niedostatki. Pod względem umysłowego rozwinięcia ma on wiele podobieństwa do Reja z Nagłowic; równie jak on zapewne, że użyjemy słów niezrównanego Trzycieskiego, „przegryzował się po trosze z rozmów, z czytania, a snać więcéj z natury;“ miał zaś o tyle więcéj potemu sposobności od sławnego pisarza XVI wieku, że zamiast jak tamten „za granice powiatu nigdzie nie wyjeżdżać,“ wiele się tułał po świecie, przecierał się szybko, obcując ze znakomitymi ludźmi, wrażliwym i pojętnym rozumem w lot nieraz chwytając to, do czego mniéj utalentowani potrzebowali zmudnéj pracy i mozolnego ślęczenia.

Na szkolnéj ławce długo nie zasiadał, bo bardzo już rychło rozpoczął zawód wojskowy. Widział wiele i mógł też opowiadać wiele ciekawych rzeczy, o których inni z książek tylko wiedzieli; znał kilka języków, szwedzki niezawodnie, a obok tego francuski, łaciński i niemiecki. Francuskim władał wcale zręcznie i giętko, a jeśli w listach jego często chromieje francuska ortografia, a niekiedy i gramatyka, pisał bądź co bądź lepiéj niż Wilhelm Orański i Maurycy Saski. Po niemiecku mówił nie gorzéj od Fryderyka W. i Blüchera. Przekonywamy się o tém z charakterystycznego listu do Klinga, komisarza księcia Adama Czartoryskiego, wojewody ruskiego, pod datą 23 maja 1745. „Hier ist mein Brief—donosi—an meinen Sohn, bitte ich viel bestellen, ehe es aber abgeschicket wird, es were gutt, das der Herr Commissarius sich mel-

(1) Jan Bernoulli w Polsce. *Gazeta Lwowska*, Nr. 60 (siódmy z kolei felieton).
(2) str. 3—4 i inne.
(3) Histoire de l'anarchie t. I, p. 196.

det bei dem Herrn Cammerherrn Gruszczyński, ob er mehr hat briffe zu schicken an dem Fürsten...“ (1).

Szczęście dziwnie mu sprzyjające przez życie całe, ustaliło los Poniatowskiego, łącząc go z arystokratyczną rodziną, która wkrótce dzięki dwom znakomitym reprezentantom miała stanąć wysoko, ująć ster władzy w swe ręce i przez długie lata samowolnie kierować interesami państwa. Było to walną dlań pomocą, bo mając takie oparcie, mógł się z czasem wyzwolić z pod opieki rządu i działać na własną rękę. Jakoż ostatecznie urosłszy już do wielkiéj potęgi *familia*, w któréj skład wchodził i Stanisław, zerwała, jak wiadomo, z dworem i stanąwszy w zwartym szeregu opozycyi, nabawiała go nieraz ciężkich kłopotów; ale działo się to znacznie późniéj, teraz zaś mowy o tém nie było, bo książęta August i Michał (ur. 1796 i 1697 r.) liczyli zaledwie po dwadzieścia kilka lat, w stosunku do innych magnatów, jak Radziwiłłowie, Sieniawski, Sanguszkowie byli ludźmi miernéj fortuny, dorabiali jéj się dopiero, porówno ze szwagrem, starając się usilnie o względy królewskie, a o dziele reformy przemyśliwali w cichości, odkładając urzeczywistnienie wielkich planów do chwili, gdy sobie zapewnią odpowiedne siły. Im zaś więcéj czuli potrzebę związków z możnemi domami, tém przykrzejszym wydał im się upór siostry, oddającéj rękę byłemu generałowi szwedzkiemu. Nie długo jednak trwali w gniewie, bo widząc, że co się raz stało, odstać się nie może, postanowili złożyć niechęć z serca i uznać fakt dokonany (2), tém chętniéj, że w szwagrze poznali człowieka, którego zdolności będzie można wybornie zużytkować w przygotowującéj się pracy.

Jakoż Stanisław odbierał coraz widoczniejsze dowody życzliwości monarszéj, bo August w nim i w Czartoryskich spodziewał się znaleźć najdzielniejszą pomoc przy zamierzonéj przemianie anarchicznéj republiki na monarchię dynastyczną. Mianowany generałem nadwornego wojska w r. 1721 otrzymał polecenie, dowodzące wielkiego zaufania ze strony dworu, bo wespół z Janem Tarłą, wojewodą lubelskim miał w królewskiém imieniu układać się o ordynacyę Ostrogską. Sprawa téj ordynacyi w swoim czasie niesłychanie głośna długo zaburzała kraj cały, a znaną jest ze współczesnych relacyi (3) i kilku artykułów w czasopismach (4). „Jest ona — jak

(1) Warszawa, 23 maja 1745. (Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 2623.

(2) Rulhière, t. I p. 197.

(3) Teka Podoskiego, t. II, p. 160—161 i 287—299.

(4) Powidaja Dziennik liter. 1869 r. nr. 39—40. Biblioteka Warszawska przez S. K. r. 1873, t. II, p. 95 i następne.

słusznie zauważył Szujski (1) — charakterystycznym rysem osłabienia prawa z jednéj, chciwości i dążenia do bogactw z drugiéj strony.“ Majorat ten, jeden z nielicznych w Polsce, zawdzięcza swój początek panu niezmiernie rozległych włości, półtora tysiąca wsi i miasteczek na Rusi, księciu Januszowi Ostrogskiemu, kasztelanowi krakowskiemu, a powstał w r. 1609. Założyciel zobowiązał następców swoich do utrzymywania milicyi złożonéj z 300 jazdy i 300 piechoty na usługi Rzpltéj, do wznoszenia i opatrywania pogranicznych zamków i zastrzegł, że w razie wygaśnięcia męskiéj linii Ostrogskich, ordynacya przechodzi na męskich potomków jego córki, wydanéj za księcia Zasławskiego, a gdyby i ci wymarli, na męską linię książąt Radziwiłłów na Birżach, jako zrodzonych z jego siostry, ostatecznie zaś na zakon kawalerów maltańskich, z tym warunkiem, aby bronili Polski od tureckich i tatarskich zagonów.

Zdawało się, że tak troskliwe i dokładne określenie spadkobierców, usunie wszelkie nieporozumienia i spory, oraz, że owym trzem rodzinom nie tak prędko zabraknie przedstawicieli po mieczu. Stało się inaczéj. Wygaśli Ostrogscy, Zasławscy i uprawniona do spadku gałąź Radziwiłłów. Przyznano wówczas następstwo córce ostatniego Zasławskiego i Lubomirskiego, marszałka nadwornego, ale i ta linia wymarła w r. 1720 na Aleksandrze, staroście sandomirskim, jak gdyby do szczęśliwych dziedziców ogromnéj fortuny przywiązanym był jakiś fatalizm. Teraz dopiero rozpoczęły się namiętne zatargi o olbrzymią spuściznę. Nie pomny na brzmienie zapisu i konstytucyi koronnych książę Paweł Lubartowicz Sanguszko, późniéj marszałek w. litewski, mąż Maryi z Lubomirskich siostry zmarłego świeżo Aleksandra, rościł prawa do sukcesyi. Wystąpił przeciw niemu, jako przywłaszczycielowi książę August Czartoryski, który niedawno przedtém wstąpił do zakonu maltańskiego, nie dla tego (mówi Bartoszewicz), „aby jako komandor czy przeor walczyć z Turkami,“ lecz aby w charakterze reprezentanta rycerzy, „zostać dożywotnim panem“ ordynacyi. Jakoż otrzymawszy od nich pełnomocnictwo, wywiódł gruntownie prawa zakonu do spadku w broszurze, którą rozrzucił po kraju i upominał się o wywłaszczenie nieprawnego posiadacza. Król sprzyjał jego zabiegom, bo wolał raczéj widzieć ordynatem bogacącego się stronnika, aniżeli niechętnego sobie magnata; chcąc zaś dalszym zaburzeniom zapobiedz i zapewnić sobie swobodę działania, umyślił zająć aż do chwili rozstrzygnięcia sporu należącą do ordynacyi twierdzę litew-

(1) Dzieje Polski, t. II, p. 270.

ską Dubno, i dla wzięcia jéj z przyległemi dobrami w posiadanie, wyprawił jako komisarzy wspomnianych już Jana Tarłę, wojewodę lubelskiego i Poniatowskiego. Ale ks. Paweł nie czekając na przybycie królewskich wysłańców, opanował fortecę i oparty na przychylności okolicznego ludu, oświadczył, że w razie napaści do upadłego bronić się będzie. Komisarze powrócili przeto z niczém, oświadczając, że gdy życzliwa Sanguszce szlachta w każdéj chwili gotowa wsiąść na koń i przybyć mu w pomoc, lepiéj więc nie wszczynać wojny. August oburzony, nie przywykły do znoszenia krnąbrnego uporu magnata, mimo odradzań, wysłał do Dubna cztery pułki piechoty, trzy jazdy i kilka dział, z poleceniem, aby szturmem wzięli miasto; dopiero naleganiom kilku panów jak Konst. Szaniawskiego biskupa, ks. Janusza Wiśniowieckiego wojewody krakowskiego, Stanisława Chomętowskiego wojewody mazowieckiego i Józefa Mniszcha, w. marsz. kor., udało się wstrzymać porywczy rozkaz. Komisarze powołani do rozsądzenia sprawy polubownie, „z miłości do spokoju publicznego" w Wąborkowie dnia 7 lipca 1721 r., przyznali administracyę dóbr księciu Sanguszce, za całą karę skazując go jedynie na przeproszenie króla i ministrów, oraz „podziękowanie komisyi, że go swym wyrokiem zasłoniła od poszukiwań trybunałów (1). Oprócz podziękowania zastrzegli sobie jeszcze wojewoda i generał sowite wynagrodzenie w brzęczącéj monecie; pierwszy siedmdziesiąt, drugi trzydzieści tysięcy złotych (2), która to kwota Stanisławowi choć w części osłodziła przykrość, że podpisywał ugodę, przeciwną woli monarchy, a interesowi szwagra. Ostatecznie przyszły sejm miał załatwić kwestyę ordynacyi, ale sejm zerwano, a Sanguszko korzystając ze zwłoki, utrzymał się przy majątku aż do roku 1753, t. j. do kolbuszowskiéj tranzakcyi. Szybko u nowego pana wzrastał w dostatki i w zaszczyty zdolny i układny generał. W ciągu kilku lat (od 1719—1724) został kolejno łowczym W. Ks. Litewskiego, generałlejtnantem piechoty, podskarbim w. litewskim i generałem gwardyi koronnéj. Ostatniego stopnia udzielił mu za wolą królewską najzdol-

---

(1) Parthenay, Dzieje p. 418—419.

(2) Teka Podoskiego, t. II, p. 160—161. Bilioteka Warszawska, r. 1873, t. II p. 105. Efr. rękopis Zakł. Ossol. Nr. 1803, a zwłaszcza 289, fol. 27. Jest to niezmiernie ważny materyał obejmujacy czas od 1721—1724, a podobnie jak inne wolumina, złożone z papierów pozostałych po podskarbim Max. Ossolińskim (Ex. lbriis F. M ducis de Tenczyn Ossoliński, Lunevillae, die 12 septembris 1748). Niemniéj ważne tomy tegoż zbioru Nr. 708, 277, 290, 307, 308 i 294. W ostatnim fol. 106 Poniatowski 21 Decembris odpowiada Ossolińskiemu na powinszowanie świąt i N.-Roku.

niejszy z pomiędzy slug Augusta, cel nienawiści dla panów i szlachty, saski feldmarszałek Flemming, który złożywszy w roku 1712 generalstwo artyleryi koronnéj, od sejmu niemego dowodził znowu pułkami cudzoziemskiego autoramentu i gwardyą koronną. Zniewolił go do tego głos opinii, objawiającéj swoje oburzenie ciągłem zrywaniem sejmów, bo ogół z niechęcią widział tę władzę w ręku cudzoziemca, hetman zaś Sieniawski dotknięty osobiście z powodu, że faworyt królewski wyłamywał się z pod jego zwierzchnictwa, głosił że rozdział komendy wojskowéj wielkiém niebezpieczeństwem grozi krajowi, i że wedle starodawnego obyczaju, wszystkie wojska Rzpltéj od hetmanów zależeć powinny.

Ważne to stanowisko zawdzięczał Poniatowski nietylko wojennemu doświadczeniu i militarnym talentom, ale i przywiązaniu do królewskiéj osoby, jakie okazywał przy każdéj sposobności; otrzymał je w dniu 22 grudnia 1724 r., na trzy dni przed wyjazdem dworu do Saksonii (1). Przewidywał on, że Stary hetman będzie sarkał na jego wyniesienie, jak wpierw na Flemminga, a może nawet stawi opór, lecz był pewnym, że przy poparciu ze strony pani Elżbiety usunie wszelkie przeszkody; działał więc w porozumieniu ze swą protektorką, która gotowa zawsze do pomocy, przyrzekła mu, że wpłynie na męża; radziła zaś, aby dla ujęcia Sieniawskiego, wystosował doń list grzeczny i uniżony, i aby jéj nadesłał kopię hetmańskiéj odpowiedzi. Ale kasztelan krakowski nie spieszył z odpisem; bo Stanisław na dniu 12 stycznia 1725 r. donosi z Białéj Radziwiłłowskiéj, że jeszcze nie odebrał rezolucyi, przyczém dziękuje gorąco za nowy dowód względów, wzruszający go do głębi duszy. Oświadcza też, że się zupełnie pisze na dobre mniemanie pani kasztelanowéj o zręczności Flemminga i donosi w cyniczny sposób o ślubie księżniczki Tekli Radziwiłłówny, z feldmarszałkiem (2).

W Białéj rozpoczynał się właśnie tegoż dnia kongres w głośnéj sprawie księstwa słuckiego, jako spadku po księciu Neuburskim między Radziwiłłami a Sapiehami. Generał powiada, że hetman w. lit., Ludwik Pociej już zjechał, oczekiwani są Sapiehowie, lecz ponieważ marszalek w. lit. Aleksander Sapieha i stolnik przysłali tylko synów, przeto powątpiewać się godzi, czy ugoda przyjdzie do skutku.

---

(1) Lengnich. Geschichte der Lande Preussen polnisches Antheils unter dem Könige August II, t. IX p. 349.

(2) Mdselle la Princesse Tekla le même jour de son mariage, qui fut le 9-me, devint réelment Mdme la Comtesse Flemming... Archiwum XX. Czartoryskich vol. 2859. Flemming rozwiódł się wprzód z Franciszką Sapieżanką, koniuszanką litewską.

W niewiele dni późniéj donosi, że powróciwszy z Białéj, otrzymał odpowiedź od kasztelana krakowskiego, którego odpis załącza; z dalszych słów widać, że Sieniawski mimo zabiegów żony nie był zadowolonym z ustąpienia Stanisławowi komendy nad gwardyą koronną i dal mu to dość żywo uczuć. Poniatowski wedle rady odpisał jak najuniżeniéj (*avec toute la soumission possible*), lecz starał się rozwiać płonne obawy hetmańskie, przypominając, że już poprzednio był generałem kawaleryi i w służbie szwedzkiéj i u króla Augusta (1), obecnie zaś na wyraźny rozkaz monarchy objął dowództwo. „Całą nadzieję — dodaje — pokładam dziś w łasce pani (*de Votre Altesse*; Sieniawska była z domu księżną), ufny, że życzliwie dla mnie usposobisz hetmana. Bądź Pani, błagam, gwarantką moją, a ja z méj strony zawsze będę się starał zasłużyć na Jéj dobroć i zaufanie; lecz pragnąłbym, aby ze mną postępowano, jak z człowiekiem, mającym trochę doświadczenia, a milującym honor nad wszystko. Wiem, że Rzplita nie ustanowiła wcale instytucyi dla generał-lejtnantów, lecz skoro ich jest czterech, niechże korzystają z téj prerogatywy.

Przysługa wyświadczona mu przez panią Elżbietę była snać niemałą i głośną, skoro jeden z współczesnych utrzymuje, że *za wdaniem się Sieniawskiéj* spokojnie nad spodziewanie swoje objął w komendę wojsko koronne (2).

Wzrastające wpływy i potęga domu Czartoryskich, oraz złączonego z nim i Poniatowskiego wzniecały serdeczną nienawiść w rodzie Potockich, który z dawien dawna, pierwsze w kraju piastując urzędy, mniemał nierównie większe mieć prawo do wodzenia reju w Rzeczypospolitéj, aniżeli ci, co dopiero ostatniemi czasy wypłynęli po nad poziom i dumni z łask monarszych, pięli się do najwyższych dostojeństw. Zawistna nieprzyjaźń między temi dwoma domami, jak nić czerwona ciągnie się niemal przez całe dzieje XVIII wieku, wpływając nieraz przeważnie na obrót spraw publicznych, przyspieszając ostatecznie katastrofę upadku kraju.

---

(1) Archiwum XX. Czartoryskich vol. 2859; list bez daty, lecz widać z treści, że niewiele późniejszy od poprzedzającego. Je lui en ay remerciois avec toute la soumission possible, quoique je ne m'attendois point ni à la difficulté sur la charge du Lieutenant-Général (ayant déjà été Général de Cavalerie et dans le service de Suède et dans celui de notre Roy), ni aux ordres pour les Lieutenants-Généraux; qui les me doivent présénter comme Collonel dans Regiment, ayant pris le commendément encore pendant le séjour du Roy à Varsovie, et par ses ordres expreses, ce que j'ay allegois aussi dans ma reponse, que je me suis donois l'honeur de faire par la dernière poste.

(2) Matuszewicz. Pamiętniki t. I p. 31.

Odznaczał się wśród Potockich, szczególniéj Józef wojewoda kijowski, późniejszy hetman w. kor., nie cierpiący całą duszą generała, zazdrosném okiem patrzący na jego nagłe wyniesienie. Przyjdzie nam późniéj nieraz mówić o nieprzyjaźni pomiędzy nimi; pierwsze jéj ślady spotykamy w roku 1725. Jakiś przyjaciel Stanisława, którego nazwiska nie znamy, zawiadomił go o mnogich knowaniach wojewody. W odpowiedzi z dnia 25 kwietnia (1), mówi Poniatowski, że wie o intrygach Potockiego. „Uprzedzono mnie—są jego słowa—że pisał do moich przyjaciół w stolicy, aby mi połamali szyki na sejmiku warszawskim, ja z méj strony nie omieszkam zasięgnąć wiadomości o prawach jego do młyna, i użyję środków, jakie tylko będę mógł w téj mierze.“ Donosi daléj przyjacielowi, że król podążył na jarmark do Lipska, że protestanci nie zaprzestają wrzawy, i że carowa, jeśli w jéj kraju zapanuje spokój, poprze prawdopodobnie ich interesa — że wreszcie dwór wiedeński nie jest wcale zadowolonym z postępowania naszych biskupów, a zwłaszcza z ich edyktów przeciw protestantom.

Listy Poniatowskiego z téj pory do pani hetmanowéj, mniéj ważne pod względem treści, obfitują w gorące wynurzenia sercowych afektów. Na dniu 20 grudnia 1725 r. donosi generał z Warszawy (2), jakim smutkiem napełnił go wyjazd dobrodziejki i jak bardzo pragnie jéj powrotu.

„Lud Twój, Pani—pisze – usycha bez swéj władczyni; zdaje się jak gdyby nam wszystkiego zabrakło, gdy nam Ciebie zabrakło. Staramy się pocieszyć, mówiąc bez ustanku o Pani, lecz spostrzegamy, że Twoja nieobecność zasmuca nas tak dalece, iż jedynie nadzieja rychłego powrotu zdolna strapienie nasze chwilowo rozproszyć. Nie przyprowadzaj nas więc Pani do rozpaczy, wracaj do sług swoich, bo nie znajdziesz z pewnością osób bardziéj do siebie przywiązanych, któreby Cię więcéj szanowały i kochały. Twój *Stasio* prędzéj raczéj żyć przestanie, aniżeli Ciebie Pani wielbić“ i t. d.

Niemniejsza czułość przebija się w piśmie z dnia 17 stycznia 1726 r. (z Warszawy) (3), że jednak nie zupełnie bezinteresowna, widać zaraz z pierwszego zdania: „Artylerya koronna, rozumiem, że wiadomo WPani Dobrodziejce, jako dysponowana, z ukontentowaniem jednak ImPana Miecznika koronnego i *jeżelim się jéj na-*

(1) Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 2859. Warszawa 25 kwietnia 1725 r.

(2) Ibidem, po francuzku.

(3) Ibidem.

pierał, to nie z inszéj racyi, tylko żebym mógł być bliższym rozkazów Imci Dobrodzieja, o którego łaskę wszelkiemi sposobami starać się pragnę. My wszyscy, *c'est à dire Votre peuple* jak błędni chodzimy *sans notre souveraine,* bez któréj *notre bonheur ne scauroit estre parfaitte;* jako tedy Wmpani Dobrodziejki największa satysfakcya *rendre vos serviteurs heureux, nous Vous suplions tous de Vous hâter pour nous procurer par Votre présence la vision béatifique, que nous désirons tant...* Wszystko Wmpani Dobrodziejka po dawnemu znajdziesz, nawet i kotka przy piecu. Kosteczka, (Konstancya), która *avec toutte sa marmaille* ściska nóżki Wmpani Dobr., srodze bez Wmpani tęskni" i t. d.

Najpoważniejszym jest list Poniatowskiego do pani Krakowskiéj z dnia 28 lutego 1726 r. (1), bo w nim pocieszając ją po świeżo poniesionéj stracie sędziwego męża, ponawia zapewnienia szacunku i przywiązania.

W niewiele miesięcy późniéj, widzimy go w Grodnie, na sejmie, bo 30 października 1726, jakiemuś przyjacielowi, imieniem Franciszek, podaje dworskie nowiny i donosi o ożenku księcia podkanclerzego, Mich. Czartoryskiego z hrabianką Waldstein, wnuczką, jak głoszono, sławnego wodza z trzydziestoletniéj wojny. „Mój szwagierek—brzmią słowa listu, żeni się dzisiaj *avec la jeune Comtesse* Walsztein, *agé de* 14 *ans, fort aimable, trés bien faite, bonne, douce et fort jolie. Sa tante, madame la palatine de Vilna, la veuffe, lui laisse tout son bien en Pologne, qui est trés considérabllc, et peut estre encor celui en Allemagne. Le voilà Dieu mercy de toutte façon tres bien marié."* Niewysłowiona zazdrość i rozpacz ogarnęła ztąd wielu ludzi. Inny niesłychany ślub odbył się przedwczoraj. Pisarz koronny ożenił się z kasztelanką witebską (podobno Ogińską), liczącą trzynaście wiosen.

Nasz podskarbi liczy, że powyższe wiadomości sprawią na nieznanym nam panu Franciszku silne wrażenie, obudzą w nim zazdrość i chęć skojarzenia się małżeńskim afektem, radzi mu więc pospieszyć do Grodna, a rzecz pójdzie w lot i jak z płatka, bo skłonność do matrymonialnych związków czuć tu niejako w powietrzu.

Rok 1728 otwierał szerokie pole do współubiegania o wysokie stanowiska paniętom polskim, bo niemal równocześnie zmarło trzech dygnitarzy: 2 sierpnia Stanisław Denhof, hetman polny lit. i wojewoda połocki; 3 września Stefan Chomętowski, hetman pol.

---

(1) Ibidem.

kor. i wojewoda mazowiecki, a 4 listopada Stanisław Rzewuski, hetman w. kor. i wojewoda bełzki (1), tak, że pozostał tylko jeden hetman, Ludwik Pociej. Był to wypadek na pozór dla króla pomyślny, bo mu nastręczał wyborną sposobność zjednania sobie wpływowych osobistości; w istocie zaś wywołał on zaburzenia, trwające aż do śmierci monarchy, bo wedle bombastycznego wyrażenia jednego ze współczesnych, „kiedy śmiertelność pokruszyła razem buławy, większy jeszcze ztąd powstał żal, że same buławy z pod ciężkiego nie mogą *relevari* grobowca" (2).

August mając głównie na celu wzmocnienie władzy królewskiéj i zapewnienie następstwa po sobie synowi, a pewny, że do spełnienia tych planów wiernie i dzielnie pomagać mu będą Poniatowski i Czartoryscy, pragnął usilnie dać pierwszemu wielką buławę koronną, Michałowi Wiśniowieckiemu mniejszą litewską. Ale sam ten zamysł tak gwałtowną wywołał burzę, Radziwiłłowie, Potoccy, Sapiehowie i Lubomirscy tak srodze czuli się dotkniętymi, że król z pominięciem ich dostojnych rodów, przywykłych do piastowania hetmańskich godności, chce tym zaszczytem udarować człowieka nowego, o którego przodkach nic nie wiedzą roczniki dziejów krajowych — że monarcha nie odważył się działać wbrew tak silnemu prądowi. Ze wszystkich pretendentów do hetmaństwa największe podobno rościł do niego prawa Józef Potocki, ile że już za Leszczyńskiego był w. hetmanem i dla tego burzył się na samą myśl, że w tém ubiedz może jakiś „przybłęda." Po zerwanym w kilka dni sejmie król, żywiąc nadzieję, że może późniéj zmniejszy się oburzenie i złagodzą namiętności, wstrzymał się na dłuższy czas z rozdaniem buławy, co nie było nowiną w Rzeczypospolitéj, bo po Janie Zamojskim wakowała buława lat 13, po Żółkiewskim lat dwanaście; — tymczasem zaś obdarzył ulubieńca regimentarstwem wojsk koronnych, co miało niejako stanowić nowy szczebel do najwyższego w Polsce dostojeństwa, wielkiego hetmaństwa koronnego. Niedługo po otrzymaniu nowego urzędu, Stanisław ustąpił generalstwa gwardyi koronnéj na rzecz szwagra, ks. Augusta Czartoryskiego, w zamian niejako za to, że brat jego książe podkanclerzy, faworyt Flemminga działając przezeń na króla, przyczynił się do udzielenia mu regimentarstwa (3).

---

(1) Lengnich Geschichte der Lande Preussen, t. IX p. 370, Gotfryd Lengnich od r. 1737 był nauczycielem trzech starszych synów Poniatowskiego.

(2) Teka Podoskiego t IV, p. 201—202.

(3) Matuszewicz. Pamiętniki, t. I, p. 31.

W owéj porze *familia* stanąwszy silnie przy tronie i ukołysawszy Augusta błogą nadzieją, że mu służyć będzie za najpokorniejsze narzędzie, wywierała już przemożny wpływ na kierunek spraw publicznych, a wzmagającą się z każdym rokiem potęgą swoją podniecała coraz więcéj zawiść usuniętych na drugi plan prastarych rodzin optymatów Rzplitéj. Ztąd to owe ciągłe krzyki na rwących się sejmach przeciw nadużyciom i kabałom dworu, przeciw tryumwiratowi, co „niesłychanym przykładem i cudzoziemską praktyką wprowadzony do wolnego państwa z pogardą publicznych obrad (*consultationis*) prywatną powagą i formą, samowolnie i wedle swego widzimi się we wszystkiém sobie poczyna (1).

Przedtém jeszcze Michał książe Czartoryski, podkanclerzy litewski i Poniatowski, wbrew prawdziwym tajonym intencyom swoim, zobowiązali się popierać syna królewskiego na tron po śmierci ojca. „Postanowiliśmy — brzmi końcowy ustęp oświadczenia—na przyszłej elekcyi głosy nasze dać królewicowi Fryderykowi Augustowi w nadziei, że zachowując wolną elekcyę królów naszych w rodzinie książąt saskich, wznowimy szczęśliwe i spokojne panowanie Piastów i Jagiellonów. Niniejszym więc aktem święcie obiecujemy dać głosy nasze wspomnionemu powyżéj królewicowi, oraz dołożyć wszelkich starań, w celu pociągnięcia za sobą przyjaciół naszych.“ Deklaracyi téj braknie daty; to pewna, że nie można jéj posunąć po za rok 1728, bo kontrasygnował ją feldmarszałek Flemming, którego śmierć na ten właśnie rok przypadła (2).

Poniatowski był mistrzem nielada, niedość, iż umiał w Augusta wpoić wiarę, że jest najwierniejszym jego sługą, ale równocześnie zdołał Stanisława utrzymać w błogiem przekonaniu, że jest dlań jak najprzyjaźniéj usposobionym, a tylko z konieczności Sasowi ulega. Stwierdzają to słowa wyrzeczone przez Leszczyńskiego w zamku Chambord do gości z zagranicy, których zaprowadziwszy do sali, gdzie wisiały portrety regimentarza, prymasa Max. Ossolińskiego i kilku innych magnatów, rzekł:

— Oto moi najlepsi przyjaciele w Polsce; nie omieszkają oni przy sposobności złożyć mi dowodów życzliwości swojéj (3).

Rossya niechętna Poniatowskiemu i Czartoryskim, nie podzielała bynajmniéj zamiarów Augusta względem familii, lecz przeci-

---

(1) Teka Podoskiego, t. III, p. 315. Manifest posłów koronnych i litewskich podany do wileńskich akt grodzkich dnia 22 sierpnia 1729 r.; str. 313—320.

(2) Archiwum tajne Augusta II. Wyd. Raczyńskiego, t. II, p. 185—187.

(3) Massuet, Histoire, t. IV, p. 103—104.

wnie pragnęła je wszelkiemi siłami udaremnić. Z tego powodu Dołhoruki, poseł rossyjski, upoważniony do działania wespół z Potockimi przeciw regimentarzowi, przyrzekł w imieniu carowéj, że Rossya gotowa wystąpić z obroną, gdyby król przedsięwziął cokolwiekbądź przeciw swobodom szlacheckim; sam oświadczał się za oddaniem buławy jednemu z książąt Wiśniowieckich, przyrzekał ją zaś Potockiemu. Zabiegi jego przecież nie odnosiły pożądanego skutku, bo po otwarciu już sejmu w Grodnie w roku 1729 musiał wyznać w liście do Anny, że nietylko dwór i jego stronnicy, ale w ogóle wszyscy okrom Potockich, ks. Sanguszki i hetmana lit. Pocieja, pragną ujrzeć wreszcie wielką buławę koronną w ręku Poniatowskiego (1).

Poniatowski jako regimentarz koronny gorliwie się zabrał do utrzymania wewnętrznego ładu i zabezpieczenia granic Rzplitéj. Potrzebował też kraj troskliwości w chwili, gdy starzy hetmani legli już w grobie, a nie mianowano na ich miejsce nowych, gdy się rwały sejmy echem zatargów kurlandzkich i toruńskich, w istocie zaś dla różnych prywatnych ambicyi; pilność zaś i zapał w pełnieniu służby mogły najlepiéj zalecić kandydata do buławy i przygłuszyć wrzawę niechęci. Z nieopuszczającą go do późnych lat energią jął się pracy Stanislaw; wewnątrz kraju mimo chwilowego wzburzenia panował spokój, ale z zewnątrz zdawało się, że nadciągnie burza od wschodu i południa. Regimentarz odbierał zewsząd niepomyślne wiadomości od niebezpiecznego sąsiedztwa; ze swych prac i zabiegów z podróży, jakich nie wahał się podejmować, aby o wszystkiém przekonać się naocznie, zdawał sprawę jednemu z wysokich dygnitarzy, niewątpliwie Janowi Szembekowi, kanclerzowi w. kor. „Przeszłoroczne bunty na pograniczu—pisze 10 lutego 1729 z Warszawy (2) jeszcze *totaliter* nie uspokojone, obligowały mnie wzmocnić tameczną partyą kilkunastu świeżemi chorągwiami i przydatkiem cudzoziemskiego wojska, którzy wszyscy *primo vere* na tamtém znajdą się pograniczu. Z drugiéj zaś strony *imminentius periculum* z armowania się potencyi tureckiéj, nie spuszczając się na relacye, czasem niepewne od naszych, obligowało mnie *ad ocultam cognitionem* podolskiego kraju i tamecznych fortec Ten niebezpieczny sąsiad *ad famam* niebezpiecznéj króla Imcip. M. choroby wydał był ordynanse całe pograniczne wojsko w gotowości wszelkiéj trzymać, chcąc profitować tak uchowaj Boże *fa-*

(1) Sołowiew *Istoria Rossii*, t. XIX, p. 221—222.
(2) Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 487, nr. 20 bez adresu.

torum na pana i z konjektur wielkiego nieporządku naszego, i nie opatrzenia należytego tak potrzebnych dla bezpieczeństwa całéj Polski fortec. Za konwalescencyą Pana ucichłoć to chwała Bogu wszystko, ale nam radzić o sobie potrzeba, póki nam Pan Bóg konserwuje takiego Pana, którego zdrowie, szczęśliwe panowanie i potencya jego, wstręt nieprzyjaciołom i *internam* utrzymuje *tranquilitatem*, co jedynie sąsiedzi nasi *in consideratione* mają.“

W obec niebezpieczeństwa ze strony Porty należało przedewszystkiém wzmocnić twierdzę, stanowiącą niejako klucz do Polski, mającą tradycyą przedmurza Rzplitéj i chrześciaństwa; lecz ta sławna niegdyś forteca, o któréj powiedział Osman II, że ją sam Bóg zbudował, i on chyba jeden mógł zdobyć, znajdowała się w opłakanym stanie. „Kamieniec i okopy—pisze Poniatowski—znalazłem w wielkim nieporządku i ruinie; garnizonu bardzo mało, dział, amunicyi, prochów, strzelby, absolutnie w proporcyi do obrony nie masz. Fortyfikacye jedne przez czas zrujnowane, drugich nowych erekcyi koniecznie potrzeba.“

Restauracya twierdzy pociągnęłaby za sobą znaczne koszta, a skarb Rzplitéj świecił pustkami, zrywanie zaś sejmów nie pozwalało obmyśleć innych środków. Przemyślny regimentarz wpadł jednak na sposób odbudowania Kamieńca, nie obciążając kraju ani monarchy, t. j. odwołując się do pomocy i wsparcia Stolicy Apostolskiéj. Był on pełnym otuchy, że papież przychyli się do prośby, a gdy August zgodził się na propozycyą, jął traktować w téj sprawie jako podskarbi. „Praktykowało się to—pisze—tak u nas, jako i na niemieckiém pograniczu, kiedy i świeżo Ojciec Święty na fortyfikacyą belgradzką dwóch milionów reńskich nie żałował. Mówiłem o tém i z IMścią Xiędzem nuncyuszem, wytłómaczywszy mu przed stratą tego *antemurale* wielkie dla całego chrześciaństwa niebezpieczeństwo, w czém znalazłem go dosyć łatwym do uczynienia relacyi Ojcu Świętemu i do skutecznéj expostulacyi naszéj; potrzebuję tylko do niéj listu JKMci, o który pisałem. Bez żadnéj egzageracyi powiadam to Wmpanu Dobrodziejowi, że Kamieniec za najmniejszém porozumieniem się z Turkami jest tak ze wszystkiego ogołocony, żeby się ani tygodnia obronić nie mógł. Uczyniłem szczegółowy opis tych wszystkich okoliczności i Xięciu JMci Prymasowi, abyście WMPaństwo *ex innato circa bonum publicum zelo* zawczasu ten tak potrzebny interes całéj zalecili Rzeczypospolitéj.“

Ruch na Wschodzie mniejsze w regimentarzu budził obawy. „Hetman zaporozki—pisze on—powróciwszy na Ukrainę ze stolicy, wydał ordynanse do nowych wszystkich kozaków, popisów, z przy-

datkiem, aby się w należytym wojennym znajdowali rynsztunku. Co za imprezę mają, nie wiem, ale *verendum*, aby jakich impetycyi do naszéj nie czynili Ukrainy, gdzie pretendują, że ją *contra pacta* osadzamy, osobliwie na samém pograniczu, które miało być puste.“

W podobny sposób odezwał się Poniatowski do najwyższego dygnitarza kościelnego a zarazem głowy wrogiego sobie domu, Teodora Potockiego. Doniósłszy, że jego wyniesienie na generalnego regimentarza „chwalebnych sentymentów“ rycerstwo jak najlepiéj przyjęło, mówi o znanych nam już staraniach zażegnania burzy, grożącéj Polsce na wschodnio-południowem pograniczu, i dodaje, że w tym celu po powrocie z Ukrainy do Lwowa, naradzał się z wojewodą podolskim, Michałem Sapiehą. Nie wątpi też, że prymas użyje swéj powagi, aby „zagrzać“ naród do obmyślenia środków obrony, a więc uchwalenia podatków i powiększenia liczby wojska, oraz wstawi się do Ojca Ś. w sprawie zasiłku na zrestaurowanie Kamieńca. Mówiąc o „ordynansach“ hetmana kozackiego, wspomina o „deklaracyi cara powrócenia kozakom wolności wszelakich za Chmielnickiego praktykowanych“ (1).

Na pismo powyższe odpowiedział Potocki bez zwłoki obszernie i szczegółowo. Najprzód wymawia regimentarzowi „przydłuższe trochę milczenie“— wyznaje, że go ono niepokoiło i trwożyło a przecież tak zawsze w Polsce bywało, że naczelnik sił zbrojnych „z prymasem trzymał ścisłą korespondencyą“, co w obecnych stosunkach tém jest potrzebniejszém. Ale teraz, wolny już od dręczących obaw, prosi nadal o „zupełną poufność,“ chwali go za okazaną w służbie publicznéj gorliwość, winszuje mu nowego dostojeństwa, do któregc (dodaje z uznaniem) jakbyś się urodził, będąc do niego *praxi et longo usu* usposobionym. Ztąd też nie zadziwia go to wcale, że rycerstwo wiadomość o jego nominacyi powitało z radością, wiedziało bowiem, że się ten wysoki stopień dostał Poniatowskiemu „*velut Achilli arma*“....

Z powodu kozackich rozruchów wypowiada zdanie, że na Ukrainie zaburzenia niejako w powietrzu, że prowincya ta „*suo climate* niespokojna i ludźmi zawsze w buntach, ze krwi buntowniczéj porodzonymi; przeszloroczny lubo się tam uśmierzył ogień, zawsze jednak nie przygasza iskierka, jaka *sub cinere doloso* być może, i byle wiatr nam przeciwny dmuchnął, wybuchnąłby znowu pożar.“ Mianowicie przeraża go obietnica carska, dana Kozakom; obawia się, aby

---

(1) Rękopis Zakładu Ossolińskich, Nr. 297 fol. 324—326. List z dnia 9 Lutego 1729.

ztąd nietylko między kozactwem, lecz i wśród pogranicznego chłopstwa nie przyszło do wybryków. Pochwala wszystko, co przedsięwziął regimentarz, jak wyprawienie na kresy znacznéj części wojska dla zabezpieczenia wschodniéj ściany Rzplitéj— pewny, że przezorność mu wskaże, jak należy rozłożyć „szczupły bardzo i skurczony komput legionów," aby broniąc jednéj strony, nie ogołacać drugiéj i nie wystawiać jéj na niebezpieczeństwa, „a te są bardzo głośne od Prus i Pomeranii."

Niemniéj ważną i nagłą rzeczą jest opatrzenie twierdz, „które sąsiadowi same w oczy leżą." Potrzeba więc corychléj pieniędzy, potrzeba uchwały nowych podatków. Prymas przypomina, że na przedostatnim sejmie w Grodnie gorąco przemawiał, „aby była aukcya wojska i fortece pograniczne tak fortyfikacyami, jako też ludźmi i cekauzami niepróżnemi ubezpieczone." O toż samo na miłość ojczyzny listownie zaklinał sejmiki, grożąc „aby z garścią wojska nie czekały nieszczęścia jakiego." Ale obecnie z powodu niedojścia ostatniego sejmu, położenie Rzplitéj fatalne, bez wyjścia, tém więcéj, że król wstrzymywany w Saksonii wpierw chorobą, teraz coś interesami dziedzicznego kraju, do Polski nie zjeżdża.

Jeśli regimentarz liczy na wsparcie stolicy apostolskiéj „w szkudach lub cekinach," powinien pamiętać, że „na to samo, aby miało wiarę, powagę i większy skutek, trzebaby kongresu jakiego i przynajmniéj imieniem całego senatu pisać *cum fama praeeunte* o tém do Rzymu przez poczty." Jeśli zaś napisze sam prymas, jak od niego żądają, „albo nie będzie wysłuchany, albo *exauditus* nie wiele wyjedna."

Widocznie owo odwoływanie się do cudzéj pomocy tam, gdzieby samemu o sobie myśleć wypadało, nie przypada X. Teodorowi do smaku; dla tego stara się z jednéj strony zachwiać wiarę Poniatowskiego w możność otrzymania zasiłku z Rzymu, z drugiéj zaś wskazuje, że w samym kraju znalazłaby się może na to rada. „Byłyby insze sposoby *etiam* w domu, przez kontrakty skarbu koronnego, (1) *cum privatis et nummosis*, ale za assekuracyami *ratihabitionis* te-

---

(1) Z okazyi wzmianki o skarbie koronnym, nie odrzeczy jak sądzę będzie tu wspomnieć o niezmiernie ciekawéj, współczesnéj korespondencyi starosty spiskiego księcia Teodora Lubomirskiego z podkanclerzym, X. Janem Lipskim, i kanclerzem, Janem Szembekiem. Starosta na dniu 5 Marca 1729 biorąc pochóp ze zgonu Jana Przebendowskiego, podskarbiego w. kor. podaje się na kandydata na ten urząd, zobowiązującsię „intratę skarbową, która dotąd *non extendebatur* nad pięćkroć sto tysięcy, pierwszego roku zaraz do miliona przywieść." Nie dość na tem; „spodziewam się" — prawi dalej— „ że drugiego roku dwóch (milionów) dociągnę; po trzecim zaś, uczyniwszy takowe

go, co skarb *contrahet*; są i po województwach sumy w depozytach, a najznaczniejsze w wielkopolskich."

Ale dla wydobycia owych sum, potrzebaby koniecznie rękojmi bezpieczeństwa, a zatem albo niezwlocznego przyjazdu króla, albo „dyspensy na *senatus consilium*, gdyby król przybyć nie mógł, o co przedewszystkiem regimentarz starać się powinien „jako mający kredyt u dworu" (1).

W niewiele dni późniéj (3 marca 1729) wystosował Poniatowski jako podskarbi przechowany w kopii łaciński list do Benedykta XIII, przedstawiając wymownie wielkie znaczenie kamienieckiéj twierdzy nietylko dla Polski, ale dla całego Chrześciaństwa w ogóle i prosząc o zapomogę na ufortyfikowanie miasta i wałów (2), jeśli kraj nie ma stanąć otworem dla Muzułmanów.

Ale zawiodły go nadzieje, Papież czy to z braku funduszów, czy też w skutek przekonania, że między Rzplitą a Portą nie przyjdzie do wojny, żądanego wsparcia nie udzielił; niema nawet śladu dalszych pertraktacyi w téj mierze. Kamieniec nie doczekał się w ogóle restauracyi, bo Adam Tarło, starosta goszczyński przybyw·

żeby *in perpetuum* trwały dyspozycye, gotów będę podskarbstwo rezygnować, komu król rozkaże, w czem WMPana poczciwem słowem assekuruję."— Cały ten list tchnie szczerością, prawdą i rzetelną miłością dobra publicznego, u dworu jednak nie doznał wcale dobrego przyjęcia; obietnice starosty poczytano za czczą przechwałkę, a król „nie mógł się domyślić" (słowa Lipskiego), „jakim sposobem skarbu koronnego *importata* do tak znacznéj kwoty w tak krótkim czasie *reduci* mogłaby." Niemniéj przeto trwa późniéj książę przy pierwszém twierdzeniu, że „skarb koronny może corocznie importować więcéj jak dwa miliony," a daléj „poczciwem słowem upewnia, że te wszystkie kondycye które w pierwszych wyraził listach, we wszystkiem dotrzyma." Dwór nie dawał wiary przyrzeczeniom, ile że były gołosłowne, nie poparte dowodami a przynajmniéj wskazówkami, na jakiéj drodze spodziewa się starosta dopiąć celu. Skarży się przeciw téj sceptyczności i zapowiada, że „jeśli tak będziem zawsze powątpiewali, to nigdy przedsię imprezy doskonale nie weźmiemy," a jak przyjść do tak znacznego powiększenia dochodów państwa, nie słowami, lecz czynem gotów okazać. Urwana niebawem korespondencya służy za wskazówkę, że nad tym projektem przeszli wkrótce król i ministrowie do porządku dziennego, a staroście nie pozwolili robić trzechletnich experymentów na biednym skarbie koronnym. Ztąd też nie wiemy, czy książę był geniuszem administracyjnym, czy byłby finanse polskie tak choć w przybliżeniu zreformował i podniósł, jak we Francyi za Ludwika XIV Colbert po Fouquecie, czy też był tylko samochwałem jakich nieprzebrana mnogość roiła się po Polsce, a każdy ręczył, że Rzpiita stanęłaby na szczycie potęgi i chwały, gdyby on ster rządu ujął w swoje ręce. (mskr. Ossol. Nr 297, fol. 329—334).

(1) Ibidem, fol. 326—329. List z 24 lutego 1729.

(2) Archivum XX. Czartoryskich vol. 487.

szy do twierdzy w pięć lat później, zastał wielkie pustki, wały i palisady zrujnowane, magazyn próżny, ludzi mało (5).

W tymże jeszcze roku 27 września donosi z Wołczyna temuż samemu korespondentowi o zamierzoném przez biskupa Bogusława Gąsiewskiego prześladowaniu Tatarów litewskich, którzy się schronili pod skrzydła regimentarskiéj powagi. „Wybiegli tu do mnie — pisze— (6) *e medio* całego narodu litewscy Tatarowie, abym im dał radę, co uczynić mają w następnych złych bardzo Konjunkturach na nich, *ex quo* że im xiądz biskup smoleński w całém województwie wileńskiem wszystkie meczety popieczętować kazał przy wydaniu pozwów od powiatu oszmiańskiego na roczki *ad respondendum et ad sumendas poenas,* że się dotąd ważyli chrześciańską czeladką posługiwać i w poddaństwie swojém trzymać chłopów ruskiéj religii *cum comminatoriis,* że ich żonki i dzieci w pień wycinać będą."

Obruszony niewczesną gorliwością lekkomyślnego prałata w chwili, gdy wojna od Turcyi grozi a kraj do niéj wcale nie przysposobiony, wstawił się Stanisław za Tatarami piśmiennie do głównych osobistości powiatu oszmiańskiego, przytem do kanclerza Michała Wiśniowieckiego i podkanclerzego, Michała Czartoryskiego. „jako do stróżów praw" i za ich pośrednictwem starał się upomnieć Gąsiewskiego, aby jego zbytni zapał apostolski „nie był początkiem ognia w Litwie i na dalszy czas zgubą ojczyzny przez wypędzenie do Turek ludzi, tak kraju naszego świadomych,"

Stan Litwy zatrważa go; widzi w niéj niesforne, do zatargów skore żywioły, surowo sądzi ludzi, nie oszczędzając nawet hetmana w. litewskiego a zarazem wojewody wileńskiego, Pocieja: „Nie wiem —mówi— z jakiéj racyi JMPan wojewoda wileński zdał generalnie komendę całego wojska JMPanom kasztelanom witebskiemu i mścisławskiemu, chyba jeżeli jaką mają umówioną w Litwie burdę, aby się mógł exkuzować, że się to bez jego wiadomości stało, a samby się chciał oddalić albo ku Częstochowie, do dóbr żony swojéj, albo na Ukrainę, do tych, co od JMPana wojewody łęczyckiego (Jerzego Warszyckiego) *jure obligatorio* nabył. Ja na Ruś pojutrze wyjeżdżam, abym tam miał oko na wszystko, bo się boję, że ci Ichmoście *malevoli,* lubo pretextu nie mają, zechcą jaki ogień wzniecić."

Niemniéj bacznie troszczył się regimentarz o usunięcie wszelkich nieporozumień między Turcyą a Rzplitą. „Pasza nowy, do-

---

(5) Ad. Tarło, woj. lubelski p. Leopolda Huberta. *Biblioteka warsz.* r. 1859 t. I. p. 13.
(6) Archivum XX. Czartoryskich, vol. 487, nr. 82.

daje—do Chocima przybył, Kara Mustafa nazwany, syn tego wezyra, co pod Wiedniem komenderował. Jak prędko na Rusi stanę, odezwę się do niego. Był u niego pan Świrski, burgrabia kamieniecki, sędzia pograniczny i lubo z wielką kontestacyą utrzymania dobréj harmonii przyjęty, z tém wszystkiem upominał się zaraz o satysfakcyę od JMPana wojewody sędomirskiego (Jerzego Lubomirskiego?) *ratione* protekcyi danéj tatarskim zbiegom, jako téż hultajowi tureckiemu przez JMĆ. pana wojewodę kijowskiego (Józefa Potockiego). Z ostatnim jużem expostulował w Grodnie, ale *surdo fabula*, powiadając, że ten, co uciekł z Chocimia do niego, chce katolikiem zostać. Piszą mi ztamtąd, że Persowie mieli zbić na głowę Rossyą, w czém jednak konfirmacyi czekać trzeba.

Gdy się te nieporozumienia z Turcyą nie kończyły, lecz owszem coraz więcéj rozżarzały, Poniatowski jak najusilniéj pracował nad przywróceniem pokoju. „Jeszcze przed śmiercią nieboszczyka JMP. wojewody bełzkiego, hetmana w. kor. (Stanisława Rzewuskiego) — pisze z rezydencyi Czartoryskich, ze Siedlec, pod dniem 2 października 1729— stał się exces na pograniczu tureckiém, przez ludzi JM. Pana Wdy sendomirskiego teraźniejszego, że niejaki JMć rotmistrz Taban, wpadszy w granice tatarskie z Wołochami nadwornymi, zabrał dwadzieścia i dwa koni co najlepszych niejakiemu Dziantykmurzy, i uszedł z nimi do Sawrani, dóbr JMC. p. wojewody. Expostulował i hani basza z JMĆ. p. hetmanem o satysfakcyą, która że od JMP. Wojewody sendomirskiego *non subsecuta*, posyłał nieboszczyk hetman komenderowanych łapać tego rotmistrza Tabana, który w tych dobrach Sawrani zuchwale obroniwszy się, tylko dwóch *complices furti* utracił. Jakoż hetman odesłał ich do pogranicznych sądów *ad sumendas poenas*, gdzie będąc *convicti de complicitate*, exekwowani byli, ale pryncypałowi *sceleris*, Tabanowi nic, ani restytucya koni nie nastąpiła. Po uspokojonych domowych burdach han i basza teraźniejszy, serio znowu nalegają o satysfakcyą, grożąc jeżeli jéj nie otrzymają, będą się i na niewinnych mścili i rozwiążą Tatarom ręce aby swego dochodzili; jakoż i tę deklaracyą przysłali, że się ostatni raz skarżą. Piszę ja zaraz do JMP. Wdy sendomirskiego, lubo się nie spodziewam żadnego pożądanego responsu; ale jeżeli mnie perswazya WMPana Dobrodzieja wesprze, rozumiałbym, że może nakłonię JMPana wojewodę do satysfakcyi.“

Słowa powyższe stanowią ciekawą illustracyą do historyi sąsiedzkich stosunków między Rzplitą a Portą; okazuje się z nich, że swywola niegodziwych hołyszów, wspieranych nierzadko przez panów a przynajmniéj nie karconych, jakby należało, narażała kraj

cały na niebezpieczeństwo, podobnie jak dawniej wyprawy kozackie. Regimentarz w staraniach swoich spotkał nieposłuszeństwo podwładnych a nawet niechęci magnatów, co przywykłego do porządku, energii i karności pod rządami Karola XII, drażniło i oburzało, jak to widać z końcowego ustępu listu: „Wiedziałbym ci ja co z tém czynić, alebym niechciał JChmciów zaczepiać, którzy tylko podobno, ile mi się dostaje słyszéć, tego czekają, jako się i JMP. marszałek nadworny z tém odzywa, pod pretextem dania protekcyi JMP. rotmistrzowi Jaworskiemu, któremum ja nigdy odbierać chorągwi nie myślał, ale go sądzić będę musiał za nieposłuszeństwo, że się ordynansowi memu sprzeciwił i nie poszedł na Ukrainę z chorągwią, gdzie był ordynowany." Gorliwością i zapałem w służbie publicznéj, jakiéj przykłady składa w powyższych pismach, pragnął regimentarz dowieść, że lubo dotąd nie pozyskał buławy, ze względu na wielostronność zajęć i pracy, należą mu się pensye za obydwóch koronnych hetmanów, przynoszące rocznie znaczną na owe czasy sumę, bo 280,000 złp. z których 80,000 przypada na darowiznę dla wojska. Król oczywiście nie czynił mu w téj mierze najmniejszych trudności, lecz członkom opozycyi nie podobało się wcale takie bogacenie dworskiego zausznika. Należał do nich jako głowa możnego rodu Potockich, X. Teodor, Prymas. Zręczny i polityczny dygnitarz lubo w głębi duszy szczerze nie lubiący Poniatowskiego, udawał dlań serdeczną życzliwość, co mu jednak nie przeszkadzało stać silnie przy swojém zdaniu, zwłaszcza, że z jego archidyecezyi przypadała znaczna kwota rocznie na rzecz hetmana. Wojewoda przeniknąwszy snadnie arcybiskupa, a widząc, jak obłudnie z nim postępuje, umyślił przyprzéć go do muru i zniewolić do stanowczego oświadczenia. Uczynił to w liście z dnia 6 listopada 1729, z którego się téż dowiadujemy o dalszych sprawach na pograniczu. Donosi więc, jako powracający z Chocimia pułkownik Cieński (1) zapewnia, że dżuma ani inne zaraźliwe choroby nie grasują w tamtych stronach, lubo wpierw panowały w okolicy Żwańca, jako od Turcyi nie potrzeba się lękać żadnego niebezpieczeństwa, bo ani sułtan, ani wezyr nie żywią wojennych zamiarów. Załatwiwszy tak publiczne interesa, przystępuje do własnéj sprawy, prosi prymasa, aby sobie przypomniał, co mu przyrzekł w Warszawie i wyraża nadzieję, że nie będzie mu nadal przeciwnym; „jeśli (dodaje) mojéj naj-

---

(1) Był to Wojciech Cieński, pułkownik wojsk koronnych, miecznik żydaczowski, co wnoszę z przechowywanych w rodzinie Cieńskich papierów familijnych.

niższéj odmówisz prośbie, jawnéj niełasce W. Xiążęcéj Mości przypisać będę musiał, na którą żebym sobie miał zasłużyć, cale nie czuję."

Przy téj sposobności odpowiada na robiony sobie zarzut, jakoby zbyt wysoko mierzył, zapewniając, że jest wolnym od wyniosłości; „lubo każdemu (dodaje) w równości urodzonemu, niezabroniony w Polsce *ambitus*." Powołuje się w końcu na swoję „poczciwą i szczerą służbę ojczyźnie i Panu," przypomina, że dawniéj Rzewuski, hetman w. litewski, teraz zaś Ludwik Pociej, wojewoda wileński bierze pensyą za obie buławy i woła: „Czemuż mi W.X. Mość pracującemu za dwóch hetmanów, chcesz téj rekompensy bronić?" (1)

Ale natarczywa przymówka pozostała i teraz bez skutku. Przebiegły prymas po kilku słowach uznania dla troskliwości regimentarza o dobro publiczne i dla pomyślnych owoców jego pracy, wyraża bolesne zadziwienie z powodu niezasłużonego posądzenia, jakoby mu nie sprzyjał. „Przenikasz WMP. — pisze — prawdziwie *ictu feroci* serce moje, zadawając mi jakiś nieaffekt ku sobie." Zapewnia go o „kordyalnéj estymacyi swojéj, przywołuje na pamięć, że zawsze ceniąc w nim wysokie talenta, przepowiadał mu świetną przyszłość, a widząc iszczące się słowa swoje, pełen jest radości i wesela."

Sypnąwszy hojną dłonią sporo pięknych słów i czułych oświadczeń, twardym się przecież okazuje w saméj spornéj sprawie. „Interes—pisze—różnić nas nie powinien, ani też prawdziwy mój skrupuł względem pensyi na buławy." Następnie rozwodzi się szeroko nad pobudkami, skłaniającemi go do oporu, przypomina, że wedle prawa nigdy obydwie buławy wakować nie powinny, zaręcza, że na przeszły niedoszły sejm wielu posłów miało instrukcyą, aby żądać obracania pensyi hetmańskich na co gwałtowniejsze potrzeby publiczne, na ulżenie ubogiemu skarbowi koronnemu—a między nimi wymienia Swidzińskiego, starostę bracławskiego, posła z województwa podolskiego. Takąż samę opinią miał spotkać prymas u wielu poważnych i zacnych ludzi w Wielkopolsce i miał nawet być „od nich przestrzeżony, aby toż rozumiał." Przykład na Litwie wskazany wcale go nie przekonywa, bo najprzód niewiadomo, czy kto jeszcze nie odezwie się przeciw téj praktyce i zmienia to bardzo postać rzeczy, gdy hetman wielki bierze płacę za małego; z archi-

---

(1) Rękopis Zakł. Ossolińskich (Ex libris Caroli de Wielkopolskie M. Myszkowski) N. 259, p. 69.

dyecezyi zaś gnieźnieńskiéj przypada podatek na wielką a nie na małą buławę. Prosi wreszcie, aby nie poczytywał za obrazę, „gdzie jest *ratio* a nie *odium*“ i oświadcza, że jeśli mu Rzplita na sejmie przyzna pensyą, zastosuje się ochoczo do téj uchwały. (1)

Jak się już rzekło, rozrywał wówczas sejmy głównie „*ambitus* buław;“ swywolni panowie, co do nich rościli sobie prawo, wiedząc, że król komu innemu je przeznacza, woleli narazić kraj na niebezpieczeństwo, aniżeli się zrzec swoich pretensyi, „oglądając się“ bez wątpienia— wedle słów współcześnika— „na starość i słabość pana, a pogodniejszéj dla siebie wyglądając konjunktury,“ czyli, jak zapewnia ktoś inny, „spodziewając się króla albo na swoję stronę przerobić, albo téż przeżyć.“ (2)

Dowiadujemy się z mowy Kazimierza Rudzińskiego, kasztelana czerskiego, (3) że postronni natrząsali się z Polaków z tego powodu, opowiadając, jako „między nami ta inwidya nie chce mieć przed sobą nikogo.“ Część posłów domagała się wprawdzie, aby król bez względu na zerwanie sejmu rozdał buławy, bo na zwłoce cierpi cała Rzeczpospolita, ale podniosły się na odwrót głosy, że byłoby to „lekarstwo gorsze od choroby,“ bo na mocy jednéj z uchwał Konstytucyi z r. 1717, unieważnionéj dopiero w kilka lat późniéj w r. 1726, król tylko na sejmie może powierzać godność hetmańską, i protestowano usilnie przeciw odprawianiu téj czynności bez współudziału stanów Rzplitéj. (4)

Nie brakło wprawdzie Poniatowskiemu życzliwych, zjednanych zarówno ujmującemi jego przymiotami, jako téż łaską dworu, mającą zawsze dla ludzi urok nieprzeparty. Jan Szembek, kanclerz w. kor. w dniu 26 stycznia 1730 na konferencyi z zagranicznymi ministrami wyraziwszy, jak mu „miły teraźniejszy stan w ojczyźnie przez słodki spokój,“ wystawia „mądrą a przezorną dyspozycyą królewską“ w powoływaniu ludzi do władzy; na stwierdzenie zaś przykładem słów swoich przytacza oddanie „regimentarstwa wojsk koronnych JMCI Panu podskarbiemu wielkiemu W. X. lit.“ — „oddając mu (czytamy w dyaryuszu) zgodne z prawdą pochwały.“ (5)

---

(1) Ibidem f. 71. Wpierw już dał prymas regimentarzowi odmówną odpowiedź, tłómacząc, że bez należącéj z archidyecezyi gnieźnieńskiéj „porcyi“ może się obyć tymczasowo, zanim „*secundum indubitata spes* zostanie hetmanem.“ Rękopis Zakł. Ossol. nr. 297, fol. 242.

(2) Teka Podoskiego, t. III. pag. 312. (Kopia listu pewnego z Grodna, die 8 Septembris, anno 1729 pisanego). Ibidem, t, IV, pag. 147.

(3) Ibidem, tom IV. pag. 216.

(4) Ibidem, tom IV. p. 210—211, t. IV, pag. 145.

(5) Ibidem, t. IV. p. 25 i 44.

Ale nierównie liczniejsi i gorliwsi byli jego przeciwnicy, spostrzegający z nietajoną goryczą, jak szczęśliwy parweniusz potężnieje z każdą chwilą i zwłaszcza od śmierci Fleminga zyskuje coraz więcéj serce królewskie, jak toruje sobie drogę do najwyższego dostojeństwa wojennego, przed nimi, potomkami sławnych wojowników i statystów, co na swych barkach trzymali gmach Rzplitéj. Pomyślne, jak się zdawało, usiłowania jego, doprowadziły ich do wściekłości, jakkolwiek przyznać trzeba, że przebiegły regimentarz nic innego nie robil nad to, co powszechnie uchodziło za rzecz godziwą, jakkolwiek środki używane przezeń dla dopięcia celu, w niczém od ich środków nie gorsze, przewyższaly je tylko zręcznością. Zanadto znał świat i ludzi, zbyt bystrym i sprytnym był dyplomatą, aby z wrzawą i hałasem, jak jego współzawodnicy, dobijać się upragnionéj władzy, aby osobiście prosić o nią i upominać się, chełpiąc się swemi prawami i zasługami. Wybrał on sobie cale inną, dalszą, lecz pewniejszą drogę: wiedząc, jak stanowczą bywa w podobnych razach opinia rycerstwa, szedł torem tylu znakomitych ludzi, co chcąc dopiąć wyniosłych planów, łaskami i szczodrobliwością zobowiązywali podkomendnych, jak np. Wallenstein do którego i pod tym względem byl podobnym, że równie jak tamten samolubny, podobnie jak on dążył tylko do własnego wyniesienia, równie pochopny do spółki z Gustawem Adolfem, jak z Ferdynandem II, zjednywał sobie wojsko wedle Matuszewicza (6) „wielką ludzkością, częstowaniem, hojnością“ na monarchę zaś działał za pomocą tak wypróbowanych i potężnych spzymierzeńców, jak pani Sieniawska, sam jedynie uległością i objawami serdecznego przywiązania okazując Augustowi, coby dlań uczynić powinien i jak dzielną pomoc znalazłby w nim na tak wysokim, tyle przez króla cenionym urzędzie, że jak wiadomo, w pierwszych chwilach swego panowania, poznawszy rozległy zakres władzy hetmańskiéj, powiedział, iż gdyby był wpierw obeznany z polskiemi stosunkami, byłby się raczéj starał o buławę, niż koronę.

Owa taktyka prócz innych i tę miala korzyść, że w razie posądzenia o knowanie intryg można było podnieść głos świętego oburzenia, odezwać się do samego monarchy i przypomnieć mu że się nigdy nie było natrętnym, ukazać się narodowi w postaci męczennika i ofiary, w postaci baranka bez grzechu i skazy, aby, do tém większych względów pozyskać prawo. Milczał dopóty, do-

---

(6) Pamiętniki M. Matuszewicza, t. I p. 31.

póki podniesiona przeciw niemu wrzawa rozbrzmiewała głuchym szmerem, przerywanym tylko namiętnemi krzyki garści interesowanéj i jéj popleczników, ale kiedy ów szmer się zaczął wzmagać i rosnąć, stawać się coraz powszechniejszym i opierać aż o same stopnie tronu, grożąc złemi następstwami, wówczas postanowił nie czekając dłużéj, uprzedzić nieprzyjaciół, zwrócić się do swego pana, i wyzyskując zręcznie zwracającą się przeciw sobie opinią, wskazać, jak niesłusznie go obwiniają, napomknąć owszem, że głównie wierność dla osoby królewskiéj naraziła go na tak zapalczywe napaści.

Bezpośredni pochop do odezwania się powziął z listu, wystosowanego w téj materyi przez referendarza królewskiego Thioly'ego na schyłku r. 1729 do Franciszka Bielińskiego, wojewody chełmińskiego. Poniatowski powiada ogólnie, że go znalazł po powrocie do Warszawy, lecz niezawodnie udzielił mu go chętnie sam wojewoda, bo Stanisław skoligacony był z Bielińskimi przez teściową, rodzoną siostrę pani marszałkowéj w. kor., równie jak ona podskarbiankę Morsztynównę.

Poniatowski z powodu załączonego pisma przemawia do króla w sposób dostarczający nam nowego dowodu, jak zręcznym i wytrawnym był człowiekiem, w sposób, charakteryzujący go lepiéj, niż wszelkie nasze określenia. „Sprawiedliwość W. Kr. Mości — pisze z Warszawy 11 Stycznia 1730 r. (1)— stateczność zamiłowania mojego w służbie monarszéj, zbyt wielką dają mi rękojmię, abym się potrzebował lękać złego wrażenia tego listu. Ale spostrzegając z boleścią wysilenia moich nieprzyjaciół, pełnych uprzedzeń a raczéj najwyszukańszéj złośliwości, aby mnie przy danéj okazyi zgubić w opinii W. Kr. Mości, nie jestem wolnym od obawy, aby téj upragnionéj sposobności nie znaleźli i nie wystawili w złém świetle gorliwości mojéj dla osoby W. Kr. Mości i publicznego dobra.— „P. Tioli potępia już mnie w obec swych przyjaciół na mocy fałszywego mniemania, jakobym sięgał po buławę w. koronną, choćby za cenę zamącenia spokojności publicznéj. *Znając prawdziwie boską przenikliwość W. Kr. Mości,* (2) że lepiéj widzi czystość mego serca, niezdolnego do podobnych uczuć. Szczęście rządów W. Kr. Mości i ojczyzny stawiając po nad wszystko, mogę zapewnić W. Kr. Mość, że postępowanie moje nigdy tym zasadom nie zada kłamu. Nie umiem chodzić krętemi drogami (!), zwłaszcza w stosunku z Panem,

---

(1) Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 646.

(2) *Je me flatte de la pénétration toutte Divine de Votre Majesté.*

co mnie obsypał dobrodziejstwami. W. Kr. Mość wie lepiéj, niż ktokolwiek inny, że nigdy nie prosiłem Jéj o hetmaństwo, ani wprost, ani pośrednio. Gdy W. Kr. Mość zaszczyciła mnie łaskawie stopniem regimentarza, uczyniłem zadość Jéj woli i rozkazom, przyjmując go z posluszeństwa (!) (par obéissance). Robię, co tylko w moich siłach z zapałem i wiernością, starając się stać godnym zaufania W. Kr. Mości nawet kosztem spokoju mego życia, zdrowia i zmniejszającego się codziennie majątku (?), nie oglądając się w czynnościach moich na nic, jedno na służbę W. Kr. Mości i ojczyźnie.

„Niepomiarkowana ambicya nie dręczy mnie bynajmniéj; co mi najwięcéj leży na sercu, to zachowanie łaski i zaufania W. Kr. Mości, bez których byłbym nieużytecznym na stanowisku, jakie zajmuję. Widzę, że celem moich nieprzyjaciół jest zatamowanie mi drogi do względów W. K. Mości, i to nietylko co się mnie osobiście tyczy, ale także tych, o jakie proszę W. Kr. Mości dla wojskowych, zasługujących na nagrody. Jest to najwalniejszy środek pomnożenia powagi w armii, z którego jednak dotąd nie było mi daném korzystać, gdyż dla nikogo nic zgoła uzyskać nie mógłem. Wziętość ta u ogółu potrzebna mi dla dobra służby W. Kr. Mości; gdyby bowiem ogół spostrzegł jéj zmniejszenie, nie mógłbym ręczyć ani za spokojność, ani za jakikolwiek inny wypadek, pomimo całéj baczności, wierności i gorliwości mojéj. *Spodziewam się zresztą po łasce W. Kr. Mości, że nie będzie żądała odemnie rzeczy, uwłaczającéj memu honorowi: ażebym miawszy naczelną komendę nad armią, został następnie podwładnym — nie spodziewam się, ażeby mi W. Kr. Mość rozkazała ustąpić stopnia człowiekowi, mającemu do niego mniejsze odemnie prawo.* Byłbym bardzo szczęśliwym, pozostając na urzędzie podskarbiego, jestem nawet gotów ustąpić regimentarstwa, na którém nie mogę i nie mógłbym się nigdy utrzymać bez łaski W. Kr. Mości, któréj się bardzo usilnie polecam" i t. d.

List powyższy, arcydzieło dyplomatycznéj zręczności, sprawił jak najlepsze wrażenie na Auguście; zamiast coby miał wzniecić w jego sercu podejrzenie i niechęć ku regimentarzowi, usposobił go jak najlepiéj względem niego, utwierdził go nawet w silném już przekonaniu o potrzebie oddania mu pierwszéj buławy, nie zaś drugiéj, co było głównym celem Poniatowskiego, a co też wypowiedział jasno, ze stanowczością i śmiałością, odbijającą dziwnie od pokornego tonu pisma, od pozornéj skromności i bezinteresowności autora. Taktyka Poniatowskiego, nie tającego, że chce zostać albo pierwszym, albo też ustąpić zupełnie, przypomina mimo woli zręczne postąpienie już porównywanego z nim Wilhelma Orańskie-

go, który długo obojętny i zamknięty w sobie przysłuchiwał się rozprawom lordów zwołanego przez siebie parlamentu, czy mu przyznać godność króla czy regenta, w końcu zaś, w chwili decydującéj oświadczył, że postanowił nieodwołalnie nie przyjąć regencyi ani tytułu królewskiego, dopókiby żyła Marya, z zależnym od jéj woli współudziałem w rządzie — że jeśli nie otrzyma władzy monarszéj na całe życie i niezawiśle od żony, powróci bez zwłoki do Niderlandów.

W ustępie ostatnim, wypowiedzianym z przyciskiem a wysuniętym nie bez celu na sam koniec dla wywołania tém większego efektu, stanowiącym niejako *ultimatum*, wybucha jakoby duma zbolałego serca, prześladowanego zapamiętale przez opozycyą gorącego stronnika dworu; zwraca się P. do króla z delikatnym wyrzutem i zręczném upomnieniem o powetowanie doznanych dla niego przykrości...

August mimo wszelkich wad i błędów, powodujący się niekiedy, zwłaszcza względem swoich ulubieńców szlachetniejszémi popędami, zrozumiał intencyą i nie zawiódł oczekiwań Stanisława; lubo nie dochodzące sejmy nie dozwoliły mu spełnić gorących życzeń, do końca życia trwał w raz powziętym zamiarze, w nadziei, że wdzięczny faworyt przeleje przywiązanie z ojca na syna, nie przypuszczając na chwilę, aby sprytny dworak tak doskonale odgrywał komedyą.... Zachowana kopia listu służyła mu niezawodnie za środek udowodnienia własnéj niewinności, boć nie godziło się powątpiewać o prawdzie słów wystosowanych do monarchy a odnoszących się do stosunku z nim samym. Z Thiolym przyszło wkrótce do zgody. Aby mieć jakiekolwiek pojęcie o całéj sprawie, któréj dokładny przebieg nam nieznany, nie od rzeczy będzie przytoczyć list regimentarza do niego, z tém zastrzeżeniem, że sama szorstkość formy świadczy, iż wyrażone w nim przebaczenie pozorne i nieszczére. „Nie powinna Pana dziwić drażliwość— pisze dnia 25 stycznia—(1) jaką objawiłem Jego Kr. Mości z powodu listu Pańskiego do chełmińskiego wojewody, ani też nie powinieneś Pan podejrzywać nikogo, że mnie nią natchnął. Uczucia Pańskie wydały mi się zbyt jasno wyrażonemi, abym ich nie miał pojąć we właściwém znaczeniu i jestem pewny, że każdy inny byłby je przyjął w tym samym sensie. Nadewszystko znając, jak ja, bystrość umysłu Pańskiego, trudno mi było uwierzyć, aby tak nieuzasadnione rozumowanie mogło wypłynąć z innego źródła, jak

(1) Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 646.

z braku dobréj woli względem mnie; gdyby bowiem znalazło przystęp do serca Miłościwego Pana, obaliłoby niechybnie mój kredyt w wojsku i Rzplitéj i uczyniłoby mnie nieużytecznym królowi. Ale skoro mnie Pan zapewniasz, że nie miałeś myśli szkodzenia mi, chcę temu wierzyć i pozostać nadal z wszelkiém poważaniem" itd.

Plan kampanii przeciw zazdrosnym adwersarzom, acz tylko odporny, obmyślany jednak tak wybornie i głęboko, że gotowiśmy prawie posądzić naszego bohatera o zmowę z Thiolym i wspólne ukartowanie intrygi,— powidoł się więc świetnie i podniósł niepomiernie wpływ podskarbiego— regimentarza. Był on teraz jedną z najpierwszych osobistości w Rzplitéj, przerastał o głowę obu tak wkrótce potężnych szwagrów; zyskiwał sobie zwłaszcza rycerstwo częstemi poleceniami do łask monarszych, nie zostającemi nigdy bez skutku (1). Młodzi książęta, pogodziwszy się z niemiłym sobie na razie dziewierzem a ceniąc w nim talenta i doświadczenie, w owéj porze więcéj niż kiedykolwiek poddawali mu się, jako mistrzowi swojemu, a zdanie jego, jak zapewnia Stanisław August, (2) rozstrzygało stanowczo i pociągało za sobą resztę rodziny, podczas gdy późniéj stali się zupełnie samodzielnymi. O ile oni przejęli od niego zmysł dyplomatyczny i kunszt postępowania z ludźmi, o tyle on znowu z czasem przyswoił sobie ich dążności ku reformie, nie przeto może jakoby tknięty upadkiem i rozprzężeniem kraju, czuł potrzebę wydobycia go z otchłani nierządu, lecz dla tego po prostu, że związanemu z Czartoryskimi, wypadało już iść solidarnie pod każdym względem, i że z myślą o reformie łączyła się u niego nieplonna nadzieja własanego wyniesienia. W spornéj i wątpliwéj kwestyi, czy familia myślała zrazu na seryo o zamienieniu tronu elekcyjnego na dziedziczny i to na rzecz saskiéj dynastyi?, jestem zdania, że czując dotkliwie zgubne skutki tradycyjnego nierządu, zmierzali do wzmocnienia i ustalenia władzy królewskiéj, lecz dla Sasów pracowali tylko pozornie, w istocie zaś przygotowywali grunt dla siebie a w głębi serca każda z osób, składających tryumvirat, czuła się godną korony i wzdychaa do niéj skrycie. Rzecz prosta, że pozytywnego dowodu na to dostarczyć nie można, lecz taka kombinacya jest naturalnym wynikiem stosunków i całego postępowania familii wpierw i następnie. To pewna, że naród i zagraniczni dyplomaci uważali ich za pretendentów do tronu, choć wedle powszechnego sądu mieli nierówne szanse powodzenia.

---

(1) Matuszewicz. Pamiętniki, tom I. p. 31.
(2) Pamiętniki Stanisława Augusta, p 67.

Poseł rossyjski przy dworze warszawskim, Fryd. Kazimierz hr. Loewenwolde donosi w relacyi do Petersburga 20 stycznia 1731 (1), że Poniatowskiemu snadniéj by przyszło osiągnąć buławę, niż Augustowi Czartoryskiemu, bo książęta są niepopularni, a wreszcie na mocy prawa, że członkowie jednego domu nie mogą piastować równocześnie dwóch ministerstw wojennych i cywilnych, musiałby zrzec się swéj godności albo ojciec, kasztelan wileński, albo brat, podkanclerzy litewski.

Warto też posłuchać opinii Loewenwolda o podskarbim, bo relacye posłów rossyjskich, obeznanych doskonale z polskiémi stosunkami i będących echem głosów krajowych, zasługują na baczną uwagę. „Nie doznaje i on szczególnego miru w narodzie — pisze ambasador—z powodu nizkiego pochodzenia i zbyt gorliwego przywiązania do króla (!), posiada jednak wiele rozumu i przebiegłości i ma dość pieniędzy, aby dopiąć celu. Więcéj nim kieruje ambicya, aniżeli interes.“ Loewenwolde wypowiada daléj zdanie, że wypadałoby go żadną miarą nie dopuścić do hetmaństwa, gdyż dotąd nie pracuje w myśl petersburskiego dworu i nie uczyni tego z pewnością po dojściu do wyższéj władzy, a jeśli Rossya będzie się starała mu szkodzić, może liczyć na tajemną pomoc większéj części niechętnych mu magnatów.

Wkrótce potem donosi poseł rossyjski (2), że Poniatowski chcąc nie chąc, jest skazany na popieranie kandydatury królewica, gdyż nie może się niczego dobrego spodziewać w razie wstąpienia na tron Leszczyńskiego, lub którego innego Piasta—że przedłożył prymasowi projekt mianowania jeszcze za życia króla następcy (*propositio de nominando successore in vita regis*), ale podał się tém u naczelnika kościoła polskiego w podejrzenie, że jest ambitniejszym, jak się zdaje, koresponduje bowiem skrycie z dworem króla Stanisława, chyba, że się to dzieje z wiedzą Augusta II. Powyższy ustęp relacyi grzeszy brakiem ścisłości i pewności, a mieszczą się w nim nawet sprzeczne zdania, co się tém tłómaczy, że wyćwiczonego w kabałach i podziemnych robotach regimentarza, nierównie trudniéj było wyśledzić i wybadać, aniżeli innych panów polskich, niezdolnych do utrzymania tajemnicy. Loewenwolde wspomniawszy, że Poniatowski nie może liczyć na względy Leszczyńskiego, uza-

---

(1) *Barba za polskij prestoł w 1733 gadu.* Istoriczeskaja dissertacya sostawlennaja po archiwskim istocznikam W. Gerjc. Moskwa 1812. Dodatki, zawierające relacye i inne dokumenta w oryginalném brzmieniu, pag. 5. Listy Loewenwolda w języku niemieckim.

(2) Gerjc. Barba, Dodatki, p. 10.

sadnia mniemanie swoje twierdzeniem, jakoby mu przed powrotem do Polski ukradł dyplom rezygnacyi Augusta („alsdem er das Renunciations-diplom *entwand*“). Wiadomość ta, któréj nigdzie zresztą nie zdarzyło się nam spotkać, nie zasługuje wprawdzie na wiarę, lecz dowodzi, że złośliwi rozpuścili wówczas podobną wieść, pochwyconą skwapliwie przez ambasadora.

O XX. Czartoryskich mówi, że w całéj Litwie podobno oni jedni z Ogińskimi stoją po stronie królewica, jakkolwiek dodaje „wewnętrzne skłonności nie licują u nich z zewnętrznémi oświadczeniami,“ a z powodu szczupłości fortuny nie należy się obawiać ich wpływu, gdyby ich się pozyskać nie udało (1).

Rzecz dziwna, że o kilka stronnic daléj (2) w téjże saméj relacyi mówi rossyjski dyplomata o regimentarzu bez porównania prawdziwiéj i trafniéj; odgaduje nawet instynktownie jego skłonności i tajone plany. Wyliczając krajowych kandydatów do tronu, powiada: „Poniatowski zapewnie również marzy o koronie; ma dość majątku po temu, wyćwiczony, pełen wojennego doświadczenia i ambicyi, zdecydowany i miły w obejściu, lecz znienawidzony dla pochodzenia i dewocyi względem króla Augusta. Ale w głębi duszy kryje szwedzkie sympatye i z czasem niezawodnie działać będzie wespół ze Szwecyą i Francyą.“ Jako równie dworowi rossyjskiemu niechętnych przedstawia cały dom Czartoryskich, szczególniéj zaś księcia podkanclerzego.

Rok 1731 był szczęsnym dla familii; August przeznaczył dla niéj dwa opróżnione województwa, mazowieckie i ruskie; jedno dla Stanisława, drugie dla księcia generał-majora, pozostawiając pierwszemu prawo wyboru, lecz ten, wedle zapewnienia Stanisława Augusta (3) pozwoliwszy wybiérać dziewierzowi, sam wziął zostawione przezeń województwo mazowieckie.

Książę August nadto po długich, bo trzyletnich staraniach otrzymał wreszcie złotą rękę najbogatszéj na całą Polskę dziedziczki, pięknéj po wojewodzie Potockim i hetmanie owdowiałéj Denhofowéj, która była celem wzdychań całéj rzeszy paniąt polskich, a zwłaszcza Potockich. Był to nieoceniony nabytek dla Czartoryskich; teraz już posiadali dostateczne środki, nieodzowne dla urzeczywistnienia wielkich zamysłów.

---

(1) Ibidem, p. 10.
(2) Ibidem, p. 17.
(3) Pamiętniki Stan. Aug., p. 64.

Stanisław August powiada, że do skojarzenia tego stadła przyczyniły się niepomału zręczne i wytrwałe zabiegi jego rodziców (1) za co póżniéj niewdzięcznością miał odpłacić regimentarzowi wojewoda ruski. Słowa niniejsze tém są wiarogodniejszémi, że wiemy, jak serdeczne stosunki łączyły Poniatowskiego z matką pani wojewodziny połockiéj, hetmanową Sieniawską. Radość swą z powodu przyjścia do skutku tak świetnego małżeństwa, wylewa Stanisław w pełnym grzeczności liście, pisanym ze Stryja do młodéj pani w niewiele dni po ślubie (2). „Kiedy osobliwa—pisze—W. X. Mości łaska uszczęśliwiła na całe życie X. Imci generała, z jako najniższém podziękowaniem i *la plus respectueuse tendresse* całuję nóżki jéj. *La reconnoissance de toutte la Famille pour vos inexprimablles bontées*, wiem, że jest *grevée dans leurs coeurs*. Moja zaś adoracya *de ma tres chère souveraine*, ta się chyba równo z życiem zakończy.“ i t. d,

Latem w roku 1732 bezpośrednio przed rozpoczęciem sejmu 31 lipca podobnie jak dwa lata wpierw w Saksonii pod Mühlbergiem, odprawił król między Wilanowem a Warszawą wspaniały przegląd wojsk, a raczéj próbę wojny, dziś rewią, wówczas zaś „kampamentem“ zwaną. Uczestniczyły w niéj pułki cudzoziemskiego autoramentu, obok polskich i litewskich. Naczelne dowództwo w braku hetmanów, bo i ostatni Pociej umarł przed dwoma laty, miał nad całą armią Poniatowski. Doświadczony żołnierz, biegły i pilny wódz, doskonale wywiązał się z zadania. Podziwiało zręczność ruchów, wprawę i przytomność wojska „wiele cudzoziemskich panów i generałów (3).

Myślał zapewne August razem z regimentarzem, że szlachta pod świeżem wrażeniem znakomitych zdolności militarnych Stanisława powolniejszą się okaże dla chęci królewskiéj obdarzenia go hetmaństwem. Ale płonne to były nadzieje, bo i ten sejm, równie jak poprzednie zerwano, a nadto w czasie rozpoczynających się obrad puszczono w obieg złośliwy, lecz dość słaby pamflet, wymierzony przeciw wojewodzie mazowieckiemu, pełen waryantów, dodatków i dopełnień, jakie do naszych czasów przeszły, pod n.:

---

(1) Ibidem.

(2) Ślub się odbył 11 czerwca 1731, list zaś nosi datę 12 lipca. Archiwum XX. Czartoryskich, vol. 2886. Za Denhofa wyszła kasztelanka dnia 30 lipca 1724 we Lwowie. Czytaj Ossolińskiego „Oddawanie J. O. Imp. Sieniawskiéj, kasztelanki krakowskiéj, hetmanówny w. koronnéj.“ Rękopis Zakł. Ossol. Nr. 289, fol. 157—167.

(3) Niesiecki. Herbarz, w wydaniu Bobrowicza, t. VII, p. 377.

„Dyskurs na pokojach, wolności polskiéj z kilku senatorami, *ex ratione* buław“ (1).

Wolność uciemiężona gorzko się skarży przed dygnitarzami opozycyi na machinacye dworu, w czém ją pociesza kasztelan krakowski, książę Janusz Wiśniowiecki, zapewniając poparcie od siebie, od ks. Michała Wiśniowieckiego, kanclerza w. litewskiego i od wojewody podolskiego, Stefana Humieckiego.

„Jam syn prawdziwy (Ojczyzny), książe kanclerz drugi,
Życie złożymy na twoje usługi.
Podolski także senator bez noty,
Nie damyć chodzić w ostatnie obroty.“

Wolność wybucha przeciw regimentarzowi z bolem i oburzeniem:

„Ach mazowiecki, ten chytrze zdradliwy,
Oferty czyni, a cale kłamliwy,
Zaprasza wielu, worka nie żałuje,
A przeto dla mnie truciznę gotuje.“

Potwierdza jéj słowa prymas Teodor Potocki, mówiąc:

„Prawda, że szczodrze pieniądzmi szafuje,
Bo też dwie buław niesłusznie piastuje,
Ale im większe percepty przychodzą,
Tém obszerniejsze rachunki się rodzą.“

Poparta przez prymasa wolność występuje ze sroższemi jeszcze zarzutami:

Ej, cóż to mówisz, tyleż tylko szkody
Ojczyzna moja ma od wojewody?
Podskarbstwo sprzedał, gwardyę wymieniał,
Wziął zań Grzymałów, co go nigdy nie miał

Co tu upersonifikowana wolność wyrzuca wojewodzie, było wówczas w powszechnym zwyczaju i uchodziło za rzecz godziwą,

---

(1) Rękopis Zakładu Ossolińskich inw. nr. 254, p. 58. Również z powodu rywalizacyi Ogińskiego z Sapiehami, zwolennicy pierwszego ułożyli satyrę pod napisem: „Strzała Sapieżyńska bez lotów i żeleźca.“ Ibidem, p. 59. Porównaj też inne redakcye *Dyskursu wolności*. Rękopis Zakładu Ossolińskich Nr. 1387, pag. 24 i p. 79; Nr. 349, fol. 32.

a już w XVII wieku zauważono, że „wakanse są tak sprzedajne, jak towary w kramach;" nie dziw przeto, że Poniatowski nie poczuwający się wcale do roli bociana, czyściciela świata, wziął za podskarbstwo tyle a tyle tysięcy odstępnego od następcy swojego, Sołłohuba, że wychodząc z zasady nie bardzo wprawdzie szlachetnéj, lecz licującéj z jego usposobieniem: „kochajmy się jak bracia, drzyjmy się jak Żydzi" w zamian za generalstwo gwardyi pieszéj koronnéj, kazał ks. Augustowi dać Grzymałów; lecz fakta niniejsze świadczą, że nie był tak bezinteresownym, jakby z jego własnych oświadczeń można było mniemać, i że niezupełnie słusznie pomawia wojewodę ruskiego w pamiętniku swoim król Stanisław August o niewdzięczność, iż nie dotrzymał obietnicy danéj szwagrowi, jako zwróci dowództwo nad gwardyą jego najstarszemu synowi, skoro dorośnie (1). Widać też ztąd, jak kłamliwą była przechwałka Stanisława w liście do króla, że się rujnuje dla dobra kraju.

Humiecki dowcipkuje kosztem wojewody mazowieckiego, biorąc pochop z jego herbu i pomawia go o frymarczenie urzędami:

Alboż to tylko na tém tryumfuje,
Że wakansami ustawnie handluje.
Lecz królewszczyzny jako często bierze—
Pokaż mi z Ciołka tak przebiegłe zwierzę!

Wolność nie przestaje roztaczać skarg i żalów, mówiąc, że okrom innych agituje z Poniatowskim, Jan Tarło, wojewoda lubelski:

Kaptują wszystkich, na buławy godzą,
Szkodliwe zdrady pochlebstwami słodzą.

Koi jéj boleść kasztelan krakowski, przepowiada, że „zginie zdrajca z Boskiego wyroku;" prymas upewnia, że jak kosa „trafi na swój kamień, co mu przytrze rogów," że sam wpadnie w kopane pod innymi dołki, a w gorącéj wodzie kąpany Humiecki, wola z zapałem:

Chybaby z laty serce wystarzało,
Aby téj w sobie krewkości nie miało,
Podać ojczyznę na wieczną niewolą —
Lepiéj wziąć w cugle tych którzy swywolą.

---

(1) Pamiętniki Stanisłswa Augusta, p. 64.

W niektórych wersyach występuje na scenę sam Poniatowski, broni się i pyta z żalem: „Czyli się nie godzi starać o honor, kto się wolnym rodzi szlachcicem?“ a król zapowiada, że nowy hetman „skróci fochy“ wichrzycieli. Wyrzuca mu tu również wolność, oddanie Augustowi dokumentu abdykacyi.

Liszka to z Ciołka tak chytra bez miary,
Stanisławowi nie dotrzymał wiary,
Uwiózł dyploma Augusta z korony,
Więc tu poczciwy choć tam obieszony“ (1).

Nie jedyny to był pamflet, jaki tłumna partya Potockich rzucała na Poniatowskiego. I tak w wierszu p. n: *Propozycya braterska ukrzywdzonéj w honorze szlachcie*—autor igrając złośliwie z herbem wojewody, pozwala sobie przeciw niemu silnych wycieczek:

„Posypuj głowy rycerstwo popielcem
Polskie, kiedyś jest w komendzie pod Cielcem...“

Zarzuca pamflecista dworowi, że:

Koło nowego bożka skakać każe,
Dawszy mu w ręce dwóch hetmanów gaże,
Aby dla jakiéj w przypadku ruiny
Mógł się uchronić od kary i winy.

W końcu nasuwają mu się biblijne reminiscencye o cielcu złotym i Mojżeszu, rozbijającym o bałwana tablicę z przykazaniami i radzi naśladować w tej mierze przywódcę Izraela:

Po głowie Ciolka, nowe to stworzenie (sc. homo novus),
Przyjmie Bóg dar nasz za całopalenie (2).

Regimentarz uchodził powszechnie za najpierwszą podporę tronu, zausznika Augusta, popierającego skwapliwie zamiary królewskie, zmierzające do ukrócenia wybujałych swobód anarchicznéj szlachty i zamienienia formy elekcyjnego królestwa na samowładną, dziedziczną monarchią. Widać to z dlugiego wiersza, zawierającego

---

(1) Rękopis Zakładu Ossolińskich, Nr. inwentarza 1387, p. 24; również nr. 349 fol. 32.

(2) Rękopis Zakł. Ossol., Nr. 259, p. 122.

charakterystykę kilkudziesięciu senatorów, p. n.: *Wolność z geniuszem polskim rozmawia.* Wolność, ta złota, rozhukana, jak czytamy we wstępie „od kilku wieków wielowładna pani,“ z płaczem i utyskiwaniem znowu występuje:

„Oto dziś widzę o szwank mi przychodzi,
Gdy hardy Niemiec przeciwko mnie godzi,
Wojska zaciąga, przekupuje pany,
Trakt już o mnie zrobił był z hetmany,
Lecz ci pomarli; dał oto nowego
Regimentarza sobie przysięgłego,
Aby zażywszy mocy i praktyki,
Do wolnych obron królów złamał szyki,
Chce za żywota wsadzić swego syna (1).

Gorzéj jeszcze od Poniatowskiego wyszedł na rozmowie wolności z geniuszem polskim teść jego X. Kazimierz Czartoryski, bo o nim czytamy, że nie jest:

Książęciem z rodu, ni z miny, ni z cery,
Ni się do Marsa zda, ni do Wenery,
Próżny, uporny, co więcéj do tego,
Interesantem jest szczęścia dworskiego.

Księcia Michała Czartoryskiego pominięto jako otwartego i jawnego stronnika króla; książe August wystawiony tu jako człowiek oględny, nie chcący się nikomu narazić, jako „frant ślakowany.“

Po zerwaniu sejmu z r. 1732 burza o buławy nie ustawała. Lękając się, aby król nie poszedł za wyrażanemi już życzeniami, że należy rozdać buławy po za sejmem, pretendenci rodu Potockich nie wahali się wzywać postronnych mocarstw Austryi i Rossyi, do czuwania nad swobodami Rzeczypospolitéj. Wyuzdana swawola ambitnych możnowładców, Wiśniowieckich, Sanguszków, Radziwiłłów, Lubomirskich, Potockich, gwoli dogodzeniu własnéj pysze nie sromała się wystawić ojczyzny na szwank, bo sąsiedzi radzi byli ze sposobności wmieszania się do wewnętrznych spraw kraju i wytworzenia sobie w nim stronnictwa, i już cesarskie i rossyjskie wojska gromadziły się na pograniczu, gotowe wtargnąć

(1) Rękopis Zakł. Ossol., Nr. 259, p. 111.

do rozdartego niezgodą państwa i w mętnéj wodzie szukać obfitego połowu.

Jak świadczą listy wymienionych magnatów, największéj trwogi nabawiał ich Poniatowski (1) z powodu wielkiego wpływu, jaki wywierał na króla. Z obawy, by August za jego i Czartoryskich pomocą nie zniósł republikańskich swobód i źrenicy złotéj wolności, *liberum veto*, udali się na krótko przed zgonem Augusta II do carowéj i cesarza z prośbą o gwarancyą i pomoc, na co też powołuje się ostatni w manifeście z 1733 r. (2).

Rozpoczął się w styczniu roku 1733 nowy sejm nadzwyczajny (3). Zdawało się, że wbrew intrygom wichrzycieli i ludzi sprzedajnych dojdą wreszcie obrady, bo jurgieltnik carski, Lubieniecki, dawszy poznać swoje zamiary, tylko szybkości konia zawdzięczał, że go nie rozniesiono na szablach (4).

Rozwiał wszystkie nadzieje i dał powód do kilkoletnich zaburzeń nagły zgon Augusta II 1 lutego 1733. Wyjeżdżając z Drezna, skarżył się na ranę w nodze i nie taił, że słabość jest niebezpieczną, ale miał oraz wyrzec, że „więcéj winien poddanym niż sobie.“

Rzecz dziwna, że byli tacy, którzy winę królewskiéj śmierci składali na barki mazowieckiego wojewody. Świadczy to, jak źle był widzianym w gronie optymatów Rzpltéj. „Głoszono publicznie“—zapewnia Matuszewicz (5)—że Poniatowski sprowadził króla z Drezna na sejm, aby wreszcie otrzymać wyczekiwaną od tak dawna buławę wielką koronną. Wielka wrzawa powstała ztąd

---

(1) Que par la grande faveur et confiance, dont le feu Roy honoroit le Comte Poniatowski et ceux qui lui etoient unis...

(2) Massuet, *Histoire*, t. V, p. 96. Ranft *Leben Stanislai*, p. 770 i 787. *Historya życia Stanisława*, p. 364. Było to pomiędzy niedoszłym w październiku 1732, a rozpoczętym w styczniu 1733 sejmem.

(3) Król stanął w Warszawie 16 stycznia; Poniatowski z kilku innymi magnatami przybył kilka dni wprzód. *Gazette de France* Nr. 7; de Varsovie le 16 Janvier.

(4) Wielce charakterystyczną jest relacya Loewenwolda z dnia 2 lutego 1733 r. (Gierje, p. 18). „Dem Lubieniecki—czytamy w niéj—habe seine laut Capitulation im September erst zu habende Pension wegen seiner guten geleisteten Diensten bei letztem Reichstage schon anticipative mit 139 Ducaten bezahlt und annoch 61 dazu gelegt, so dass er in allem 200 empfangen, die Zerreissung des letzten Reichstags aber E. K. M. eigentlich in der That nicht mehr denn 61 Duc. nebst etlichen Paar Zobeln u. etlichen Stücken Komka gekostet hat, da andere sich nicht geschämet mir tausendweiss dazu zu begehren, um selbige in ihren Beutel stecken zu können und zu E. K. M. Diensten nicht das Geringste beygetragen, wie ich solches gewiss gewusst, mithin mir billig ein Gewissen machen müssen, so Ihnen einen polnischen Schilling gegeben. Wie nicht geschehen.“

(5) Matuszewicz, Pamiętniki, p. 9.

w stolicy, w któréj roiło się od zgromadzonéj tłumnie szlachty i magnatów. Współzawodnicy i nieprzyjaciele wojewody nie omieszkali zapewne korzystać z pogłoski i w ogólnym rozruchu podniecać przeciw niemu namiętności.

Dotąd broniła go przeciw wszelkim napaściom i obelgom silna ręka Augusta, sięgająca daleko mimo niemocy władzy królewskiéj; teraz pozbawiony tak dzielnego oparcia, mając mnogich i zawistnych przeciwników, musiał sobie poczynać ostrożnie i oględnie. To też pozostał wiernym swoim zasadom, że należy na razie puścić płazem zniewagę, jeśli ją zadał możniejszy, a nie ma sposobu powetowania jéj z lichwą.

Zjechali się senatorowie i szlachta do prymasa, aby radzić nad losami osieroconego królestwa; przybył z innymi i Stanisław. Ten i ów spojrzał nań krzywo, ale nikt z początku nie śmiał wystąpić w oczy z oskarżeniem. Był jednak między zgromadzonymi człowiek mimo podeszłego wieku zapalny jak siarka, „pan wspaniałego i żwawego humoru“ książe kanclerz w. lit., Michał Wiśniowiecki, a na dobitek wstał niedawno od stołu, gdzie stare wino podniosło wrodzony animusz i rozpłomieniło ognistą fantazyą. Oburzeniem i wściekłością zawrzał, ujrzawszy spokojne, jakby z marmuru wykute oblicze Poniatowskiego; „z furyą więc napadł nań“ i zasypał go gradem słów obelżywych, krzycząc, że sprowadził nieboszczyka króla do Warszawy „w bezdroże niezdrowéj jesiennéj pory,“ aby pozyskać buławę—i trzęsąc się cały z gniewu, wołał, że już dłużéj „nie będzie przewodził w ojczyźnie, dufając we fawory królewskie“ razem z Czartoryskimi, a zwłaszcza z księciem podkanclerzym.

Napaść była nad wyraz dotkliwa i grubiańska, ale wojewoda czując słabość swojéj teraźniejszéj politycznéj sytuacyi, zniósł ją milczkiem, co dziwi współczesnego opowiadacza téj sceny. „Wojewoda—mówi—lubo serca nieraz doświadczonego i czerstwych jeszcze sił (miał lat 57), od rycerstwa przez wielkie swoje akkomodacye kochany, jednakże *ten ferwor politycznie zdyssymulował*“ (1).

Postąpił zaś nie dla tego, jakoby się nie spodziewał w żadnym z obecnych znaleźć poparcia, lecz że się obawiał, aby mu nadal zemsta kanclerza nie szkodziła, tém bardziéj, że nie było wiadomem, co się wyłoni z bezkrólewia, a Stanisław z nikim w takim stanie rzeczy nie chciał zrywać. Doznał on owszem dość silnego popar-

---

(1) Matuszewicz. Pamiętniki, p. 9

cia; mianowicie ów Tarło, razem z nim zaczepiony w przeszłorocznym pamflecie, solidarnie stanął po jego stronie.

Prymasowskie komnaty stały się sceną groźnego tumultu: Litwini ujęli się za swoim, koroniarze za swoim regimentarzem. Zakłopotany gorącem zajściem gospodarz, starał się pojednać zwaśnionych; skończyło się na tém, że wojewoda mazowiecki opuścił zgromadzenie, a zacietrzewiony kanclerz „kordyacząc," pozostał na placu boju jako zwycięzca. Niepowetowana zaczepka Wiśniowieckiego, tak srodze ubliżała Poniatowskiemu, że w urzędowym dyaryuszu nie śmiano opisywać całéj sprawy; że się jednak bardzo rozgłosiła i trudno było zupełnie o niéj zamilczéć, wspomniano tylko o sporze między kanclerzem a wojewodą lubelskim, Tarłą (1).

Zwada wszczęta u samego wstępu, na progu niemal bezkrólewia, bo w dniu śmierci królewskiéj, była złą wróżbą, symbolem i przepowiednią niejako téj waśni i zamętu, jakie niebawem zawichrzyć miały osieroconą Rzplitą. Prymas jako głowa państwa w téj chwili pragnął usilnie złagodzić wzburzone namiętności i przytłumić w zarodzie ziarno niezgody, aby się nie rozpleniło bujnie i aby podobnie jak dawniéj nieraz się już działo, zatarg jednostek nie wplątał w swoje koło ogółu i płomieniem domowéj wojny nie objął kraju całego.

Trudno było zrazu o pojednanie, bo zawadyacki książe Michał nie myślał odwoływać co powiedział, ani przepraszać człowieka, wyrosłego z najniższéj warstwy szlacheckiego społeczeństwa, ów pan z panów, Korybut, członek królewskiego rodu; a nie sposób było żądać od tak nawet „politycznego dyssymulatora," jak Poniatowski, aby straszliwie zelżony, pierwszy podał rękę do zgody. Jeśli nie inne uczucie, to właśnie ów zmysł dyplomatyczny, byłby go wstrzymał od takiego kroku, zdolnego jedynie na wzgardę u szlachty podać senatora, niepomnego na cześć i godność swoję. Niewiadomo, jak się wywiązał z tyle drażliwego zadania Potocki; dość, że po długich staraniach w kilka dni powierzchownie przy-

---

(1) Rękopis Zakł. Ossol. nr. 299, p. 2. „Po południu przerażeni wszyscy *sparso* po całém mieście *rumore*, zjechali się do X. JMci prymasa tak *ex senatorio*, jak i *equestri statu*, gdzie zaraz do zgody każdy od niego *animabatur*. A wtém X. JM. kanclerz W. X. lit. przemówił się z Panem wojewodą lubelskim, co nazajutrz uspokoiło się *mutuis amplexibus*, przez X. prymasa *dispositis*." Nie inaczéj rzecz tę przedstawiają dzienniki; idący w ślad za *Gazetą Amsterdamską*, Massuet (tom III, p. 382) mówi również tylko o zajściu między Wiśniowieckim a Tarłą. O księciu kanclerzu czytamy tutaj, że on „voulut tirer le sabre contre le Palatin."

najmniéj uspokojono przeciwników i położono kres rozruchowi, w którym uczestniczyła cała na dwa nierówne obozy podzielona stolica. Do medyatorów okrom prymasa, należał marszałek w. kor., Józef Mniszech; zapewne utemperowano nieco popędliwego kanclerza, a wojewoda mazowiecki pod względem zadosyćuczynienia nie był bardzo wymagającym (1).

(D. c. n.)

---

(1) Ibidem. p. 4, 2 Febr. była konsternacya *inter primores et populum*; karety ustawicznie biegały, częścią do IMcipana marszałka w kor., częścią do IM. regimentarza generalnego, wojewody mazowieckiego i tegoż dnia różnie *meditabatur,* ale potem *dies subsequentes harmoniam animorum unionem inter se differentium* przyniosły. Do téjże sprawy odnoszą się niezawodnie następne słowa warszawskiego korespondenta do *Gazette de France* On a eu lieu de craindre pendant quelques jours, que la tranquillité qni regnoit icy depuis la mort du Roy ne fut troublée; mais les ordres du Primat et les soins des Sénateurs ont prêvenu ce qu'on apprehendoit." (N. 11 de Varsovie, le 15 Fevrier, 1733).

PIEŚŃ ŚWIĘTOJAŃSKA
O SOBOTCE

oceniona przez

PROFESORA DR. RYMARKIEWICZA

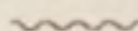
wedle wydania

JANA KOCHANOWSKIEGO

u

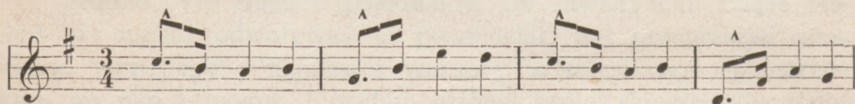
ANDRZEJA PIOTRKOWCZYKA

w Krakowie R. P. 1617.

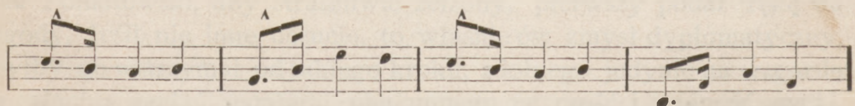


Obertas czyli Oberek na odsiebkę.

Sobotka.



To mo-ja naj-więk-sza wa-da, że tań-cu-ję bar-dzo ra-da



Po-wiedz-cież mi me są-sia-dy, jest tu któ-ra bez téj wa-dy?

W wydaniu „*Jana Kochanowskiego*“ z r. 1617, które mamy przed sobą, a które p. Przyborowski uważa za VII-me z rzędu, (1) „*Pieśń Świętojańska o Sobotce*“ zajmuje miejsce *po* Pieśniach liczbowanych 24 a *przed* nieliczbowanemi dwoma, które wraz z nią i z owemi 24 liczbowanemi, razem stanowią Pieśni *Księgi wtóre.*

Miejsce to téj pieśni pomiędzy drugiemi a mianowicie między Pieśnią pod liczbą XXIV, opiewającą przyszłe życie w nieśmier-

---

(1) Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego str. 139.

telności, zaczynającą się od słów: „Niezwykłym i nielada piórem opatrzony polecę precz poeta z dwojéj złożony natury,“ a pieśnią nieliczbowaną, opiewającą nieograniczoną moc i dobroć bożą, zaczynającą się od słów: „Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary,“ którą że z Paryża nadeszła krótko hymnem paryskim nazywać tu będziemy,— z wielu względów nader jest uderzającém.

Czemu, skoro z osnowy podobniejsza raczéj do poprzedzających, niż do następnych, nieodebrała ona wraz z niemi swojego numeru XXV; ile że właśnie téj tylko liczby niedostawało, by księgi wtóre z pierwszemi zrównać?

Dla czego z nieliczbowanemi pieśniami umieszczona niejako pod jedną rubryką, kiedy ani podobieństwa do nich, ani związku z niemi żadnego niema?

Czemu, kiedy hymn paryski pierwszym jest utworem Kochanowskiego w języku polskim wykonanym, nie on, lecz właśnie Pieśń Świętojańska w rzędzie pieśni nieliczbowanych pierwsze zajmuje miejsce?

Czyżby dla tego do nieliczbowanych pieśni przyłączoną być miała, że jak te, tak i ona, — w rękopisie lub wydrukowana,— przez czas jakiś może osobno po kraju krążyły, nim je pierwszy wydawca Jana Kochanowskiego do zbioru pieśni przyłączył?

Czy nie dla tego czasem wzięła miejsce przed hymnem paryskim, że przed nim była utworzoną, że wcześniejszém od niego jest dziełem polskiem poety?

Czy wreszcie nie dostało jéj się toż miejsce przypadkiem? kto to dziś zgadnie?

Chyba przenikliwy a w pracach tego rodzaju niezmordowany umysł p. Przyborowskiego równie ciekawą na te pytania dać zdoła kiedyś odpowiedź, jak była ciekawą wiadomość, którąśmy niedawno temu co do „Pieśni o potopie“ tu czytali. (1)

Nam w téj chwili nie o to chodzi. Polecając tę kwestyą innym do rozwiązania, zaznaczamy miejsce osobliwe Pieśni Świętojańskiéj tu poprostu tylko dla tego, że acz obrazowo i symbolicznie, ale nader trafnie i doraźnie oznacza nam stosunek pieśni téj do drugich tworów poety,— jako téż położenie jéj w obec krytyki dotychczasowéj, — naco właśnie chcielibyśmy przedewszystkiém zwrócić uwagę.

Śród drugich dzieł wieszcza czarnoleskiego, między niebotyczne wyżyny wspomnianych dwóch pieśni spuszczona, leży Pieśń

---

(1) Ateneum Tom I, Zeszyt 3. str. 666.

Świętojańska u stóp ich potulnie skulona, jak owa polanka pasterska — śród turni tatrzańskich zaprzepaszczona, w dali mgłą górską zasłana.

Podobnie zaniechaną leży ona gdzieś tam na dnie myśli i pamięci narodu. Mało kto przy urodzinach jéj na nią zważał, mało komu dziś na myśl i do pamięci ona przychodzi. Gdy o dziełach Jana Kochanowskiego mowa, to Psałterz, Treny i niektóre Pieśni całą uwagę tak dalece zaraz na siebie ściągają,— że na drugie dzieła,— na Sobotkę w szczególności, już uwagi ni pamięci zwykle nie staje. Wszakże Odprawa Posłów to arcy dzieło w swoim rodzaju, aż do najpóźniejszych czasów uznania przynależnego nie miała. Podobny los zdaje się czekać Pieśń Świętojańską o Sobotce.

Z po za mgły porannéj, która tę poziomą polankę poezyi zaraz przy jéj urodzinach zakryła, dolatywały wprawdzie do czulszego ucha klasyków, zwykle po samych wirchach poezyi lirycznéj się pnących, czasami wesołe dźwięki, żartobliwe głosy, tęskne tony i rozkoszne hołubców odgłosy — (a te nas nigdy ku sobie nęcić nie przestaną) i te zwracając ku sobie chętne ucho, zniewalały ich choć w milczeniu do zwracania uwagi na Pieśń Świętojańską; — nikomu przecież dotąd nie zebrało się na tę odwagę, by idąc za ponętą owego głosu swojskiego, dotrzeć do celu i po za mgłą rozpoznać z bliska, co się dzieje w Sobotce!

To téż utwór ten Kochanowskiego dotąd mało jest znanym. Albowiem mimo wielkie uniesienie, z jakiém stronę jego rodzinną najnowsza krytyka uwielbiać poczęła, nic więcéj przecież nad to nie uczyniła, że podawnemu idąc „po raz utartéj drodze,“ tylko ślady klasycyzmu w nim daléj tropiła. Był więc i w tym razie, jak to mówią z wielkiéj chmury mały deszcz!

I przyszło ostatnimi czasy nawet do tego, że wypruwając jednę żyłkę klasycyzmu podrugiéj, a twierdząc przytém, iż „to sławie wielkiego poety bynajmniéj nie zaszkodzi,“ — najnowsi krytycy byliby w Kochanowskim *wieszcza narodowego* niemal uśmiercili, a Sobotce, rzekomo z błahych myśli (oprócz rozumie się klasycznych pomysłów), złożonéj, byliby niemal *sensu i związku* odmówili! (1)

Zdaje się więc, że będzie na czasie, gdy rozpoczniemy przynajmniéj usiłowania ze strony przeciwnéj, zmierzające do rozpoznania Sobotki przy rodzimém świetle, od strony ojczystéj, kiedy od

---

(1) Zobacz Tygodnik Illustrowany, rok 1875 N. 367 str. 28 i t. d.

strony klasycyzmu starożytnego i przy świetle greckiego Feba objaśnianie jéj, jak się zdaje, do ostatecznego doszło już kresu. Doczekały się gruntownego objaśnienia Treny (1); bogdajby i Sobotka równie gorliwego i światłego znalazła kiedyś badacza!

I.

Że stan wiadomości naszych o Pieśni Świętojańskiéj nie jest świetnym, że z jednéj strony, to jest ze strony narodowéj jest dotąd szczególnie mało zadawalniającym, a mianowicie, że jest takim jeszcze, jakim w roku 1842, widział go z boleścią serca Kraszewski (2), o tém przekonamy się, gdy przejrzymy historycznie metodę jakiéj w rozpoznawaniu dzieł Kochanowskiego, a mianowicie w objaśnianiu Sobotki dotychczas się trzymano. Posłuży nam ta wiadomość oraz za wskazówkę, co i jak w kierunku przeciwnym dla poznania tego poematu uczynić należy.

W złotym wieku literatury polskiéj i to za życia jeszcze wielkiego poety dzieła jego, a mianowicie téż Pieśń Świętojańska o Sobotce, nie miały zaiste takiego powodzenia, ani doznawały takiego uznania, jakie się im słusznie należało, i jakiego sam dla nich pragnął poeta. Tak bowiem o tém w jednym wierszu swoim (3) mówi:

Sobie śpiewam a Muzom; bo kto jest na ziemi,
Coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi?....
Nie dziw tedy, że ludzie cisną się za złotem
A poeta *słuchaczów próżny* gra za płotem,
Przeciwiając się świerczom, które nad łąkami
Ciepłe lato witają głośnemi pieśniami!...

a w inném miejscu:

Miasty wzgardę, on w równym szczęściu urodzony,
On ja, — jako mię zowiesz, wielce ulubiony
Mój Myszkowski, — nie umrę, ani mię czarnemi
Styx niewesoła zamknie odnogami swemi!

i znowu:

---

(1) Przez Felicyana. Warszawa 1867.

(2) Nowe Studja literackie T. II. str. III, „Cześć ci, wielki nasz poeto i zapoznany geniuszu! — Tyś wielki prostotą, czystością, wspaniałością i powagą twoją, — myśmy mali przy tobie! Nie widzim cię całego, dla tego nieumiemy cię cenić — dla tego i dziś jeszcze nie poznano się na tobie.“

(3) „Jan Kochanowski“ Muza str. 25 i Pieśni Księgi wtóre str. 254.

Przeto, jako was kolwiek prosty gmin szacuje,
Panny, którym lotnego konia zdrój smakuje,
Ja jeden niech wam służę, a za cześć poczytam
Sobie, że się *dróg inszych* niż pospólstwo ochwytam!

Że zaś przedewszystkiém uznania pragnął dla muzy swojéj sielskiéj i że tę głównie tu miał na myśli, za tém przemawia nietylko całe usposobienie Jana, z życiorysów jego znane, ale i wiersz który okazuje, jak z predylekcyą umysł jego zajmował się sielanką. Stanisław Porębski, przesyłając Kochanowskiemu w hołdzie,— zdaje się już po napisaniu Sobotki,— skotopaski swoje, wynosił zapewne,— w przedmowie, lub w liście polecającym,— pod niebiosa zalety sielankopisarskie wielkiego mistrza, mieniąc płód swój słabym onych naśladownictwem;—jak to w owych czasach—a i dziś zwyczajnie się pisze. A że może wypowiedział przy téj sposobności wątpliwość, ażali wielki mistrz będzie chciał przyznać się do tak niezdarzonego potomstwa swego,— więc Kochanowski krótko a skromnie odpisał:

Jeśli co ważne jest świadectwo moje,
Porębski *złoty*,— Skotopaski twoje
W téj wadze u mnie, żeby się mógł do nich
Theokryt przyznać! tak ja sądzę o nich. (1)

Niestosownym atoli przedewszystkiem był czas zjawienia się Sobotki, obojętny na ponęty poezyi sielskiéj; bo jak słusznie mówi Kraszewski: „Nie był to czas poetów, ale czas sporów religijnych, krytyki, sarkazmu,—czas tak przeciwny poezyi, jak przeciwne są sobie bieguny magnesu.“ A my dodamy, że krom tego był to czas, który— co do poezyi—głównie hołdował wysokiemu koturnowi klasycyzmu, w oczach którego niziny, jakie z siebie przedstawia prostotna sielanka,—ile pozbawiona formy i przyborów klasycznych,— podrzędne tylko zajmować mogły stanowisko.

Pokazało się to najwybitniéj w chwili, kiedy roku 1584 z temi słowami niemal na ustach:

.... że przedsię za laty
Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty;
A co mi za żywota *ujmie czas dzisiajszy*
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy; (2)

---

(1) Fraszek Księgi wtore str. 41. Skotopaski Stanisława Porębskiego, dotąd nie odnalezione, byłyby jak i w toczącéj się tu sprawie, tak pod wielu innymi względami niezrównanéj zaiste wagi!

(2) „Jan Kochanowski“ Muza str. 25.

kiedy z takim mówię żalem do współczesnych, a z taką nadzieją na przyszłość, zamknął nagle powieki zapoznany mianowicie co do poezyi sielskiéj wielki poeta.

Na wieść o nagłym zgonie Kochanowskiego rozległ się głośny lament po całym kraju. (1) Ze wszech stron pod niebiosa wynoszono zgasły talent; z uniesieniem wysławiano i wymieniano wszystkie dzieła, które w puściźnie zostawił; za największego we wszystkich poezyi rodzajach, za uniwersalnego uznawano go poetę, — a przecież — o sielankopisarstwie, o Sobotce jego żaden z wielu chwalców nie wspomniał.

Jan Januszowski np. największy wielbiciel, przyjaciel i pierwszy wydawca dzieł Kochanowskiego, w przedmowie do Jana Kochanowskiego z r. 1585, — wymieniwszy wszystkie dzieła łacińskie i mówiąc daléj „..... zostawił Psałterz Dawidów przekładania swego, zostawił Treny, *lekkie* (!) rzeką podobno, nuż Odprawę posłów greckich“ i t. d. „a do tych co przed laty wyszły: są Phaenomena, są Musae, jest Monomachia Parysowa z Menelausem, jest Dziewosłąb, jest Broda, są *Pieśni*, są rzeczy inne“..... wszakże o Sobotce z osobna nie wspomniał! Snać czuł, iż nie poleci jéj w oczach czytelników, dla których nawet Treny zdawać się mogły *lekkiemi!*

Podobnież Sebastyan Fabian Klonowicz, który najrozległéj, bo w 13-tu Żalach nagrobnych r. 1585 się odezwał, który w żalu VII nawet mówi:

... Ten Propertius miłosny i polski Tibullus,
Co czasem Lesbijéj śpiewa jak rzymski Catullus,
Leśnomówny *Theocritus* i on z bożodarnéj
Ziemie oracz Hesiodus, oracz gospodarny“...

o Sobotce z osobna nie wspomina.

Tak minął *wiek złoty* w literaturze naszéj a Pieśń Świętojańska z po za mgły pojęć i wyobrażeń ówczesnych wybić się na jaw nie zdołała, ni w świetle rodzimem stanąć, ni uznania w niém zdobyć sobie nie mogła. Albowiem sądzoną i cenioną pod owe czasy jedynie była z wysokiego stanowiska klasycyzmu, któremu przymiotami swemi dostatecznie odpowiedzieć niezdołała; ze stanowiska zaś narodowego, ludowego, nikt jéj w tenczas cenić nieczuł się powodowanym i nie umiał. Zawierając w sobie klasyczności

---

(1) Porównaj nasz Przyczynek literacki pod tyt: *Lutnia Jana Kochanowskiego w sukcessyi.* Poznań u Żupańskiego r. 1857. str. 7.

za *mało*. a swojskości za *wiele*, nie odpowiedziała wymaganiom ówczesnego gustu i poszła dla tego w zaniechanie.

Była zatém Pieśń Świętojańska, jak cały „Kochanowski" jak jego język zjawiskiem na swoje czasy *fenomenalném*, (1) które dopiéro w późniejszych czasach uznanie przynależne znaleść miało!

Nastały czasy *panegiryzmu*... Duch czasu przełamał zapory ścisłego klasycyzmu, a zniósłszy granice naturalne nieśmiertelnéj miary piękności, przelał się szumnie w bezmiar przesady i wybujałości klasycznéj. Z drugiéj strony również nieukrócony w poczuciu swojskości, przekroczył znów granice szlachetnéj prostoty i przyzwoitości sielskiéj, i wpadł na bezdroża prostactwa, rubaszności a nawet sprosności. (2) Był to duch wywrotu, duch romantyczności w swoim rodzaju. W takich czasach Sobotka Kochanowskiego z zacisza swego ani „na płytki grunt rozbujałych fluktów", ówczesnego gustu wypłynąć, ani pokazać się mogła na lądzie wielkiego świata bez owéj togi arlekińskiéj, pstrocizną w oczy bijącéj, która naówczas jedynie popłacała i wziętość u ludzi jednała; ani téż „na parepie Belerophontowéj spuścić się chciała z rubasznością między gumna chłopskie," co „podczas" także uchodziło. Więc pozostała na uboczu i bez wszelkiego rozgłosu.

To téż największy chwalca Kochanowskiego i najkompetentniejszy w sprawie téj świadek od strony klasyków z tego czasu, Kasper Miaskowski, który chwale ulubieńca jeden z najpiękniejszych swoich wierszów poświęcił,— wymieniając w nim i wysławiając z serdecznością, prawdą a ścisłością wszystkie dzieła wielkiego poety,— o Pieśni Świętojańskiéj ani słówkiem nie wspomniał. (3)

A wszakże on to właśnie o sielankach Szymona Szymonowicza (4) tak piękny a tak trafny sąd wydał, że ten sąd stał się patentem dla Szymonowicza na pierwszego sielankopisarza w Polsce.

Między innemi mówi on tam do tegoż „Symona Symonidesa:"

Sielanki, albo Skotopaski twoje
Z gór syrakuzkich przywiodły nam zdroje

---

(1) Kraszewski Studja literackie.— Czy podobnie fenomenalnym na swój czas nie jest przypadkiem wydoskonalony język w modlitewniku Nawojki?

(2) Jovialitates Potockiego; Fraszki Kochowskiego i Żeńcy Szymonowicza,

(3) Zobacz wydanie nasze Rythmów Kaspra Miaskowskiego, u Żupańskiego, Poznań 1855. Część II str. 111 i 112. „Do Symona Symonidesa poety zamojskiego, i „Do tegosz na Sielanki."

(4) które po raz pierwszy wyszły r. 1614 w drukarni akademii Zamojskiéj, a zatém już w 30 lat po zgonie Jana Kochanowskiego.

Theokrytowych strumieni,— nad które
Świat nie miał więtszych,— jeśli były wtóre!

Znać że w pokoju i słodkiéj swobodzie
Bądź pod jaworem, bądź pod lipą w chłodzie
Pasterskie fletnie przy nim się ścierały
A dźwięk uczony gaje odbierały!
Tamże ztąd brało pióro Maronowe,
Gdy przeniosło bukoliki owe .....

A tyś starł z nimi w słowieńskim języku,
Stanąwszy w gęstym przeciw nim szyku!—
Powiem po prostu, powiem, poeto chędogi,
Tyś sam Maronowe pasterskie odlogi!
Słowieńskim tyś sam rythmem ozdobnie ponowił
I znowuś tu Tytyra z Daphnim w *Polscze* powił!...

Lecz jeśli podczas (czasami) z zamku i grof nadół zjedzie
I gumna na stępaku chłopów swych objedzie,
Tak i ty — na parepie Belerophontowy
Spuść się do nas, niosąc nam płód Thalijowy! (1)

Z drugiéj strony znów, ze strony narodowéj, nic wprawdzie nie mówiąc o Sobotce, poeci ówcześni sielscy, jak Szymonowicz, Zimorowicz i Gawiński, — podobni do owych średniowiecznych rycerzy — rabusiów, co gmin zamożny z zamków swoich napadali, milczkiem na Pieśń Świętojańską spadali, obierali ją z klejnotów, a potém — jak np. owi rycerze — rabusie córek Cyda na obrazie Lessera — zrabowaną w lesie niepamięci zostawiali!

A że materyał ze Sobotki zdarty, nie był ani dość wydatnym, ani dość drastycznym na owe czasy, przeto, wcielając go do swoich utworów, albo naśladując po swojemu w sielankach, dla lepszego sprzedania przerabiali go i przystrajali, nadając mu formę modzie ówczesnéj odpowiednią.

I tak Szymonowicz, który, zaiste, najmniéj łupu cudzego był potrzebien i który téż rzekomo „najmniéj był chciwym na rzeczy

(1) parepa = szkapa, hetka.— Belerophon = śmiały rycerz na pegazie wzbijający się do Olimpu.— Thalia = muza wesołéj poezyi.— Sens wiersza całego ten: nie pnij się na złociste pałace, ni na cudzoziemskiego ducha wyżyny,— ale raczéj zostań sielankopisarzem poziomym, ludowym!

cudze," (1) wszakże i on, nietylko pochop wziął z Kochanowskiego do wcielenia żywiołu swojskiego wiejskiego do sielanek swoich klasycznych, oraz do zniżania tonu ich do poziomu sielskiéj polskości, ale nawet parafrazował całe pieśni i ustępy z *Sobotki*, częstokroć aż do wyrażenia,— aż do rymu nawet je naśladując.

Pieśń XII Sobotki najwyraźniéj jest parafrazowaną w pieśni którą Bielowski u Szymonowicza nazwał: „*Wiejska szczęśliwość*." (2)

PANNA XII (w Sobotce śpiewa:)

Wsi spokojna wsi wesoła,
Który głos twéj chwale zdoła?....

Człowiek w twéj pieczy uczciwie
Bez wszelakiéj lichwy żywie....

Inszy się ciągną przy dworze,
Abo żeglują przez morze,
Najdziesz, kto w płat język dawa,
A radę na funt przedawa....

Oracz pługiem zarznie w ziemię,
Ztąd i siebie i swe plemię
Ztąd roczną czeladź i *wszytek*
Opatruje swój *dobytek*.

Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają,
Nań przychodzi z owiec wełna
I zagroda jagniąt pełna....

A gospodarz, wziąwszy siatkę,
Idzie mrokiem na usadkę,
Abo sidła stawia w lesie
Jednak zawżdy co przyniesie!..,..

A niedorośli wnukowie,
Chyląc się przy starszéj głowie,
Wykną przestawać na małe.
Wstyd i cnotę chować w całe!

Toż samo, w tym samym niemal porządku Szymonowicz w Wiejskiéj Szczęśliwości tak wyraża:

---

(1) Felicyan w rozbiorze Trenów Jana Kochanowskiego.

(2) Zobacz szacowne ze wszech miar wydanie *Sielanek Szymonowicza* przez prof. Stanisława Węclewskiego. Chełmno 1864. str. 145.

Szczęśliwy człowiek który krom zazdrości
Żyje spokojnie na ojczystéj włości,...
Który w *płat* miłéj ojczyzny nie *dawa* (1)
Ani się dworskim niewolnikiem stawa....
A z ziemie jego praca sprawiedliwa
Lichwą stokrotną nagrodzoną bywa.

Ztąd małe dziatki, ztąd żonę, ztąd *wszytek*
I z robotniki żywi swój *dobytek!*
Jemu w jesieni sady barwę mienią,
Jemu się jabłka po drzewach rumienią
Jemu pasieka hojne miody dawa,
Jemu się wełna po owcach dostawa....

Zatém pod borem gospodarz ochoczy
Gęste obierze (sieci) na dziki zwierz toczy.
Aż słońce pada, nocne wstają zorze,
A bydło rycząc idzie ku oborze.

On upragniony korzyść niesie z łowu,
Żona wieczerzę gotuje z obłowu.
Synowie mali ku ojcu się mają
K'cnocie wczas wykną, na male przestają!—

Zwrot o dobréj gospodyni powtarza się zresztą także i w *Żniwach* Szymonowicza; a tam znowu Pietrucha tak ten śpiew kończy:

Ta i czeladkę i dom porządnie sprawuje,
Ta i dostatki wszystkie wcześnie opatruje!....
Uczciwy stan przynosi, uczciwe sumienie:
Zatym Bóg błogosławi, zatym dobre mienie,
Zatym spokojne życie i wszystko się wiedzie.—
Kto bez Boga chce wskórać, sadzi się na ledzie! (2)

a to przypomina ze Sobotki Panny I przestrogę:

Pracuj we dnie, pracuj w nocy,—
Próżno bez Pańskiéj pomocy.
Boga, dzieci, Boga trzeba.
Kto chce syt być swego ohleba!

---

(1) niesprzedaje swego dziedzictwa.

(2) Szymonowicz w Sielankach, jak Kochanowski w Sobotce, przytacza przysłowia narodowe; jak tu np. sadzi się na ledzie = osiada na lodzie; buduje zamki na lodzie.

a w *Zalotnikach* Szymonowicza znowu dwuwiersz następujący:

Ręko moja, kto Bogu dufa a pracuje,
Do ostatniéj starości nędze nie czuje!—

Pierwsza para w *Kołaczach* Szymonowicza, zaczynając taniec, tak się odzywa:

Panicu, co tu z panną siedzisz za tym stołem,
Tobie teraz wiedziem taniec *pięknem kołem.*

co przypomina Kochanowskiego Panna III:

Za mną, za mną, *piękne koło*,
Opiewając mi wesoło!

Podobnych parafrazowań, reminiscencyi i naśladowań moglibyśmy zaiste przytoczyć więcéj (np. Panna VII w Sobotce, a Panna w Kołaczach), gdybyśmy się nie bali nadużyć cierpliwości łaskawego czytelnika, która i tak już z konieczności wystawioną tu jest na ciężką próbę.

Sądzimy wszelako, że i to cośmy przytoczyli wystarczy na przekonanie, jak dalece, i w jaki sposób, Szymonowicz naśladował, rozrabiał i wcielał do swoich sielanek, nic o tém nie wspominając, Pieśń Świętojańską o Sobotce.

Podobnie postąpili sobie następcy Szymonowicza i mniemani *jego* naśladownicy. (1)

U Zimorowicza w sielance X *Zalotnik* śpiewa:

..... kiedy Sobotkę, *jako czas niesie*
Zapalicie na błoniu równém, lub *przy lesie.*

co bardzo przypomina Kochanowskiego (Pieśń wstępną)

.... Sobotkę jako *czas niesie*,
Zapalono w *czarnym lesie*

albo: Moje miłe rówiennice,
Powiem wam swą tajemnicę,
Żałosna nie mała, szkoda mię spotkała;
Pół roku minęło, serce mi zginęło!

---

(1) Felicyan. Treny Jana Kochanowskiego, mówi: ,,Zimorowicz w Obmowie sw- ich Sielanek mówiąc że Szymonowicza idzie śladem, żywcem wypisuje z Sobotki.

Co przypomina w Kochanowskiego Sobotce Pannę V-tą.

Zwierzęć się gromado moja.... itd.

W Roxolankach Zimorowicza (wydanie Lipskie str. 192 i 180) Marantula i Helenora tak śpiewają:

Samam ja te kwiaty w ogrodzie mym lubym
Urywając, cierniem zraniłam się grubym.
Przyjmijże mój najmilszy, kochany,
Odemnie ten wianeczek różany!......

Już to próżno, mój kochany, przyznać ci się muszę,
Zraniłeś mi nie pomalu serce me i duszę.
A nie dałeś mi pociechy inszéj w chorobie,
Tylko tę, że ustawicznie myślę o tobie.

Albowiem, lubo dzień po niebie światło rozleje,
Lubo smutna noc czarnym świat płaszczem odzieje,
Żal mię trapi bez przestanku ciężki niebogę,
Że bez ciebie, namilejszy, wytrwać nie mogę!

co oczywiście parafrazą jest Panny IV w Sobotce:

Komum ja kwiateczki rwala
A ten wianek gotowała?
Tobie, miły, nie inszemu:
Boś ty sam mił sercu memu!

Włóż na piękną głowę twoję
Tę rozkwitłą pracę moję
A mnie samę na pieczy miéj,
Toż i o mnie sam rozumiéj!

Żadna chwila ta nie była
Żebych cię z myśli spuścila;
I sen mię pracy nie zbawi—
Śpię a myślę, by na jawi!

U Gawińskiego cała Sielanka I (wyd. Lipskie str. 135) wyraźną parafrazą znowu jest Panny XII w Sobotce. Dla przekonania czytelnika przytoczymy tu niektóre z niéj ustępy:

Wieś spokojna, wieś miła i lubych skarbnica
Wczasów; — gdzie spojrzysz wszędzie pokój się zaszczyca!

Wieś wesoła ze swego się pyszni położenia,
Że wygód i dobrego stolicą jest mienia. ....

... Że swéj syt jest fortuny, bo mu bróg, stodoła
Pewne jego dostatki, na co chce wydoła....
Co wyliczę? snaćby mię od porannéj *zarze*
Słońce bieżąc na zachód w swéj złocistéj Karze
Pierwej uszło, niźlibym wypowiedział *wszytki*!
Wczasy miłe, zabawy i wiejskie *pożytki*!

co oczywiście odgłosem jest śpiewu Panny XII:

Wsi spokojna, wsi wesoła
Który głos twej chwale zdoła?...
Oracz pługiem zarznie ziemię
Ztąd i siebie i swe plemię,
Ztąd roczną czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek.
Dzień tu; ale insze zorze
Zapadłyby znowu w morze
Niżby mój głos wyrzekł wszytki
Wiesne wczasy i pożytki.

Panna XII Sobotki zdaje się najbardziéj ogółowi ówczesnemu przypadała do smaku; gdyż i żywot Ślachcica we wsi p. *Andrzeja Zbylitowskiego* 1597 a przez księcia Zyg. Czartoryskiego wydany w Poznauiu 1853 niczem innym jest, jak tylko obszerną parafrazą Panny XII, mianowicie ku końcowi (str. 23).

Tak to sielankopisarze XVII wieku naśladowali i przywłaszczali sobie poprostu *Sobotkę* Kochanowskiego; a żaden o niéj ani wspomniał.

Jakkolwiek atoli naówczas Pieśń Świętojańska bądź to ze strony klasycznéj, bądź ze strony swojskiéj, do gustu panującego wprost nie przypadła, a to-dla „statecznéj swojéj na wszem pomiary“ jak w złotym wieku mawiano,— to przecież zaznaczyć należy, że mimo to znajomość jéj w tym okresie widocznie postąpiła. Poznano i uznano w niéj żywioł narodowy, a faktycznie przyznano nawet, że żywioł swojski, jako materyał do tworzenia sielanki ojczystéj, przydatnym być może. W rozumieniu czasu owego nie był w Sobotce żywioł ten dość strojno tylko, ni dość dosadnie przedstawiony, (1) czyli, że nie umiał go Kochanowski na targowisku ówczesnego gustu należycie sprzedać.

(1) jak np. u Paska, Wacława Potockiego i t. p.

Jeżeli w złotym wieku treść Sobotki przeważnie zbyt swojska, stała na zawadzie panującemu gustowi,— to w wieku makaronicznym niezadowalniała przedewszystkiem jéj *forma*, zbyt skromna, zbyt umiarkowana.

Nastąpił *wiek Stanisławowski*. Wyuzdana swawola gustu w dziedzinie piękna uprzykrzyła się i ustąpić musiała miejsca umiarkowaniu, trzeźwemu sposobowi widzenia rzeczy. Wszystkie dążności i własności panegirycznego okresu potępiono, wyśmiano i wyklęto. Przedewszystkiem zaś odtrącono ze wstrętem język makaroniczny, a hasłem nowéj ery uczyniono „czystość języka ojczystego.“ Toż i w przedstawianiu rzeczy i we wykładzie myśli pstrokaciznę odrzucono, szum i przesadność w pomysłach wyszydzono. W miejsce tego wszystkiego wszystkiemi porami wciągano w siebie panujący na onczas w Europie gust francuski, którego znamieniem głównėm: umiarkowanie i dworność. Poeci nasi patronowani przez Stanisława Augusta, na wzór Ludwika XIV, po za klasycyzmem francuskim nic nie widzieli: starali się przedewszystkiem o wyszukany i wykwintny wyraz, o wyrafinowany koncept i dowcip, o dyplomatyczną wytworność, o wyrachowaną czułostkowość, o dominującą we wszystkiém konwencyonalność.

Naruszewicz, Kniaźnin, Karpiński, z wielkiém powodzeniem uprawiali Sielankę; Trembecki przyswajał sobie język Kochanowskiego; Karpiński rzekomo go uprzystępniał (a psuł rzeczywiście w Psałterzu). Krasicki, niekiedy naśladowca, wielkim był wielbicielem czarnoleskiego poety (1); żyła więc jeszcze nawet pamięć Jana z Czarnolesia, a krom niego miano co do sielanki wzór także Szymonowicza; wszystko wszakże nic niepomogło! Skoro przyszło do pisania sielanek, lub do ich oceniania— to wraz zapominano o Kochanowskim, o Szymonowiczu, a w ich miejsce stawała wzo-

---

(1) czego pamięć zostawił między innemi w Liście opisującym „Wyjazd z Warszawy“ w którym mówi:

Darmo szukałem w odmianie wieczystéj
Owéj rozkosznéj lipy rozłożystéj,
Pod któréj niegdyś ulubionym cieniem
Wdzięczném *mąż wielki* rozrzewniał się pieniem.
Widziałem miejsca, w których się zabawiał,
Miejsca gdzie wdzięczne *Sobótki* odprawiał,
Gdzie grzebiąc dzielne przymioty w ukryciu
W ziemiańskiém szczęście upatrywał życiu!

rem pani Deshouillère z niezrównanym, z czułostkowym, dworskim swoim wykwintem. Krasicki oceniając w „*Rymotworstwie*“ sielankopisarzy polskich, pomijając Karpińskiego, daje przed Kochanowskim pierwszeństwo Szymonowiczowi. (1)

W obec takiego usposobienia umysłów *Sobotka* nie mogła zająć miejsca przynależnego. Ze względu na klasycyzm swój, w tych czasach klasycznych byłaby uszła; ale co do rodzimości,—żywiołu, z którego była złożoną, nie była ani dość wykwintną, ani dość konwencyonalnie czułą, a była zbyt prostaczą,— by mogła zdobyć sobie uznanie społeczności ówczesnéj.

Jeżeli co, to chyba podziwiano w niéj język i ową *miarę* klasyczną, która była na czasie, a która w tak wysokim stopniu właśnie znamionuje Sobotkę. Pod tym względem widać i w tym okresie postęp w znajomości Pieśni Świętojańskiéj. Pierwszym atoli który w literaturze naszéj o „*Sobotce*“ z osobna wspomniał, był dopiero J. P. Woronicz. W „Rozprawie o Pieśniach narodowych“ (2) chwaląc Jana Kochanowskiego, jako poetę, „w którego pieśniach i śpiewach wszystko się znajduje, co tylko chrześcianina, człowieka i Polaka obchodzić może,“ tak mówi daléj: “Pieśni wybrane Kochanowskiego, *a w szczególności jego Śpiewy świętojańskie, czyli Sobotka*, mogą służyć za pęzel, jak można w pierwszéj młodości niewinne zapały trafnie malować, aby „*skromności* powabniejszéj nad *wdzięki* całą zasługę zostawić.“ (3)

Z tym sądem zaczęła się nowa era nietylko dla Sobotki,— ale i dla Literatury naszéj w ogólności. Nastał bowiem *Romantyzm*. Wszystko co było narodowe, ludowe, gminne znalazło wielbicieli. Chciwie zbierano, przerabiano, naśladowano i opisywano zwyczaje, zabobony, gusła i podania, baśnie i gadki ludowe. Odrzucano zaś ze wstrętem, co trąciło szkołą klasyczną poprzedniego okresu. I zawrzała stąd zacięta romantyków z klasykami walka, w któréj zaniosło się na wielkie rzeczy. Ale kiedy ustała wrzawa, opadła kurzawa i rozeszły się dymy bojowe;— skoro zaszły nawet

---

(1) Dzieła. Tom III. str. 26, tudzież str. 146. Wydanie Warsz. Glücksberga 1829.

(2) Roczniki Warsz. Tow. Przyjaciół Nauk III. 395.

(3) „la grace plus belle que la beauté!“— Jak dalece Woronicz musiał sobie upodobać ten poemat, dowodzi i ta okoliczność, że w pałacu swoim biskupim w Krakowie pomiędzy obrazami narodowymi kazał Stachowiczowi wymalować także Sobotkę— Gołębiowski Gry i Zabawy str. 295. Muszą się gdzieśkolwiek znajdować jakieś szkice, kopie, lub podobizny tego obrazu, których nie zdarzyło mi się widzieć; a wątpię, iżby rycina u Kolberga: Lud Serya II, Sandomirskie, (pag. 123) albo w Sobotce Goszczyńskiego illustrowanéj (str. 10) miały obrazowi temu odpowiadać.

za chmurę Zofiówka i Laura z Filonem,— zajaśniały na firmamencie poezyi narodowéj postacie jak Wiesław, Pan Tadeusz, Mohort.

Przy szale namiętnym, z jakim zrazu wynosić zaczęto wszystko co ludowe i gminne, zdawało się, że poezya sielska, do wielkiego dojdzie znaczenia. Tymczasem nie tak się stało: romantycy nowatorowie, zapaleni kawalerowie serwenci poezyi sielskiéj, poniechali ją, gdy upiory, ćmy, zabobony, gusła i czary i mary w opinii powszechnéj przepadły. Wtenczas to rwąc się do rzeczywistości, i przemieniając się jak Gustaw na Konrada w Dziadach, przechodzili oni albo do obozu przeszłości, albo do wieszczb proroczych, lub pragnień nieoznaczonych przyszłości,— na świecie sielskim zaś jeden tylko został trzeźwy Wiesław, którego towarzyszkami zostały późniéj: Wiochna i Rusałki i t. p.

Co się zaś tyczy Sobotki, ta poetom i literatom w czasach Romantyzmu do smaku przypaść nie mogła: albowiem nie była dość gminną, ni guślarską z jednéj,— a była zbyt klasyczną z drugiéj strony; więc albo od niéj stronili,— albo klasycyzm w niéj ścigać i jakby mszcząc się za to, że mąci w niéj czystość żywiołu narodowego niemal namiętnie prześladować zaczęli.

Brodziński mający tu głos najważniejszy, wszakże mówi: (1)

Nie możemy sądzić poprzedników według naszego tylko smaku, lub panującéj mody,— ale wedle *ich* wieku... Smak u nas ze stanem społeczności trzy razy się zmieniał, a Kochanowski wtenczas był cenionym najbardziéj, kiedy smak był najlepszy.... Dziś, mało zyskawszy przez naśladowanie Francuzów, idą poeci nasi za Anglikami i niemcami, a własna, ojczysta, literatura wciąż leży odłogiem!... W takim usposobieniu umysłów do poezyi wątpię, ażeby wszyscy wedle panującego dziś smaku umieli piękność Kochanowskiego ocenić: nie wszyscy zapewne w nim będą smakować.... W Sobotce zostawił *lekkie pieśni* pasterskie (?), ale dowiódł, że znał ducha tego rodzaju poezyi.

Trafnie więc ocenił Brodziński i czas swój i Sobotkę, któréj wielkie przyznawał zalety; a mimo to (na str. 76) mówi: „Pierwszym a podobno najlepszym pisarzem pasterskiéj poezyi jest u nas Szymon Szymonowicz.“ (!)

J. I. Kraszewski, jeszcze w r. 1842, przyznaje się do nieznajomości Kochanowskiego, mówiąc: (2) „My sami, co to piszemy, wy-

---

(1) Dzieła T. IV. Literatura str. 8. 9. i i. Wydanie: Poznań 1872 u F. K. Żupańskiego.

(2) Studja literackie T. I. str. 106 i i. Wilno 1842.

znajemy, długo bardzo nie widzieliśmy w Kochanowskim nic nad twórcę języka (który u niego na swą epokę jest fenomenalnym, jakby cudem nagle pod jego piórem urodzonym i do wysokiego stopnia wykształconym)... A przecież Kochanowski jeden w XVI wieku już daje przykład studyowania natchnień gminu i jeden tylko tworzy w jego duchu, nie rojąc sobie jakiegoś konwencyonalnego pastuszego ludu, ale z prawdziwego biorąc wzory...

Seweryn Goszczyński potém, zauważywszy, iż „Pieśni Świętojańskie Kochanowskiego są napisane wprawdzie z *powodu* uroczystości Sobotki,— ale przez naśladownictwo cudzoziemskiéj literatutury nie dają o tym obrzędzie *żadnego wyobrażenia*," sam wziął się do napisania obszernego poematu opisowego pod tytułem „Sobotka." (1)

I temu to poematowi zawdzięczamy wreszcie pierwszy obszerny a gruntowny rozbiór Pieśni Świętojańskiéj Kochanowskiego, wykonany przez Dra Piotra Chmielowskiego, w artykule „Sobotka, czyli zestawienie dwóch wieków i dwóch indywidualności,' ogłoszonym z okazyi pięćdziesięcioletniego jubileuszu pisarskiego Seweryna Goszczyńskiego, dziś już nieżyjącego poety. (2)

Ale i ten nowy wielbiciel poezyi Kochanowskiego, który tak piękne wypowiedział zdanie, że „od czasów Studjów Kraszewskiego Pieśń o Sobotce uważaną była za różaną jutrzenkę na niebie naszéj poezyi narodowéj,— w któréj pierwiastek ludowy wielką miał odgrywać rolę," wszakże i on celem udowodnienia zdania swojego nie zwrócił się ku rodzinnemu światłu, by niém objaśnić Sobotkę, tylko pozostał „na raz utartéj drodze" (—nitimur in vetitum—) i w starożytnéj poezyi klasycznéj rodowodu dla pomysłów Janowych śledził. „Mając, jak mówi, w oryginalność pomysłów Jana zachwiane zaufanie przez p. Przyborowskiego," który „aczkolwiek nie wszystkie wskazówki jego są trafne," przecież wskazał niektórych pieśni Sobotki źródło w poezyi starożytnéj,— woli i on „celem gruntowniejszego poznania wielkiego autora," dalsze robić na dotychczasowéj drodze poszukiwania, niżeli śledzić „owych skarbów poezyi ludowéj," o których twierdzi, iż „znane były Kochanowskiemu." Czyni on to wprawdzie z niejakim żalem, czuje nawet potrzebę usprawiedliwiania się ze zbytniéj może w kierunku tym gorliwości;— ale jednak czyni!

---

(1) wyszedł ten poemat naprzód w Ziewoni lwowskiéj na rok 1834; następnie otrzymał przepyszne wydanie illustrowane w Petersburgu 1857.— Wrocławskie wydanie Schlettera skromniejsze jest z r. 1852.

(2) Zobacz Tygodnik illustrowany z roku 1875. Nr. 397. i n.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli, pokazuje się więc, że:

1) wiadomości o Sobotce Kochanowskiego z biegiem czasu, acz zwolna, ale przecież krzewiły się;

2) objaśnianie i ocenianie poematu tego wyłącznie i jedynie odbywało się przez porównywanie go z żywiołem klasycznéj poezyi starożytnéj; i że

3) nikt dotąd nie pokusił się przyjrzéć się jemu ze stanowiska poezyi narodowéj, ludowéj, czyli światłem samego obrzędu Sobotki objaśnić go, a z pomysłami jego odnieść się do poezyi gminnéj.

II.

Twierdzić nie można,—już w obec tego, co się dotąd powiedziało,—iżby literaci i krytycy nasi, przeczuwać nie mieli, że w Pieśni Świętojańskiéj o Sobotce zawartą jest treść narodowa, i pieśń ta jest odgłosem rzeczywistym, istniejących może dotąd jeszcze pieśni gminnych. Owszem, przyznać należy, iż od czasów mianonowicie „Studyów Kraszewskiego nad Kochanowskim“—nie było prawie ani jednego literata, ni autora literatury polskiéj (1), który by domniemania tego nie wypowiedział. I dla tego właśnie tém więcéj zadziwiać powinno, że nikomu z nich do myśli nie przyszło, by tak żywo uczuwane i trafne przypuszczenia jakkolwiek faktycznie uzasadnić. Najtrafniéj i najdokładniéj, choć także tylko ogólnie, osądził pod tym względem Sobotkę ś. p. Hipolit Cegielski, który mówi: (2).

„Poemat ten będzie piękną pamiątką zwyczaju narodowego. Świadczy on, jak ściśle Kochanowski z ludem był połączony, jak dla niego tylko i śród niego śpiewał. Co w życiu ludu znalazł poetycznego, — to ze strony poetycznéj umiał uchwycić i wznieść do ideału i naród swój narodową napawać słodyczą. Serce ludu rozkoszą napawało się, widząc zwyczaje swoje, uroczystości i pieśni w języku ojczystym przez pierwszego poetę uidealizowane... Może niezupełnie niepodobném byłoby do prawdy, gdybym przypuścił, że niejedna piosnek tych cząstka, w formie mniéj wykończonéj, w ustach ludu już żyła, i ze wieszcz nasz poetyczniejszym je tylko ozdobił kolorytem.“

---

(1) Wiszniewski Lit. Polsk. VII. 75. Maciejowski Piśm. I. 500. Majorkiewicz Lit. Polsk. 149. Kuliczkowski Lit. Polsk. 77. Nehring Kurs. str. 27 i inne.

(2) Przyjaciel Ludu. Leszno 1837, str. 53 i inne.

Czyż można przez samą intuicyą trafniejsze zrobić o Sobotce spostrzeżenie? A przecież i ono było głosem wołającego na puszczy! Nie znalazł się nikt, ktoby je uzasadnił. Toż samo uznawał Kraszewski, mówiąc: „W Sobotce Kochanowski jest narodowym, o ile nim tylko swojego czasu być mógł, a więcéj niż ktorykolwiek po nim był aż do XIX wieku. Następcy jego nie pojmują poezyi gminnéj jak on, ani przypuszczają jéj za pierwiastek do sztuki... Pieśni Świętojańskie o Sobotce zbliżają się do gminnych, prostych, sielskich piosnek; wszędzie prostota wyrażeń prawdziwie wiejska, gminna, poetyczna.“

Wreszcie najgruntowniejszy i ostatni badacz Sobotki, p. dr. Chmielowski, powiada: (1).

„Oryginalném zaiste i wielce zastanawiającém w pismach Jana Kochanowskiego zjawiskiem jest jego *Pieśń Świętojańska o Sobotce.* Podczas gdy inne utwory, mające za treść wspomnienie jakiegoś krajowego zdarzenia, zawdzięczają początek swój wpływom okolicznościowym, Pieśń o Sobotce wytrysła, jak się zdaje, swobodnie z poetycznéj obserwacyi ludowych zwyczajów i obyczajów. Siedząc pod rozłożystemi gałęziami swojéj ukochanéj lipy i przyglądając się nieraz pląsom a śpiewom „gości i domowych“ przy rozpaloném ognisku, w wigilią Ś-go Jana, powziął poeta myśl uświetnienia téj uroczystości wiejskiéj dźwiękami swojéj lutni. Swobodna twórczość utalentowanego umysłu wydaje zazwyczaj *arcydzieła* i *najwybitniéj pokazuje jego oryginalność...* We wspomnianym utworze Jana wiele można znaleść dowodów na poparcie tego poglądu,—jeżeli tylko czytać będziemy Sobotkę, *pozbywszy się na chwilę wspomnień*, jakieby nam zwykłe wzory „praszczura naszéj poezyi“ nasunąć mogły.

Stan całéj téj sprawy zatém jest taki, że: w sprzeczności niejako ze sposobem nałogowym jéj badania, wyraźnie i nieomal jednogłośnie dawano Sobotce świadectwo, iż źródło swoje ma w żywiole narodowym, i że jest odblaskiem poezyi ludowéj, oddźwiękiem pieśni rodzimych, gminnych. A mimo to nie przestano, po dziś dzień nawet, cenić i sądzić jéj ze stanowiska tylko klasycznego.

Znaném wszakże jest orzeczenie niemieckiego poety: Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen! Ztąd wynika, że pierwszą i ważniejszą jest strona rodzima, z któréjby na Sobotkę zapatrywać się należało. Że zaś stało się

---

(1) Tyg. Illustr. Serya II. 1875. Nr. 367. str. 28.

przeciwnie, a raczéj odwrotnie, niechże chociaż późno, ale jeszcze wolno nam będzie sprobować, azali przeczucia, domysły i przypuszczenia poprzedników naszych co do *swojskości żywiołów* Sobotki dadzą się z pieśnioksięgu ludowego jakkolwiek uzasadnić.

Gdyby nam się to udało, w takim razie nietylko naprawiłaby się krzywda, poematowi i poecie dotychczas wyrządzana, usunąłby się błąd—(mechanicznie niemal w literaturze naszéj powtarzany)—co do pierwszości Szymonowicza w sielankopisarstwie naszem, ale przy téj sposobności zdołałoby się może przekonać także pewnych recenzentów o tém, że „same przypuszczenia,“ jako takie, już pewną wagę mają: zwłaszcza gdy, jak tu, do bliższego zbadania rzeczy pobudzają, albo mniemaniem powszechném się stają. Jakoż rzeczywiście uważamy to już za pierwszy na twierdzenie nasze o rodzimości Pieśni Świętojańskiéj argument, że dzielimy zdanie ze wszystkimi samodzielnie myślącymi literatami, i że zachodzi istotnie pod tym względem consensus omnium.

Drugim argumentem jest ta okoliczność, że instygatorowie i sędziowie śledczy, ścigający w Sobotce klasycyzm, wyznają sami, iż ledwie połowa z dwunastu jéj pieśni, winowatą jest przestępstwa plagiatu: i to tylko dla tego, że w nich *jakieś* ślady rzekomo przywłaszczonego klasycyzmu się okazują; reszta zaś pieśni, a mianowicie: II, III, IV, V i VIII, całkiem od téj winy są wolne: „jako w literaturze greckiéj i rzymskiéj odpowiednich sobie żywiołów nie znajdujące“ (1).

To nam daje otuchę do szukania trzeciego, głównego argumentu, t. j. pieśni ludowych, rzeczywistych, któreby *osnową* lub *formą* pieśniom Sobotki odpowiadały.

Gdybyśmy mieli jaki zbiór pieśni ludowych z czasów Kochanowskiego; albo gdybyśmy w Bylicy Kaspra Twardowskiego mieli oddane pieśni, jakich przy obchodzie Sobotki używano; albo gdybyśmy księgozbiór pieśni bulgarskich mieli pod ręką, w których „starodawne zabobony i obrzędowość pogańska zachowały się w takiém bogactwie szczegółów, jak mało u którego z pobratymczych ludów“ (2), to zadanie nasze byłoby łatwiejszém. Nie mając atoli tego wszystkiego, ani nawet *wszystkich* zbiorów pieśni naszych pod ręką—zadanie staje się trudniejszém. Dla tego niekiedy w przybliżeniu tylko okazać będziemy mogli tło rezonancyi dla pieśni

(1) Tyg. Illustr. Nr. 371, str. 91.

(2) Zobacz Atenum maj r. b, str. 394. Zbiór pieśni p. braci Miladinowców wydany w Zagrzebiu r. 1861.

Sobotki w istniejących dotąd pieśniach ludowych. To zastrzegłszy, przystępujemy do rzeczy.

Przegrawka przedwstępna (praeludium), dająca opis akcyi mającéj się odbyć w obrzędzie Sobotki — tak się przedstawia w pieśnioksięgu ludowym, tudzież w innych téj uroczystości opisach: Kasper Twardowski w poemacie „*Bylica Świętojańska*“ z r. 1630, obrządek ten tak opisuje:

Wszyscy na rozpust, jako wyuzdani
Idą bylicą wpoły przepasani;
Świerkowe drzewa zapalone trzeszczą,
Dudy z bąkami, jak co złego wrzeszczą.
Dziewki muzyce po szelągu dali,
Ażeby skoczniéj w bęben przybijali.
Włódarz jako wódz przed wszystkimi chodzi,
On sam przodkuje, on sam rej zawodzi.
Za nim jak pszczoły drużyna się roi,
A na murawie beczka piwa stoi.
Co który umie każdy dokazuje:
Ten skacząc wierzchem płomienie strychuje,
Ów pożar pali, drudzy huczą, skaczą,
Aż ich dzień zdybie, to wzdy się obaczą! (1).

„*Życie Włodzimirza Wielkiego*,“ dawny małoruski rękopis, tak opowiada:

„..... tomu to bohu, abo raczéj bisu, po nikotorych storonach i teper pamiatku otprawujut a osobływe na weczerije rożdestwa Swiataho Joana predyteczy takim sposobom: W weczer zobrawszy sia mładency i panny płetut sobi winki z zila rożnoho, kotoryje kładut na hołowy i opojasujut sią imy. Kładut zaś ohoń i berut sia za ruky i około ohnia onoho skaczut i spiwajuczy piśni, a potomu prez ohoń onoj pereskakujut, bisu onomu ofiru sebe samych prynosiat“ (2).

---

(1) Zobacz Fr. Siarczyński Obraz Wieku Zygmunta III. część II str. 274. Broszura ta już nie w bibliotece Kazimierza hr. Stadnickiego, ale znajduje się w bibliotece hr. Baworowskiéj, jak przez łaskę swoję raczył donieść mi p. dr. Zygm. Węclewski, który także własnoręczny jéj odpis łaskawie nadesłał, za co niniejszém najczulsze składam podziękowanie. Opis i odpis broszury téj osobno podamy. Zobacz Maciejowski. Piśmiennictwo III. 638.

(2) Zobacz Pieśni ludu polsk. w Galicyi; Żegota Pauli, str. 25. Lwów 1838.

Zgadza się to w ogóle z opisem uroczystości, jaki podaje nawet Seweryn Goszczyński, „który lubował się w dokładném oznaczaniu miejsca akcyi, w szczegółowym opisie obchodzonéj uroczystości“—a który u górali Sobotkę tak opisuje: (1).

Pnie się ku górze święty stos wspaniały,
Dwanaście jodeł z gałęzi odartych
Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych
Śpiczastą wieżą ku niebu powstały.
We wnętrzu jego jeży się chróst suchy
Czterech górali głownię rozżarzyli,
Rozkołysali, chróstem upowili,
Podęli razem silnymi podmuchy;
Grają płomyki, jak żądła wężowe,
Wyjrzą co chwila z ogniska paszczęki.
Nagle rozjadły ogień wznosi głowę
Na bór daleko padła ćmów zasłona.
Młodzież góralska, od płomieni prędsza,
Stoji już w koła tańczące spleciona,
Jak obraz z cieni urodzona wnętrza;
Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosem.
Gęśle i kobzy, fujarki i dudki,
Wszystko to naraz uderzyło głosem
I grzmotnym krokiem do tańca Sobotki! (2).

Podobny opis znajdujemy zresztą w następującéj pieśni ludowéj:

Juże wieczór teraz krótki
Hej, zapalajmy Sobotki!
Daléj dziewki wybrane,
Bylem w poły przepasane,
Tańcujcie dziś na *dworze*
Aż do rannéj *zorze*;

---

(1) Sobotka. Petersburg 1857, str. 10. Tyg. Illustr. 1875, Nr. 367.

(2) Nie widzimy zbyt wielkiéj różnicy między tym opisem Sobotki góralskiéj a opisem Sobotki polnéj, jaki podaje Kochanowski, który podług zdania dra Chmielowskiego „wszakże nawet nie myślał *opisywać* téj uroczystości ludowéj w całym jéj przebiegu;“ „u którego prócz Bylicy (?) nie widać żadnego szczegółu, żadnéj cechy, któraby nadawała poematowi odrębne jakieś piętno (?) miejscowości, czasu i narodu.“ Różnicę chybaby upatrywać chciano w szczegółowém opisie rozpalania i palenia się ognia obrzędowego!

Aż do *świtania*,
Ale nie bez *grania*!
Dalej dudarzu teraz brzmij:
Niechaj nasze pole grzmi!
A ty włodarzu, pilnuj dudarza
Boć to powinność pana włódarza.
A na murawie stoi beczka piwa,
Skaczże, Kasiu, skaczże, pókiś jeszcze żywa.
A wy chłopcy pożar palcie
I z dziewkami sobie skaczcie!
Kładźcie sirkowe,
Drzewa, cisowe;
Niechaj w bęben przybijają
A wesoło wywijają,
Bo wieczór krótki,
Palmy Sobótki! (1).

Opis zaś Kochanowskiego jest następujący:

Gdy słońce raka zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa:
Sobotkę, jako czas niesie,
Zapalono w czarnym lesie (2).
Tam goście, tam i domowi
Sypali się ku ogniowi:
Bąki (3) za raz (4) troje grały
A sady się sprzeciwiały.
Siedli wszyscy na murawie;
Potym stało sześć par prawie (5)
Dziewek jednako ubranych
I belicą (6) przepasanych.

---

(1) Wiszniewski. Lit. I 210. Wójcicki, Pieśni ludu Białorusk. II, 27. Dziennik Poznański z r. 1873 Nr. 141.

(2) Nie znaczy to koniecznie w Czarnolesiu, tylko w lesie ciemnym, to j. świerkowym lub cisowym, na łysym wzgórzu, w pobliżu wody, częstokroć na dawnem cmentarzysku, bo taki w tem był zwyczaj; a to gdy słońce najwyżej stało, t. j. naprzeciw znamienia Raka.

(3) Bąki, znaczy tu dudy, kobzy; Kozieł z rogiem;—np.: leda kto na dudziech może bąkać. Petr. Pol. II' 375.

(4) Za raz = na raz, razem.

(5) Prawie = właśnie, albo jak gmin: akurat!

(6) Belica = bylica, bielica, Artemisia; porównaj: Artemis = Diana; bylica niem. Beyfuss = Dianaria; ostro rozpala; dla czego też pomaga przeciw niepłodności, która bywa z zimnej przyczyny. Crescentin. 272.

Wszytki śpiewać nauczone,
W tańcu także nie zganione.
Więc koleją zaczynały,
A pierwszéj tak począć dały.

Opis ten odpowiada jak widzimy nie klasycznym, ale raczéj opisom krajowym poprzedzającym, i to tém bardziéj, gdy dodamy, że uzupełnienie swe znajduje w następnych dwóch pieśniach, jak się o tém zaraz przekonamy. Więcéj on się zgadza z temiż podaniami, niżeli z pieśniami, które ślady pogaństwa z chrześciaństwem pomieszanego okazują.

Kiedy bowiem forma obrzędu utrzymywała się tradycyjnie, duch pogaństwa gorliwie tępiony, już się był w niéj ulotnił, natenczas lud już np. w 15 generacyi żywot chrześciański wiodący, napełniał formę tę treścią już nie obrzędową, ale dowolną już schrześcianioną—i chyba z celem ogólnym i z dążnością dawnych pieśni pogańskich zgodną. A tym sposobem lud stał się pieśni sobotczanych twórcą, jak się jemu i z tradycyą i z okolicznościami bieżącemi zgodnemi być zdawały. Komponował je zaś na swój sposób, jak pieśni ludowe, wplatając do nich glosy i nazwiska, których znaczenia wprawdzie już nie rozumiał, które jednakże ciągle powtarzał. A były to najczęściéj nazwiska bogów pogańskich, jak: Kupało, Łada, Did, zapewne i *Sobot*, na których cześć obrzęd Sobotki,—zabawę oraz nastręczający—lud chętnie obchodził.

Kochanowski za swoich czasów i w swoich stronach zdaje się takowych pieśni mieszanych (1) już nie zastał, dla tego kom-

---

(1) jak np.: Kupała na Iwana
Hdzie kupała naczewała?
Kupała na Iwana
Naczewala u Iwana! i t. d.
(w Białoruskich okolicach).

albo: A my proso sijaly, sijały
Oj, Did Łada sijały, sijaly! etc.
(Żegot. Pauli, Pieśni ludu gal., str. 53).

albo: Ku Dunajowi, ku głębokiemu lelu-ja
Ku gaikowi, ku zielonemu lelu-ja
A zapalili Sobotkę lelu-ja,
I piją piwo i wódkę lelu-ja!
(Wójcicki, Hist. lit. I, 231).

albo: O Janie, Janie,—Janie zielony, (jak: *Zielone Świątki*)
Padają liście (bylicy) na wszystkie strony (od ognia Sobotki)
A ty Janku parobecku, *sukaj se zony*!...

ponował pieśni świętojańskie na wzór tych, które u siebie słyszał; a zatém nakształt tych, jakie po dziś dzień jeszcze w stronach jego przy obchodzeniu Sobotki się odzywają, a które, jak twierdzi Gregorowicz, co rok się zmieniają (Zobacz: Oskar Kolberg Lud sandomirski 102). Takiemi zaś są np.:

Szerzy się szerzy *belica* po wsi
Oj wygnała Scepanowa samego ze wsi.
A gdzieś bywał Scepuś nieboże?
Oj spałem, moja Maryś, z końmi *na dworze!* i t. d.

co razem wziąwszy ma mieć ten sens, że w wigilią Ś-go Jana wszyscy *na dworze noc przepędzać* powinni.

/Pieśń *Panny I* u Kochanowskiego, którą i Chmielowski uważa za wstęp, albo *uwerturę*, czyli *introdukcyą* do Sobotki, zawiera myśl główną tę, że, chcąc aby nam się dobrze działo, powinniśmy święcie zachować zwyczaj, rząd ojcowski i czcić święta wedle obyczaju dawnego ojców./ Na podobny temat skomponowaną jest religijna ruska pieśń ludu galicyjskiego *Haïlki*, bałbochwalskich czasów sięgająca:

Pomagaj bóg Zelman,
Pomagaj bóg jego brat
Pomagaj bóg Zelman,
Wszystka rodzyna! i t. d.

---

albo: O biały (dobry) Janie, przyjeżdżaj do mnie;
Jeśli się chces ozenić ja ci *zonkę naraje*,
Mój biały Janie!... i t. d. (1),

co wszysko znowu dowodzi, że pieśni te krążyły zwykle około miłości, a zmierzały do małżeństwa.

---

(1) Zobacz: Oskar Kolberg. Lud, Sandomierskie, str. 105. Dalej Żegota Pauli, 25, 26, gdzie jest wiersz taki:

Janie, Janie, Święty Janie
Cóżeś nam przyniósł nowego
Cóżeś nam przyniósł pięknego
Janie, Janie, Święty Janie!

Przyniosłem ja rosy
Dzieweczkom dla krasy,
Także macierzanki
Panienkom na wianki!
Janie, Janie, Święty Janie!

również pieśń kroacka żniwna nader piękna w wigilią Św. Jana przez ładarki sielskie śpiewana, zaczynająca się, od téj wrotki która się po każdym wierszu powtarza:

Bóg pomagaj téj zagrodzie
Ciche jest lato, dobry jest Bóg (1)

Myśl tę Kochanowski odał w następujący sposób:

PANNA I.

Siostry, ogień napalono
I placu nam postąpiono:
Czemu sobie rąk nie damy
A potém nie zaśpiewamy?

Piękna nocy, życz pogody,
Broń wiatrów i nagłéj wody!
Dziś przyszedł czas że *na dworze*
Mamy czekać rannéj zorze.

Tak to matki nam podały,
Same także z drugich miały,
Że na dzień Świętego Jana
Zawzdy Sobotka palana.

Dzieci rady méj słuchajcie;
Ojcowski rząd zachowajcie,
Święto niechaj świętem będzie,
Tak bywalo przedtym wszędzie!

Święta przedtym ludzie czcili,
A przedsię wszystko zrobili,
A ziemia hojnie rodziła:
Bo pobożność Bogu miła!

Dziś bez przestanku pracujem,
I dniom świętym nie folgujem:

(1) Piesni kroackie. Feldmanowski. Poznań 1867, str. 10.

Więc też tylko *zarabiamy*,
Ale przedsię nic nie mamy.

Abo nas grady porażą,
Abo zbytnie ciepła każą;
Co rok słabsze urodzaje,
A zła drogość za tym wstaje.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy,
Próżno—bez Pańskiéj pomocy!
Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba!

Na tego my wszystko włóżmy,
A z sobą sami nie trwóżmy:
Wrócąć się i dobre lata,
Jeszcze nie tu koniec świata!

A teraz ten wieczór sławny
Święćmy jako zwyczaj dawny,
Niecąc ognie do *świtania*,
Nie bez pieśni, nie *bez grania!* (1).

---

(1) Tyg. Illustr. Nr. 368, str. 44. P. Chmielowskiemu „religijność na Piśmie Świętem oparta, a wyrażająca się słowami z Psalmów Dawidowych zaczerpniętemi, nie na miejscu ukazywać się zdaje;“ przybierając zaś „ton zbyt kaznodziejski, jest jakoby nie była z ust ludu pochwycona, gdyż w takim razie mniéj dydaktyczne przybrałaby formy.“ Nam przeciwnie się zdaje, że p. Chmielowskiemu chyba nieznaną jest maniera, czyli zwyczaj *chłopski*, mianowicie zaczynania wszystkiego z Bogiem; a wtenczas przybiera i wieśniak ton kaznodziejski, gdyż to jest jedyny sposób teologowania od księdza proboszcza przejęty, zaczém przemawiają kompozycye ludowe, jak zaprosiny na wesele i in. Nie ma tu dysharmonii z drugiemi pieśniami, które jako zabawa, obrzęd w sobie, idą swoją drogą; tak jakby w tym razie sz'a i *robota*, że z formami bałwochwalskiemi pomieszała się treść kościelna, chrześciańska, to właśnie najlepiéj świadczy o czasie i miejscu, z którego taki śpiew pochodził. Zresztą nie zgadza się z prawdą, jakoby ta religijność występowała tylko na tém jedném miejscu w Sobotce. Owszem znajdujemy ją i w innych pieśniach, np. w pieśni V i IX, mianowicie jak w téj pieśni wstępnéj, tak pojawia ona się również w pieśni środkowéj, *kulminacyjnéj* w całym obrzędzie, gdzie Panna VI tak śpiewa: A kiedy z pola zbierzemy,—Tam dopiero odpoczniemy,—Dołożywszy z wierzchem broga—*Już więc dzieci jedno Boga*! co znaczy: A na onczas już nam tylko Bogu dzięki składać przyjdzie, bo od roboty wolni, *sobotni*, już tylko jako wdzię-

Panna II w Sobotce ma to zadanie, jako zaczynająca mysteria obrzędu—(tu *mysteria miłości wszczynającéj się*), iżby jak wiosna okazała się naiwną, wesołą, mimowiednie zalotną, szczerą, a z całą serdecznością oddana skłonności do wesela i tańca, które są też *pierwszą do miłości pokusą.*

Te uczucia lud w pieśniach swoich wyraża, jak np. w pieśni galicyjskiéj:

Nuż żywo w hopki,
Dziarskie parobki,
Z dziewkami *w koło*
Tańczcie *wesoło!*
Gdy ojców cnota
Włada sercami,
Niknie zgryzota,
Wesołość z nami!

Nuż żywo z góry
Żwawe mazury!
Niech radość nasza
Biedę odstrasza!
Gdy ojców cnota
Włada sercami,
Niknie zgryzota
Wesołość z nami.

albo:

A zagrajze skrzypecku,
da-dyć ci nic nie będzie!
Oj nie będzies ty tu grał,
da—jak nas juz nie będzie!
A machajze skrzypecku
da niech ci smyk nie ustanie!

---

czne dzieci Bogu podlegać będziemy. A i w końcowéj pieśni, czyli we finale Sobotki odpowiedni początkowi morał występuje w słowach: „A niedorośli wnukowie,—Chyląc się ku starszéj głowie,—Wykną przestawać na małe.—*Wstyd i cnotę chować w cale!*"— W obec takich faktów i takiego nastroju w całości pieśni, trudno przypuścić, iżby owo Tybullowe: Ritus ut a prisco exstat avo, schodzące się przypadkiem ze słowami Kochanowskiego: „Tak to matki nam podały, — Same także z drugich miały," czemśkolwiek więcéj być mogła nad mimowolną reminiscencyę; a najpewniéj" podobieństwo obrzędu wywołało podobieństwo myśli."

Oj nie będzies ci machał,
da jak nas juz nie stanie!
(Oskar Kolberg, Sand., 200).

Albo jak w pieśni gminnéj, dosłownie przez Bohdana Zaleskiego przetłómaczonéj, a w *Rusalkach* umieszczonéj (którą przytacza Tańska w Janie Kochanowskim, str. 89).

Jako rybka tuż za rybką,
Jak jaskółka za *jaskółką*,
Tak dłoń w dłoni, raźno *w kółko*
W pląsach, skokach krążmy szybko!

albo jak pieśń następująca:

Czem naładni grają,
Do domu wolają:
„Pódź do domu, dziewęczko, dziewęczko,
„Pódź do domu dzieweczko!“
A jo sobie myśle,
Że się jeszcze wyśpie;
Jeszcze do dnia daleczko, daleczko,
Jeszcze do dnia daleczko!

„Co to za dziewczyna,
„Co to za jedyna,
„Co tak ładnie tańcuje, tańcuje
„Co tak ładnie tańcuje?“
A ja sama widze,
Że tak ładnie ide:
Każdy mi się dziwuje, dziwuje,
Każdy mi się dziwuje! (1).

Kochanowski myśl tę tak wyraził:

PANNA II.

To moja największa wada,
Że tańcuję bardzo rada.

---

(1) Piosnki Ludu Wielkopolskiego, zebrał J. I. Lipiński. Poznań 1842, str. 169. *Tanecznica.*

Powiedzcież mi, me sąsiady.
Jest tu która bez téj wady?

Wszytki mi się uśmiechacie?
Podobno ze mną trzymacie.
Postępujmyż tedy krokiem,
Aleć nie masz, jako skokiem!

Skokiem taniec nasnadniejszy,
A tym jeszcze *pochodniejszy*,
Kiedy w bęben przybijają:
Same nogi prawie drgają!

Teraz masz czas,—umieszli co,
Mój nadobny bębennico:
Wszytka tu wieś siedzi w koło,
A w pojśrzodku same czoło (1).

Żeby też tu ta nie była,
Która twemu sercu miła,
Każeszli, wierzyć będziemy,
Aleć insze rozumiemy! (2).

Pomoż oto dobrej rzeczy,
A nasz taniec miej na pieczy! (3)
Owa (4), najdziesz i w tym rzędzie,
Coć za wszytki platna będzie.

Ja się nie umiem frasować;
Toż radzę drugim—zachować:
Bo w trosce człowiek zgrzybieje
Pierwej niż się sam spodzieje.

Ale gdzie dobra myśl pluży, (5)
Tam i zdrowie lepiej służy.
A choć drugi zajdzie w lata,
I tak on ujdzie za swata (6).

---

(1) sam wybór wieśniaków.
(2) ale temu nie wierzymy; inaczéj o tem rozumiemy.
(3) a staraj się dobrze grać i żywo *pochutnie*, ochoczo.
(4) Otóż znajdziesz i tu w naszém kole, tę, która ci się za wszystkie odwdzięczy.
(5) gdzie wesołość panuje.
(6) A kto ma umysł wesoły, to i na starość uchodzić będzie za chwata, może być pokochany, *wyswatany*.

Za mną, za mną, piękne *koło*,
Opiewając mi *wesoło*.
A ty się czuj, czyją kolej,
Niemaszli mię wydać wolej! (1).

Przed pięknością a prostotliwością i ponętą tėj pieśni to już i najsurowszy krytyk mięknie i wyznaje, że „nie znajduje nic jėj odpowiedniego ni w literaturze greckiėj, ni rzymskiėj!“

Podobnież uchyla on czoła lubo z ironią przed swojskością następnėj Panny III. I ta Panna, wesoła jak poprzednia, jest wiosną; ale już w dalszym postępie:—jest śmielszą, zna zdradliwość i podstępy miłości, wszakże, jak to mówią, jest frant na franta!

Wyzywająca, pragnąca pójść o lepszą w sztuce igrania z ogniem miłości, Panna ta staje się niezmiernie powabną. Obrazem zaś podstępnėj miłości u ludu najwłaściwszym jest *kot* i dla tego o przymiotach jego cała pieśń, i to w narodowych przysłowiach.

Że w ludowych pieśniach szczególniėj z wiosną rzeczywiście *łaził kotek*, choć nie zawsze *na płotek* i nie zawsze *mrugał*,—o tėm przekonać się możemy z następującėj piosneczki, którą dla tego także przytaczam, że zawiera jeszcze jednę alegoryą o kotku, którėj snać Panna III Kochanowskiego nie znała:

Za chłopa się napierała,
Chleba upiec nie umiała.
Pierwszy raz się pokusiła,
Na bochenek rozczyniła.

I tak jėj się—pięknie zdarzył,
Po zaskórzu *kotek łaził!*
Zadarł ogona do góry,
Jeszcze nie dostał do skóry!... (2)

Oprócz tego *o sidłach miłości* lud jeszcze taką pieśń śpiewa;

Da mój Jasiu, Jasieńku—da com ja tobie winna?
Da coś pozastawiał—da po gościńcu sidła?
Da nie ułowisz ty mnie—da żadnem sidleczkiem,
Da jak mnie nie namówisz—da łagodnem słóweczkiem!

Pieśń o *kocie*, t j. o podstępnėj, *niebezpiecznėj* miłości, Kochanowski tak wyśpiewał:

---

(1) Jeśli mię nie chcesz zdradzić, opuścić, zostawić na koszu.
(2) Oskar Kolberg. Pieśni ludu polskiego, str. 400 i 150. Warszawa 1857.

PANNA III.

Za mną, za mną piękne *koło*,
Opiewając mi *wesoło!*
Czuję się, że moja kolej,
A ja nie mam wydać wolej.

Sam, ze wszystkiego stworzenia,
Człowiek ma śmiech z przyrodzenia;
Inszy wszelki zwierz niemy
Nie śmieje się jako chcemy.

Nie ma w swem szaleństwie miary,
Kto gardzi Pańskiemi dary;
A bodaj miał płakać siła,
Komu *dobra myśl* nie miła!

Śmiejmy się! Czy nie ma czemu?
Śmiejmy się przynajmniej temu,
Że nie mówiąc nic trefnego.
Chcę po was *śmiechu śmiesznego*; (1)

Wystąp ty coś *ciągnął kota*, (2)
A puść się na chwilę *płota!*
Uchowa cię dziś Bóg szkody:
Bo tu opodal do wody!

Ciągnie drugi i na suszy,—
Tobie—trzeba *aż po uszy!*

---

(1) Na to żądanie dobrej myśli, wesołości śmiechu, choć *pustego*, zdaje się wzdrygać ramionami staroklasyczny krytyk, bo mówi, że „tém zastrzeżeniem Panna III odbiera mu odwagę sądzenia *na seryo* opisu przymiotów kocich,“ i dodaje, że ,,operacya *ciągnienia kota* była zabawą ucieszną i nieraz zapewne praktykowaną, a *przymioty kocie* były zajmującym zaiste i godnym bliższéj obserwacyi przedmiotem!“ Nam się zdaje, że nie tak tu wszystko błahe, jak się zdaje szanownemu krytykowi. Chytrość a skrytość, podstęp a zręczność w igraszkach z miłością,—dość wielkie przedstawiają niebezpieczeństwo,—dość ważny przedmiot dla obserwacyi panieńskiéj! A myśl ta, że najlepszym na to antydotem jest obrócenie wszystkiego w *śmiech*, który zresztą samemu tylko człowiekowi dany,—jest myślą dosyć poważną, by „na seryo“ zająć się jéj rozwinięciem w szczegółach, by przypatrzeć się zręcznemu jéj przedstawieniu w przymiotach kocich. Już sam sposób przedstawiania rzeczy, ludowi tak właściwy, dostatecznym dowodem, że poeta przy komponowaniu pieśni greckich, ni łacińskich nie miał na myśli poetów; na co zresztą i szanowny krytyk się zgadza.

(2) Przysłowie to zdaje się całkiem dotąd było niezrozumiałém. Obejmuje ono tu dwie po sobie idące wrotki, przedstawiające dwojaki *zakochania się nieszczęśliwego*

Nieboże mój, kto cię zbłaźnił,
Żeś tak srogie zwierzę draźnił?

Nie masz ludzi co przed kotem
Pierzchają największym błotem?
A na jego głos straszliwy
Ledwie drugi będzie żywy!

Głaszcz na nim jako chcesz skórę
On przedsię ogonem wzgórę!
Zły z nim pokój, gorsza zwada,
Jeszcze i dziś — strach sąsiada!

Czasem też i z *dachu spadnie*,
A przedsię *na nogi padnie*;
A chlop foremniejszy bywa,
Gdzie *kot we łbie* przemieszkiwa (1).

A to jako w nim szacować,
Że umie i praktykować? (2)
A to tak *wieszcza bestyja*,
Że się zawdy *na deszcz myja*.

Więc (3) łowiec niepospolity,
A w swych sprawach dziwno skryty;

---

sposób; jeden, z którego uchodzi się bez szwanku, który uchodzi *na sucho*; drugi wpadnięcia w miłość i w nieszczęście *po uszy!* Miłość igraszką jest jak niebezpieczne zwierzę srogie (kot), mogące *zranić*, lub w pole wywieść, *zbłaźnić*, wystrychnąć na dudka; nie trzeba jéj ufać, ani jéj *drażnić*. A kto się raz sparzył, ten i na zimno dmucha, lub jak pijany trzyma się *płota*! Realnie zaś *ciągnąć kota* nie oznacza tu jak sądzi szanowny krytyk, owéj operacyi, czy zabawki bolesnéj ciągnienia chytrego kota za ogon, tylko oznacza ciągnienie żelaznéj kotwicy za powróz. Kotwica bowiem, kotewka, czyli *kotw'* tym łatwiéj w języku zamieniła się na *kot* u flisaków, że co do pazurów i uczepności istotne do kota ma podobieństwo (Słownik Lindego). Że zaś kotwica w przenośném znaczeniu wyraża nadzieję, więc kto ciągnie kotwicę (kota) za linę, sądzi, że nadzieję ku sobie przyciągnie; — a ona tymczasem na dnie rzeki w piasku coraz mocniéj grzęźnie, i nie do łudzącego ona się zbliża, tylko jego silącego się, raczéj ku sobie, nieraz *po uszy w wodę* wciąga. Rupem ad se adtrahere vult lintrarius, mówi łacińskie przysłowie, co mniéj więcéj toż samo oznacza złudzenie; jadącym na łodzi czasami się zdaje, jakoby przedmioty do łodzi się zbliżały, gdy tymczasem dzieje się przeciwnie. Otóż obraz *łudzenia się* w miłości, który tu mamy przed sobą! Potém poeta przechodzi koleją wszystkie przymioty *kota prawdziwego*, o ile te do chytrego gacha w miłości stosować się mogą.

(1) Znaczy, że gach bałamut *układniejszy*, gdy ma koty czyli *amory* w głowie.

(2) *praktykować*, znaczy: *przepowiadać, wróżyć;* bo kalendarze z XVI w. *Praktykami* się zwały.

(3) *Więc*, jak bardzo często, znaczy: *przytém, czasem, zwykle* i t. p.

Ktemu rzadko uśnie w nocy
Ale ufa zawżdy mocy.

Kocie! *wszystko to do czasu* (1)
Strzeż wilka wyszczekać z lasu!
A może być i w tym stadzie (2)
Co już myśli o zakładzie. (3)

Panna IV śpiewa pieśń, któréj nic odpowiedniego w poezyi klasycznéj krytycy także znaleść nie mogli; przyjąć zatém z góry należy, że jest oryginalną rodzimą. Panna ta już mniéj wesoła od poprzedzających, gdyż grot miłości już w jéj sercu utknął. Jest ona melancholiczna: albowiem pierwsza przykrość w miłości już ją dotyka, a tą dolegliwością w niewypowiedzianém uszczęśliwieniu jakoby pierwszym owocem miłości jest trwoga o utratę swego szczęścia, a o naruszenie swego skarbu przez zazdrosne druchny.

Lud uczucia takie w ten sposób wynurza:

Róże, gwoździki, lilije,
Komuż z was wianek uwiję?
W czyjeż bym go ręce dała,
Gdybym tego nie wiedziała?

W tym to ogródku różanym,
Łzami mojemi polanym,
Rosłyście kwiatki dla mego
Jasinka ulubionego!... i t. d.
(Wacław z Oleska, 458),

Oj ładny wianek mam,
Oj ładniem go wiła!

---

(1) tyle co: *Kocie idzie o cię!* a daléj: Nie wywołuj wilka z lasu! Inne sposoby mówienia o kocie są np.: stan dworzański jest śliski, niebezpieczny, jak *kot na ledzie! Kota paść* oznaczało (Strabekatze), karę żołnierską. *Koty puścić z głowy*, to jest kiedy amory wywietrzeją (Linde), *koty drzeć*, czyli kłócić się; jak kot w Marcu i t. d.

(2) wyraz *stado* ma tu swoje właściwe znaczenie; albowiem w czasach bałwochwalstwa dziewice wybrane do odbywania świętego obrzędu nazywano *„bożém stadem.“* W Pannie V czytamy: *gromada*.

(3) myśli o tém, jakby bałamutowi odwetem odpłacić: nie dać siebie zbałamucić, tylko jakby go wciągnąć *po uszy*, żeby szedł *na wodę*, bo o to zakład z druchną zrobiła! Mogłaby była dośpiewać jeszcze wrotkę na krytyków, co zbałamuceni prostaczą éj postacią fałszywie ją osądzili, zatém—także pociągnęli kota!

Oj! da — wiele za tym wianeckiem
Trudności uzyła! i t. d.
(Oskar Kolberg, Lud Sand. str. 25).

Gdzie ja się obrócę widzę twoje cienie:
Pamiętaj Wojtysiu, że się nie odmienię!
Prawda, że cię kocham i umiem cię cenić,
Tylko byleś dla mnie nie chciał się odmienić!
(Oskar Kolberg, Sand. str. 195).

albo:

Śpiewa Słowik, śpiewa,—nim słoneczko wschodzi,
Że ja cię kocham skrycie—cóż to komu szkodzi?
Że ja ciebie kocham—tego się nie wstydzę,
Bo ja w twoich oczach—samą stałość widzę.
Będę kochać jawnie—i słowa dotrzymam,
Bo ja w mojem sercu—niestałości nie mam.
Na łące kwiateczek—pszczółka przy nim brzęczy,
Kogoś miłość cieszy—a mnie ona dręczy;
Kto miłości nie zna—jest bardzo szczęśliwy:
Noc wolna do spania—i dzień nie tęskliwy!...
(Wacław z Oleska, 421).

Niech biją pioruny—biją bez ustanku
Tę, co będzie stała—przy moim kochanku!
A która go będzie—szczerze całowała,
Ziemio zapadnij się—kej będzie z nim stała!
(Zegota Pauli, 229).

Takie akordy uczucia wieśniaczego jakoby echem estetycznem odbiły się w duszy Kochanowskiego i wydały pieśń, którą wszyscy krytycy jednozgodnie za prawdziwy klejnot pieśniarstwa polskiego uważają. Brzmi ona jak następuje:

PANNA IV.

Komum ja kwiateczki rwała,
A ten wianek gotowała?
Tobie miły, nie inszemu,
Któryś sam mił sercu memu!

Włóż na piękną głowę twoję
Tę rozkwitłą pracę moję
A mnie samę na sercu miéj,
Toż i o mnie sam rozumiéj! (1).

Żadna chwila ta nie była,
Żebym cię z myśli spuściła:
I sen mię pracy nie zbawi (2)
Śpię, a myślę by na jawi!

Tę nadzieję mam o tobie,
Że mię też masz za co sobie,
Ani wzgardzisz chucią moją (3),
Ale mi ją oddasz swoją!

Tego zataić nie mogę,
Co mi w sercu czyni trwogę:
Wszytki tu wzrok ostry mają (4),
I co piękne dobrze znają.

Przebóg! siostry, o to proszę,
Niech téj krzywdy nie odnoszę,
By mię która w to tknąć miała (5)
O com się ja utroskała!

O wszelaką inszą szkodę,
Łacno przyzwolę na zgodę;
Ale kto mię w miłość ruszy
Wiecznie będzie krzyw méj duszy! (6).

Następnie panna V, która opiewa już większą gorycz, bo *zawód doznany w miłości* od układnego, ale obłudnego jak kot w pieśni III, zalotnika. Boleść taką lud wynurzył w następujący sposób:

(1) Rozumiéj, że i ja tylko ciebie samego mam na sercu.

(2) I sen mię nie uwalnia od ciągłego myślenia o tobie.

(3) Nie wzgardzisz chęcią, przychylnością moją, ale mi ją odpłacisz swoją.

(4) Wszystkie obecne bystry wzrok na piękność mają, i wszystkie na niéj się znają.

(5) By mię w mojéj miłości przykrość od was spotkać miała.

(6) Wszystkiego odstąpię, na wszystko się zgodzę, ale ktoby mnie w miłości mojéj uraził, temu na wieki krzywdy téj nie przebaczę.

A lepiej to lepiej pokochać i—przestać
Niżeli na wieki nieszczęśliwą zostać!
Lepiej się utopić na nagłębszy wodzie,
Niźli się zakochać w ladajakim *rodzie!* (1)
Bo kawaler bez sumienia Boga się nie boi,
Przysięga on nadaremnie, o duszę nie stoi,
Tu się *kładzie*—tu się *kładzie*—tu się deklaruje, (2)
A do innych serca kłuszy (3), apetyk gotuje!

albo:

Parobcy krakowscy za nic sobie mają
Próżno dziewki łudzić, chociaż nie kochają.
I Walek *niestatek* (4), Zośkę bałamuci:
Cnotkę jej naruszy, a potem porzuci!
Nie wierz chłopcu, nie wierz, choć się *mostem kładzie* (5)
Ukradnie ci wianek, stoi ci na zdradzie!

Jeżeli w twej postaci dusza jest fałszywa,
Jeżeliś *zdradliwy*, to ja nieszczęśliwa!
Szumi listek, szumi, a z drzewa opada:
Musi być jakować między nami zdrada!
(Oskar Kolberg, Sand., 196).

Kochanowski myśl tę ujął w formę następującą:

PANNA V.

Zwierzęć się, gromado moja,
Nie mam przed Szymkiem pokoja:
Za trzewik mi zastępuje,
A powiada, że miłuje!

Szymku, by to prawda była,
Dobrzcbym Bogu służyła! (1)
Ale ty rad z ludzi szydzisz,
Zwłaszcza, gdy prostaka widzisz.

---

(1) tyle co narodzie, plemieniu, chłopie złym; jak mówią chłopi kiedy klną: ty narodzie.

(2) do nóg się ściele i oświadcza z miłością swoją.

(3) a do serca innych dziewcząt kłusem bieży i na nie apetyt sobie stroi!

(4) bałamut.

(5) plackiem do nóg pada. Zobacz Oskar Kolberg, Ser. VI Cz. II, str. 150 i in.

Tobie to wolno, samemu,
Ale wierę (2) nie inszemu!
Bo ty z tém nadobnie umiesz,
A gdzie kogo tknąć rozumiesz (3).

I którażby nie szła rada
Za tak gładkiego sąsiada?
Podajże jéj *kęs* nadzieje,
Alić się *już* moja śmieje! (4)

I samam tak głupia była,
Żem ci też kiedy wierzyła.
Dziś już nic i pókim żywa!
Znam cię ziółko, żeś pokrzywa!

Ze mną sobie rzecz najdujesz (5)
Drugiéj nogę przystępujesz.
Odpuść mi, silnyś przechira,
A ja z takim nie mam mira! (6)

Nie sprawujże się przez miarę! (7)
Boć zaś ludzie dadzą wiarę.
A mało sobie poprawisz,
Że mnie w nieprawdzie zostawisz! (8).

Doszła wreszcie pora letnia do swojego kresu: rozgorzała miłość ma się *przemienić w namiętność*. Na tem rozdrożu w naturze i duchu, na tem przesileniu dnia z nocą, wystawił Kochanowski jako słup graniczny, jako index na zegarze w środku całego obrzędu i utworu, podobnie jak to uczynił na wstępie i na zakończeniu, także pieśń *opisową*. Jest to opis skwarnego lata we żniwa jak następuję:

---

(1) Bardzobym Bogu za to dziękowała!

(2) zaprawdę, zaiste!

(3) Bo ty takie miłe masz obejście, a tak wiesz czém kogo ująć!

(4) Skoro najmniejszą grzeczność zrobisz, to bieadczka uśmiechając się już sądzi, że ją kochasz.

(5) Ze mną rozmawiasz, a drugiéj nogę przystępujesz; poprzednio było: po piętach deptczesz, wyrażone przez: *za trzewikami zastępujesz!*

(6) Daruj, ale wielki z ciebie i chytry szyderca i szalbierz, a ja z takim przymierza i nic do czynienia mieć nie chcę!

(7) Nie sprawujże się zaś w nieszczerości swojéj z miarą; bo ludzie gotowi uwierzyć ci, żeś szczery.

(8) Przez to sobie nie na długo opinię poprawisz, a mnie nadaremnie kłamstwo zadasz, że mówię, iżeś nieszczery!

PANNA VI.

Gorące dni nastawają.
Suche role się padają,
Polny świercz, *co glosu staje*,
Gwałtownemu słońcu *łaje*.

Już *mdłe* bydło szuka cienia,
I *ciekącego* strumienia;
I pasterze chodząc za niem,
Budzą lasy swojem graniem.

Żyto się w polu dostawa
I swoją barwą znać dawa,
Iż już niedaleko żniwo:
Miej się do sierpa, co żywo! (1)

Sierpa trzeba oziminie,
Kosa się zejdzie jarzynie; (2)
A wy młodszy, noście snopy,
Drudzy układajcie w kopy! (3)

Gospodarzu nasz wybrany,
Ty masz mieć wieniec kłosiany,
Gdy w ostatek zboża zatnie
Krzywa kosa już ostatnie! (4)

A kiedy z pola zbierzemy,
Tam dopiero odpoczniemy,
Dołożywszy z wierzchem broga:
Już więc dzieci jedno Boga! (5)

Wtenczas gościu bywaj u mnie,
Kiedy wszytko znajdziesz w gumnie;
A jeśli ty rad odkładasz,
Mnie do siebie drogę zadasz! (6)

---

(1) co żywo nie znaczy czémprędzéj! tylko: kto tylko żyje, *wszyscy* do żniwa!

(2) Sierpem najstosowniéj żąć pszenicę i żyto; kosa zaś stósowna do żęcia jęczmienia, grochu, owsa, zgoła jarego zboża.

(3) Snopki zboża układają się mendelami w kopy t. j. w długie rzędy po 4 mendele, czyli 60 snopów.

(4) *ostatnie* jest przysłówek uformowany na *e* jak: dobrz*e* źl*e* i t. p., znaczy *ostatni raz.*

(5) wolni od pracy, jak w Sobotę, — ulegający tylko Bogu!

(6) to będę ja musiał zadać sobie drogę do ciebie!

Czy i tu jeszcze na pieśniach ludowych dowodzić trzeba, że i ta pieśń z żywiołu narodowego powstała; że jest oryginalna polska? Kiedyż tu zaiste, nie tylko podobizna, ale istna fotografia krajowéj natury i pory roku żywcem w chwili żniwa uchwyconéj, taka, jaką chyba w Panu Tadeuszu raz powtórny znaleść można! Jeżeli wszakże i tu jeszcze natarczywy krytyk tropi Wirgiliusza (Bukolika II, 8) i Horacego (Pieśni ks. III, 29), to chyba już nie chce przyznać tego, co sam twierdzi, «że podobieństwo wyrażenia raczéj z *powszechności* treści,» niż z intencyi «*tłómaczenia dosłownego*» starożytnéj poezyi, mianowicie 4-ch wierszy Horacego, wynikło. Chociażby atoli i te cztery wiersze:

Już mdłe bydło szuka cienia
I ciekącego strumienia;
I pasterze chodząc za niem,
Budzą lasy swojem graniem

miały zbyt wiernie oddawać Horacyańskie:

Jam pastor umbras cum grege languido
Rivumque fessus quaerit et horridi
Dumeta Silvani, caretque
Ripa vagis taciturna ventis,

to jeszcze należałoby to podobieństwo raczéj na karb mimowolnéj reminiscencyi wielkiego wieszcza, jak na karb rozmyślnego plagiatu policzyć.

Lata z dniem ubywa, jesieni z wieczorem przybywa, myśliwska zabawa się zaczyna; księżyc w ślad za słońcem dąży, Diana w myśliwskim stroju za bratem Apollinem goni; miłość rozłączenia nie zna. Wszystko zniesie, tęsknoty znieść, sobą nasycić się nie może!

To udręczenie rozmiłowanéj duszy — z powodu *rozłąki* i *nieukojonéj tęsknoty*—maluje Kochanowski w następujący sposób:

PANNA VII.

Próżno cię patrzam w tym kole,
Twoja, miły, rozkosz pole! (1)
A raczej zwierz leśny bijesz,
Niż tańcujesz, albo pijesz (2).

---

(1) pole—polowanie.

(2) w miejsce tańca, ucztowania, właściwa *jesiennéj* porze zabawa myśliwstwo: „to też ty wolisz polowanie, niż tańce i biesiady!"

Ja też, bym nabarzej chciała,
Trudnobym się zdobyć miała
Na lepszą myśl: (1) bo po tobie
Serce zawsze tęskni sobie!

Wolałabym też tymczasem
Gdziekolwiek pod gęstym lasem
Użyć z tobą towarzystwa;
Pomogę ja i myślistwa!

Czego miłość nie przywyknie?
Już ja potrafię, gdy pies krzyknie,
Gdzie zajeżdżać zającowi,
Mając charty pogotowi.

A kiedy rzucisz sieć długą (2),
Jeślić się swoją przysługą
Ninacz więcej nie przygodzę (3),
Niech za tobą smycz psów wodzę!

Żadna gęstwa, żadne głogi
Nieprzekażą (4) mojéj nogi;
Tak lato, jako śrężogę (5)
Przy tobie ja przetrwać mogę.

Abo mój myśliwcze tedy
Pokwap się do domu kiedy, (6)
Abo mnie ciężko nie będzie
Ciebie naśladować wszędzie! (7)

Temu śpiewowi odpowiadają następujące akordy pieśni ludowéj:

Rozstańże się, rozstań,
Kalino z jaworem,

---

(1) *dobra myśl*—wesołe usposobienie; *lepsza myśl*—weselsze usposobienie.

(2) na zająca chart na smyczy w pogotowiu; na zaszczeknięcie puszcza się ze sfory i *zajeżdża* się zającowi z przodu; a na grubego zwierza *siecią myśliwską* obwodzi się kawał lasu.

(3) ninacz—*na nic innego* nieprzydam się, to za tobą psy na smyczy prowadzić mogę.

(4) nie przekażą—nie skażą, nie urażą, nie zrażą, nie wstrzymają.

(5) śrężoga—deszcz zmrożony, jesienna mgła zmrożona.

(6) *kiedy* znaczy tu: choć raz; *aby raz przecię* już wracaj, pospieszaj do domu.

(7) *naśladować* ciebie—w ślad za tobą wszędzie chodzić. — Przypomina z poprzedzającej Panny: A jeśli ty rad odkładasz, mnie do siebie drogę zadasz!

Jak ja się rozstaję
Z kochaneczkiem mojim.

Kalina z jaworem
Rozstać się nie może:
Tak i ja z kochankiem!
Brońże tego Boże (1).

albo:

Żebym ja wiedziała
Gdzie mój Jasio pije,
Szłabym ja do niego
Aż o cztery mile!

Żebym ja wiedziała
Gdzie mój Jasio orze,
Szłabym ja do niego
Ach mój mocny Boże!

Orzeć on, orze,
Pod borkiem zielonym:
Jednym wołkiem burym
A drugim czerwonym.

albo:

Pojedziemy na łów, na łów,
Ej na łów, na łowy,
Towarzyszu mój!
Do zielonéj dąbrowy,
Towarzyszu mój!

Aż tam biegnie sarna
Towarzyszu mój!
„Puszczaj charty ze smyczą,
„Niechaj sarnę uchwycą,
„Towarzyszu mój!"

Pojedziem na łów, na łów,
Towarzyszu mój!
Ej na łów, na łowy,
Pod ten gaik zielony
Towarzyszu mój! i t. d. (2).

---

(1) Piosnki ludu Wielkopolskiego, Józef Lipiński, str. 98 i 146.
(2) Wojcickiego Lit. polska t. I, str. 257.

Gorszą dolę jeszcze opiewa po oddaniu wianka następująca Panna VIII. *Przeczuwanie niepewnéj doli przyszłéj* — mrozi i ściska jéj serce, powoduje do szukania samotności, do zwarcia się w sobie, do uczynienia się niedostępną. To dotkliwe uczucie żalu za przeszłością a lękliwości o przyszły los,—a raczéj to pragnienie wycofania się z niego, Kochanowski tak opiewa:

PANNA VIII.

Pracowite woły moje!
Przy tym lesie chłodne zdroje
I łąka nie przepasiona
Kosą nigdy nie sieczona! (1).

Tu wasza dziś pasza będzie!
A ja mając oko wszędzie (2),
Będę nad wami siedziala
I tymczasem kwiatki rwała.

Kwiatki barwy rozmaitej,
Które na łubce obszytej (3),
Usadzę w nadobne koło,
I włożę na swoje czoło!

Tak dziewka, jako młodzieniec,
Nie proś mię *nikt* o mój wieniec!
Samam go swą ręką wiła:
Sama go będę nosiła!

Dałam wczora taki drugi:
Będzie mi go *żal czas długi*,
Bo mię zaraz *pobrać dano* (4),
Czego mi czynić nie miano!

Pracowite woły moje!
Wam płyną te chłodne zdroje,

---

(1) „Tu inaczéj, jak w méj duszy: tu chłód i swoboda; tu niema pragnienia z upałów, ni pożądliwości kosiarzy; tu panuje dziewiczość w naturze nieskażona!"

(2) Ostrożną będę, przed napastnikami oglądać się będę na wszystkie strony!

(3) *łubka obszyta*, jest to forma do wieńca z łubu, czyli z kory laskowéj, zazwyczaj obszyta taśmą, za którą zakładają się kwiaty.

(4) *pobrać* tyle znaczyło, co wziąść — jakoby w niewolę, jak jeńca; jak się też mówi: *pojąć za małżonkę*, pozwolono pobrać mię temu, któremum wieniec dała; a tegom ja się niespodziewała!

Wam kwitnie łąka zielona,
Kosą nigdy nie sieczona! (1)

Osnowie tej pieśni odpowiadają odgłosy w pieśniach ludowych następujące:

Zielona dąbrowa bodaj pogorzała,
Ażeby ja ną niej bydła nie pasała!
Paść to bydło było, ale wiedzieć jako:
Umykać się było od chłopców daleko!

albo:

W olsynie ja wołki pasła,
Tam mnie ciemna nocka zasła;
Tam ja wołki pogubiła
I sukała i mówiła:

„A ktoby mi wołki nalaz,
„Dałabym mu gęby zaraz;
„Dałabym mu gęby moji,
„Ktoby nalaz woły moje!”

„Niesukajze już dziewcyno,
„Twoje wołki za doliną!
„A terazci casu nie trać,
Jeno swoją gębą zapłać!” (2)

Najokropniejszéj doli sprawczynią jest atoli miłość, gdy się w *chuć zbrodniczą* przemienia. Niepowetowaną krzywdę niewinnéj wyrządza istocie; inne zbrodnie w dalszym ciągu za sobą pociąga, a skrzywdzonéj niewinności nawet możność wyjawienia krzywdy odbiera. Jest to kulminacyjny punkt w przygodach i dolegliwościach miłości. A jak chytréj i podstępnéj miłości najtrafniejszym obrazem był *kot*, tak tu skrzywdzonéj niewinności najprześliczniejszym obrazem jest *słowik*, miłośnie wprawdzie, ale żałosnie kwilący! Co tu zaszło, nie mogło być wyrażone sprosnemi sposobami ludowemi, ani gołosłownie zwłaszcza przez pannę wyśpiewane; dla tego Kochanowski tu wyjątkowo — a niemal z konieczności — użył alegoryi klasycznéj, zabezpieczając tym sposobem od zgorszenia niewinność czytających,—może własnych córek, które, jak napomy-

(1) Zazdrości ona niejako losu pracowitym wołom, dla których uśmiecha się dziewicza, ręką ludzką nietknięta przyroda; podczas gdy w jéj sercu—inaczéj!
(2) Oskar Kolberg, Serya VI, część II, str. 152—163.

ka Tańska, na imieniny ojca z drugiemi pannami Sobótkę tańcząc odgrywały.

Ten słowiczy głos miłości skrzywdzonéj, bolejącéj, Kochanowski tak oddał:

PANNA IX.

Ja płaczę, a *żal zakryty*
Mnoży we mnie płacz obfity.
Śpiewa więzień okowany,
Tając na czas wnętrznej rany.

Śpiewa żeglarz w cudze strony
Nagłym wiatrem zaniesiony;
I oracz ubogi śpiewa,
Choć od pracy aż omdlewa!

Śpiewa słowik na topoli,
A w sercu go przedsię boli
Dawna *krzywda;*—mocny Boże,
Iż z człowieka ptak być może!

Nadobna to dziewka była
Póki między ludźmi żyła;
Toż niebodze zawadziło:
Bo każdemu *piękne* miło.

Zły a niewierny pohańcze,
Zbójca własny (1) nie posłańcze!
Miawszy odnieść siostrę żenie (2),
Zawiodłeś ją w leśne cienie.

Próżnoś jéj język urzynał,
Bo wszystko, coś z nią poczynał,
Krwią na rąbku () wypisała
I smutnéj siestrze posłała.

---

(1) własny—istny, prawdziwy.

(2) odnieść siostrę—przywieść, przyprowadzić. Podanie mytologiczne o całym wypadku jest następujące: Tyreusz król grecki miał żonie swojéj Proknie przywieść od rodziców siostrę jéj Filomelę; ten w drodze, pięknością jéj ujęty, zawiodłszy w ciemny las, krzywdę jéj wyrządził i dla zatajenia zbrodni język wyrwał nieszczęśliwéj ofiarze swéj chuci. Żona krwią wypisanę powziąwszy o zajściu wiadomość, zemstą uniesiona podała mu do spożycia ugotowane członki syna własnego. Mąż zgrozą przejęty porwał się do spełnienia nowéj zbrodni, gdy bogowie kres kładąc zdziczałości ludzi, Tyreusza w Epo-

Nie wymyślaj przyczyn sobie:
Pewnać już sprawa o tobie(1);
Nieskładaj nic na zwierz chciwy,
Umysł *twój* krzyw, niecnotliwy(2);

Siadaj za stół, jeśliś głodzien;
Nakarmią cię, czegoś godzien!
Już ci żona warzy syna:
Nieprzejednanać to wina!

Niewiesz królu, niewiesz jaki
Obiad i co za przysmaki
Na twym stole: ach, łakomy
Swe ciało jesz niewiadomy!

A gdy go tak uraczono,
Głowę na wet przyniesiono.
Temu czasza z rąk wypadła,
Język zmilknął i twarz zbladła!

A żona, powstawszy z ławy:
„Coć się zdadzą te potrawy?
„To za twą *niecnotę* tobie,
„Zdrajca mój, synowski grobie!" (3)

Porwie się mąż ku niej za tym,
Alić—nasz—*dudkiem* czubatym;
Samać się w *jaskółkę* wdała,
Oknem łając poleciała! (4)

---

psa, t. j. w *dudka*, przemienili (*na dudka wystrychnęli*), żonę jego przemienili w *jaskółkę*, która oknem na wieczne czasy ze skargą z domu wyleciała; a siostrę jéj Filomelę żałościwą w *słowika*. (Przemiany Owid. VI, str. 438—676). Przemiany podobne i w naszych pieśniach gminnych się zdarzają; a lud po dziś dzień jakąś religijną opieką otacza niektóre ptaki, bożemi je mianując (jak np. skowronka, bociana, jaskółkę i t. d.); zresztą zobacz J. Lipiński str. 120 „Trzéj ptaszkowie." Przemiana w wierzbę i piszczałkę grającą, co wydała zabójczynię; przemiana w lilie na grobie męża i t. p. Oskar Kolberg Pieśni ludu polskiego, str. 292. Zbrodnia zawsze się wyda!

(1) Już się rzecz wyjaśniła, że to ty jesteś sprawcą.

(2) Tyś winien wszystkiemu, ty niecnoto!

(3) Mnie zdradziłeś, syna spożytego pochowałeś w sobie.

(4) Jaskółka gnieździ się tylko w kominie, a przypadkiem do mieszkania oknem wleci i oknem wylatuje, zajrzeć jakby chciała, co się dziś przy ogniku domowem dzieje?

A ona niewinna córa
Obrosła w *słowicze* pióra,
I dziś wdzięcznym głosem cieszy,
Kto się kolwiek w drogę spieszy.

Chwała Bogu, że *te* kraje
Niosą insze obyczaje, (1)
Ani w *Polsee*, jako żywy,
Zjawiły się takie dziwy!

Jednak, ja mam co mię boli!
Aby nie dziś ludziom kwoli, (2)
Co śpiewam—płakaćbych miała!
Acz me pieśni—płacz bez mała! (3).

Śpiewowi téj Panny odpowiadają akorda pieśni ludowych następujące:

Śpiewam ja se śpiewam, niby to wesołam,
A co serce czuje wyrazić nie zdołam!
O Boże! mój Boże, cóż po mojem życiu?
Wesołam na twarzy, a rozpacz w ukryciu!
(Oskar Kolberg str. 421).

albo:

Wszystko z czasem ulatuje,
Prócz mojego umartwienia!
Wszystko koniec swój znajduje,
Los się mój nie zmienia!

Choć się czasem i rozśmieję,
Umysł mój zawsze stroskany!
Na pozór się wszystko dzieje:
Gdyż ja w sercu cierpię rany!

albo:

Wytryskuje woda z pod grubej topoli,
Nikt nie wie, nie zgadnie, co mnie w sercu boli!
(Wacław z Oleska str. 289 i 123).

---

(1) mają insze obyczaje; w Polsce, jak tylko istnieje, nie zdarzyło się nic podobnego.

(2) Gdyby nie ze względu na ludzi, to raczéj płakać jak śpiewaćbym wolała.

(3) Chociaż mój śpiew i tak już niemal jest płaczem!—Zresztą zobacz w Lindem: dudek, jaskółka, słowik.

albo: Pieśń Kroacka: (H. Feldmanowski str. 68)

Pośród koła ogień płonie,
A przy ogniu brat ze siostrą:
„Siostro moja, jakeś piękna!
„Gdyby nie być, jak jesteśmy,—
„Byłabyś ty lubą moją!“

„Oj, niech bratem pozostanie,
„Niech pomyśli niechaj powie:
„Grzechby to był i występek—
„A występek bardzo wielki.“

albo: Pieśń ludu wielkopolskiego (J. Lipiński str. 61):

„Będziesz płakała dziewulo,
Będziesz płakała,
Ino zajdziesz na to miejsce,
Gdzieś wianek działa, da działa!“

„I ty będziesz mój chłopalu,
„I ty będziesz wuł, da i wuł,
„Ino zajdziesz na to miejsce,
„Gdzieś mi wianek wziął, da i wziął.“

Największém wreszcie utrapieniem i ostatnim niepokojem w miłości jest śmiertelna *trwoga o stratę osiągnionego szczęścia*, przez śmierć. *Wojna* nagle wybuchająca taką trwogę obudza, takiego w miłości zmartwienia przyczyną!

Tę trwogę, takie zaniepokojenie w miłości już zaręczona, jak się zdaje śpiewa

PANNA X:

Owa (1) u ciebie, mój miły,
Me prośby ważne nie były;
Próżnom ja łzy wylewała,
I żałośnie narzekała!

Przedsięś ty w swą drogę jechał
A mnie nieszczęsnej zaniechał (2)
W ciężkim żalu, w którym muszę,
Wiecznie trapić moję duszę!

(1)) Owa = Oto, I tak więc. (2) zaniechał = zostawił.

Bodaj wszystkich mąk skosztował,
Kto naprzód wojsko szykował!
I wynalazł swoją głową
Strzelbę srogą, piorunową!

Jakie ludzkie głupie sprawy:
Szukać śmierci przez bój krwawy?!
A ona i tak człowieczy
Upad ma na dobrej pieczy. (1)

Przynajmniej, by mi w potrzebie
Wolno stanąć wedle ciebie!
Przywykłabych i ja zbroi.—
Bogdaj przepadł, kto się boji!

Jednak ty tak chciej być śmiałym,
Jakoby się wrócił całym!
A nie daj mnie umrzeć smutnej,
W płaczu i w trosce okrutnej!

A *wiarę*, coś mi ślubował
Pomnij, abyś przytym chował!
Tę mi przynieś a *sam siebie*,
Dalej (2) niechcę nic od ciebie!

Do téj pieśni przystosowaćby można odgłosy pieśni ludowych następujące:

W kotły biją, w trąby grają,
Na wojenkę wyganiają!
Starsa siostra płace łaje;
Młodsa siostra konia daje!...

Lepsa moja Kasinecka,
Niźli wsyćka rodzinecka:
Rodzinecka prec odesła,—
Moja Kasia nie odesła!
(Oskar Kolberg Krakowiacy str. 175)

---

(1) Jakież to głupie staranie ludzkie o znalezienie śmierci, kiedy ona sama nader troskliwa o zgotowanie upadku człowiekowi. (2) wróć tylko szczęśliwie—a wierny w miłości, to i więcéj od ciebie nie pragnę!— Twierdzą krytycy, iż między tą pieśnią a pi-e-

albo: Gdzie to jedziesz Jasiu?
Na wojenkę Kasiu!
Na wojenkę daleczką!

Weź mnie Jasiu z sobą,
Rada jadę z tobą
Na wojenkę daleczką!
Co będziesz robiła
Kasiu, Kasiu miła,
Na wojence daleczki?

Będę chusty prała
Złotem wyszywała,
Na wojence daleczki!..
(Józef Lipiński Pieśni ludu wielkop. str. 77)

albo: W zielonym gajiku ptaszęta śpiewają,
Mojego Jasinka na wojnę wołają!
Wołają, wołają, konik osiodłany,
Komu mię ostawisz Jasinku kochany?

albo: Pojedzies?— Pojade!— Weźmies mnie ze sobą,
Będę podcinała konika pod tobą!—
Pojedzies?— Pojade w cudzą ukraine!—
Komuz mie ostawis ubogą dziewcyne?
Ostawie cie Temu, który jest na niebie:
Za rocek, za drugi, powróce do ciebie!—
(Wacław z Oleska str. 291.

Skończył się czas utroskania, żalów i utrapienia w kolejach miłości,— a skończył się z tryumfem, ze hołdowaniem pożądanego przedmiotu! Ponęta *wdzięków i łagodności* wszystkim miła, wszystkich zniewala i ostatecznie wszystko zwycięża. Tego w Sobotce nie śpiewa od siebie, gdyż byłaby to własna chwalba, tylko śpiewać zniewala skrzypka, który na gęśli śpiewowi swemu wtoruje.

PANNA XI.

Skrzypku! By w tej pięknej rocie
Usłyszeć co o Dorocie!?—
Weźmi gęśle, (1) jakoć miła,
A zagraj, nie myśląc siła!—

śnią VII, o myśliwcu, niemasz wielkiéj różnicy, gdyż w obu górującą myślą jest „chęć dzielenia przez kochankę trudów ulubionego.“ Jest to wielki błąd; w VII pieśni wyraża się tylko tęsknota, bez obawy; tu wyraża się trwoga i niekopój o życie kochanka; w obu pieśniach chęć stania przy boku kochanka jest tylko dodatkiem.

„Nieprzeplacona Doroto!
Co między pieniędzmi złoto,
Co miesiąc między gwiazdami:
Toś ty jest między dziewkami! (2)

Twoja kosa rozczosana, (3)
Jako brzoza przyodziana;
Twarz jako kwiatki mieszane
Leliowe i różane!

Nos jako sznur upleciony, (4)
Czolo jak marmur gładzony;
Brwi wyniosłe i czarnawe,
A oczy — dwa węgla prawe! (5)

Usta twoje koralowe
A zęby szczere perłowe;
Szyja pelna okazała,
Piersi jawne, ręka biała!

Serce mi zakwitnie prawie
Przy twej przyjemnej rozprawie; (6)
A kiedy cię pocałuję,
Trzy dni w gębie cukier czuję!

W tańcuś jak jedna bogini (7)
A co cię skutniejszą czyni (8)
Niemasz w tobie nic hardości,
Tymeś ludziom wszystkim miła;

Co więc rzadko przy gładkości! (9)
I mnieś wiecznie zniewolila!
Przeto cię me głośne strony
Będą sławić na wsze strony!“

---

(1) rota = czesk. rota, spolek, angiel. rout = zgromadzenie, kółko, szereg; tu oczywiścię *kółko piękności* pragnęłoby od muzyka usłyszeć co o *piękności par excellence!* A taką zdaje się była Dorota Podlodowska, zaślubiona Kochanowskiemu!— Więc tę osobliwą pieśń ma skrzypek grać nie na skrzypcach, ale na *gęśli*, instrumencie — ob longitudinem colli — zwanym od *gęsi*, (po koryntsku *gos*, po czesku hus) *gęśl*, a to jest cytra, czyli *gitara*. (Linde). (2) Jak od cora, dimin. córka,— tak od dziewa, dim. dziewka = panienka, córka. (3) Gdy masz *warkocz* rozczesany to jesteś, jak biała brzoza gałęziami spuszczonemi okryta, (4) nos masz prosty, pionowo jak sznur spuszczony, *grecki*. (5) prawe = prawdziwe, istne. (6) rozprawa = rozmowa. (7) jedna = jaka; więc niekoniecznie „Terpsychora!“ (8) skutniejszy = zchutniejszy; od chcieć,— chęć, pragnienie, żądza; zatém schutny = ten co chęć obudza, pożądany (Linde); wyraz w XVII w. już nieznany. (9) choć piękna (*gładka*) nie jesteś przecie *dumna*, co rzadko bywa (*więc*)!

Temu śpiewowi odpowiada z treści śpiew ludowy np. następujący:

Kwitnie w ogrodzie lilija biała,
Rośnie na stawie trzcina wspaniała:
Kieby lilija, kieby trzcina,
Moja nadobna dziewczyna!
Moja Marysia! matulu,
Moja jedyna!

Pięknie wzrok bawi świeża kalina,
Słodko smakuje winna malina:
Ale świeższa, jak kalina,
Jeszcze słodsza jak malina
Marysia moja! matulu
Moja jedyna!

Wszystko przemija zwykle na świecie,
Wiosna po zimie jesień po lecie:
Nasze szczęście nie przeminie,
Bo w każdéj życia godzinie
Kochać się będziem wzajemnie!
Kochać jedynie!

(Oskar Kolberg Serya VI. str. 288).

Na zamknięcie wreszcie téj serenady przecudnéj— następuje z kolei wspaniałe *finale*. W miniaturze jednego *dnia z życia sielskiego*, przy ognisku domowém w szczęśliwości rodzinnéj, streszczony jest nieskończony szereg wiejskich wczasów (przyjemności) i pożytków. Jest to znowu pieśń *opisowa;* jakie widzieliśmy na początku i w środku poematu; a jest to taka, która reasumuje niejako wszystkie poprzedzające i przypomina,— że się kończy *jesień*— a zaczyna *zima*,— tak w naturze, jak i *w życiu ludzkiém*, i *w miłości*.

Ten temat opiewa:

PANNA XII.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twéj chwale zdoła? (1)
Kto twe wczasy, kto pożytki
Może wspomnieć zaraz wszytki? (2)

---

(1) Nikt *naraz* nie zdoła wypowiedzieć twéj chwały, (2) ani wymienić wszystkich twych *przyjemności* i pożytków!

Człowiek w twéj pieczy uczciwie,
Bez wszelakiéj lichwy żywie; (1)
Pobożne jego staranie,
I bezpieczne nabywanie.

Inszy się ciągną przy dworze, (2)
Abo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi—
A śmierć bliżéj niż na piędzi.

Najdziesz, kto wpłat język dawa,
A radę na funt sprzedawa; (3)
Krwią drudzy zysk oblewają.
Gardła na to odważają!—

Oracz—pługiem zarznie w ziemię:
Ztąd i siebie i swe plemię,
Ztąd roczną czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek:

Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają;
Nań przychodzi z owiec wełna
I zagroda jagniąt pełna.

On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszytko nosi;
Skoro też siew odprawiemy,
Komin w koło obsiądziemy!

Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte
Tam trefne pląsy z ukłony, (4)
Tam cenar tam i goniony. (5)

A gospodarz, wziąwszy siatkę,
Idzie mrokiem na usadkę, (6)
Abo sidła stawia w lesie;
Jednak zawżdy co przyniesie!

---

(1) kmiotek pod twoją opieką wyżyć może uczciwie, a niepotrzebuje robić długów I oddawać się *lichwiarzom* w ręce, ani się *lichwą trudnić*, jakrobią inne stany; (2) jedni czepiają się dworów pańskich, dworu królewskiego (jak niegdyś Kochanowski) (3) drudzy są sprzedajni; albo jak adwokaci skąpo a drogo rady udzielają. (4 i 5) Bawić się będziemy w zagadki; albo tańczyć z ukłonami *pieszego* t. j *polskiego* (poloneza), albo skocznego *cenara*, albo i *gonionego*. (Maciejowski. Polska III. str. 143).— (6) Ptaki łowią albo *siatką*, albo na *sidła*.

W rzece ma gęste więcierze (1)
Czasem wędą ryby bierze,
A rozliczni ptacy w koło
Ozywają się wesoło!

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz siedząc w chłodzie,
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A faunowie skaczą leśni. (2)
Zatém sprzętna gospodyni (3)
O wieczerzéj pilność czyni,
Mając doma ten dostatek,
Że się obejdzie bez jatek. (4)

Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc ryczy;
Ona i spuszczać pomoże, (5)
Męża wzmaga jako może.

A niedorośli wnukowie,
Chyląc się ku starszéj głowie,
Wykną przestawać na małe,
Wstyd i cnotę chować w całe. (6)

Dzień tu! Ale jasne zorze
Zapadłyby znowu w morze,
Niżby mój głos wyrzekł wszytki
Wiesne wczasy i pożytki!

Obok téj Panny, postawimy *Kmiotka* z piosnką ludu wielkopolskiego następującą:

---

(1) więcierz, plecionka sztuczna do łowienia ryb; węda długa nić z haczykiem do chwytania ryb.

(2) W naszych czasach dziwném się zdaje wplątanie do poezyi czysto polskiéj i sielskiéj mitologicznego nazwiska „*faunów*“ i to quasi przez dziewicę wiejską. Wszakże za czasów Kochanowskiego, zgadzamy się t[illegible]zan. krytykiem Sobotki, „obsłonki myśli mytologiczne dla ówczesnych czytelników były zupełnie zrozumiałe;“ ale tu Kochanowski z przyzwyczajenia powtórzył to wyrażenie (znajdujące się także w Ks. I, pieśni 4), zapominając snać o tém tylko, że mniéj stosownem jest w ustach prostéj wiejskiej dziewicy, — zwłaszcza wedle dzisiajszego poczucia! (3) sprzętny = skrzętny, gospodarny; sądziliśmy, iż to błąd drukarski, ale go zatwierdzonym znaleźliśmy u Lindego; a przytém zdarzyło nam się kilkakrotnie widzieć taką przemianę liter w wymowie dialektów; mówi wieśniactwo pole płota, zam. kole koło płota i t. p. (4) nie potrzebuje mięsa kupować od *rzeźnika.* (5) *spuszczać* bydło z łańcucha, z powroza, kiedy ma wychodzić w pole; (6) potomstwo przyzwyczajone do skromnego życia starszych, zachowuje także obyczaj i cnotę przodków; z tą myślą wraca poemat do rady, którą dała Panna I.

Oj, chłopekci ja, chłopek,
W polu dobrze orzę;
Wszystko mi się dobrze dzieje
Chwałaż tobie Boże!

Nie boję się pana,
Ani okonoma,
Odrobiłem już pańszczyznę
Siedzę sobie doma!

Odrobiłem zaciąg,
Kilka dni na dali (dalej),
Za co mnie ksiądz lubi
I okonom chwali.

Mam parę koników,
Cztery wołki w plugu,
Chałupeczkę malusieńką
Bez żadnego długu!

W karczmiem nic nie winien,
Chociaż co niedzielę
Kogo piwkiem poczęstuję,
Sam sobie podchmielę.

Mam też trzech chłopczyków
I też dwa dziewczątka:
A kto na nie spojrzy,
Mówi że pamiątka!

A i przytém mając
Gospodarną żonę,
Niedbam więcéj o majątki,
Ani o fortunę!

(Piosnki Ludu Wielkop. J. J. Lipiński, Poznań 1842. str. 202).

Widzimy z tego, acz niezupełnego i niedokładnego jeszcze, zestawienia Sobotki z Pieśniami ludu, jak poemat ten przez zespolenie z duchem pieśni rodzimych, już nabiera barwy i życia. A mamy przekonanie, iż nastąpiłoby to w daleko wyższym stopniu, gdyby zestawienie było dokładniejszém i ściślejszém.

Z gruntownego bowiem źródła widocznie czerpał Kochanowski materyą do Pieśni Świętojańskiéj o Sobotce, a materyał obcy, klasyczny, który się do niéj domięszał, jest obok tego co swojskie, niemal całkiem niknący. Jakeśmy to już wyżéj nadmienili, większa liczba pieśni składających Sobotkę, nawet w oczach zaciekłéj krytyki, zupełnie jest wolną od wszelkiego śladu klasycyzmu; reszta wedle tejże saméj krytyki tak homeopatyczną onego mieści w sobie miarę, albo tak niepewną wagę, że i te razem wzięte szali zwycięskiéj na stronę klasycyzmu przechylić nie zdołają.

I cieszyć się zaiste należy, że rewizya ta, rzekłbym mikroskopiczna niemal, na Sobotce z taką ścisłością została wykonana; Albowiem z niéj wykazało się, iż w żadnym z utworów swych Kochanowski w użyciu klasycyzmu co do ilości, wstrzemięźliwszym nie był, jak właśnie w Sobotce. Co do jakości zaś jego użycia, nadmienić należy, że jako syn swego wieku, i lubo był samoistnym umysłem w nader wysokim stopniu, nie mógł nie ulegać zasadom estetycznym ogólnym, jakie naonczas panowały; zwłaszcza że to były zasady zdobyte i wykształcone pracą niezliczonych wieków przed Kochanowskim, a regułą kilku jeszcze wieków po Kochanowskim: zasady klasycyzmu.

Napojony temi zasadami, i w nich wychowany, nie mógł zaiste uważać za *piękne*, mówimy tu *co do formy* w najwyższém znaczeniu tego wyrazu, jak to, co znajdował w nieśmiertelnych wzorach poetów klasycznych Grecyi i Rzymu. „Gdy przeto wyobraźnia jego zapaliła się do jakiegoś przedmiotu lub wypadku, bądź z historyi, bądź ze zwyczajów krajowych,— używał on jako artysta do przedstawienia onego, sposobu jakim do odmalowania podobnych rzeczy posługiwali się starożytni mistrzowie klasyczni.“ Podnosił zatém znaleziony na poziomie krajowym przedmiot potąd do wysokości estetycznéj, dopokąd nie doszedł do zaspokojenia się w pragnieniu piękna; albo innemi słowy stanowisko swoje perspektywiczne od przedmiotu znalezionego dopóty oddalał, a do idealizmu klasycznego zbliżał, dopóki nie ujrzał wszystkiego w świetle i w formie, które zasady piękna zaspakajały.

Tym sposobem, dziedzina artystycznych poglądów jego na rzeczy, rozlegała się niejako w środku między rzeczywistością domową a idealnością cudzoziemską. Im przedmiot z siebie był ważniejszym i wznioślejszym, tym stanowisko artystyczne Kochanowskiego zbliżało się więcéj do formy i sposobów klasycznych;— im przedmiot był poziomszym, jak np. w Sobotce, tym stanowisko to od dziedziny klasycznéj bardziéj się oddalało a zbliżało się do samorodności krajowéj.

W Sobotce więc, gdzie panuje ton poziomy, nastrój sielski, spotykamy dla tego naprzód tak mało materyału klasycznego: bo raz tylko wspomnienie faunów i jedno greckie podanie o słowiku i nader mało „zapożyczonych (??) zwrotów lub obrazów poetycznych ze starożytności;“ ale, co ważniejsza, napotykamy tak mało tu formy klasycznéj, że jako Sielanka, Sobotka nawet formy dyalogu nie przybrała!

Lubo więc prawdą jest „że w Pieśni Świętojańskiéj niepodobna odkryć nic takiego, coby w sferze poezyi było wprost przeciwném tradycyi klasycznéj,“— to z drugiéj strony nic takiego także nie odkryjesz, a mianowicie co do układu jéj,— coby sprzeciwiało się rodzimemu uczuciu swojskości. Przeciwnie, czuć się to daje najwyraźniéj, jak Pieśni Sobotki wyrastają wprost z pieśni ludowych i wznoszą się ku słońcu klasycznemu,— które je prostuje tylko i złocistym promieniem swoim ożywia i rozświeca! (1)

Kochanowski zatém z rodzimego gruntu rodzime dobywając skarby, oczyszczał i ogładzał je tylko z naleciałości i sprosności gminnych, by z saméj istoty swojéj, tym lepiéj wedle gustu panującego zalecić się mogły, na wystawie niejako ówczesnego świata, między płodami cudzoziemskiemi podobnego rodzaju.

D. c. n.

---

(1) „Musiał się do tych pieśni natchnąć gminnemi piosenki, a nawet w wielu miejscach za temat ich użyć; z wielką sztuką idzie w ślad za myślami ludu, za tém, co go porusza, co go weseli, co go smuci. Pieśni wiejskich dziewuch ubrały się tylko jakoby w szatę świąteczną; dworka coś o przemianie w słowika zasłyszala.“ Kraszewski Nowe Studja II. 61.

POSTRZELONA

POWIEŚĆ

Williama Black'a

przekład

MARYI FALEŃSKIEJ.

ROZDZIAŁ I.

„To istne półdjable!"

Zupełne milczenie panowało w sali klasowéj. Do stolika przy którym siedziała nauczycielka, zbliżyła się młoda panienka lat około siedmnastu, wysokiego wzrostu i twarzy uderzającéj pięknością. Włosy miała czarne, bujno falujące; ciemne oczy i rzęsy ciemniejsze od nich jeszcze, a w czystych lecz śmiałych zarysach ust jéj, był wyraz dumny, a raczéj zuchwały. Lekki odcień psotnéj złośliwości zdawał się przebijać w wyniosłém lekceważeniu, stanowiącém przeważną cechę jéj rysów.

Nauczycielka zajęta przeglądaniem rozłożonych przed nią opracowań, podniosła oczy za jéj zbliżeniem się i rzekła, z wyraźnem zdziwieniem:

— Panno North, czego życzysz odemnie?

— Chciałabym zapytać panią o coś, jeśli na to pozwolisz, odpowiedziała ładna dziewczyna, mówiąc z chłodną powagą, podczas gdy ze wszystkich stron sali, uczennice wytężonem uchem nasłuchiwały każdego jéj słowa.—Życzyłabym dowiedzieć się, na jakiego rodzaju towarzystwo mamy być przygotowane, jeśli się kiedy w obce kraje wybierzemy, i czy w istocie cudzoziemcy, w rozmowach swych z kobietami, mają zwyczaj wyrażać się w sposób, który wcale u nas nie uchodzi. Kiedyśmy miały, przed chwilą, lekcyę niemieckiéj rozmowy z profesorem Siedlem, odezwał się on

bardzo dziwnie, i to kierując swą mowę do mnie, o ile mi się zdaje. Powiedział: „To istne półdjable!“ Otóż chciałam pani zapytać, czy należy nam przygotować się na słyszenie podobnych wyrażeń, w rozmowach, jakie możemy miewać w przyszłości z cudzoziemcami.

Wychudła i przedwcześnie troską postarzała twarz nauczycielki, poczerwieniała od przykrego wrażenia, jakie w niéj wywołały te słowa. Cóż miała począć w tym razie? Nie było nic zgoła otwarcie buntowniczego w obecném postąpieniu téj niepoprawnéj dziewczyny; chłodne jéj zuchwalstwo nosiło owszem wszelkie zewnętrzne cechy poszanowania i karności.

— Możesz powrócić na twoje miejsce, panno North, rzekła wstając z miejsca nauczycielka.—Zbadam niezwłocznie tę sprawę.

Panna Main, będąca zarazem właścicielką i kierowniczką zakładu, w którym ją poznajemy, czuła się mocno zafrasowaną owém zdarzeniem, i widoczne w niéj było nerwowe podniecenie, gdy po chwili weszła do pokoju, gdzie znajdował się jeszcze nauczyciel niemieckiego języka, zajęty poprawianiem ćwiczeń swych uczennic. Ujrzawszy ją, wstał, domyśliwszy się od razu z wyrazu jéj twarzy, co ją tu sprowadzało. Ów blady młodzieniec, w wyszarzaném odzieniu, bardziéj był jeszcze w téj chwili wzburzony wewnętrznie, niż nią mogła być panna Main, i łatwo temu uwierzy każdy, kto się dowie o jego przeszłości. Przed dwoma laty, porzucił on był swe ubogie domowe ognisko, w warowném szląskiém miasteczku Neisse, i pożegnał zarazem młodą dziewczynę, którą kiedyś zamierzał poślubić. Anglia, to kraj bogaty — powiadał sobie — za lat kilka będzie tam można sporo pieniędzy uzbierać i wraz z niemi przywieść do kraju cenny nabytek obcéj mowy, który da się nieraz zużytkować z korzyścią! Wybrał się tedy do Anglii, ale tam nie tak łatwo było o pieniądze, jak to sobie wyobrażał. Długo mu czekać wypadło, zanim znalazł dla siebie zajęcie, a tém była właśnie posada nauczyciela niemieckiego języka, w naukowym zakładzie panny Main. Dziś, zdawało mu się, że traci ów jedyny środek zarobienia czegośkolwiek.

Gdy podszedł ku nauczycielce—z łatwością byłaby ona dostrzegła coś bardzo do łez podobnego w blado błękitnych jego oczach, gdyby sama tyle nie była wzruszona.

— Więc powiedziała to pani?—a powiedziała prawdę, rzekł, wyciągając rozpaczliwym ruchem obie ręce ku niéj. Cóż rzeknę na moje usprawiedliwienie? Wiem żem zawinił, ale jeśli mi zechcesz pani przebaczyć, wytłómaczę się przed nią. Postąpiłem nierozważnie, nie rozumiem, jak mogłem powiedzieć coś podobnego młodéj

panience, ale chciéj pani temu uwierzyć, że potrafię błąd mój naprawić.

Panna Main odzyskała była tymczasem nieco spokoju i lepiéj już umiała nad sobą panować.

— Naprawdę, rzekla, nie wiem już sama co z nią mam począć, panie profesorze. Nie wątpię o tém, że cię potrafila z cierpliwości wyprowadzić i we wściekłość niemal wprawić, więc tém większą mi to sprawia przykrość, że ją będziesz musiał przeprosić, co jednak zdaje się nieuniknioném. Czasami myślę, że w miejscu ludzkiéj duszy, szatan jakiś obrał sobie w niéj mieszkanie. Psota, to jéj myśl jedyna, od rana do późnéj nocy; a co w tém najgorszego, to że mi wszystkie psuje pensyonarki, bo każda z nich ma ją za bożyszcze i w ogień by za nią skoczyć gotowa. Zrozumieć nie mogę téj dziewzczyny. Nieraz zagrażałam jéj wydaleniem z mego zakładu; nic o to nie dba. Myślę, że może w istocie będę musiala jéj się pozbyć, gdyż prawie niepodobieństwem jest zaprowadzić karność pomiędzy uczennicami, dopóki z nią pozostają.

Niemiec czuł się przejęty radością widząc własne stanowisko ocalone i spodziewając się pomyślnego załatwienia swéj sprawy, to uczyniło go w téj chwili wspaniałomyślnym.

— Taka zdolna uczennica! rzekł. Szkoda by jéj było naprawdę.

— Zdolna? to mało powiedzieć, podchwycila panna Main. W ciągu dwudziestopięcio letniego mojego nauczycielskiego zawodu, nie zdarzyło mi się podobnie bystrego umysłu napotkać. Nie ma dla niéj nic trudnego; byleby chciala, wszystkiego dokaże. Czy pamiętasz pan, jak szybko postąpiła ostatniemi czasy w niemieckim i we francuskim języku, i to wziąwszy się do tego już w końcu roku, dla tego tylko, że upatrzyła sobie coś do panny Wolf, i odebrać jéj chciala spodziewane dwie nagrody? Z innego też względu szkodliwą jest w zakładzie. Jak polubi którą pensyonarkę, to za nią wieczorami lekcye odrabia. Przychodzi jéj to z łatwością, a one za to gotowe zawsze jéj wtórować w każdém szaleństwie, lub niesforności. Doprawdy nie wiem sama co z nią robić.

Tu panna Main westchęła i na chwilę zadumala się zakłopotania.

— Widzisz pan, ciągnęła potém daléj z przyjazną otwartością, nie mała to rzecz dla mnie, że sir Acton North umieścił swą córkę w moim zakładzie. Nazwisko jego znane jest każdemu, więc też kiedy panny będąc w domu, opowiadają tam, że są na pensyi razem z córką lady North, to wtedy ich matki znowu—bo wiesz pan

przecie czém są ludzie—rozmawiają ze swemi znajomemi o téj lady North, jak gdyby w najbliższéj z nią były zażyłości. Co do mnie, nigdy jéj na oczy nie widziałam; ale pewna jestem, że rozumna z niéj kobieta, skoro nie chce żyć pod jednym dachem z tą dziewczyną.

Po krótkiéj jeszcze rozmowie z nauczycielem, Panna Main wróciła do sali klasowéj, gdzie także udać się musimy, dla opowiedzenia co tam zaszło podczas niebytności. Przedewszystkiém, nadmienić tu należy, iż było obmierzłym obowiązkiem pewnéj drobnéj, jasnowłoséj dziewczynki, o łagodném wejrzeniu, zapiswyać na tablicy nazwiska uczennic, któreby rozmawiały zamiast swe lekcye odrabiać, w nieobecności pany Main; w razie zaś zaniedbania tego, owa pensyonarka traciła stopnie z nauk, w dniu tym przez nią pozyskane. Otóż, tym razem, ogromna wrzawa powstała skoro się do téj czynności zabrała jasnowłosa panienka, tak, iż zmieszana tém i zatrwożona do najwyższego stopnia, a nawet bliska już płaczu, sama nie wiedziała co ma daléj począć, w swém trudném położeniu.

— Tak, pisz, zapisuj nasze nazwiska, ty niegodziwa donosicielko! wołała tęga i rumiana dziewczyna, zwana Georginą Wolf. Zapisuj nas wszystkie, bez wyjątku. O, jakaż mię bierze ochota za uszy cię wytargać!

To mówiąc, zdawała się bliską, czynem prawdę słów swoich potwierdzić; ale zaledwie je wyrzekła, głos dźwięczny zawołał tuż przy niéj: A! doprawdy, zachciało ci się tego?—i jednocześnie młoda panienka, najwyższa wzrostem z pośród swych towarzyszek, podbiegłszy żywo, rozgłośnie po karku dłonią ją klapnęła tak niespodzianie, że przerażona Georgina w tył odskoczyła z krzykiem. Cała szkoła przejęta była trwożném zdumieniem. Nic podobnego się nigdy w zakładzie nie zdarzyło. Ale po chwili tu i owdzie chichotać się poczęły pensyonarki, i niebawem wybuchnął śmiech ogólny, wywołany opłakaną porażką panny Wolf. Wkrótce jednak odezwał się znowu głos młodéj dziewczyny, górującéj wzrostem nad innemi uczennicami:

— Amy Warrener, mówiła, możesz nas wszystkie zapisać na tablicy, i to umieściwszy mnie na czele; albowiem zamierzamy wyprawić sobie małą rozrywkę. Moje młode panie, czy życzycie, abym miała do was przemowę o pracach misyonarzy we wnętrzu Afryki, i o szlachetnym celu waszych lekcyj szycia? Albo też, czy nie chcecie zabawić się trochę muzyką?

Mówiąc to, naśladowała z dziwną dokładnością postawę panny Main i sposób jéj wyrażania się, nieco przesadny. Z wielką też

powagą przeszła przez salę, kierując się ku drzwiom, i te zamknąwszy na klucz, schowała go do kieszeni. Potém, zbliżywszy się do swojego pulpitu, wzięła szal swój, w którym zdawała się mieć coś ukrytego i poszła zająć miejsce za stołem nauczycielki.

— Wiadomo wam jest, moje młode panie, rozpoczęła, poprawiając sobie niby okulary, i jakby przez nie w okolo siebie spoglądając,—że istnieje pomiędzy dziećmi obojéj plci, w środkowéj Afryce, nieprzyzwoity zwyczaj, obchodzenia się całkiem bez odzieży; zarówno wam jest wiadomém istnienie w Camberwell stowarzyszenia, mającego na celu zaopatrywanie o ile możności naszych misyonarzy w ubrania tak niezbędne tym drobnym istotom. Otóż, pojmujecie, kochanki moje, ile jest pożyteczném dla zakładu takiego jak mój, pozyskanie sobie rozgłosu miłosierdzia, a także rozumiecie, że jeśli co miesiąc potraficie się zdobyć na wyprawianie choćby kilku ślicznie poszytych sukienek, wtedy każdy się dowie jak starannie jesteście tutaj do kobiecych robót wprawiane. Wszelako, nie wszystkie wy, dzieci moje, możecie spodziewać się udziału w tym dobrym uczynku. Na każdą z was spadnie, w oczach ludzi jéj zasługa, ale ponieważ nie wszystkie równie zręcznie igłą władacie, uważam za stosowniejsze powierzać szycie owych dziecinnych ubrań kilku z pomiędzy was, które powinny mieć sobie za chlubę owo wybranie. Czyście mnie zrozumiały, kochanki moje? A teraz, ponieważ zapewne radebyście widzieć jakiego to rodzaju ludzie noszą owe śliczne ubrania, które z oszczędności waszych i waszą pracą wysyłane bywają do Afryki, zaspokoję w tym względzie waszą ciekawość. Mam tu właśnie ową czerwoną sukienkę, którą wczoraj wykończyła panna Morisson, i jeśli zechcecie być na chwilkę cierpliwemi, ujrzycie to co widzieć pragniecie.

Wzięła sukienkę dziecinną leżącą na stole, i na chwilę schyliła się po za dywan, którym był nakryty. Gdy się znowu podniosla, okazało się, iż potrafiła ukradkiem wnieść do sali klasowéj, dużą lalkę z twarzą murzynki, która teraz żywo odbijała od pąsowéj barwy ubrania i od białego przy szyi oszycia. Śmiech szalony rozległ się ze wszystkich stron. Panna North postawiła lalkę na stole, oparłszy ją o pulpit i potrącając jéj głowę to z jednéj, to z drugiéj strony, aż dopóki nie znalazła właściwéj równowagi. Powstała w sali wrzawa nie do opisania; wszelkie możliwe następstwa tego co zaszło, zostały na tę chwilę najzupełniéj zapomniane.

— Czémże teraz rozweselimy naszą małą cudzoziemkę, kochane moje panie? mówiła dalej przewodniczka zabawy. Możebyśmy jéj zaśpiewały piosneczkę: „Tam daleko na południu?“

Szał opanował był całą szkołę. Jednomyślnym popędem, wszystkie panny wyśpiewywać poczęły, a raczéj wykrzykiwać— każda innemi słowami — znaną im dobrze piosnkę, pod kierownictwem panny North, wywijającéj dzielnie linią, która jéj w tym razie zastępowała laseczkę kapelmistrza. Sama słów nie znając, poprzestawała na prowadzeniu, dosyć, co prawda niestrojnego chóru, w którym wśród zamętu zmięszanych dźwięków i wyrażeń, wyróżniała się tylko powracająca od czasu do czasu zwrotka:

Tam daleko na południu
Pod Afryki skwarnem słońcem
Nasza ziemia! nasza ziemia!

— Trochę żywiéj, moje drogie panie! Trochę głośniéj, jeśli łaska.

Zwrotka powtórzona została z ogłuszającym zapałem.

— To było daleko lepiéj, rzekła panna North. A teraz, kochanki moje, przejdziemy do łagodnego *pianissimo*, dla wyrażenia tęsknoty za rodzinną ziemią;—wszak mię rozumiecie?

Na to wezwanie, odezwał się śpiew przyciszony, podczas którego kierowniczka chóru, ocierała chustką oczy lalki z murzyńską twarzą.

— Teraz, znowu *fortissimo*, zawołała po chwili, podnosząc z nagła w górę swą laseczkę. Żwawo tę ostatnią zwrotkę. Powtarzajcie za mną słowa:

O czemuż tam już nie jestem,
Oho! oho!
Czemuż tam pozostać nie mogę,
Żyć i umierać w téj drogiéj krainie.
Oho! oho!
Tam daleko na południu,
Pod Afryki skwarném niebem,
W naszéj ziemi! w naszéj ziemi!

Ale od chwili obce jakieś odgłosy, złowrogo śpiewowi poczynały towarzyszyć.

— Panno North, proszę drzwi otworzyć, albo je każę wyłamać! odzywał się z zewnątrz głos nauczycielki, mający w téj chwili dźwięki przerażające.

— Do roboty, moje dzieci, a żywo! Każda niech zaraz będzie przy swoim stoliku! rzekła z cicha panna North, śpiesznie za-

razem rozbierając z czerwonéj sukienki są lalkę, którą w mgnieniu oka ukryła po za swoim pulpitem. To uczyniwszy, smiało ku drzwiom się skierowała.

Hałas uciszył się w jednéj chwili. Wszystkie oczy pospuszczały się na książki, ale uszy ciekawie nasluchiwały straszliwego spotkania, jakie miało nastąpić pomiędzy panną North i ochmistrzynią.

Młoda dziewczyna rozpatrzywszy się spokojnie w około siebie, i pozyskawszy pewność, że wszystko jest już w porządku, otworzyła dzwi z klucza. Wtedy nauczycielka weszła do sali, przejęta tak gwałtownym gniewem, że z trudnością mogla głos dobyć z piersi.

Panno North, rzekla, co ma znaczyć ta wrzawa, która wstyd przynosi zakładowi?

— Wrzawa, powiadasz pani? powtórzyła z wyrazem naiwnego zdziwienia zagadnięta pensyonarka. Ależ panny zachowują się calkiem spokojnie.

— Co znaczy owo zamknięcie drzwi na klucz? Jak śmiałaś zrobić coś podobnego?

— W istocie, zamknęłam je; zdawało mi się, że się coś w zamku zepsuło, odparła młoda dziewczyna, z uwagą niby drzwi opatrując. Nie widzę coby w tém mogło sprawiać pani tak wielką przykrość. Radzę, abyś się uspokoiła, a zarazem żegnam panią.

Tym sposobem, potrafiła wyjść z własnéj woli, zanim by to musiała uczynić z rozkazu. Przeszła spokojnie do sąsiedniego pokoju, i tam wziąwszy kapelusz swój i parasolkę, z domu się wybrała, dlużéj nie czekając. Że zaś ranek był bardzo pogodny, uważała za stosowne sprawić sobie przyjemność przechadzki.

ROZDZIAŁ II.

Carpe diem.

Panna North wysokiego była wzrostu, i do tego wysmukla jak trzcina. Ubranie swoje umiała wybornie zastosować do swych wiotkich kształtów, rysów delikatnych i włosów bujnych kruczéj czarności. Nosila tym razem popielatą suknię z obcisłym stanikiem i takiéjże barwy kapelusz, opasany purpurową wstążką, stanowiącą jedyne ożywienie jéj skromnego ubrania. Żaden w niem szczegól nie świadczył o świadoméj siebie chęci przyozdobienia go, zaprawdę bowiem, nie było w niczém rozmyslu w téj młodéj dzie-

wczynie. Lubowanie się w chwili obecnéj, miało u niéj cechę najzupełniéj pogańską. Przeszłość niczém dla niéj nie była; nie lękała się też przyszłości; używanie życia pojmowała tylko z dnia na dzień i w ten sposób używała jedynie jego roskoszy. Nie zastanawiała się nigdy nad tém ile jest ładną, bo też dosyć jéj było obojętném, co o niéj sądzą inni ludzie. Zadowolona była z siebie, a także ze świata, zwłaszcza gdy na nim było wesoło; silną i zdrową się czując na ciele, umysł też miała swobodny i humor jak najlepszy; z usposobienia śmiała i mało o sąd drugich dbała, z powodu własnej zarozumiałości była obojętną na wszelką naganę i śmiechem zbywała nieuniknione przykrości życia dorastającéj panienki; tak, iż owo ważne zdarzenie prawie już niezawodnego wydalenia jéj z zakładu panny Main, nie było obecnie w stanie zachwiania jéj pogodnego spokoju.

Incessit regina. Nic nie zdradzało niezgrabnéj i głupowatéj postawy pensyonarki w jéj ruchach pewnych i swobodnych a zarazem pełnych wdzięku. Gdy kogo napotykała, bądź to kobietę, bądź mężczyznę, prosto mu w oczy patrzała, z tym samym wyrazem, z jakim je zaraz potém zwracała w inną stronę, by spojrzeć na przelatującego ptaka, lub na różowe pączki głogu, poczynające już się otwierać. Wyszedłszy bowiem z zakładu, panna North znalazła się była niebawem w najwyższéj części Camberwell-Grove, tam właśnie, gdzie bogata roślinność téj obficie drzewami ozdobionéj dzielnicy, uwydatniała w téj chwili roskosznie budzące się życie wiosenne, w pękających już smolnych pączkach kasztanów, w świeżéj zieloności potężnych buków, w białym i czerwonym kwiecie bzów po pięknych ogrodach otaczających domy, których powierzchowność nie dzisiejszą nosiła cechę! Nigdy tak niespodzianie nie zawitała do nas wiosna, jak wtedy. Cała Anglia długo drżała pod szarą powłoką zimy, niezwykle w owym roku ostréj i wytrwałéj; jeszcze z końcem marca mieliśmy przymrozki, zimne od wschodu podmuchy i drzewa z liści ogołocone. Aż w tém znagła, wiatr powiał od południa i spadły deszcze ciepłe; ciemne, wilgotne chmury rozstąpiły się wraz potém i niebo cudnym zajaśniało błękitem. Dzieło przeistoczenia się przyrody, czarodziejskiém było w swojéj chyżości. Wszędzie, po zaciszniejszych ustroniach, ożywczy płomień wnętrza ziemi, wybłysnął z niéj blademi pierwiosnkami, wonnemi fijołkami, błyszczącemi złotemi kluczykami, zapowiadającemi bliskie zakwitnienie przylaszczek po łąkach. W podmiejskich nawet ogrodach, migdałowe krzewy, od razu zajaśniały świetną purpurą. Za działaniem ciepłéj wilgoci, bzy w mgnieniu oka liściem się pokryły, a w ślad za niemi pośpieszyły kasztany.

I niebawem, opromieniona chwałą rozpogodzonego nieba i ożywczych słońca promieni, pojawiła nam się słodka, szczodra, pożądana wiosna, w całéj swéj pełni, i świat zapełniony został kwiatem drzew owocowych, tchnieniem łagodnych powiewów, i śpiewem ptaków przeróżnych. O wiele przyjemniejszą było rzeczą bez wątpienia, przechadzać się podczas takiego poranku po Bożym świecie, niźli ślęczyć nad włoskiem opracowaniem, w klasowéj sali zakładu panny Main.

— Jak się nazywa to drzewo?—spytała panna North, małego chłopaka, stojącego przy bramie pewnego ogrodu, który bardziéj od innych zwrócił jéj uwagę.

— Nie wiem, mruknął ponuro chłopak.

— A dla czegoż nie wiesz, ty mały dudku? rzekła mu na to obojętnie, i daléj odeszła.

Minąwszy Grove Lane, szła szczytem wzgórza zwanego Champion-Hill, w cieniu prześlicznych kasztanów, ciągnących się długim rzędem na téj wyniosłości. Czyż podobna było wyobrażać sobie, nawet w najzaciszniejszém ustroniu Anglii, świeższych barw zieleni, czystszego powietrza, słońca promienniejszego, przy owém wiosenném światła rozbudzeniu? Nie brakło tu pomieszkań, całkiem na wiejskie wyglądających, ze spływającemi łagodnie w około nich ogrodami i gospodarskiemi zabudowaniami miniaturowych rozmiarów; były też tu i owdzie kawałki lasu, z dawnych pozostałe, którym z umysłu zachowano w pewnym stopniu pierwotną cechę dzikości; miejscami zrywały się kawki, do gniazd swoich śpieszące, gdy je szelest spłoszył, lub też przelatywały kosy i kwiczoły, z jednego drzewa na drugie. Doszedłszy do końca wzgórza, zapadającego się wreszcie dosyć stromo od strony południa, młoda dziewczyna napotkała ścieżkę, którą w dół schodzić poczęła. Tam w dali zieleniały przed nią łąki podchodzące pod przedmieście Dulwich; a po za drzewami, blade niby widma wśród promiennych blasków tego ciepłego poranku, wznosiły się wieże kryształowego Pałacu. Widok ten pociągnął ku sobie błąkającą się dotąd bez celu wędrowniczkę. Przechadzka była dla niéj prawdziwą rozkoszą w tym dniu tak pogodnym. Sama nie wiedząc dla czego, skierowała się w stronę Kryształowego Pałacu.

Jakbądź szła ku niemu, myślą całkiem obojętna względem celu, jaki przed sobą miała, krok jéj był pewny i szybki, jak gdyby spełniała zamiar z rozwagą powzięty. Lekką stopą przebiegłszy stromą drożynę spuszczającą się ku dolinie, minęła niebawem drobne posiadłości i łączki ciągnące się po obu stronach przejścia, zwanego Green-Lane i wyszła na szerszą już drogę prze-

cinającą Dulwich i wiodącą wprost do Pałacu Kryształowego. Ale nie było jéj przeznaczoném dosięgnąć bez przygody, kresu swojéj wędrówki.

W chwili gdy przechodziła przed kratami bramy, wiodącéj do okazałego jakiegoś pałacyku, wychodził właśnie z ogrodu na gościniec wysmukły murzynek, w eleganckiéj oliwkowéj liberyi, mając z sobą małego taksa czarnego. Zaciekawiona powierzchownością tego chłopaka, panna North zwolniła nieco kroku, by mu się przyjrzeć, a mijając pieska, przyjaźnie końcem parasolki dotknęła jego grzbietu. Ale uprzejmość ta jak najgorzéj została przyjęta; taks rozzłoszczony rzucił się ku niéj z największą wściekłością, i szczekając zajadle, a raczéj skowycząc i ujadając, coraz się bardziéj przybliżał, w miarę jak się cofała panna North, i wyraźnie zamierzał na nią się rzucić. Na razie, młoda dziewczyna, uczuła się mocno zakłopotaną, ale gdy spostrzegła, że murzynek więcéj był jeszcze od niéj zmieszany, trwoga jéj w gniew się od razu przemieniła.

— Cóż ty sobie myślisz, ty lasko czarnego laku? zawołała. Czemu psa twego ztąd nie odwołasz?

Ale w chwili gdy w tak opłakanem znajdowała się położeniu, nastręczyła się jéj pomoc całkiem niespodziewana. Młody jakiś człowiek śpiesznie podbiegł od drugiéj strony gościńca, i z tyłu do psa przyskoczywszy, silnie go uderzył laseczką, którą miał w ręku. Niespodziewany ów zwrót rzeczy przeraził taksa do najwyższego stopnia; nie tracąc czasu zabrał się do śpiesznego odwrotu i ze skowyczeniem przepadł po chwili pomiędzy drzewami ogrodu.

Gdy Violetta North podniosła oczy, była mocno zarumieniona, czuła bowiem, że została podpatrzoną w chwili, w któréj jéj odwaga niedopisała.

— Przykro mi bardzo, żeś się tak pani przelękła, odezwał się młodzieniec głosem dźwięcznym.

— Ach! cóżto za przebrzydłe psisko! zawołała; ale zaraz potém przypomniawszy sobie, że podobne odezwanie się nie było właściwém w obec nieznajomego, dodała:

— Dziękuję bardzo panu za wyswobodzenie mnie z tego kłopotu; naprawdę była to nie mała uprzejmość.

— Ach! nie warto nawet o tém wspominać, odpowiedział; rad bardzo jestem, żem się tu znalazł na tę chwilę.

Przez krótką chwilę stał w miejscu, jakby wahając się, potem żywo uchylił kapelusz, i rzekłszy: Żegnam panią, poszedł daléj drogą.

Ona patrzała za nim, gdy odchodził. Czy widziała kiedy takiego przystojnego, takiego prześlicznego młodzieńca? O, nigdy, z pewnością.

W dzisiejszéj chwili, niejeden z pomiędzy angielskich malarzy, upodobał sobie odtwarzanie pewnego typu piękności kobiecéj; —widzimy w nim nizkie a szerokie czoło, duże i zamglone, jakoby na wpół senne oczy, twarz pociągłą, dolną wargę od wierzchniéj nieco pełniejszą, szczęki cokolwiek zbyt wydatne, szyję kształtów okazałych. Wszystko to razem wzięte stanowi głowę prześliczną; — brak w niéj może życia i duchowego ożywienia; zmysłowa to raczéj piękność, ale niezaprzeczona piękność w każdym razie. Otóż młodzieniec ów był o ile możności zbliżoną rodzaju męzkiego podobizny owego typu, który każdy z nas tyle razy napotkał, bądź to po ciemniejszych zakątkach salonów, bądź też w pełném świetle wystaw sklepowych. Nie był on tém uosobieniem młodocianéj piękności, kwitnącéj zdrowiem, jakie wymarzyć sobie może pensyonarka, probująca wodnemi farbami odtworzyć ideał swéj wyobraźni. Ale powierzchowność jego musiała każdego uderzyć; w rysach swoich posiadał coś dziwnie odrębnego i zarazem wytwornego; włosów nie nosił krótko podstrzyżonych według mody dzisiejszéj, co się też może przyczyniło do nadawania mu owéj cechy, jemu właściwéj. W ciemnawych puklach spadały one z tyłu, dotykając prawie kołnierza. Zresztą szczupłych był kształtów, ale szeroki w ramionach, wzrostu średniego, budowy ciała lekkiéj i zręcznéj. Cóż w tém więc było złego, jeśli patrząca na niego pensyonarka, znajdowała go, w głębi ducha, wcale przystojnym młodzieńcem.

Przechadzać się samemu jednemu po Kryształowym Pałacu, nie jest koniecznie zachwycającą rozrywką. Zresztą, wszystko tam było już dobrze znane pannie North, i wrażenia widoku Indyan czerwonoskórych, oraz zdumiewającego stosu złota, utraciły były dla niéj pierwotną swą świeżość. Niemniéj jednak, znalazła tu i tym razem cokolwiek uciechy. Spotrzegłszy małego chłopaczka, który ukradkiem drażnił papugę końcem biczyka, zaszła z cicha za niego i niespodzianie tak go zręcznie popchnęła z lekka naprzód, że zanim się cofnął, papuga miała czas wyrwać mu dziobem z głowy, sporą kupkę włosów. Przerażony dzieciak wrzasnął przeraźliwie, ale gdy się obejrzał już nie było za nim Violetty, i w chwilę potém, zajęta była oglądaniem bardzo poważnie zabytków przeszłości w salach starożytnych, i rzekłbyś widząc twarz jéj zamyśloną, że słucha duchem nauk, jakiemi przemawiają do żyjących, grobowce królów, których wielkość dawno już w proch się rozpadła.

Po pewnym czasie, Violetta uczuła się głodną, i pomyślała, że dobrze by jéj było, módz cokolwiek się posilić. Udała się tedy do miejscowéj restauracyi. Gdy weszła do jadalnéj sali, czuła się cokolwiek zmieszaną; ale ją niebawem z kłopotu wybawił stary jakiś służący, który bardzo uprzejmie wskazał jéj miejsce do zajęcia przy stole, i zapytał co sobie podać rozkaże. Już miała prosić o kawałek zimnéj pieczeni, kiedy w tém przypomniała sobie, że nie jest na pensyi, i że tu może dostać coś smaczniejszego. Zażądała tedy spisu potraw i rozpatrzywszy się w nim, wybrała sobie pasztet z ostryg i baranie kotlety z groszkiem i z sosem pomidorowym.

— A co mam pani podać do picia? spytał służący.

— Proszę tylko o wodę, odpowiedziała;—ale zaraz potém dodała, rozmyśliwszy się:—życzyłabym także mieć kieliszek xeresu.

Służący odszedł, a Violetta rozglądać się poczęła w około siebie. Na samym zaraz wstępie spostrzegła z przykrém zdziwieniem, że nierozważnie zajęła miejsce przy tym samym stole, u drugiego końca którego jadł śniadanie młodzieniec, z którym niedawno temu miała spotkanie na drodze. Bardzo jéj to było nie na rękę. Cóż on może sobie pomyśleć o młodéj panience, która sama jedna po gościńcach wędruje, i spokojnie wchodzi na śniadanie do restauracyi? Dziwném było trochę zaprawdę, że się niepokoiła tém przypuszczeniem panna North; w ogóle bowiem, bardzo ją mało obchodziło czyjekolwiek o niéj zdanie; w tym jednak razie poczęła pragnąć pozyskania możności wytłómaczenia swego zachowania się przed nieznajomym młodzieńcem.

Sposobność potemu nastręczyła się jéj niebawem. Ów stary służący, tyle uprzejmy w witaniu gości zakładu, wyraźnie zapomniał był o jej żądaniu; czas upływał, a czekająca coraz mniéj cierpliwie Violetta, nie widziała przybywającego swego śniadania. Chciałaby była zwrócić w jakikolwiek sposób na siebie uwagę służącego, ale usiłowania jéj w tym celu pozostały bezskuteczne. Widząc jéj zakłopotanie, młodzieniec siedzący przy tym samym co ona stole, odważył się przemówić do niéj.

— Chciéj mi pani przebaczyć, rzekł, ale jak uważam, służba tutejsza nie bardzo się śpieszy z wykonaniem danego jéj rozkazu. Jeśli pani pozwoli, postaram się temu zaradzić.

— I owszem, wdzięczną panu będę za tę uprzejmość, odpowiedziała rumieniąc się trochę.

Młodzieniec wstał z miejsca i udał się do bufetu, gdzie przedstawił swe zażalenie zarządzającemu restauracyą. Gdy potém powrócił, panna North uczuła żywszą coraz chęć wytłómaczenia się

przed nim ze swego postępowania. W rozpacz ją wprawiała myśl, że ten człowiek może ztąd odejść, mając ją za osobę tak mało dbałą o wszelką przyzwoitość, iż zwykłą jest uczęszczać sama jedna do restauracyi.

— Mam więc znowu względem pana obowiązek wdzięczności, rzekła, uśmiechem usiłując pokryć swe zakłopotanie. Sądziłam, że mię tu chcą głodem ukarać, za to, żem się samowolnie z pensyi wydaliła.

— Jakto pensyi? spytał zaciekawiony, przysuwając się z krzesłem nieco bliżéj, i czekając dalszych wyjaśnień.

— Tak jest; powinnabym w téj chwili znajdować się w zakładzie, gdzie zostałam umieszczoną, odpowiedziała, postanowiwszy za jakąbądź cenę, korzystniejsze o sobie mniemanie u niego pozyskać. Tymczasem—tak się stało, że wyszłam z domu i—i teraz głód mi nareszcie dokuczył. Więc tedy—pomyślałam; że nie mam innego sposobu, jak wejść do téj restauracyi.

— Ma się rozumieć, rzekł, cóżby w tém miało być złego?

— W ogóle, zostawiano mi zawsze bardzo wiele swobody, mówiła daléj Violetta, ciągle jeszcze niespokojna i chwytając się środków ostatecznych, by poprawić swoje stanowisko w oczach nieznajomego. Ojciec mój ma zawsze cały czas zajęty interesami kolejowemi, macochy zaś mojéj nie lubię, więc nigdy w domu nie przebywam. Zapewue znanym jest panu z nazwiska mój ojciec—sir Acton North?

Teraz czuła się już zadowoloną. Wiedział przecie, że nie ma do czynienia z roztrzepaną jaką pokojówką, która sobie sprawiła całodzienne wakacye. Wymówiła te ostatnie słowa jak najwyraźniéj i z pewnym odcieniem dumy; potém czekała spokojnie, sądząc, że nieznajomy odsunie teraz swe krzesło i do rozpoczętego śniadania powróci. Ale wcale tego nie uczynił i rzekł tylko skwapliwie z wyrazzm uszanowania:

— Nie ma nikogo, komuby znaném nie było nazwisko sir Actona North. Szczęśliwy jestem, żem mógł chociaż małą przysługę pani wyświadczyć. Sądzę, że może nawzajem nie jest obce nazwisko mojego ojca Jerzego Millera?

— Nie słyszałam o niém, odpowiedziała z pewném zafrasowaniem, jak gdyby nieświadomość jéj co do tak znakomitéj osobistości, wcale źle świadczyła o jéj wychowaniu.

— Doprawdy? rzekł młodzieniec. Otóż trzeba wiedzieć pani, że mój ojciec bardzo jest znany jako zamożny kupiec, a więcéj jeszcze jako gorliwy wyznawca protestanckiéj wiary. Często pre-

zyduje na zebraniach i hojny bierze udział w składkach publicznych i wszelkich sprawach religijnych.

— O ile sobie przypominam teraz—zdaje mi się, żem o nim słyszała, rzekła panna North, uważając iż wypada jéj koniecznie wiedzieć cośkolwiek o tak ważnéj osobie.

W tém miejscu rozmowy, zdawało się jéj, że powinnaby nie przedłużać się więcéj. Nie ma powodu dla młodéj panienki odzywać się dłużéj niż tego wymaga potrzeba, do młodzieńca, który jéj nie był przedstawionym, nawet choćby oboje nawzajem cośkolwiek wiedzieli o znakomitém stanowisku swoich rodziców. Ale młody Miller zdawał się uprzejmym i miłym chłopakiem, którego uśmiech szczery i pełen dobroci, świadczył, że wszelka sztywność światowa równie mu jest obcą, jak usposobienie do zamknięcia się w sobie. Tymczasem pasztet został już podany, teraz nadchodziła koléj na kotlety.

— W tém pani zbłądziłaś, rzekł młodzieniec, żeś zażądała potraw mniéj zwyczajnych, mając mało czasu do stracenia. W podobnych razach, zawsze dłużéj czekać wypada.

— Nie znajdowałam się dotąd nigdy sama jedna w restauracyi, odpowiedziała mu na to z pewném rozdrażnieniem. Czyż ów nieznajomy trwał w przekonaniu, że podobne śniadania były dla niéj rzeczą zwyczajną?

— Czy mogę zapytać, jak się nazywa pensya, na któréj się pani dotąd znajdowałaś? zapytał z wyrazem przyjaznego zajęcia w wejrzeniu.

— O czémuż nie? odpowiedziała, odzyskawszy już ową niedbałą swobodę, która zwykłą jej była. Jestto zakład naukowy panny Main, na Camberwell-Grove. Wiedziałam, że mię z niego chce wydalić. Wyprawiłyśmy sobie pewną zabawkę w sali klasowéj, podczas jéj nieobecności—trochę tam może było za wiele hałasu—dosyć, że chociaż już nieraz skończyło się dla mnie na groźbach, tym razem widziałam, że źle z twarzy patrzy pannie Main, i że ta sprawa nie załatwi się jak z innemi bywało. Więc tedy, zabrałam się i z własnej woli pensyę opuściłam. A co prawda, ten poranek był jakby wymarzony do przechadzki!

— Rzeczywiście, rzekł, z wyraźném zafrasowaniem; ale teraz cóż pani daléj zamierzasz uczynić?

— Albożja wiem sama? Dosyć mi zostanie czasu do pomyeślnia, gdzie się mam udać, podczas gdy będę do miasta wracała.

— Czy sama jedna chcesz pani wracać do Londynu?

— Czemużby nie? wszakże tak samo tutaj przyszłam.

— No, ależ to przecię nie jest jakoś we zwyczaju, rzekł wyraźnie zakłopotany, aby młoda panienka w ten sposób się przechadzała. Sądziłbym, że—że wypadałoby pani wprost do domu się udać.

— Ojciec mój znajduje się obecnie w okolicy Jorku, z macochą zaś nie bardzobym rada się spotkać. Zdaje mi się, że spędziłabym z nią nie bardzo miły wieczór, dodała z szczerością.

— Gdzież więc tedy?...

— O, wiem dobrze gdzie pójdę! przerwała mu obojętnie. Przychodzi tam na pensyę mała dziewczynka, którą sobie upodobałam; ona mię też bardzo lubi. Wiem, że mieszka z matką i z wujem na Camberwell-Grove, w pobliżu naszego zakładu. Z pewnością przyjmą mię oni do siebie, bo to bardzo dobrzy ludzie. Ten pan Drummond—tak się nazywa ów wuj mojéj przyjaciółki—to dziwny trochę człowiek; nigdy wiedzieć nie można, kiedy mówi poważnie, a kiedy żartuje. Osobliwe nieraz rzeczy wypowiada-a czasami, to się do rozpuku śmieje, mówiąc coś takiego, w czém by nikt się żartu nie dopatrzył.

— Sądząc ze słów pani, wnoszę, że mu piątéj klepki brakuje.

— Ale gdzież tam! To najdorzeczniejszy i najprzyzwoitszy człowiek, jakiego kiedy napotkałam.

Czy jéj się to zdawało, czy też w istocie ta pochwała, z żywością wyrzeczona, niemiłe na nim zrobiła wrażenie? Bądź co bądź, dodała spiesznie, choć niby mało przywiązując wagi do tego co mówiła:

— Widzisz pan, to stary już człowiek — a przynajmniéj średniego już wieku — ma więcéj niż lat trzydzieści, o ile mi się zdaje.

Skończyła była tymczasem jeść śniadanie — młodzieniec zaś o swojém całkiem jakoś zapomniał; zażądała więc rachunku od służącego. Miała z sobą dosyć pieniędzy i dała mu na piwo szylinga, wynagradzając staranność, z jaką została obsłużoną.

— Czy nie pozwolisz pani, abym cię do powozu odprowadził, jeśli chcesz powrócić kolejowym omnibusem? spytał jéj nieśmiało Jerzy Miller.

— O nie, dziękuję panu, odpowiedziała ze spokojnym uśmiechem; dam sobie sama rady wybornie.

W tém prawdę szczerą mówiła.

— Przykro mi bardzo, rzekł znowu młodzieniec, że nie mogę na przyszłość liczyć u pani na prawa znajomgo, a to z powodu że—że spotkanie nasze nie całkiem się odbyło według form świa-

towych; ale czy pozwolisz mi pani, w razie gdybym mógł być przedstawiony twemu ojcu...

— O bardzo mi będzie przyjemnie, jeśli go pan bliżéj poznasz, odpowiedziała z uprzejmą prostotą.

— Oprócz zaszczytu, jaki mię ztąd spotka, miałem tu na myśli inny wzgląd jeszcze, rzekł Miller. Zdaje mi się, że przedstawiwszy się ojcu pani, wynagrodzę w pewnéj mierze brak z mojéj strony owéj formalności, przy naszém dzisiejszém spotkaniu.

Roześmiała się serdecznie na te słowa i rzekła:

— Myślę, że już dostatecznie przedstawiliśmy się sobie nawzajem, za pośrednictwem rozzłoszczonego taksa i służącego skłonnego do zapominania się. Dziękuję panu za tyle dobroci i zarazem żegnam go.

Rzekłszy to zabierała się do odejścia, z postawą nieco dumną, a zarazem niedbałą, jaka jéj była właściwą; gdy w tém zatrzymał ją, wziąwszy jéj rękę, którą uścisnął. Wstała już była z miejsca; nie wypadało jéj jakoś cofnąć się przed tą oznaką jego uprzejmości, przyjęła ją więc przychylnie.

— Mam nadzieję, że to nasze spotkanie nie będzie ostatniem. Odezwał się jeszcze do niéj z wyrazem, który dosyć na niéj sprawił wrażenia, aby nieraz o nim pomyślała, gdy się sama znalazła w zacisznym zakącie powozu. Czyż naprawdę on życzył zobaczyć się z nią znowu? I czy zdawało się to możliwém w przyszłości? A także, coby powiedzieli ludzie przyzwoici, gdyby wiedzieli o jéj przygodach w ciągu tego poranku?

Ale niewiele o to dbała. Wysiadła na stacyi Denmark-Hill, i spokojnie poszła w stronę mieszkania Jamesa Drummond, znajdującego się na wyższym krańcu Camberwell-Grove.

ROZDZIAŁ III.

Przedmieściowy filozof.

Domek ten przypominał dosyć chatki do zabawy dla dzieci. Nizki był i bokami dosyć przedłużony, ale kształtów nieregularnych, z werendą w około, podpartą słupkami bluszczem oplecionymi i spiczaste miał daszki, szczytami ku przodowi zwrócone. Od strony wejścia drzew kilka widać było i cokolwiek krzewów; z tyłu zaś rozciągał się obszerniejszy już ogród. Panna North nie uważała za stosowne szukać tu pośrednictwa służących, i będąc przekonana, że w razie niebytności gospodarza domu, zastanie jego siostrę

panią Warrener, która z nim mieszkała od czasu swego owdowienia, lub też córkę jéj Amy; obeszła dom ścieżką, która go okrążała, by się dostać do tylnéj jego strony. Tam w istocie znalazła pana Drummond, siedzącego w wygodném krześle pod werendą z fajką w ustach i zajętego czytaniem. Tak jéj się przynajmniéj zrazu wydało, ale podszedłszy bliżéj, przekonała się, że chwilę tę poświęcał próżniaczemu marzeniu, błądząc wzrokiem po drzewach pokrytych kwieciem i po krzewach, które poczynały rozczerwieniać się gorącemi barwami zachodu.

Zerwał się z miejsca gdy ją zobaczył, i niekoniecznie w porę śmiać się zaraz począł. Był to szczupły i wysokiego wzrostu mężczyzna, trochę w ruchach niezręczny, z bardzo nieregularnemi rysami, których wyraz zmieniał się za każdą niemal chwilą. Z tém wszystkiem było coś szczególnie pociągającego w téj dziwnéj twarzy, w bystréj jéj ruchliwości i szybkim popędzie do śmiechu, a najbardziéj może w pięknym i szlachetnym wyrazie oczu nabranych życiem, przenikliwych, a jednak zarazem pełnych łagodności i słodkiego powabu. Violetta North wielce lubiła i poważała tego swojego przyjaciela; ale zdarzało się czasem, że w niéj pewną trwogę obudzał. Nie zawsze podążyć umiała za szybkiemi zwrotami jego wesołości; wiecznie po za żartami jego dopatrywała szyderstwo. Wyraźném dla niéj było, że jakiegobądź przedmiotu dotknęła rozmowa, on głębszy o wiele miał co do niego pogląd, niźli ona, niż ktokolwiek inny, jakbądź niebawem zbywał rzecz całą śmiechem, upatrzywszy w niéj stronę jakąś pocieszną od nikogo niepostrzeżoną. Człowiek ten miał w sobie dziecinną psotność, właściwą ludziom obdarzonym iskrą geniuszu, i posiadał ją też niezawodnie chociaż nie dał jéj poznać niczém światu dotychczas, i nie zdawało się prawdopodobném, aby to kiedy uczynił. W pierwszéj jego młodości, dotknęło go było nieszczęście w postaci spadku wynoszącego sześćset funtów rocznego dochodu. Z usposobienia skłonny był do nieuleczonéj niedbałości we własnych interesach; ale głowa jego za to nieustannie pracowała i wytwarzały się w niéj coraz to nowe pomysły i zwroty duchowe; a on się niemi lubował, i przerzucając się w najrozmaitsze prądy myśli, tém sobie życie zapełniał; do żadnéj zaś stałéj pracy, ani do stałych nawyknień nie mogąc się nagiąć. Człowiek ten nie miał nic wspólnego z otaczającym go światem; cele też zwykłe życia zostawiały go całkiem obojętnym; ale potrafił był nagromadzić sobie niemały zapas teoryi, ku usprawiedliwieniu swéj zewnętrznéj bierności. Należał do rodziny zamożnéj, ale nigdy nie pragnął zbliżenia z bogatszymi od siebie, lub wyższe zajmującemi

stanowisko krewnemi. Na uniwersytecie będąc, słynął ze świetnéj wymowy i ze zręczności, z jaką umiał w rozprawach bronić własnego zdania; uchodził za szermierza słowa, któremu nie łatwo było placu dotrzymać, ale zarzucano mu dziwaczną oryginalność w zdaniach; pracowity był dosyć i wyraźnie nie brakło mu zdolności, a jednak mało kto opuścił kiedy uniwersytet, mniéj w nim zdobywszy sobie rozgłosu. Miał wielu przyjaciół, ale ci, kochając go szczerze, znali jednak jego błędy. Nie więcéj miał pojęcia o wartości czasu od ptaka lub od motyla; największą mu bywało trudnością trafić na pociąg, którym miał odjechać, ale czyż mógł dotrwać w swym złym humorze, choćby najgorzéj usposobiony dla niego towarzysz podróży, gdy mu z nieopłaconą swobodą poczynał dowodzić, że nie ma lepszego miejsca do poważnych rozmyślań nad stacyę kolejową? Posiadał szalone zamiłowanie do paradoksów, wprowadzając często w niemały kłopot młode kobiety, słuchające w milczeniu jego monologów. Bywał także w zapasach słowa nieraz podstępny; zostawiał cierpliwie przez czas jakiś swgo przeciwnika w przekonaniu, że jest bliskim zwycięztwa; z umysłu przedstawiał słabsze wywody,—aż wreszcie z nienacka, w ostatniéj chwili, drgnienie niby jakieś przebiegało po jego dziwacznych rysach, błysk wesoły rozjaśniał mu wejrzenie, i znagła niespodziewanym jakimś konceptem znowu na wierzch wypływał, pozostawiając na dnie pokonanego zapaśnika.

Nieraz z nim też miewała siostra niemało kłopotu. Blada ta, drobna, jasnowłosa kobiecina, wielką wiarę w swym bracie pokładała, i pewna była, że nie ma od niego człowieka lepszego i rozumniejszego. Trzeba było jéj łagodności i przywiązania, aby módz słuchać z podobną cierpliwością osobliwszych niedorzeczności tego niestrudzonego rozprawiacza. Ale co w nim było najgorszego, to że zwykł był rzucać zdania urywkowe, pod wrażeniem czytanéj właśnie książki, lub chwilowéj jakiejś okoliczności,—a zaraż potém, wtedy właśnie gdy ten do kogo się odzywał, starał się zebrać myśli, by go zrozumiéć, przeskakiwał niespodzianie do czego innego, ani się domyślając, że go zostawił nie wiedzieć jak daleko za sobą. Czasem usiłował dowieść, że podobne przerzucanie się, pozostawiało myśl jego w związku z poprzednim jéj torem i z niego wynikało—ale nie bywało tak nigdy, co prawda.

— Czy wiesz co ci powiem? mówił naprzykład do swéj siostry—oto upatruję czasem w Fawcecie rodzaj politycznego Shelleya.

Potém była chwila milczenia.

— W jakiém rozumiesz to znaczeniu? pytała jego siostra po pewnym namyśle.

Znowu nastąpiło milczenie.

— Co? mówisz o Fawcecie? Otóż myślałem właśnie, iż w razie gdyby Izba Gmin zatwierdziła bill powszechnego głosowania, to ten mały psiak chybaby zdechł ze zniechęcenia i rozpaczy. Jednę słabą stronę mają wszystkie psy—niepodobna wszczepić w nie pojęcia wyższości duchowéj. Wszystko dla nich stanowi wytworna powierzchowność—nie rozumieją, aby wielka dusza kryć się mogła pod wyszarzaném odzieniem. Ogonem kręcić będą na powitanie zawolanego oszusta, a uczciwy pracownik podejrzliwość w nich obudzi, i za pięty chwytają choćby najzacniejszego żebraka. Saro, potrzeba abyś koniecznie zaprzestała owego bezwzględnego rozdawania jałmużny—pomyśl sama, ilu to oszukańców ciebie wyzyskuje.

Siostra wielkie oczy na to zrobiła i łagodnie probując się bronić, rzekła:

— Ależ nie daléj jak wczoraj, dałeś pięć szyllingów temu staremu Francuzowi.

— No prawda, odparł nieco zmieszany, widzisz — myślałem sobie—że choćby to nawet był oszust, wygląda w każdym razie na wielkiego biedaka—ale to był jedyny wypadek. Postępowanie twoje w tym względzie, Saro, jest systematyczném obrażaniem wielkich zasad przezorności.

— Czynisz to samo w daleko wyższym stopniu, niźli ja, odpowiedziała śmiejąc się, i wyszła, nie potrafiwszy się dowiedzieć w czém Fawcett był rodzajem politycznego Shelleya.

Już tylko parę słów dodać potrzebujemy, do owego pobieżnego i bardzo niezupełnego opisu nader wybitnéj, a nawet świetnéj osobistości, któréj stron rozlicznych, tryskających najrozmaitszém światłem, niepodobna w żaden sposób jedném objąć wejrzeniem. Człowiek ten nie zazdrościł niczego, ludziom, którym się lepiéj na świecie powiodło, niż jemu. Miał pewien rodzaj obranego zawodu—jeśli nim nazwać można pisywanie od czasu do czasu artykułów, do tego lub owego pisma naukowego. Nie potrzeba nam dodawać, że współpracownictwo to nie było bynajmniéj stałem; na takie nie umiałoby się nigdy zdobyć niesforne i kapryśne usposobienie tego osobliwszego człowieka, który dorywczo nawet tylko dając redaktorom swe prace, i wtedy jeszcze umiał nieraz wystawiać na ciężkie próby ich cierpliwość. Nikt nie mógł nigdy przewidzieć, w jaki sposób przyjdzie mu fantazya zapatrywać się na tę lub ową książkę, lub kwestyę, którą rozbierał. Ma się rozumieć, że gdyby nie owe nieszczęsne sześćset funtów rocznego do chodu, które w spadku otrzymał, mógłby był przyciśnięty potrzebą, zdobyć się na jaki utwór nieposledniéj war-

tości. Ale nie bylo nawet nadziei, aby mógł kiedy owo dziedzictwo zmarnować; żył bardzo skromnie i ograniczał się o ile możności w domowych wydatkach— hojnym zaś był tylko dla biednych i w podarunkach nieustannie czynionych przyjaciołom. Jedynym jego zbytkiem osobistym, bywały długie i roskoszne wakacye, które sobie urządzał każdéj jesieni. Jak to wyżéj powiedzieliśmy, Drummond nie znał zawiści względem powodzenia ludzi od niego praktyczniejszych; nie szemrał nigdy, ani też niechętnie o drugich się wyrażał. Płomień jego życia nadto był jasny i wesoły, aby się z niego kopcący dym mógł wytworzyć.

— Wystaw sobie tylko—powiadał także, a zawsze do owéj potulnéj słuchaczki swojéj—co to za wielkie dla człowieka przedsięwzięcie, usiłować rozgłos sobie zdobyć. Dopóki siebie nie wyprobuje—co nieraz może trwać przez cale lata—sam nie wie czy mieści się w nim cośkolwiek—więc zważ, co to za straszliwa rzecz narażać się na porażkę i na zawody ponawiające się przez cały ciąg życia. Bo widzisz, raz się wdawszy w owe wyścigi, których metą jest sława lub bogactwo, niełatwo z nich się wycofać. Honor wiąże się z niemi—w około siebie widzisz zewsząd współzawodników—a co gorsza, w razie odwrotu czekają cię szpilkowe ukłucia zawiedzionéj gawiedzi i oszczekiwania krytyki;—jednéni słowem, wszystko to, razem wzięte, pcha wtedy naprzód człowieka, prawie mimo jego woli. Czyż nie sądzisz tedy, że jest rzeczą mądrzejszą, dla ludzi, których nie pociąga ku owym zapasom wyjątkowe jakieś przeświadczenie własnéj siły, unikać ich najzupelniéj, i żyć życiem spokojniejszém i zaciszniejszém?

Sara podzielala to zdanie; nie przypuszczała nigdy aby brat jéj mógł się mylić w czémkolwiek, wtedy nawet kiedy najwyraźniéj bywał z sobą samym w sprzeczności, co zdarzało się mniéj więcéj, ze sześć razy na dzień.

— Cóż tedy panno Violetto, słyszałem, żeś się bardzo dzisiaj odznaczyła na pensyi? rzekł do młodéj panienki pojawiającéj się przed nim niespodzianie.

— Tak mi się zdaje, odpowiedziała z uśmiechem nieco zakłopotanym.

— A cóż teraz zamierzasz daléj z sobą począć?

— Sama tego nie wiem.

- I malo cię to może obchodzi.

— Zapewne.

Ruszył tylko ramionami. W téj chwili wyszła z salonu na werandę siostra jego, na któréj twarzy, żywszy daleko znać było niepokój. W Drummondzie, ów dziwny okaz ludzkiéj istoty, jaki

przedstawiala Violetta, zdawal się budzić jedynie zajęcie badacza, pani Warrener przeciwnie żywiła szczerzą przychylność dla młodéj dziewczyny, która zaprzyjaźnila się byla z jéj córką i w stałém z nią na pensyi pozostawała przymierzu. Oboje jednak, czuli niemały pociąg ku pannie North. Dla Drummonda było coś dziwnie czarującego w bezwiedném siebie, a tak cudowném rozkoszowaniu się jéj samą istotą życia, w jéj śmiałéj otwartości, a także w bystrém i jasném pojęciu o rzeczach, które wyrobić sobie umiał umysł téj młodziutkiéj pensyonarki. W nie jednym względzie, dzieweczka ta lepiéj świat znała niż jéj łagodna przyjaciółka i nie śmiała doradczyni, pani Warrener. Co do téj ostatniéj, pokochala byla coraz bardziéj ową szczerą, odważną, wypowiadającą śmiało własne zdanie, przyjaciółkę swéj córki; ale nie zabawiala się—jak to czynił brat jéj—szaleństwami i psotami Violetty, które owszem nieraz ją niepokoiły, a rzadko bardzo kiedy bywały dla niéj powodem do śmiechu.

— Ach, moja droga, rzekla, cóżeś ty zrobiła? Powiedz, w czém możemy dopomódz ci teraz?

— Naprawdę, w niczém prawie, o ile mi się zdaje, byla posępna odpowiedź młodéj dziewczyny.

Pozornie, Violetta zdawala się nieco zawstydzona wybrykiem, jakiego się dopuścila, ale przy bliższéj uwadze dostrzedz bylo można, nawpół tajony, a dziwnie pocieszny jakiś wyraz w twarzy niepoprawnéj grzesznicy. która nie wydawała się wcale upokorzona w głębi ducha-

— Czy chcesz abym cię do domu odprowadził, panno Violetto? zapytał James Drummond. Poproszę twoich rodziców, aby się za tobą wstawili do panny Main.

— O nie ma co o tém myśleć, rzekła. Mój ojciec znajduje się teraz w hrabstwie Jork.

— Ależ przecie lady North...

— Ach, radabym też widzieć moją macochę, zadającą sobie choćby najmniejszy trud dla mnie! Nigdy mię ona nie lubiła co prawda, ale odkąd zamieszkala na Euston-Square, to już mię na dobre znienawidziła.

— Cóż ma z tém wspólnego Euston-Square?

— O, ma bardzo wiele, bo trzeba panu wiedzieć, że ja na téj saméj szali byłam położoną z owem mieszkaniem.

— To zaczyna być na prawdę ciekawém, rzekl Drummond; ale siądźmy o to lepiéj, jeśli nas chcesz dalé zabawiać zagadkami. Oto masz krzesło, panno Violetto, a tu Saro miejsce dla ciebie.

Więc tedy, powiadasz panno North, że byłaś w tym razie rodzajem zrównoważenia?

— Tak jest odpowiedziała chłodno, zaplatając swe ręce na kolanach. Nie długa to rzecz do opowiedzenia. Wiadomo jest państwu, że macocha moja nie należała nigdy do eleganckiego świata. Ojciec jéj robił pieniądze na odprzedawaniu willi podmiejskich, które budował całemi kopami, jak najtańszym kosztem; mieszkał w dzielnicy Highbury, — przy obiedzie u siebie, gotów był swym gościom mówić ile zapłacił za wino które piją — jednem słowem, taki oto rodzaj człowieka. Ale kiedy poszła za mojego ojca—ostatnie to słowo wymawiała zawsze panna North z pewnym rodzajem dumy—bardzo zapragnęła przenieść się z Highbury do Park-Lane, albo też do Palace-Gardens, i chciała dostać się do salonów wielkiego świata. Otóż, ojcu mojemu nie dogadzało to wcale. Spędza on większą część życia na kolejach; zaledwie od czasu do czasu zajrzy na jakich dni kilka do Londynu, daleko więc mu było dogodniejszém zamieszkać na Euston-Square, niźli na Belgravia naprzykład, lub też na innéj równie wytwornéj ulicy. Powiedział więc mojéj macosze, że jeśli zechce upatrzyć sobie mieszkanie na Euston-Square, w takim razie, on ze swéj strony to uczyni dla jéj spokoju i dogodności, że mnie do nieograniczonego czasu na pensyi pozostawi. Czy rozumiecie teraz państwo? Co do mnie, zapewniam żem się mocno ucieszyła, dowiedziawszy się o téj wzajemnéj umowie; bo wiedziałam że każdy dom w którym byśmy razem z macochą zamieszkały, okazał by się niebawem za ciasnym aby nas obie mógł pomieścić. Nie myślę jednak żeby ona równie dobrze wyszła na owym układzie.

Przypuszczenie to wyrażone zostało przez Violettę z taką prostotą i pozorną naiwnością, że Drummond parsknął śmiechem, gdy tymczasem siostra jego zdawała się trochę zgorszona.

— Cóżeś jéj więc takiego spłatać potrafiła?—zapytał.

— O, alboż to kobiety nie znajdą zawsze sposobu dokuczenia jedna drugiéj, kiedy im się tego zachce? — odpowiedziała chłodno Violetta.

— No, teraz nam trzeba zobaczyć co mamy począć, rzekł Drummond, wstając z miejsca. Przejdziemy się po ogrodzie i porozmawiamy o tem miłem rzeczy położeniu.

Zeszli wszyscy troje ze schodów, i pani Warrener, wsparłszy się na ramieniu Violetty, poszła z nią wązką ścieżką wiodącą w głąb ogrodu; tuż obok nich postępował Drummond. Dwie te kobiety dziwną pomiędzy sobą sprzeczność stanowiły — jedna wysmukła, prosta i wiotka, jak młoda topola, z dumnemi ustami i wyrazem

szczerości, wesela i odwagi na twarzy, z wzrokiem rozjaśnionym blaskem młodości i siły; druga zaś, drobna, szczupła, posępna, z czołem nieraz zachmurzonem troską i niepokojem. Obok nich szedł nasz filozof, chudy, wysoki, nieco pochylony, udręczając swe towarzyszki niewiedzieć ilu niedorzecznościami, gotów co chwila wybuchem śmiechu wyszydzać ich uwagi, jeśli szyderstwem nazwać można serdeczną i szczerą wesołość — a jednocześnie też skory do wszelkiéj ofiary, którą mógłby, za poradą siostry, przyjść w pomoc temu dziewczęciu. Wieczór ów prawdziwie był roskoszny w tym cichym i ustronnym ogrodzie podmiejskim. Ostatnie blaski rozczerwienionego zachodu już dogasały na niebie i ustępowały z drzew owocowych kwiatem pokrytych. Lekkie wrażenie chlodu dawało się czuć w powietrzu, a slodka woń bzów rozkwitlych silniejszą się stawała i bardziéj przenikliwą.

— Nie lękajcie się państwo, abym wam tu była ciężarem, rzekla panna North, ze zwykłą sobie otwartością. Przyszłam poprosić was tylko o słówko porady. Wybrnę przecie z tego jakkolwiek.

— Czyż podobna abyś nam mogła wydawać się kiedy ciężarem? — odpowiedziała jéj na to z serdecznym wyrazem pani Warrener. Wiesz przecie, że w najgorzzym razie, możesz tu przybyć i z nami pozostać.

— Sądzę, że wtedy najgorsze staloby się odrazu dla mnie najlepszem, odpowiedziala ze spokojną powagą Violetta.

— Zdaniem mojem, odezwał się Drummond, usiłujący pochwycić motyla, który się widocznie bardzo spieszył z powrotem do domu, powinnabyś zostawić pannie Main całą noc do ochłonięcia z gniewu; jutro zaś rano, pójdę do niéj i wstawię się za tobą. Myślę, że jesteś na to przygotowaną, iż będziesz musiała ją przeprosić.

— O tak, odpowiedziała panna North, na twarzy któréj nie widać było jednak wcale skruchy grzesznicy, świadoméj swéj winy.

— O ile mi się zdaje, ciągnął daléj nasz teoretyk, panna Main należy właśnie do rzędu kobiet, najłatwiejszych do przebłagania. Z tego co mogę o niéj sądzić, po kilkorazowem widzeniu się z nią, wnoszę że jest mało wymagająca i wcale nie próżna. Ludzie zaś próżni tylko—już to nieraz zauważyłem—łatwo się urażają i w gniewie bywają zawzięci. Człowiek próżny wiecznie wewnątrz siebie patrzy i przemawia do siebie tak: „Szanowny panie, najpokorniéj cię przepraszam, że naraziłem na porażkę i na śmieszność, osobę tak ważną i tak znakomitą jak ty.“ Nieustannie on cześć oddaje malemu bożyszczu, które w sobie nosi; a jeśli ktokolwiek

odrobinę błota na niego rzuci, nigdy téj obelgi nie zdoła przebaczyć. Człowiek próżny...

— Ale cóż tedy więcéj o pannie Main?—odezwała się w tém miejscu jego siostra, nie czekająca zwykle końca jego retorycznych okresów, wtedy gdy był jaki interes do załatwienia; gdyż wiedziała, że gdyby mu nie przerwano, mógł wędrować myślą po świecie do nieskończoności.

— A tak, prawda — panna Main. Otóż jak powiadam, panna Main nie zdaje mi się skłonną do chorobliwéj próżności, ani też— co zatem idzie—do zawziętości w urazie. Sądzę że nic lepszego nie możesz zrobić, panno North, jak u nas tu przenocować, a jutro rano wybiorę się do panny Main i sprobuję ją ułagodzić.

— Mam przecie nadzieję że się z niéj w oczy śmiać nie będziesz, Jamesie—uczyniła mu siostra uwagę.

— Moja ty poczciwa kobiecino, bądź spokojna; nie ma na świecie lepszego odemnie dyplomaty. I tak naprzykład: oto wracamy teraz do domu na obiad. Obiad bez kominka, to rzecz ohydna. Więc gdybym też naprzykład poddał ci myśl rozniecenia wesołego ognia, bo też wieczór zaczyna być chłodny — tak oto aby coś ku sobie oczy nasze wabiło, jak to zwykle płomień wzrok dzieci ku sobie pociąga? Ale gdzie jest Amy?—dodał znagla.

— Bez wątpienia, rzekła z pokorą Violetta, Amy trzymana jest na uboczu, ażeby się nie spotkała z istotą tak niegodziwą jak ja.

— O, wcale nie, odpowiedziała pani Warrener, mimo że nieraz znajdowała, iż zachowanie się panny North nie koniecznie jest dobrym przykładem dla jéj córki. Przyjdzie zaraz do obiadu — dodała.

— Ach pozwól pani abym poszła jéj pomódz, rzekła Violetta. Przyrzekam, że jéj wytłómaczę jak źle postąpiłam, i powiem, że z pewnością nie zrobię więcéj nic podobnego.

Tak więc, na tę chwilę, szczupłe to kółko zostało rozerwane, ale po krótkim czasie złączyło się znowu, w ładnym pokoiku, wesoło oświetlonym, około starannie zastawionego stołu, z widokiem na ogień płonący w kominku. Uczta nie była bardzo sutą, w ogóle małe to gospodarstwo utrzymywało się na bardzo skromnéj stopie, ale posiadała cenną zaprawę przyjaznéj uprzejmości, ogólnego dobrego humoru i żartobliwości dowcipnéj; za ich więc sprawą, prawdziwie rozkoszną się stawała. Skończywszy jeć obiad, biesiadnicy pozwracali swe krzesła ku kominkowi, przed którym zasiedli. Drummond zajmował swój wygodny fotel i miał w ręku fajkę, przyniesioną mu przez siostrzenicę. Violetta North znała już

dobrze spokojne a wesołe wieczory, tego zacisznego domowego ogniska, i ożywione ich rozmowy; a jakkolwiek czasami zakłopotana bywała paradoksami głównego ich przewodnika, nie była już tyle pensyonarką aby dostrzedz nie umiała błysków bystrości i wytwornego dowcipu igrających pośród tych niedbale niby rzucanych myśli i spostrzeżeń, na podobieństwo lekkich błyskawic letnich. Słuchając, bezwiednie się tu nieraz przejmowała urokiem hojnie wydzielającym się z tego skromnego ustronia, tyle dobroczynnego swym wpływem, dla istoty takiéj jak ona. Nie zawsze rozumiała dobrze Drummonda, ale zawsze znajdowała największe upodobanie w jego towarzystwie. Jeśli wytworny dowcip jakiego spostrzeżenia wymykał się jéj pojęciu, mogła przynajmniéj rozpatrzeć się w jego odbiciu, na dziwacznych rysach twarzy mówiącego. Sir Acton North nie domyślał się wcale, że córka jego w dwóch szkołach jednocześnie pobiera nauki, a ta ostatnia większą o wiele miała dla niéj wagę od zakładu panny Main. Tu, samą tylko widziała łagodność i uczynność; nagana nawet bywała pobłażliwą i paradoks znajdował wymówki dla ludzkich ułomności; a śmiech nie posiadał żądła szyderstwa. Nie uczono tu niczego więcéj Violetty, jak wyrozumiałości i umiarkowanego o sobie rozumienia, a także wpajano w nią pojęcie piękna wszystkiego co dobrem jest i prawdą. Ale ani ona nie wiedziała że ją w tym domu czegokolwiak nauczano, ani też ci od których owe nauki czerpała, nie domyślali się, że ich jéj udzielają. Jeden z tych głosów przemawiał do niéj jedynie za pośrednictwem przykładów, przedstawiających jéj samą tylko słodycz i samo miłosierdzie, drugi zaś był tak mało kaznodziejskim, że nieraz ją raził dziwacznym jakim wybrykieml lub śmiechem niepoprawnym. Jeśli, stosownie do przekonania panny Main, owa młoda dziewczyna nie posiadała duszy, w takim razie nie podobna jéj było trafić w miejsce gdzieby łatwiéj pozyskać mogła coś, coby ją zastąpić mogło w pewnym stopniu.

Następnego poranku, James Drummond wybrał się do panny Main, w sprawie przyobiecanego pośrednictwa. Cierpliwa ta, ciężko pracująca i twardém życiem wyprobowana kobiecina, wyznała mu szczerze, że z chęcią przyjęłaby na powrót pannę North do swego zakładu, gdyby nie obawa złego wrażenia jakie sprawiłoby na innych uczennicach przebaczenie tak ciężkiéj obrazy. Wszelako, udało się Drummondowi pokonać swą wymową jéj opór, i ułożywszy z nią, że panna North okupi swą winę przeproszeniem jéj w obecności wszystkich pensyonarek, wybrał się z powrotem do domu.

Gdy tam przybył, zastał Violettę, zdyszaną, bez tchu prawie. Podczas jego nieobecności, biegała o jakie pół mili drogi na przedmieście Camberwell, po jakieś sprawunki, i tylko co była wróciła, ale nie chciała powiedzieć jaki w tym miała interes.

Jednak wybrała się zaraz na pensyę, i pojawiwszy się w sali klasowéj, przeszła przez nią wśród uroczystego milczenia, kierując się ku stolikowi panny Main.

— Przepraszam panią, rzekła, za mój wczorajszy postępek, a także proszę wszystkie moje koleżanki o przebaczenie mi i mam nadzieję nie postąpić nigdy więcéj w sposób równie naganny.

— Możesz zająć swoje miejsce, panno North, odpowiedziała nauczycielka, bardzo nerwowa kobiecina, i w skutek tego rada jak najprędzéj rzecz tę załatwić.

Stosownie do tego zalecenia, Violetta odeszła w bardzo przyzwoitéj a nawet poważnéj postawie; twarz jéj wyrażała zupełny spokój, tylko w oczach baczniejsza uwaga mogła dostrzedz, że się śmiała ukradkiem. Zasiadłszy przy swoim stoliku, wysunęła szufladę i nieznacznie w nią przeprowadziła wyjęty z kieszeni cały zbiór osobliwszych różnych drobiazgów. Były tam małe kulki papierowe, blaszany kubeczek i drewniana małpka umieszczona na końcu patyczka.

Kulki papierowe były pukawkami, które rozrzucane ukradkiem po różnych stronach pokoju, pękać miały z hukiem padając.

Do uszka blaszanego kubeczka, był przytwierdzony kawałek sznurka, aby go można było uwiązać do ogona miejscowego kota.

Drewniana zaś małpa, była wizerunkiem, mającym być pokazywanym całéj klasie, ilekroć by się panna Main w inną stronę odwróciła.

Nabytki te, były celem owéj pośpiesznéj wycieczki] Violetty do sklepów w Camberwell; okazywało się tedy wyraźnie, że żal téj młodéj panienki za przeszłe przewinienia nie bardzo był szczery, i nie obiecywał zbyt długiéj trwałości.

ROZDZIAŁ IV.

Igraszka z ogniem.

Biegały po pensyi głuche pogłoski, że Violetta pozyskała sobie wielbiciela, i również że się zabrała do pisania powieści. Było w tém ostatniem nieco prawdy, i nie widzimy dla czegobyśmy nie mieli przedstawić czyteinikowi następującego ustępu,

mogącego dać mu pojęcie o kierunku i o stylowém obrobieniu téj pracy panny North. Na ćwiartkach tych widzimy pismo śmiało i wyraźnie kreślone, wierszami bardzo od siebie odległemi, tak nawet odleglemi, że naprawdę, baczne oko potrafi, byleby chciało, coś jeszcze pomiędzy niemi wyczytać.

„Był to prześliczny poranek majowy, i słońce zalewało strumieniami złota szmaragdowe błonia około wioski D... malowniczo położonéj o jakie kilka mil od Londynu. Mało dbają mieszkańcy stolicy, oddający się wyłącznie błyskotliwemu szałowi życia światowego, o te uroki świeżéj zieleni i świeżego powietrza, które mogliby znaleść w tak nie wielkiéj odległości. Wśród takiego to poranku, spotkali się z sobą po raz pierwszy nasi kochankowie, sami jedni, w miejscu mało od ludzi uczęszczaném. W dali, szarzał gościniec wiodący ku bardzo znanemu zakładowi, P. C...; widać było toczące się po nim powozy, a przed okazałemi willami zdobiącemi obie jego strony, arystokratyczne panie galopowały na pięknych wierzchowcach, śpiesząc ku dalszym krańcom widnokręgu. (1) Nasi kochankowie, całkiem oddani rozkoszy wzajemnego stosunku dwóch dusz pobratymczych, mało zwracali uwagi na owe świetne marności, od których daleko byli odbiegli, w wyższych przestrzeniach bujając; przebywali oni tam w świecie będącym ich wyłączną własnością, doznając słodyczy najzupełniéj nieprzystępnéj i niezrozumiałéj wystygłym sercom czcicieli mody i zbytku.

„Młoda dziewczyna, nazywała się Virginia Northbrock. Nie jeden mógł ją był nazwać ładną, ale nie z tego względu myślimy ją tu chwalić. Chcemy raczéj mówić o wzniosłéj jéj i poetycznéj duszy, o chęci jaką miała być prawą i szlachetną, i iść zacnie drogą żywota. Niestety! jakże nie wielu z pomiędzy nas, daném jest módz spełnić swe życzenia w tym względzie! Zasadzki i pokusy życia, opadają nas zewsząd, w ślad za nami śpiesząc, podczas naszéj wędrówki;— ale dajmy pokój tym pouczającym uwagom, miły czytelniku, gdyż potrzeba nam daléj ciągnąć nasze opowiadanie.

Była córką baroneta, nie z wysokiego wprawdzie rodu człowieka, ale takiego, który potrafił zwrócić na siebie oczy ogółu. Ożywił był znakomicie przemysłowy ruch swego rodzinnego kra-

---

(1) Okres ten, a przynajmniéj ostatnie części jego, przypomina trochę pewną nowellę wydaną parę lat temu, ale przypuszczając nawet że ją czytała Violetta, sądzimy że znakomity autor owego utworu, jako sam nieraz pomawiany o plagiaty, bez wątpienia mimowolne, potrafi być z tego względu pobłażliwym dla swéj początkującéj koleżanki.

ju, stwarzając z umiejętnością godną podziwu sieć dróg najbardziéj dla niego potrzebnych; we wszystkich częściach świata zdanie jego poszukiwane było i wysoko cenione. Ale ztąd téż, bywał niestety, bardzo rzadkim gościem we własnym domu, a ponieważ druga żona jego była złą i nie szlachetną istotą, Virginia Northbrook mogła słusznie być uważaną jako sierota.

Młodzieniec dopełniający ową młodą parę nazywał się Gilbert Mount-Dundas. On także nie pochodził ze znakomitéj rodziny, ale na twarzy miał piętno wrodzonéj szlachetności. Ojciec jego pozyskał był nie mały rozgłos, pracując w sprawie miłosierdzia i pomocy bliźniego; nie widzimy jednak potrzeby dawać mu więcéj miejsca w dalszym ciągu naszéj powieści. Gilbert Mount-Dundas bardzo był jeszcze młody, i głowę mu rozpłomieniały żądze szlachetne, a cóż im lepiéj bodźca dodać potrafi, jak rada serdeczna kobiety kochającéj? O kobiety, czy wy téż wiecie ile my wam zawdzięczamy, ilekroć nam podpory swojéj chcecie udzielać, w twardéj walce życiowéj? Słusznie wam należy się w tedy miano aniołów pomocy, któremi darzą was poeci. Gdybyście domyślać się umiały ceny jaką ma dla nas wasza opieka, z pewnością nigdybyście nie bywały grymaśnemi, sztywnemi i niemilemi. Ale wracajmy do rzeczy.

„Trudném byłoby, a nawet niewdzięczném zadaniem, wdawać się tu w opowiadanie okoliczności jakie zbliżyły z sobą naszych dwoje kochanków. Dosyć nam będzie powiedziéć, że jakbądź świat mógłby w tym razie krzywo patrzeć, na pominięcie pewnych formalności, czuli oni oboje we własnych duszach przeświadczenie, że nie mają powodu rumienić się za to zaznajomienie się, z którego niebawem wysnuła się w nich nawzajem przychylność pełna szacunku — a wkrótce i miłość! Nie dla tych dwóch istot, co prawda, były stworzone wydeptane szlaki owych powszednich zalecanek i związków; składających się jak wiadomo z pewnéj ilości oklepanych rozmów, w obecności rodziców lub znajomych, potém z kilku objadów razem spożytych, przyrzeczenia danego uroczyście i za wiedzą każdego — nie wyłączając nawet z tego prawnika rodziny; wreszcie, z wesela w dziennikach opisanego! O nie! — pozostało jeszcze przecię cokolwiek poezyi serdecznéj, w tym oschłym i wystygłym świecie; i co bądź by o tém mogła sądzić surowsza krytyka, co do nas, nie mamy zamiaru naprawdę, skarcić tu naganą Virginii i Gilberta, za to tylko, że nie zdarzyło się aby w téj chwili był przy nich obecny cały zastęp ich przyjaciół i znajomych. Ale z tém wszystkiém — albowiem któż wie w jakie ręce mogą wpaśc te ćwiartki? — wypada nam zabezpieczyć się od tego,

aby nas źle nie zrozumiano. Nie liczymy się do rzędu tych, którzy pogardą zbywają formy życia naszego społecznego;— przeciwnie, dalecy jesteśmy od tego; i niechcielibyśmy być posądzani o chęć wszczepiania młodzieży obojéj płci, wyniosłego lekceważenia zasad tak zwanéj przyzwoitości światowéj. Rzecz się ma całkiem iuaczéj. Zdaniem naszém, młode panienki winne być nader ostróżnemi w robieniu znajomości; a nawet powiemy że sposób w jaki nie jedna z nich zwykla chichotać się, oczy spuszczając, gdy na ulicy napotka młodego człowieka, wydaje nam się nieprzyzwoitym i wstręt w nas obudza. Powinny one pamiętać, że nie są służącemi, używającemi niedzielnéj przechadzki. Nauczycielka nie spełnia swego obowiązku, jeśli od razu nie skarci ostro podobnago zachowania się swych uczennic, i nie wolno jéj wymawiać się tém, że go nie dostrzegła. Wiem dobrze że tak nie jest; ale jako osoba wrażliwa, nie ma ochoty w to się wdawać, z obawy aby winne nie zaparły się swego postępku, i nie naraziły tym sposobem na szwank jéj powagi. W dalszym czasie, zamierzamy powrócić jeszcze do tego przedmiotu.

„Niestety! na to tylko aby się nawzajem pożegnać, zeszli się byli z sobą Gilbert i Wirginia. Taką była ciężka dola tych dwojga ludzi, którzy na zbyt krótką chwilę zaznali słodycze miłosnego porozumienia; ale przeznaczenie nieubłaganym śpieszy biegiem, którego pęd unosi nas biednych śmiertelników. Łzy stanęły w oczach młodéj dziewczyny, i z chęcią byłaby go ua klęczkach prosiła, aby pozostał; ale on więcéj męztwa posiadał, i pozorami wesołéj swobody, usiłował zmniejszyć boleść owego pożegnania.

„— O mój Gilbercie! zawołała, kiedyż cię znowu zobaczę? Drogę widzę przed tobą najeżoną niebezpieczeństwy; i o ile rozpatrzéć się umiem w przyszlości, nie dostrzegam w niéj twego powrotu. Czy znasz ową cudowną pieśń, która powiada:

„Czy więcéj razem iść nie będziemy, wśród wichru i deszczu,
Aż dopóki morze nie zwróci tych co śpią w jego głębiach?“

„Głęboko był wzruszony, ale starał się nśmiechem pokryc swoje cierpienie.

— Co znowu! rzekł żartobliwie; dla czegoż ma być koniecznie wicher i słota, gdy się powtórnie z sobą zejdziemy? Dosyć już ich przecię było téj wiosny.

„Spojrzała na niego ze zdziwieniem, gdyż nie wiedziała jaki robak toczył jego serce, podczas gdy na twarzy nosił ową maskę wesołości. Tu należy uwydatnić niebezpieczeństwo na jakie nara-

ża się każdy, kto wstydząc się własnych wzruszeń, ukrywać je lubi pod zewnętrzną szatą żartu lub obojętności. Niestety! jakże opłakane pomyłki nieraz ztąd wynikają! Piszący te słowa, może zapewnić iż zna uiejakiego gentlemana, który bywa nieraz od świata zapoznanym, skutkiem tego zakorzenionego w nim nawyknienia. Wierzymy niezachwianie, że niepodobna napotkać zacniejszego człowieka od J... D...— chociaż nie jest on tém coby dziecinna pensyonarka chciała określić nazwą Adonisa; ale jakże on często w kłopot wprawia swych przyjaciół, tém że prawi rzeczy wprost przeciwne temu co myśli! Bardzo to przykro, nie wiedzieć nigdy kiedy kto mówi co naprawdę, a kiedy żartem. Jeźli pomyliwszy się weźmiesz na seryo, to co chciało być tylko pustym konceptem, wyglądasz nadto naiwnym, co niekoniecznie jest rzeczą przyjemną, przy największym nawet braku zarozumiałości; a tymczasem, znowu nieraz za żart wziąść możesz całkiem poważne odezwanie się i przez to urazić uczucia osoby dla którėj masz szczerą przychylność. A zatém usłuchaj mojėj rady, młody czytelniku — przypuszczając że się znajdziesz pomiędzy osobami które zechcą przerzucić te ćwiartki;— prostota i szczerość w słowie, niechaj będą twojém hasłem. *Magna est veritas*, powiedział mądry Rzymianin.

„Jakże posępne rzucało teraz słońce promienie na przecudne łąki wioski D... i na arystokratyczne wieżyczki P... C... podczas gdy się z sobą żegnali nasi kochankowie! On, w świat odchodził by sławę i bogactwo zdobyć dla nich obojga; ona, pozostać miała samotna z sercem rozbolałem.

„Weź ten pieniądz na pamiątkę, rzekła mu Wirginia; prześwidrowałam w nim dziurkę własnemi rękami.

„Przycisnął do piersi sztukę sześciopensową i tysiącznemi pokrywał ją pocałunkami.

„O, moja ukochana Wirginio! zawołał, nigdy się z tym pieniądzem nie rozłączę. Przypominać mi on będzie ciebie w odległych krainach, pod skwarném niebem Azyi, na Ameryki rozległych stepach, i na spieczonych równinach Afryki krótko trwałą była nasza przyjaźń, ale ileż mieściła w sobie słodyczy! Raz jeszcze — bywaj zdrowa, Wirginio! Pozostań wierna ślubowi jaki uczyniłaś!

„Oderwał się od niéj, wyrzekłszy te słowa, a nieszczęśliwa sama pozostała. Dalsze ich przygody, opowiemy w następnym rozdziale.“

Tutaj zakończyć musimy, jak nateraz, ów wyciąg z utworu wyobraźni panny North, aby do rzeczywistych jéj dziejów powró-

cić. A naprzód, powiedzieć nam trzeba, że stosunki Violetty z młodzieńcem, którego napotkała była na gościńcu wiodącym do Dulwich, o wiele były mniéj czułe i poufałe, a także nosiły cechę daleko mniéj romantyczną, od tych jakie istniały pomiędzy wzniosłemi duszami Wirginii Northbrook i Gilberta Mount-Dundas. Nie wolno było młodym osobom pozostającym w zakładzie panny Main, wędrować samotnie po okolicy, choćby nawet słońce najcudowniéj oświecało szmaragdowe łąki, i wieżyczki zakładu P...C... Miejscowe pensyonarki szły na przechadzkę uszykowane parami pod przewodnictwem nauczycielki i Violetty; a nikt z tych co je napotykali, nie domyślał się, że ta ładna panna, tak już wysokiego wzrostu, liczy się także do uczennic zakładu. Gdy któréj pozwalano odwiedzać znajomych, ci musieli po nią kogoś przysłać. Istniał wszelako w tym względzie pewien wyjątek, z pozoru całkiem niewinny i mało znaczący. Panna Main wiedziała o przyjaznym stosunku Violetty z matką i z wujem małéj Amy Warrener, i bardzo jemu sprzyjała, licząc na dobry wpływ jaki mógł z czasem wywrzeć na téj niepoprawnéj dziewczynie. Dom Drummonda oddzielony był zaledwie kilkunastu innemi od zakładu; skoro więc Violetta wybierała się w popołudniowych godzinach do swych przyjaciół, co się często zdarzało, czyż koniecznóm było aby mieli kłopot przysyłania po nią, mieszkając tak blisko? Gdy wracała na pensyę, Drummond zawsze ją sam odprowadzał, i zwykle w takich wieczorach, panna Main znajdowała że mniéj ma kłopotu ze swoją niesforną wychowanką.

Zdarzyło się tedy, że parę razy Jerzy Miller miał szczęśliwą sposobność napotkania panny North, wtedy gdy sama jedna wychodziła w ten sposób z zakładu. Gdy to po raz pierwszy się zdarzyło, wejść już miała do domu Drummonda, przed którym stała, zastukawszy do drzwi. Na chwilę młodzieniec zatrzymał się, sam nie wiedząc, co mu daléj uczynić wypada; Violetta tymczasem, którą jego zakłopotanie zdawało się trochę bawić, z wdziękiem ale chłodno mu głową skinęła. Zdjął wtedy z głowy kapelusz, a że właśnie w téj chwili drzwi otworzono, okoliczność ta kres położyła jego wahaniu się, albowiem panna North znikła zaraz, pożegnawszy go swobodnym uśmiechem.

Następne spotkanie zdarzyło się bliżéj nieco zakładu, i wtedy Jerzy odważył się przemówić do Violetty. Rzekł więc nieśmiało:

— Czy pani nie poznaje swego znajomego?

— I owszem, odpowiedziała, rumieniąe się zlekka.— Wszakże ukłoniłam się, zobaczywszy pana. Czyż tego nié dosyć?

— Gdyby panią tyle obchodziło, dalsze zachowanie tego stosunku, ile mnie....

-- O, nie zależy mi na tém wcale przerwała mu z lekkiem poruszeniem głowy, w którém przebijała pewna samowola; a w żadnym razie przynajmniéj, nie myślę daléj go w ten sposób prowadzić. Jeźli życzysz pan znać się ze mną, musisz się poznać z osobami z którémi mam bliższą znajomość.

Zabierała się do odejścia, ale zdawał się chcieć ją zatrzymać, a twarz jego ku ziemi spuszczona miała wyraz pokory i prośby usilnéj.

— W jakiż sposób mogę tego dokazać, powiedz mi pani? zapytał. Probowałem już tego daremnie. Jakże zdołam wstęp uzyskać do kółka, wśród którego żyjesz?

— Alboż ja wiem? odpowiedziała mu z niejaką szorstkością;— i potém, dodawszy tylko krótkie: — Żegnam pana, — poszła daléj w swą drogę.

Na chwilę, serce w niéj za nim przemówiło, gdy go za sobą zostawiła. Czyż było rzeczą godziwą w taki obchodzić się sposób z wiernym kochankiem? Ale wrażenie to przeminęło niebawem; sama nie będąc wielce wrażliwa na obrazę, Violetta nie przypuszczała téż aby go mogła w tym razie bardzo ciężko zranić, i wkrótce utwierdziła się w przekonaniu, że ów najwierniejszy ze wszystkich kochanków winien być na próbę wystawionym. Jeśli wart jest cośkolwiek, zniesie cierpienia, zwycięży przeszkody; uczyni wszystko czego od niego zażąda wszechwładna wola jego pani ubóstwianéj. Jeżeli zaś jest zwyczajnym człowiekiem, jak tylu innych, w takim razie niech sobie precz idzie, i koniec.

Jerzy Miller był całkiem zwyczajnym młodzieńcem, ale precz sobie jednak nie poszedł, i nie było w tym razie końca onéj sprawie. Przy pierwszém swojém spotkaniu się z Violettą, na drodze wiodącéj do Dalwich, nie zapałał z nagła dla niéj miłością taką o jakiéj piszą poeci, ale ujmująca jéj powierzchownosć żywe na nim sprawiła wrażenie, i uczuł mocną chęć dowiedzenia się czegoś więcéj o niéj;— zresztą dladwudziesto dwu letniego jak on chłopaka, już to samo dodawało uroku owemu stosunkowi, że się rozpoczął w sposób niezwykły i trochę powieściowy. Violetta ani się nawet domyślała, jak cierpliwie i wytrwale Jerzy krążył około miejsca jéj pobytu, w celu pochwycenia wypadkowo jakiéj bądź o niéj wiadomości, i ile razy przechadzał się w popołudniowych godzinach po za jaworami, wieńczącemi wzgórza Camberwell Grove, w pobliżu zakładu panny Main, zanim wypatrzył godzinę w któréj zwykle wybierała się do skromnego pomieszkania swych przy-

jaciół. Dawało mu to co prawda pewne zajęcie; a jak na teraz, nie miał innego; ojciec jego właśnie był zajęty upatrywaniem jakiego interesu w którym mógłby wziąść udział, dla oddania go synowi, aby go tym sposobem zachęcić do jakiejkolwiek pracy. Młody Jerzy nie miał nic przeciw temu zamiarowi. Znudzony już się czuł swém bezczynném życiem, w którém dni upływały mu na wałęsaniu się bądź to konno, bądź pieszo i na grywaniu w billard; wieczory zaś, na nudnych obiadach u bogatych kupców zamieszkującysh w dzielnicy Sydenham-Hill. Uważał już za lepsze bywać codzień w City, jak każdy inny przemysłowiec, i mieć w kantorach tamtejszych wygodny pokój do własnego użytku, z dobrym w nim zapasem wina Sherry i cygar. Z czasem zamierzał przedstawić się na członka do którego z miejscowych klubów, i tą drogą pozyskać sobie dogodne miejsce do śniadania rannego i do gry w popołudniowych godzinach, a także sposobność zabrania stosunku z niejednym wesołym koleżką. Miał już w tym świecie kilku znajomych, byli to bardzo mili w ogóle chłopacy, zdający się mieć zawsze w zapasie tyleż dobrego humoru, co i czasu do stracenia, pomiędzy godziną w któréj z biur City wychodzili, a tą w któréj do wagonu siadali, by powrócić do domu na obiad, wieczorem.

Z tém wszystkiem, owo niespodziane spotkanie z młodą panienką tak niezwykłéj urody, mocno zaciekawiło Jerzego; nie tracił téż z uwagi, że jeśli mu się uda poznać ją bliżéj, w takim razie wielką może mieć cenę dla niego w przyszłości przychylność tak znakomitego człowieka, jak Sir Acton North. Nie zachodził jednak daléj w swych przewidywaniach. Nie wdawał się, jak byłby to uczynił w tym razie ktoś mający żywszą od niego wyobraźnię, w marzenia układające plan ślubnego związku, w najromantyczniejszych warunkach zawartego. Napotkał był w okolicznościach dosyć wyjątkowych, młodą dziewczynę któréj dziwną piękność musiał koniecznie podziwiać; w zbliżeniu się z nią istniały pewne drobne trudności, które tém pożądańszém czyniły dla niego, pozyskanie jéj życzliwości, ale na tém wszystko się kończyło. Nie często się to zdarza, aby cokolwiek prozaiczny młodzieniec, liczący lat dwadzieścia dwa, i zarówno hojnie obdarzony zdrowiem jak pieniędzmi, usposobiony był do wypatrywania z niepokojem w przyszłości, dalszych swych losów. Dzień dzisiejszy, jest w wiosennéj porze życia dniem przecudownym; krew życia wesoło wtedy krąży w żyłach;— jutro zaś bywa chętnie opiece bogów pozostawiane.

Ale znowu, czyż wypadało dać z siebie żartować pensyonarce i słuchać cierpliwie od niéj napomnień? Jerzy czuł się nieco za-

dąsany po owém powtórném spotkaniu się z Violettą. Znajdował ją nieco za śmiałą w obejściu i w mowie. Wcale się nie zapatrywał na ich wzajemny stosunek w ten sam sposób co ona; gdyby mu była powiedziała, że ma być odtąd błędnym jéj rycerzem i dowieść wielkiemi ofiarami swéj wyższości nad resztą śmiertelników, z trudnością byłby ją potrafił zrozumiéć. Co prawda, poczynało budzić się w nim przekonanie, że młoda owa panna, jest z nazwiska tylko pensyonarką, i że w niéj mieści się charakter daleko bardziéj wyrobiony, niż go zwykle miewają dziewczęta spędzające czas swój na włoskich i francuskich opracowaniach. Przez cały ten wieczór, Jerzy Miller pozostał w bardzo złym humorze, i kładąc się spać postanowił zaraz następnego rana wybrać się w podróż do Walii, mało dbając o to, co o nim pomyśli panna North.

Nazajutrz jednak, gdy się obudził, zamiar ów — skądinąd o wiele więcéj mieszczący w sobie przezorności, niż się tego domyślał sam jego twórca — zaniechany został; i niby od niechcenia Jerzy wybrał się na miasto, w zamiarze wyszukania kogoś, coby się znał osobiście z ojcem Violetty. Starać się musiał o to w sposób bardzo ostróżny, co czyniło ową pracę dosyć dla niego ponętną. Zdarzyło się, że w dniu onym usiłowania jego nie odniosły skutku; że zaś potrzebował powrócić do domu by się przebrać na wczesny objad, który miał przed sobą, przyszło mu na myśl obrać sobie drogę przez Denmark-Hill, przechodząc około stacyi kolejowéj tego nazwiska. Mógł tam znowu napotkać Violetę, a któż wie czy nie byłaby dzisiaj w lepszém usposobieniu?

Szedł tedy pod górę, zbliżając się ku Grove-Lane, gdy w tém, na jakimś zakręcie, ujrzał znagła przed sobą pannę North, w towarzystwie innéj jakiéjś kobiety. Doznał na razie uczucia winowajcy schwytanego na uczynku, i powstrzymawszy ruch mimowolny ręki, chcącéj już uchylić kapelusz; miał zamiar przejść obok Violetty, jakby koło osoby całkiem nieznajoméj.

Ale to postanowienie nie przypadało wcale do jéj usposobienia.

— Jakże się pan miewasz, panie Miller? odezwała się głośno.

W porę się zatrzymał, by nie dać dostrzedz pani Warrener chęci jaką miał przemknąć się niepostrzeżenie, i zdjąwszy kapelusz uścisnął rękę panny North ruchem zdradzającym pewne nerwowe rozdrażnienie.

— Pozwolisz pan, abym cię przedstawiła mojéj towarzyszce, rzekła śmiało Violetta. Pan Miller — pani Warrener.—

Otrzymał bardzo uprzejme powitanie, od jasnowłoséj kobieciny, na któréj powierzchowność jego sprawiała przyjemne wrażenie.

— Cóż to za dzień prześliczny! rzekł pośpiesznie.— I jak téż cudownie wyglądają teraz te drzewa owocowe, osypane kwiatem. Należy nam się téż cokolwiek pogody, po tak ostréj zimie. Czy pani mieszka tu w pobliżu? dodał, zwracając mowę do pani Warrener.

— Tak jest; znasz pan pewnie ową chatkę położoną na samém wzgórzu pod drzewami, to moje mieszkanie, odpowiedziała; znajdując już teraz tego młodzieńca całkiem przystojnym.

— O, ma się rozumiéć—każdy ją zna przecież. Cóż to za urocze ustronie, i jaki tam ładny musi być ogród od tyłu! Ale niechcę dłużéj pań zatrzymywać, ten wieczór tak wybornie nadaje się do przechadzki! Żegnam więc.

Mówiąc to, odważył się uścisnąć znowu rękę panny North, potém skłonił się jéj towarzyszce i odszedł,— nie bardzo sam wiedząc co podczas tego spotkania zrobił lub téż powiedział.

— To zapewne jakiś przyjaciel twego ojca? spytała pani Warrener Violetty, gdy się nieco oddaliły.

— Nie — niekoniecznie, odpowiedziała młoda dziewczyna, w dół patrząc przed siebie.

— Więc w takim razie muszą z nim mieć bliższy stosunek jacyś twoi znajomi?

— Nie;— i to także nie jest.

Potém, podniosła znagła oczy, i rzekła otwarcie:

— Kochana pani, lękam się że gdy mnie usłyszysz, nabierzesz najgorszego o mnie zdania — i pomyślisz, że niema na świecie istoty mniéj wartéj odemnie;— ale pomimo to, lepiéj jeszcze abyś się o wszystkiém dowiedziała. Nie znałam tego młodego człowieka, aż do dnia w którym pensyę opuściłam, dopuściwszy się w niéj wtedy owéj psoty;— on nie zna nikogo z moich znajomych,— i nikt mi go nigdy nie przedstawił.

Wszystko to wypowiedzianém zostało, z coraz bardziéj wzmagającym się wyrazem rozpaczy.

— Ach Violetto, rzekła jéj przyjaciółka, jakżeś mogła być tyle nierozważną— i gorzéj nawet jeszcze jak nierozważną? Zataiłaś twoją znajomość z tym młodym człowiekiem, nawet przed najlepszemi twemi przyjaciołmi; doprawdy — sama nie wiem co mam o tém powiedzieć.

— Możesz pani powiedzieć wszystko co ci się spodoba—z wyjątkiem właśnie tego, odpowiedziała z żywością Violetta. Zasłużyłam na sąd najsurowszy,— ale nie mów pani żem cokolwiek rozmyślnie chciała ukryć przed tobą. Przedewszyskiem, nic tu nie było do ukrywania. Zaledwie kilka słów zamieniłam z tym mło-

dym człowiekiem; a gdym go widziała po raz ostatni, powiedziałam mu, że jeśli życzy dalszego pomiędzy nami stosunku, musi zapoznać się z moim ojcem, lub z kimś żyjącym ze mną w przyjaźni. Nie miałam zatém nic do ukrywania— i wstydziłabym się, w każdym razie, czegoś podobnego.

W tém miejscu, przypomniawszy sobie niby, że nie przystoi winowajcy który uznał swój występek, dawać nauki sędziemu od którego wyczekuje łaskawego wyroku, zatrzymała się na chwilę i potém dodała, z większą już pokorą.

— Mam nadzieję, kochana pani, że nie posądzisz mię o chęć zatajenia przed tobą czegośkolwiek, coby dla mnie mogło mieć pewną wagę. Zdawało mi się, że wszystko się wyjaśni i naprawi, gdy ten młodzieniec przedstawionym mi zostanie w sposób właściwy. Teraz właśnie, kiedy nie chcąc mię wystawić na złe mniemanie u pani, zamierzał przejść koło nas, nie przywitawszy się ze mną, pomyślałam że lepiéj będzie jeśli zaraz opowiem pani jak rzeczy stoją, i z tego to powodu, zatrzymałam go. Czyż była w tém chęć ukrywania czegośkolwiek?

— Ale gdzieżeś go spotkała i w jaki sposób się to stało? spytała pani Warrener, nadto jeszcze zdziwieniem przejęta, by się mogła okazać surową, lub téż pobłażliwą.

— Widziałam go po raz pierwszy, na drodze wiodącéj do Kryształowego Pałacu, rzekła panna North. Rzucił się był na mnie pies bardzo zły— okropne psisko, powiadam pani. Nie wyobrazisz sobie, z jaką wściekłością pomknął się ku mnie! Ale wtedy właśnie nadszedł pan Miller i uderzywszy go, zmusił do szybkiego odwrotu.

— Jakto? więc znasz także jego nazwisko?

— O, tak! odparła Violetta, całkiem już rozpogodzona. Z pewnością musiałaś pani słyszeć o Jerzym Millerze, znanym w świecie handlowym zamożnym kupcu i wielkim filantropie, budującym własnym kosztem kościoły i hojnie zasilającym wszystkie składki dobroczynne.

Pani Warrener przyznała, że nazwisko to nie jest jéj obcém.

— Otóż to jest syn jego! rzekła zwycięsko Violetta.

— Ależ moje dziecię, cała filantropia pana Jerzego Millera, nie usprawiedliwia sposobu w jaki zabrałaś znajomość z jego synem. Kiedyż go następnie znowu napotkałaś?

— W Kryształowym Pałacu, odpowiedziała Violetta, która zdawała się dźwigać teraz z mniejszą trudnością brzemię winy lżejszéj skutkiem owéj spowiedzi. Byłam bardzo głodna; musiałam tedy wejść do restauracyi, by tam zjeść cokolwiek. Cóż mogłam

zrobić innego? Otóż służba miejscowa jakoś o mnie zapomniała, ale mi znowu w pomoc przyszedł pan Miller, który się tam znajdował, i wystarał się dla mnie o śniadanie. Czyż w tém było co złego, powiedz pani sama?

Pani Warrener nie bardzo była gotową do dania natychmiast odpowiedzi; czując się na stanowisku pokrewnéj niejako osoby względem Violetty, miała przedewszystkiem zamiar zbadania dokładnie całéj sprawy.

— Czy pisałaś kiedy do niego, spytała, lub téż on do ciebie?

— O nie; nic podobnego nie zaszlo nigdy.

— Czy zna on twoje nazwisko, i miejsce twego pobytu?

— Tak jest.

Rzecz cała zdawała się już dostatecznie wyjaśniona; wszelako pani Warrener, nie mająca daru szybkiego poglądu na wszystkie strony każdego przedmiotu, którym brat jéj się odznaczał, zdawala się jeszcze zakłopotaną. Bylo tu coś złego — ale co takiego?— sama dotąd dobrze nie wiedziała. Tymczasem, zaszly już byly obie do domku na wzgórzu.

— Violetto, rzekła pani Warrener, wejdź do nas na chwilkę. James odprowadzi cię zaraz na pensyą.

— Ach pani! zawolała z nagłą trwogą mloda dziewczyna; ja bym tak pragnęła żebyś nic o tém wszystkiém nie powiedziała panu Drummond!

— A to dla czego?

— Wolałabym żeby się wcale o tém nie dowiedział.

— Tego nie mogę ci przyrzec, Violetto; ale bądź pewna że mu teraz o téj sprawie nie wspomnę.

Weszly do dolnego saloniku w którym nie było nikogo. Violetta zasiadła w krześle, z wyrazem twarzy mniéj zuchwałym i wyzywającym, niż go zwykle miewala; a przyjaciólka jéj tymczasem która wyglądała ciągle wzburzona i zafrasowana, wyraźnie zajęta byla namyślaniem się nad tém, co jéj daléj wypada uczynić w tak trudném położeniu.

— Jednéj rzeczy, Violetto, nie mogę w tém wszystkiém zrozumiéć, odezwała się wreszcie, natrafiając wypadkowo na samo jądro całéj sprawy.— Z jakiego względu mogło życzyć którekolwiek z was dwojga dalszego istnienia stosunku, rozpoczętego w tak osobliwszy sposób? To jest dla mnie całkiem niepojętém. Zdarza się nieraz, że w drobnych okolicznościach, podobnego rodzaju, mężczyzni miewają sposobność przychodzenia w pomoc kobietom zupełnie im nie znanym; ale nie bywa to pomiędzy niemi początkiem żadnych bliższych stosunków. Dla czegoż on pragnie z tobą zna-

jomości, i z jakiego powodu zalecilaś mu aby się staral o właściwy sposób jéj rozpoczęcia?

— Nic mu takiego nie powiedziałam, odrzekła Violetta z wyrazem uszanowania, nie wykluczającym jednak pewnéj dumy. Uczyniłam mu tylko uwagę, że jeśli chce ze mną na przyszłość rozmawiać, musi postarać się o przyzwoity sposób przedstawienia mi się. Czyż możesz pani przypuszczać, abym go do tego zachęcala? Zaręczam, że tak nie bylo. Cóż mię on może obchodzić?

Była wyraźnie mocno zadraśnięta ostatniemi słowami pani Warrener.

— A zatém, nacóż ci daléj prowadzić ów... ów potajemny stostosunek, Violetto? spytala jéj nieśmiało przyjaciółka.

— Nie można nazwać tego stosunku potajemnym, odpowiedziała bardzo żywo młoda dziewczyna. A jeśli téż pan Miller życzy sobie rozszerzyć cokolwiek kółko wśród którego żyje, jakież mam prawo wzbraniać mu tego? Cóż w tém jest zlego, naprzykład? Alboż nie zdarza się czasem pani napotkać kogoś, z kim radabyś bliżéj się zapoznać? Zresztą jeśli nie uda mu się natrafić na jaką osobę, co by mi go mogła przedstawić, znajomość jaką z panią dziś zrobił wyjść mu może na dobre. Od ciebie dzisiaj zależy — bylebyś tylko chciała — odjąć naszemu stosunkowi wszelką cechę tajemniczą. Widziałaś go już pani, i możesz zażądać aby ciebie odwiedził.

Wzmianka o tak zuchwałym środku, w najwyższą trwogę wprawiła biedną kobietę; ale zanim zdołała odpowiedzieć, Violetta nieco zmięszana własnemi słowami, zabrała się skwapliwie do naprawienia złego wrażenia jakie sprawily.

— Ma się rozumieć, rzekła z żywością, że nie życzę bynajmniéj abyś go pani do siebie zapraszała. Ale skoro nazywasz potajemną naszą znajomość, wspominam tylko o łatwym środku uczynienia jéj jawną.

— Nie Violetto, nie mogę tego uczynić, odparła pani Warrener, z niezwykłą u niéj stanowczością. Nie podobna mi przyjąć na siebie tak wielkiéj odpowiedzialności. Zanim wejdziesz w stosunek rozpoczęty w tak niezwykłych warunkach, wypada ci koniecznie zasięgnąć zdania twojéj matki.

— Nie mam w niéj matki — odpowiedziała Violetta, głową potrząsając.

— Więc musisz się zaradzić kogoś, mającego prawo dać na to swe przyzwolenie.

— Nikogo tak z bliska nie znam, jak panią, odrzekła młoda dziewczyna. — Ale czy sądzisz, dodała, iż żądam od ciebie żebyś

była przyhylną temu młodemu czlowiekowi? Nie idzie mi o to wcale.— A teraz, sądzę że już mi pora wybierać się do domu.

— W téj właśnie chwili, wszedł do pokoju James Drummond wracający z ogrodu. Widząc Violettę, zawołał:

— Cóż tedy, panno North, czy nie śpiewasz już teraz piosnki o skwarnych pustyniach Afryki? O ile sądzę, nie oglądałaś ich nigdy na własne oczy. Ale czy byłaś téż kiedy w Highlands? Czy znasz jeziora i góry zachodniéj ich części?

— Słyszałam tylko o nich, odpowiedziała Violetta, któréj usposobienie wcale nie było dobrém w téj chwili.

— Siądź że więc na chwilkę, abym ci opowiedział jakie mam plany na przyszłą jesień. Nie mniéj jak dwa miesiące w niéj przeznaczam sobie na wakacye: Sierpień i Wrzesień; mam już na oku pewien skromny ale przecudnie położony domek w Highlands; można nająwszy go mieć prawo do polowania i do łowienia ryb, jest ich tam przemoc, trzeba wiedzieć. A teraz, czy sądzisz panno Violetto, że potrafimy wyjednać u twego ojca i u panny Main, aby ci pozwolili z nami czas ten spędzić? Nieznośném ci być musi, przebywać co roku wakacye na pensyi.

Przepraszam pana, ale muszę odmówić, odpowiedziała z wielką godnością Violetta. Wielka to uprzejmość z twojéj strony; z resztą zawsze bywasz dla mnie uprzejmym;— ale jeśli znajomi moi nie mają wstępu do pańskiego domu, nie posiadam i ja do niego prawa.

Popatrzał na nią ze zdumieniem, a potém zwrócił wzrok na siostrę, któréj blada i łagodna twarz rumieńcem była oblana. Panna North siedziała w postawie spokojnéj i dumnéj, wypowiedziawszy to oświadczenie do którego była jéj podnietą poprzednia rozmowa.

— Co mają znaczyć te słowa? rzekł wreszcie Drummond.

— Ach Jamesie, zawołała jego siostra; sądziłam że Violetta niechce abyś o tém wiedział; ale teraz powiem ci już wszystko, i wiem zawczasu że mi przyznasz słuszność. Nie chciałabym wcale ubliżyć temu młodzieńcowi; podoba mi się nawet bardzo jego powierzchowność, ale —

— O jakimże tu mówisz młodzieńcu?

Cała rzecz została opowiedzianą; a gdyby panna North w lepszém była usposobieniu, przyznaćby musiała, że pani Warrener dopełniła tego w sposób pełen delikatności, dobroci i wyrozumiałości. James Drummond słuchał jéj, włożywszy ręce w kieszenie i wyciągnąwszy długie swe nogi.

— Rozumiem Violetto, rzekł w końcu, z właściwą sobie spokojną łagodnością, ile się musisz czuć dotkniętą, jeśli przypuszczasz że moja siostra myśli, iż w osobistych widokach życzyłaś aby tu zaprosiła tego młodzieńca. Nie dobrą bardzo jesteś jeśli temu wierzysz naprawdę. Nadto znamy dumę twoją i poczucie własnéj godności, abyśmy mogli posądzać ciebie o coś podobnego. Ale zkądinąd znowu, czyżby się to nie wydało trochę dziwném temu panu Millerowi, gdybyśmy go tu sprowadzili, na to aby się z tobą spotkał? Miéj na uwadze...

— Nie żądam niczego takiego, przerwała mu z żywością. Czyż mniemasz pan, że życzę z nim się spotykać? Chcę jednéj tylko rzeczy, — a to, żeby mi nie zarzucano pokątnego z tym człowiekiem stosunku, wtedy kiedy chcę go wprowadzić do domu państwa, i kiedy od was tylko zależy z nim się zapoznać.

Za nadto był łagodnego usposobienia, by mógł chcieć spieraniem się bardziéj jeszcze drażnić zniecierpliwione dziewczę. Rzekł więc tylko, z tym samym co pierwéj spokojem:

— No, prawdę mówiąc, moja Violetto, wplątałaś się wypadkowo w dosyć kłopotliwe położenie. Radzę ci najusilniéj, abyś nadal nie miała już nic do czynienia z tym panem Miller, choćby nawet był to najprzyjemniejszy w świecie młodzieniec; jeśli nie zdarzy ci się sposobność widywania go, w jakim bliżéj znajomym tobie domu.

— Ja bo téż w tak wielu bywam domach! odezwała się z przekąsem.

— Czyż możesz żądać abyś wizyty oddawała, będąc na pensyi? Cała uwaga twoja, powinna być teraz jedynie ku naukom skierowana.

— Zdawałoby mi się, że pensyonarkom wolno także mieć przyjaciół. Zresztą, wiadomo panu, że tylko z wyjątkowych powodów pozostaję dotąd na pensyi.

— Rzekłszy to, wstała znowu z miejsca; najoczywiściéj rozmowa ta była dla niéj całkiem bezpożyteczną.

— Nie zdaje mi się potrzebném, abym pana trudziła odprowadzaniem mnie, rzekła z wyniosłą uprzejmością.

— Czy to uważasz za potrzebne, czy nie, odprowadzę cię jednak w każdym razie, odrzekł śmiejąc się.

Trochę chłodno pożegnała panią Warrener i odeszła, pozostawiając za sobą poczciwą kobiecinę mocno strapioną jéj nieprzyjaznéem usposobieniem. Co do Drummonda, ten zostawszy sam na sam z Violettą, postanowił zaraz odżegnać jéj zły humor mocą

swéj wymowy, i w tym celu począł wesoło i swobodnie do niéj się odzywać, chociaż zdawała się nie wiele dawać mu uwagi.

— O, już to rzecz znana, powiadał, że niczem nie można sobie łatwiéj ludzi narazić, jak udzielając im rad dobrych; ale czyżbyś znowu chciała Violetto, abyśmy ci na szkodę twoją radzili? Teraz będziesz już całkiem rozsądną panienką na przyszłość, wszak prawda? a od jutra rana się przekonasz, żeśmy wszysko urządzili w jak najprzyzwoitszy i najbardziéj właściwy sposób; i bylebyś tylko chciała postarać się o pozyskanie nadgrody za dobre, wzorowe sprawowanie się na przyszłych egzaminach, to ci przyrzekam że poproszę panny Main, aby na moje słowo dopisała ci z jaką setkę dobrych stopni w téj rubryce, ze względu na wiadome mi okoliczności, których nie mogę jednak wyjawić. Więc to rzecz już ułożona, wszak prawda? A czy wiesz, że twój ojciec już powrócił do Londynu? Słyszałem że należał wczoraj do deputacyi w Home-Office. Jakże on musi być zmęczony tą wieczną włóczęgą po kolejach! albo téż znowu przykrzy mu się może, kiedy mu wypadnie pozostać na miejscu, przez trzy dni z rzędu. Wyobraź sobie, żem słyszał o pewnym wioślarzu z Brighton, krępym i silnym człowieku, takim jakich to nieraz widzieć można podpierających się łokciami o baryery portu. Otóż znalazł się ktoś taki co umierając zostawił mu w spadku szynkownię, na Clapham-Road. I czy myślisz że go to bardzo uszczęśliwiło? Powiadam ci, że stał się najnieszczęśliwszą istotą na świecie. Nie miał chwili spokoju, nie mógł miejsca sobie dobrać; i w końcu gdy mu się już na śmierć to nowe życie przykrzyło, zdarzyło się, że wypadło mu urządzać drewnianą baryerę przed swoją szynkownią, tuż obok koryta, przy którym konie pojono. Otóż najosobliwszym przypadkiem, natrafił tu na nieporównane miejsce do oparcia na nim swoich łokci i najrozkoszniejszego spędzenia czasu. Oświadczam ci, że zanim spędził dwadzieścia minut, próżniaczo leżąc zwieszony na owéj zagrodzie, wrócił mu na twarz dawny wyraz wesołości i swobody; i co dzień go teraz możesz tam zastać, przypatrującego się pojeniu koni. Czyż nie jest ci to dowodem, jak wielką potęgę jest nawyknienie?

Ma się rozumieć, że ani szynkownia owa, ani podobny wioślarz, nie istnieli nigdy w Clapham-Road.

Ślicznie było w téj godzinie na wzgórzu, wśród świeżéj zieleni wiosennéj. Zmrok już szarzeć poczynał; powietrze przejęte było wonią bzów rozkwitłych i chłodem przyjemnym; wyniosłe kasztany, których kwieciste kity bielały wśród pomroki, zdawały się podnosić je w górę, niby blade pochodnie, dla rozjaśnienia

nadchodzących ciemności. Cichy to był i spokojny wieczór, ale nawet człowiek tak mało zwracający na drugich uwagę jak Drummond, z łatwością mógł spostrzedz, że usposobienie Violetty nie było wcale w zgodzie z jego łagodną pogodą. Chmurne jéj milczenie, nic dobrego nie zapowiadało.

— Wszak nas przyjdziesz jutro odwiedzić po południu? spytał.

— Nie zdaje mi się, odpowiedziała, trzymając rękę na klamce drzwi już otworzonych.

— Bądź że poczciwą Violetto, i wierzaj żeśmy ci dobrą dali radę. Nie zapominaj tego com ci powiedział, i przyjdź jutro wieczorem, aby nam dowieść, że pozostaliśmy z sobą w téj saméj co dawniéj przyjaźni.

To rzekłszy, James Drummond, odszedł z powrotem ścieżką wspinającą się na cieniste wzgórze; gwiżdżąc sobie w roztargnieniu, z jedną ręką w kieszeń od spodni wsuniętą i z kapeluszem na tył głowy włożonym. Na twarzy jego był niezwykły wyraz poważnéj zadumy. Panna North, ze swéj strony wszedłszy do domu, udała się zaraz do swego pokoju. Z pomiędzy miejscowych pensyonarek, ona jedna miała swój własny, ale ojciec jéj zażądał był tego koniecznie.

Otworzyła okno i przy nim usiadła. Nieco daléj, w dole, paliła się już uliczna latarnia i odblaski płomienia w dziwny się sposób łamały wśród licznych gałęzi kasztanów. Dochodzący chwilami odgłos rozmowy rzadkich przechodniów, uwydatniał bardziéj jeszcze ciszę nocną i już na ciemném niebie oko mogło wypatrzéć iskrzącą tu i owdzie gwiazdeczkę.

Na zewnątrz, spokoju było podostatkiem; — ale wewnątrz szalała gniewna burza.

— Oni to zrobili, powiadała sobie Violetta; oni sami temu winni. Podałam im możność postąpienia inaczéj, i pragnęłam zachowywać się nadal w sposób jak najprzyzwoitszy; ale teraz pchnęli mię na całkiem inną drogę. Nie pragnę widywać się z nim, zdaje mi się że go nienawidziéć będę, gdy go napotkam; ale *chcę* go widywać — i chcę go napotykać ile razy mu się spodoba; i będę pisywała do niego, choćby po dwa razy na dzień; a jeśli on zechce ożenić się ze mną, pójdę za niego choćby zaraz, i niech co chce z tego będzie! Oto czego sami narobili!

W taki to sposób miotają nieraz nami wichrowate podmuchy gniewu i szaleństwa, na to — aby z nas rozrywkę uciesznę miewali bogowie na wysokościach!

(d. c. n.)

MARCIN MATUSZEWICZ

JAKO PAMIĘTNIKARZ,

napisał

W. Spasowicz.

Pamiętniki M. M. Kasztelana brzeskiego-litewskiego 1714 — 1765 wydał Adolf Pawiński tomów 4. Warszawa 1876.

I.

„Pamiętniki *Matuszewicza Kasztelana!..*" dla czego Kasztelana? W chwili kiedy autor ostatnie słowa dopisywał do dyaryusza w którym prawda *zbytecznie szczerze opisana i dla wielu osób wrażliwa* (IV, 318), daleko mu jeszcze było do wyższych dostojeństw i krzesła w Senacie; przy całym wielkim sprycie stolnika brzeskiego jeszcze mu się nie wiodło, trzymał się tylko klamki swoich dobrodziejów, antagonistów familii: hetmana Branickiego, Karola Radziwiłła, a ci panowie wraz z Franc. S. Potockim, byli trojcą o której ukąśliwie wyrażał się kanclerz litewski: „drudzy przy tych trzech są jak dzwonki przy obróżce, kiedy się obróżka ruszy tedy i oni dzwonią" (IV 243). Służba była ciężka, nagrody tylko obiecywane, a że protektorowie sami mocno szwankowali, więc i pan stolnik musiał się zniżać i płaszczyć, łasić się do księcia kanclerza litewskiego, jeździć umyślnie by na jego oczach przebyć szukając nad sobą miłosierdzia (IV, 239, 242). Nie zwiodły te kocie umizgi księcia kanclerza: „Pan stolnik brzeski, mawiał, kiedy nam dobrze to i on dobry, ale gdyby nam źle było, on byłby najgorszy" (IV, 287). Matuszewicz porósł w pierze znacznie później, kiedy król był poróżniony z familią, familia straciła punkt oparcia w Petersburgu

i wszystkie jéj plany w niwecz zostały obrócone, a faworytem fortuny stal się powrócony z zagranicy wygnaniec Karol Radziwill jako marszałek konfederacyi radomskiéj. Umysłowo Radziwill był zawsze pod czyjąś opieką, opiekunami w tym znaczącym a nie pięknym życia jego okresie byli Karr i Matuszewicz, sekretarz konfederacyi a potém sejmu 1768 r. Z Radomiem może pójść o lepsze chyba jedna Targowica; o Karolu Radziwille można rzec, że nie wiedział dokładnie co czynił, ale o Matuszewiczu tego utrzymywać nie podobna, była to najtęższa głowa do rady i najzręczniejsze pióro w całém otoczeniu wojewody wileńskiego. Te to smutne usługi okupiły się dla Matuszewicza sowicie i donacyą ze skarbu 50,000 złp. i kasztelanią; kasztelania jeżeli ziściła długich lat marzenia ambitnego człowieka, to przy głębszem spojrzeniu na czyny, jest jak gdyby stygmatem. Po przeczytaniu pamiętników chciałoby się wierzyć że stolnik brzeski był nieco lepszy od kasztelana brzeskiego, nie przeto żeby kasztelania nie była wynikiem usposobień w ciągu całego życia stale objawianych i w pamiętnikach najnaiwniéj wyspowiadanych, ale że nawet w pamiętniku Matuszewicz nie odważył był się wyznać z całą szczerością jakiemi drogami i po jakich szczeblach doszedł do kasztelanii.

Skazy na osobie autora nie uwłaczają w niczem pamiętnikowi; jest to „skarb nieoceniony,” jak słusznie wyrzekł J. Bartoszewicz, jedno z najobfitszych źródeł do rozpoznania moralnéj fizyognomii Polski w połowie XVIII wieku. W obec niezliczonych kreacyi poetyckich odtwarzających niezbyt daleką przeszłość kunsztownie wyrzeźbioną i wyidealizowaną, jakby wykutą z marmuru, stanęło przerażające prawdą widmo niby człowiek żywy, tłómacz myśli, uczuć i obyczajów ludzi przed stu laty, materyał o tyle ważniejszy od tych posągów z marmuru, o ile doświadczenia przy równych innych warunkach wyższe nad domysł, albo wiwisekcya nad anatomizowanie martwéj natury. Odkrycie pamiętników M. M. jest największym przyczynkiem do poznania obyczajów dawnej Polski od wynalezienia w 1836 r. przez Edwarda Raczyńskiego Pamiętników Paska. Nieskończenie pośledniejszy od Paska pod względem zacności i charakteru Matuszewicz nie ustępuje mu jako wielki pisarz i artysta. Mówca zawsze mówić gotów słowami Horacego i Boileau, rymopis pod względem formy prawie już należący do Stanisławowskiéj epoki, Matuszewicz układał przez długie lata swój pamiętnik bez żadnych celów i założeń praktycznych. Nie jest to obrona siebie samego przed sądem późnéj potomności układana przez człowieka, który sam sobie stawia za życia świątynię i ołtarz; nie jest to także tendencyjny pamflet przypasowany do pojęć pe-

wnego stronnictwa i mający coś dowieść. Kreśląc to „prywatne pisanie dla domowéj tylko wiadomości," czynił M. zadość tylko wymaganiom wewnętrznym swojéj własnéj natury, potrzebie streszczenia wrażeń i spostrzeżeń swoich w ciągu życia pełnego agitacii i przechowania ich w pierwotnéj świeżości dla swego przyszłego ja, gdy na schyłku lat wypadnie godzinki odprawiać, przy kominku siedzieć nieruchomie i na przeszłe lata tylko się ozierać. Czytając Pamiętniki uprzytomniają się długie zapełniane niemi słotne dni na wsi, albo zimowe wieczory w przestankach między sejmikiem a trybunałem, kiedy zasiadłszy do oprawnéj księgi pan stolnik jednym ciągiem pióra z licznych notat i raptularza zapisywał wypadki naraz kilku ubiegłych lat albo miesięcy, zmieniając nieraz zdanie o ludziach, których już uprzednio malował inaczéj i kreśląc ich na nowo w świetle swoich zmienionych osobistych do nich stosunków. W nagłówku Pamiętników napisano: dyaryusz życia mego dla wiadomości potomków *„oraz dla przestróg,"* ale nic nie dowodzi, że to założenie pierwotne było w ciągu Pamiętników ściśle wykonane. M. nie wiele przestróg daje, niczego nie żałuje, ale popuszcza cugle swojéj werwie satyrycznéj i za tę satyryczność tylko w końcu przeprasza i odpuszczenia prosi, za to właśniee że prawda zbytecznie szczerze opisana i dla tego uraźliwa. Niemając powodu przed sobą samym się żenować M. nic nie stroi, nii, zmienia, nie przybiera, a przyznaje się najnaiwniéj do rzeczy niemoralnych i nieraz wcale szpetnych. Stopniowemu przez czas długspisywaniu pamiętników a nie układaniu ich odrazu, należy przy pisać przemagający w nich charakter nie epiczny a raczéj dramatyczny, nie obrazowe opisywanie osób i wypadków, a chwytanie i uwydatnianie ich drobnemi rysami niby rylcem. na razie, na żywym czynie, tak że z półsłówka staje przed oczyma nie malowana osoba ale czynny charakter z zaznaczonymi ruchami i grą sprężyn moralnych, które były motorami téj jednostki. Ten czysty, żadną postronną intencyą nie zaprawny realizm, nie może nie wywierać potężnego wrażenia, chociażby brał za przedmiot rzeczy brudne i wstrętne. *Prawdziwe* więc *piękne*,... tak wnioskujemy zwykle w naszych sądach estetycznych, a ponieważ to piękno estetyczne nie odróżnia się nigdy ściśle od piękna w ogóle, w którém się zawiera i piękno moralne, sądzę, że gdyby Pamiętniki M. ukazały się nie dzisiaj a przed laty dwudziestu albo trzydziestu w chwili najpełniejszego rozkwitu w literaturze staropolskiego eposu i apoteozowania szlachetczyzny, możeby kto i uwielbiał dobrodusznie dzieło i autora za ich niezaprzeczoną narodowość, pomimo bardzo wątpliwéj obywatelskości. Wszakże miały w owym czasie wielkie

powodzenie w trylogii Benedykta Winnickiego, obrazki mało co lepsze, pełne sutych nahajów, burd w okrwawionym kościele i nawet szczegółów o kuchennych warunkach sejmowania, do których w Pamiętnikach M. przybywają tylko nowe i nieocenione szczegóły finansowe: wiele srebrników poszło na każdy doszły albo zerwany sejmik, lub na wybór trybunalskiego deputata. Dzisiaj zmienił się znacznie sam stosunek nasz do przeszłości, poglądy stały się trzeźwiejsze, wymagania surowsze, dziś jesteśmy wybredniejsi i poznamy się na mętach niedopitego kielicha, nie weźmiemy ich za czyste wytrawne wino. Dziś realizm z jakim pisane są Pamiętniki zastanawia i poucza, ale i przeraża, bo z tego zwierciadła wyziera odbita w niém twarz wieku ohydna, zapłynięta od tłuszczu, zaczerwieniona od pijaństwa, rozpromieniona bakchicznym uśmiechem jak podochocony Sylen na obrazie Rubensa. Zadowolenie estetyczne z tak dobrze pochwyconego podobieństwa przepada w obec odrazy moralnéj. W teoryi Darwina setki tysięcy lat zaledwie umożebniają pochodzenie człowieka od praojca podobnego do zwierząt, a tu setka lat przedziela nas od tych ludzi bez myśli o krwawem jutrze, bez wstydu i sromu, i chętka bierze albo zakwestyonować pokrewieństwo, albo wziąść na się obronę osławionego wieku przeciwko Matuszewiczowi. Cały późniejszy bieg wypadków, dążenia i usiłowania reformy i naprawy, nie dadzą się w żaden sposób objaśnić bez przypuszczenia, że obok zgnilizny były popędy szlachetniejsze i pojęcia zdrowsze niż te, które odwzorował M., że wiek swój i wypadki on na miarę swoją mierzył, a sam był jeżeli nie jednym z większych robaków toczących ciało umierającéj rzeczypospolitéj, to przynajmniéj zepsutém dzieckiem wieku, że obraz wieku który on podaje, jest jednostronny i w zbyt ciemnych barwach, ciemniejszych może niż w rzeczywistości. Zanim więc sprawdzimy tak w całości, jako i we wszystkich szczegółach olbrzymi obraz wieku narzucony w grubych rysach wprawną ręką Pamiętnikarza, wypada zbadać przymioty i właściwości danego zwierciadła w którym się odbijały obyczaje wieku, to jest ocenić samego autora jako obywatela i człowieka, poczem już łatwiéj dociec jak te przymioty wpływały na artystę i jaki wpływ musiały wywrzeć na podobieństwo do prawdy portretowanych osób i wypadków. Ze wszystkich portretów w Pamiętnikach najmniéj podejrzany o fałsz, jest bezwątpienia portret autora własny. Marcin Matuszewicz swoją własną osobą należy do najcenniejszych źródeł dziejowych XVIII wieku, bo jest jednym z najcharakterystyczniejszych ruchawego tego wieku okazów.

II.

Nic piękniejszego nad początki obywatelskiego zawodu Matuszewicza. Dom uczciwy, dostatni, szlachecki, nie pański. Ojciec starosta Stokliski, człek bystry, bywalec, umiejący wszystkie prawie europejskie języki (II, 24) stateczny, miłosierny, skryty jałmużnik (I, 92) fundator klasztoru w Rasnéj, sodalis marianus tak skrupulatnie nabożny, że na łożu śmierci mając 83 lat jeszcze pościł, domownik Sapieżyński trzymał się jaknajdaléj od wszelkiéj publiki a tylko gospodarstwa pilnował, ale taką miał powagę i wziętość, że kiedy (1743) Poniatowski wojewoda mazowiecki ojciec przyszłego króla promował starszego syna Kazimierza do Sapieżanki podskarbianki rozwiedzionéj z Hieronimem Radziwiłłem, Matuszewicza użyto za swata dla skojarzenia tego związku, który niedoszedł, bo podskarbi uważał go za mezalians (I, 145). Najstarszy syn w familii, niezmiernie zdolny, znający dobrze łacińskich klasyków ze szkół u jezuitów postąpił Marcin M. prosto do granmuszkieterów króla Augusta II. Po śmierci króla rozprzęgła się ta kompania z 80 młodych ludzi; część odprawiono, bo jako biorący gażę od elektora saskiego, nie chcieli dać przysięgi na rzeczpospolitę, inni a w téj liczbie i M. M. przysięgli ochoczo jako życzliwi synowie ojczyzny, za co Matuszewicza i prymas Potocki w głowę pocałował i w. marszalek k. Mniszech pochwalił obiecując wysłać z synami swemi po elekcyi do cudzych krajów (I, 13). Rodzice tymczasem wzięli do domu podlotka, a że cała szlachta brzeska, wyjąwszy może Sapiehów, była gorąco oddana Stanislawowskiéj partyi, więc śród zawieruchy politycznéj niepodobna było utrzymać rwącego się do wojaczki syna. Ojciec jako domator kiedy Rossyanie weszli i półkownik Kondyrew przyjmował przysięgi na wierność Augustowi III, wykonał w Brześciu przysięgę wymawiając po cichu *nunc coacte* zamiast *non coacte* (I, 33). Syn pociągnął do konfederacyi przy królu Stanisławie; dano mu komendę z dwiestu zaciężnych chłopów bez strzelb i amunicyi (I, 38). Doznałem, pisze autor, że co inszego jest musztr umieć a co innego komenderować i jak szkodliwa rzecz nie iść przez żołnierskie od unteroficerstwa gradusy; niepotrafiłbym żadnéj uczynić dyspozycyi gdyby mnie porucznik Lange nie poinformował (I, 42). W téj piechocie M. był pierwszym kapitanem; przyszla myśl innym oficerom rozpuścić ludzi, a od niego odebrać blisko tysiąc talarów lenungowych; nie dokazawszy tego pożegnali mię, powiada autor, i pojechali (I, 43). Nie była to właściwie wojaczka, ale po prostu włóczenie się bez ładu z Kobrynia na Wo-

łyń, stamtąd przez Pińsk do Mińska, do Wilna, nad granicę pruską do Warmii, wkońcu do Królewca, gdzie się zebrali, potraciwszy podkomendnych, sami wodzowie Stanisławowskiéj partyi. „Panowie nasi, pisze autor, zapomniawszy o domach swoich i niepomyślnéj sytuacyi bardzo hojnie żyć poczęli, parady czynili, bale dawali, w inklinacye i roskosze powdawali się, tak dalece, że wielu w nieprzystojne wpadli choroby. Partya zmniejszała się bo wielu nie popłaciwszy długów skrycie z Królewca odjeżdżali“ (I, 54, 55). W Królewcu złożył na zawsze swój mundur unteroficer i odtąd mamy do czynienia tylko z człowiekiem pióra, dyplomatą i jurystą, który gotów zapewne wyrąbać się w pojedynku za obrazę swoję, swéj familii lub partyi, ale woli załatwiać wszelkie zajścia polubownie, za pomocą gęsiéj albo nawet „żydowskiéj“ szabli (to jest pieniężnéj akkomodacyi) niż otwartą siłą (IV, 247). Po powrocie do domu, młodzieńca trapiła nuda, przykrzyła mu się domowa sedenterya, zajęcie się więcéj książkami i polowaniem niż gospodarstwem, którem się ojciec zaprzątał; z nudów więc a nie z legitymizmu, jak twierdzi Bartoszewicz w swoim studyum o Sosnowskim, w którém sporo wzięto materyału in crudo z Pamiętników Matuszewicza, projektowała się jazda do Lunewilu, gdzie można było na dworze byłego króla wypolerować się i czegoś douczyć. Nad służbę dworską albo prywatną sekretaryę u kogo z magnatów ojciec Matuszewicza przeniósł dla syna urząd publiczny, a że urzędy były w owym czasie prawie wszystkie sprzedawane, a grodzkie rozdawał starosta jako jurisdator, więc kupione zostało od starosty brzeskiego Frydryka Sapiehy kanclerza, pisarstwo grodzkie brzeskie za 600 dukatów dla 25 letniego Marcina M. Trzeźwo trzymałem się, powiada autor, kaptując afekt wojewodzianów kłaniałem się i częstowałem ile możności. Częstowałem też kolegów podstarościego i sędziego (I, 88). Ekspens coraz większy rósł, a od ojca miałem szczupły supplement. Umyśliłem nie paradować, ale konno samotrzeć albo czasem samowtór jeździć, niebraniem salariów zasługiwać się, biegać po inkwizycyach i egzekucyach (I, 92—144). Uporządkował też akta grodzkie, które gniły od wilgoci złożone po kościołach brzeskich (I, 96). Z usług rósł afekt u szlachty, popularność i wpływy na przyszłość. «A kogo rozumiałem że mu kiedy usłużyłem, rozpisałem listy zapraszając na sejmik» powiada autor (I, 135), rozwijając szeroki, całe gruntownie obmyślany traktat swojéj polityki. «Ta bowiem moja maxyma w sejmikowaniu i obejściu się w województwie była, wszystkim szczerze i ochotnie służyć, krzywd nie pamiętać, nieprzyjaciołom nawet usłużyć i udarować, za moje urzędowe actus mało albo nic nie brać a potrzebnym dać, lekko przy-

jechać i prędko ekspedyować, aby stronom expensu nie czynić, kombinować a przy kombinacyi swego dołożyć. Na sądach i zjazdach stół mieć otwarty, winem dobrem nietylko częstować, ale też mocno poić, w czem i swego nie ochraniałem zdrowia; na sejmikach nigdy ad extremitates nie przychodzić, głos każdy bardzo obserwować, prosić kontradycentów, pretensye ich do starających się o funkcye swemi często pieniędzmi godzić, słowa punktualnie dotrzymać. Jeżeli sejmik doszedł, wspólnie się cieszyć; jeżeli nie doszedł, tedy i z temi co sejmik zepsowali w zupełnéj rozjeżdżać się konfidencyi, którzy bywało do mnie przychodzili. Piłem z nimi, weseliłem się w prawdziwéj szczerości, ekskuzując ich potrzeby, że to musieli dla swoich przyczyn uczynić» (I, 213). Arcymądre to rady i tchnące na pierwszy rzut oka niby najszczerszém obywatelstwem, wszakże głębiéj je rozważając niepodobna nie przyznać, że natchnęły je cele daleko sięgające po za skromną chęć służenia poczciwie a sumiennie braci szlachcie. Żadne względy dobra publicznego nie wymagają takiéj machiawelowskiéj dyssymulacyi sentymentów. Żadna fortuna szlachecka nie wytrzyma takiego rosnącego ekspensu na jadło i wino, na godzenie własnym kosztem kłócących się. Takiemi wysiłkami kupuje się popularność, gdy ma ona służyć za stopień do wspięcia się na wysokie szczyty. Marcin M. był od młodości niesłychanie żądny wielkości i znaczenia i wytrwale szedł do mety którą mu wytykała nieośledniа ambicya; w 1754 roku już mu po głowie chodzi ta kasztelania brzeska (II, 107), którą rzeczywiście posiadł w 14 lat późniéj. Wielka ambicya nie wadzi jeśli założeniem własnego wywyższenia jest promowanie publicznego dobra; czy miał taką ambicyę M.? czy mógł mający ją człowiek polityczny wysunąć się nad poziom i zająć wybitne stanowisko w XVIII w.? są to pytania na które późniéj postaramy się odpowiedzieć. Do ziszczenia wielkich zamiarów nie brak było zdolności, nie mało jednak nasuwało się przeszkód: wielu kłopotów nabawiała Matuszewicza matka, przeszkadzali mu bracia, nakoniec grunt łaski pańskiéj po którym trzeba było stąpać by się dostać na społeczne wyżyny był tak śliski i pełny zdradliwych niespodzianek, że los i przyszłość autora Pamiętników wisiały nieraz na włosku. Rozpatrzmy się teraz w najbliższém jego otoczeniu.

Teresa z domu Kempska, skoligacona z Mostowskimi i posażna, matka autora, należy do najosobliwszych figur odrysowanych w Pamiętniku. Onego czasu (1742), pisze autor, matka moja pojechawszy do Goślic, zastała tam jakiś nieporządek (I, 126), a że był tam podstarościm szlachcic Łastowski, kazała go bić tak mocno kańczugami po gołem ciele, że ten Łastowski umarł. Zalękła się

matka i schroniła się do franciszkańskiego klasztoru. Zabiegając brzydkiemu procesowi, trzeba było Łastowskiego zrobić nieszlachcicem, wydobyto metryki baptisatorum od księdza w Oszmianie i pani Matuszewiczowa z groźbami namawiała syna aby fałszywe wpisy do téj księgi porobił o Łastowskim, a gdy się syn nie zgodził, długo nie puszczała go na oczy (I, 127). Zagodził tę sprawę przez kompromis Krasiński podkomorzy kazawszy się matce odprzysiądz, że nie była przyczyną śmierci Łastowskiego, który to jurament, dodaje autor, dotychczas nie jest wykonany. Obok téj sprawy była jeszcze inna dość brzydkiéj natury o srebra kościelne i kawałki monstrancyi, które znaleziono w czasie pożaru u żyda w miasteczku Matuszewiczów Rasnéj a oddano do dworu do rąk pani Matuszewiczowéj, które je przywłąszczyła, skąd fama urosła, że się Matuszewicze przechowywaniem rzeczy kradzionych kościelnych bogacą (I, 66, 120). Trzecią sprawę wytoczyła pani starościna sama a z wielkiém dla całego domu niebezpieczeństwem, bo przeciwnikiem był pan możny, Michał Sapieha wojewoda podlaski, generał artyl. litew. Chodziło o jarmark w Rasnéj na Św. Ilię ruskiego, (I, 39—73). Wojewoda ufundowawszy w tymże czasie jarmark w swojéj wsi Wysokiém, zawracał po gościńcach kupców rozstawiwszy warty swego regimentu, nawzajem rodzice Matuszewicza wymogli na nim, że dał swoję brzeską konfederacką piechotę na prezydium jarmarku rasieńskiego. Ojciec z początku odzywał się do wojewody: „nic na tym świecie z Wmść panem nie wskóram, ale na sąd Boski o moją krzywdę pozwę;“ wydał jednak pozew na trybunał lubelski, na który pojechała matka, wioząc na promowanie sprawy 11,000 zł., oszczędzając w drodze i krzywdy na popasach i noclegach czyniąc, powróciła jednak z niczem, bo uznano remissę do litewskiego trybunału, na który Sapieha już pozwał rodziców. Ostateczna zagłada zgroziła domowi. Sapieha zakroił na zabranie Rasnéj, i pobudził koalicyą pretensorów na dobra Matuszewicza, ale nagle umarł i Matuszewiczowie odetchnęli. Ciągle się procesując starościna oddała drugiego syna Józefa na palestranta i wszystkie córki powydawałaby za patronów trybunalskich, byle mieć bezpłatnych w sprawach swoich obrońców. Jednę córkę wziął patron lubelski Lechnicki, wątpliwy szlachcic, niemający domu a tylko stancyą, który przyjechał konno i niemiał czém żony odwieść do Lublina. Skonkludowano natychmiast rozwód, jak zwykle na zasadzie coactionis (I, 72), ale prawie wnet potém matka wymogła na drugiéj córce, to rózgami jéj grożąc, to do nóg jéj padając, że ta ostatnia zrezolwowała się iść za wstrętnego jéj wdowca patrona Ruszczyca.

Ojciec domyślał się że, mając zięcia patrona, w razie jego śmierci żona chciałaby wszystko po nim zagarnąć (I, 118). Wszystkie złe sprawy matki ciężyły i na Marcinie M., bo pod utratą błogosławieństwa musiał je popierać. Od młodszych braci mało miał Marcin pomocy i żadnéj konsyderacyi. Podając siebie za szczególniejszego ich dobrodzieja i wyliczając swoje trudy w obronie ich w ciężkiéj sprawie o postrzelenie przez nich na śmierć Parowińskiego (I, 109, 190), autor przytacza o nich rzeczy tak niepoczciwe, że dziwić się wypada jakim sposobem podtrzymywał z nimi stosunki. Młodszy brat Wacław porucznik procesował go ciągle o ruchomości po ojcu i odgrażał się, że da bratu po łbie szablą (III, 56). Wyrzuca mu w oczy Marcin M., że w swojéj chimerycznéj junakieryi „mnie swemi pozwami i manifestem ozłodzieił, że mnie o krzywoprzysięstwo publikował i zgodę jako łaskę ofiarował.“ Średni brat Józef pułkownik, rozsądniejszy człowiek, ale samolub, chciałby przeszkodzić bratu Marcinowi żenić się, by nie stracić nadziei spadku (II, 172), nigdy nie dostał na sejmiku, albo w układach familijnych z przeciwnikami, zawsze na wydatki publiczne dla partyi poskąpił, pieniądze na ten cel dane zatrzymał i na swoje potrzeby obrócił, a ciągle każdy krok starszego brata krytykował i w najbardziéj trudnych chwilach walki z kanclerzem, o tem tylko myślał i krzyczał jakby wyskoczyć z jamy, to jest właściwie zdać się na łaskę i niełaskę, wreszcie zalecając się metresie Fleminga Tymanowéj jako konkurent, zdradzał przed Czartoryszczykami sekreta partyi radziwiłłowskiéj (IV, 219), podając przez to brata Marcina u protektorów jego w suspicyę.

Przy takiéj matce i braciach, jeżeli wszystko to prawda co napisane w Pamiętnikach, Marcin M. samemu sobie tylko zawdzięczał afekt i estymę swoich braci szlachty brześcian. Na téj miłości mógł i poprzestać nie tracąc fortuny na popularność (IV, 39). Tak sobie ustanowiłem, powiada, abym tak głęboko nie wdawał się w sejmiki i od nikogo nie dependował i nikomu się nie narażał, a na sejmikach tylko bonum ordinem z osoby mojéj utrzymywał. Byłbym szczęśliwy, gdybym to był mógł do skutku doprowadzić, ale nie pozwolił mi Pan Bóg tego tak pożądanego szczęścia (II, 35). Jak zwykle winien był nie Pan Bóg ale własna natura, nieoparcie się pokusom błyszczenia na rozleglejszéj widowni. Przykre były warunki zadośćuczynienia tym pokusom, dla nas tak wstrętne, że wedle naszych dzisiejszych pojęć wypełniać je znaczyłoby się poniżyć, płaszczyć i upodlić. Dla scharakteryzowania tych warunków pożyczamy ustęp od Bartoszewicza, tém dla nas cenniejszy, że natchniony czytaniem samychże Pamiętników M. (Sosnowski w Piśmie zbio-

rowem Ohryzki 1859, t. II, 146): „cała moralność publiczna i patryotyzm szlachty nie z pierwszego rzędu zamykały się w tem, żeby ślepo lecieć na rozkazy panów, zagłuszywszy nawet głos sumienia. Każda wyżéj stojąca rodzina miała swoją własną politykę względem kraju, swoje sojusze i widoki, środki zaś wszyscy mieli jedne i te same, to jest zuchwalstwo targania się na rzeczy najświętsze, aby tylko postawić na swojem. Każdy szlachcic, który los chciał zrobić, musiał sobie wybrać jaki potężny dom pański i oddać mu się na usługi z duszą i z sercem.“ Taki wiek, dodaje B., wyrobił się sam z siebie, więc ludzie słabsi nie czuli poniżenia, nie domyślali się, że zabijają przyszłość Rzplitéj. M. nie należał do słabszych, był więc, że tak powiem, używając wyrazu utartego w prawie karnem, w stanie poczytalności, lecz i względem niego sprawdzić się musiał ten aksiomat, że przyzwyczajenie — druga natura; powoli wciąga się człowiek w przykry stosunek, potem tępieje uczucie moralne, a w końcu węzły z obrachowania acz może ze wstrętem zawiązane, uchodzą za nieprzepartą konieczność i prawo bytu. Niewątpliwie że kiedy młody mówca, powodując się zepsutym smakiem wieku palił do Kanclerza Sapiehy (1738, I, 84) oracyę, w któréj zanurzając się in abyssum najgłębszych adoracyi, słał się pod stopy wielkiego Heraklidy, nie ważąc się tollere vultus i prosząc aby kanclerz tę wierną a pokorą głowę raczył dotknąć pollice pedis, w pojęciach mówcy były to tylko retoryczne frazesa, których nikt nie bierze literalnie, jak nie biorą się literalnie nasze komplementa: upadam do nóg, albo najniższy sługa. Ta tylko jednak między wiekiem owym a naszym zachodziła różnica, że kiedy u nas te frazesa uchodzą za czystą i nic nie znaczącą konwencyonalność a najczęściéj upada do nóg i za najniższego sługę podaje się ten, kto najwięcéj ma praw na znaczenie i tytułów do wyższości, w wieku zeszłym wybrańce losu, którym się udało stać na stopie prawie monarchicznéj, to jest polskie jak ich nazywano królewięta, grzeczność brali za hołd należny i mieli wciąż na myśli to, co kanclerz w. I. Czartoryski bez ogródek wyraził składającemu na cześć jego pochwalną odę Matuszewiczowi: dziękuję Waści za te pochwały *et fabula partem veri habet* (IV, 311). Stosunki kształtowały się w ten sposób, że grzeczność wyrażający frazes i przesadny komplement co moment się obracały albo miały pochop do obracania się w najzupełniejszą rzeczywistość. Przy każdéj zręczności rzecznicy ks. kanclerza Czartoryskiego bluzgali w oczy na sądach Matuszewiczowi tą objekcyą: *ecce homo qui edebat panes meos magnificavit super me supplantationem* (II, 251), darmo się składał M. że chleb na obiadach jużci jadłem, ale i 60,000 zł. chleba mego na usługach księ-

cia przejadłem. Nietylko rzecznicy, sam kanclerz był wewnętrznie przekonany, że człowiek, który się w nadziei faworow do rydwanu jego zaprzągł, już doń należy z duszą i ciałem, dowód na to starczy ta pyszna scena w Wołczynie z Matuszewiczem jako kłaniającym się by uniknąć zemsty adwersarzem (II, 73). Książę kazał krzesła podać, gdym ja ceremonie czynił książe rzekłszy: gdzie siła ceremonii tam szczerości mało, kazał koniecznie siedzieć. Gdy siadłem czekał deprekacyi, niedoczekawszy się zaczął mówić: „Mości panie stolniku! nie potrzeba mi innego sędziego jak samego WM. Pana. Zajrzyj tylko WM. Pan w sumienie swoje i przypomnij sobie jaki dla niego miałem *afekt*, jak go *kochałem* i jakie *chciałem dać* promocye, a jakżeś to mi WM. Pan nagrodził? Gdy książę przestał, jam zaczął w te słowa odpowiadać: Mości Książe dobrodzieju! Gdy wspomnę sobie na ten stan szczęśliwy, gdy byłem in statu gratiae a na ten stan w którym jestem reprobationis, serce mi się rzewnemi zalewa łzami i t. d.“ Czasami oburzała się duma postponowanego szlachcica i sierdząc się brawował magnata. „Witał mnie solennie ks. kanclerz (w Wołczynie), na mnie z widoczną złością patrzył; ja tego nie zważając umyślnie dobrą nadstawiałem się miną, w dyskurs wrywałem się, siedziałem z drugiemi choć nieproszony abym siedział“ (II, 87). Krótkie to jednak były brawady, następowała rozpacz robaka, który w uczuciu swojéj niemocy, by go nie zajechano, by go kondemnatami nie wyzuto z majątku, albo nie nastąpiono nawet na gardło, obiegał wszystkie kościoły i deptał po mniéj przystępnych niż kościoły progach protektorów, żaląc się że jest jako biedna owca w wilczéj paszczy i błagając o zmiłowanie (II, 282). U Bernardynów, powiada autor, nieraz z ryczeniem przed Najświętszą Panną płakałem oddając się jéj opiece (II, 274), spowiedzie czyniłem, na trycezymy dawałem; często bywałem tak spracowany długiem u pnaów i na asamblach staniem, że z sił spadłem i gorączka być zaczynała (II, 262). Oprócz modlitwy używane były wszelkie możebne inne środki obrony, mniéj pobożne i czyste. M. spowiada się ze swoich praktyk na znakomitym trybunale mińskim 1755 r. pod laską miecznika lit. Radziwiłła (Panie kochanku). Deputatów zacząłem na obiady zapraszać, częstując ich, sam musiałem się napijać. Skoro ze sądów wracali deputaci, na konia wsiadłszy objeżdżałem ich, do nóg krzyżem padałem i tak nauczyłem się płakać, że skoro do którego deputata mówić zacząłem, zaraz mi się łzy z oczu lunęły. A tak przez niedziel dwie ledwo po godzinie i to nie rozebrawszy się sypiając znowu jeździłem do deputatów (II, 150). U deputata Smogrzewskiego, który dał najgorszą dla niego sentencyę, nieraz, powiada M., leżałem u nóg w stancyi jego, dawa-

łem mu sto czerwonych złotych, ale brać nie chciał (II, 166). Z tych zabiegów u deputatów trybunalskich można już wnioskować o zachowaniu się względem tych półbogów, którzy trybunałami trzęśli i losy kraju dzierżyli w swoim ręku. M. całuje w nogi chorążego Radziwiłła (II, 146), kanclerza w. kor. Małachowskiego (II, 268); będąc deputatem na trybunał w Wilnie, upędza się by pierwszy stanął z powitaniem u przybyłego do Wilna hetmana w. lit. Radziwiłła (Rybeńko), wita go z ucałowaniem ręki (III, 170), całuje w nogi hetmana w. kor. Branickiego w karecie przyjmując go w przejeździe na czele rycerstwa z puharem wina, za co aż hetmanowa ofuknęła się i złajała M. że męża upajał (III, 144). To osobliwsze upodobanie w pozycyi ciała horyzontalnéj było tak wielkie, że honorowano w ten sposób nie tylko dobrodziejów i chlebodawców, ale też wrogów i przeciwników, o których wiedziano, że gotowiby na miazgę zetrzeć submittującego się kontradycenta. Wybaczamy Matuszewiczowi, że częstując u siebie hetmana Radziwiłła na zapytanie jego czyje są na ścianach portrety, rozpłakał się a powiadając: protekcya księcia hetmana te mi pozwoliła mieć portrety, co widząc wszyscy przytomni od łez wstrzymać się nie mogli (II, 151), ale nie pojmujemy zgoła jakie racye mogły zniewalać Matuszewicza do wielokrotnego całowania w brzuch Flemminga (III, 94), co nawet brata pułkownika skandalizowało; i do słania się z płaczem do nóg nieprzejednanemu wcale kanclerzowi Czartoryskiemu, który odtrącając tę czołobitność, twierdził z przekąsem i zapewne z uczuciem niesmaku: powierzchownie jesteś WM. Pan grzeczny i uniżony, ale wewnętrznie pyszny i zawzięty jak djabeł (II, 241). Z kłanianiem się zwyczajowym idzie w parze pochlebstwo ustnie i na piśmie, prozą i wierszem. Muza Pana stolnika nigdy nie cieszyła się panieństwem, jest on ostatnim z panegirystów jezuickiéj epoki i zwiastunem nadwornych pieczeniarzy stanisławowskiéj. Obok hymnów do N. Panny (IV, 297), piszą się wiersze do ks. hetmana z wyliczaniem radziwiłłowskich pokrewieństw z domami królewskiemi (II, 148), oda na cześć ks. kanclerza lit. (IV, 310) śpiesznie tłómaczy się z parafrazami na cześć Stanisława Augusta list Horacego do Augusta: Cum tot sustineas et tanta negotia solus (IV, 289, 301), nakoniec opiewa się nawet charteczka księcia podkomorzego. „Charteczkę rączą i dość nie małą, pisze autor, za którą dałem 10 czer zł. i stog siana, darowałem Poniatowskiemu podkomorzemu i przy darowaniu wiersze.“ Z zabiegliwością o protekcyę kojarzyła się samo przez się zabiegliwość o fawory i wypraszanie datków. Na promowanie partyi chociażby hetmańskiéj trzeba było pieniędzy od hetmana Branickiego, a hetman skąpy, więc powiada M.

ja jego w ręce a hetman mnie w szyję całował, wreszcie dał listy instancyonalne i tak wyszedłem wielce umartwiony (IV, 92). O każdy pieniądz na potrzeby wspólne trzeba było prosić, o zasługi dobijać się i umawiać, podawać memoryały (II, 299), ujęty datkiem i przypuszczony do partyi nie mógł w doborze środków być bardzo skrupulatnym, przy spełnieniu rozkazów i chodzeniu koło interesów pryncypała. Polityka kazała kupować sumnienia ludzkie werbując adherentów. Pieniądze które rozsyłałem, powiada Matuszewicz, niebyłyby tak skuteczne, gdybym karesowaniem, ukłonami, częstowaniem wagi im nieprzydawał (III, 94). Pierwszem prawidłem polityki na sejmiku czy trubanale, było pozyskać za pieniądze kogokolwiek z przeciwnego obozu, któryby dawał wiedzieć o wszystkiem co się u przeciwników knuje. W walce z przeciwnikami uchodziły jako rzecz zwyczajna fortele, którebyśmy nazwali podstępami dzikich. Nic charakterystyczniejszego w tym względzie nad stosunki Matuszewicza z Sosnowskim, którego Bartoszewicz na wiarę Pamiętników M. odmalował w najczarniejszych kolorach. Obłudny, chciwy, intrygant subjectum asperum et nocivum, jak go nazywał hetmat Branicki, podjął się Sosnowski z rozkazu ks. kanclerza lit. w 1758 r. na sejmiku brzeskim przeciwników kanclerza Matuszewiczów, jeżeli nie pozabijać to przynajmniéj pokaleczyć (III, 4). Przyszedł do nich z wizytą, zaprosił na wieczerzę, wieczerza miała być krwawa, bo śród kielichów wina umówiono było szukać okazyi z gośćmi, wszcząć z niemi zwadę i szablami posiekać, szczęściem, że przyjaciele Matuszewicza zwietrzywszy plan szatański przybiegli na odsiecz i tumult ustał, a Matuszewicze wycofali się z matni. Po takiéj strasznéj zdradzie wedle naszych pojęć, nastąpiłaby jeżeli nie zemsta, to przynajmniéj rozbrat na wieki. Inaczéj tę rzecz wtedy pojmowano. Na drugi dzień Matuszewicz rozpoczął z Sosnowskim dyskurs o rzeczach obojętnych *in omni suavitate*, nie pretendując eksplikacyi; w dwa lata potem bez żadnéj eksplikacyi obaj gracze znający siebie na wskroś, już przychodzą z sobą do dawnéj przyjaźni, a że Sosnowski był wtedy bardziéj niż M. znaczącą figurą, więc pod jego egidą M. posłuje na sejmie elekcyjnym. Gdy przyjechałem do Warszawy, powiada M., pod r. 1764, pojechałem do Sosnowskiego pisarza lit. jemu jako memu dobrodziejowi najpierwszy pokłon czyniąc (IV, 298). Taka wyrozumiałość w autorze Pamiętników znaczy prawie toż samo, co przytępienie uczucia moralnego, zatem próchno i zgnilizna. Téj bez zaprzeczenia wielkiéj i płodnéj intelligencyi, nie przyświecają ideały żadne, na drobne intrygi rozproszone zostały i strwonione niepoślednie zdolności; wiele zabiegów i pracy użyto na urzeczywistnienie drobniutkich celów

osobistego egoizmu. Każdy rys w tym XVIII wieku jest nam wiadomy, ale przez dziwną kolej wypadków, jeżeli porównamy uczucia, okaże się że nie mamy z nim zgoła ani jednego wspólnego. Z jednéj strony miałkie poglądy, drobne zadania życia, nie oglądanie się na jutro, w tym niby respublikaninie brak wszelkiego podnioślejszego uczucia godności ludzkiéj; z drugiéj strony ideały bezbrzeżne, pływanie w samych błękitach przy najniepomyślniejszych dla praktycznéj jakiejkolwiekbądź działalności warunkach, oprócz tego w zachowaniu się całem wybitna cecha jedna, którą tak prześlicznie zcharakteryzował Słowacki i która wystosowana przezeń do osoby, da się rozciągnąć na całe pokolenie:

Jeden tylko serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem
Smętną jakąś dawną sławą
Był szlachcicem i miał prawo!

Otóż w całem dziele Matuszewicza napróżnobyśmy szukali najmniejszego cienia tego *dumnego cichego smutku*, bez niego zaś tak mało nas może interesować figura autora w jego przygodach i niepowodzeniach, jako naprzykład chodzenie linoskoka po wyciągniętéj linie. Przygody te jednak były dość ciekawe. Zróbmy ich przegląd, by już pożegnać osobę autora Pamiętników.

III.

Z familijnéj tradycyi Matuszewicze byli adherentami Sapiehów. Z ręki Fryderyka Sapiehy kanclerza w. lit. trzymał Marcin M. swój urząd grodzki, ale ponieważ familia była właśnie wschodzącém na horyzoncie słońcem, więc młody pisarz brzeski starał się i ks. Michałowi Czartoryskiemu i zięciowi jego podskarbiemu lit. Flemingowi przysłużyć; zwłaszcza że brał od nich i pensye za inkwizycye i egzekucye w grodzie w sprawach ekonomicznych (I, 156). Dobre stosunki z Czartoryskim, będącym w ciągłéj emulacyi z kanclerzem, były dostateczną przyczyną do utraty wszelkiéj łaski u kanclerza, a szczególniéj u pani kanclerzynéj z domu Radziwiłówny. Już był się kanclerz powiada M., płaczem moim zmiękczył, już był łaskawym, kiedy księżna Sapieżyna kanclerzyna wpadła do pokoju z wielką furyą, a że była zawziętości wielkiéj i przygrubych manier, zaczęła mię ostatniemi słowami łajać i wrzeszczeć. (I,161). Chcąc się pozbyć Matuszewicza z grodu, Sapieha foryto-

wał go na podkomorstwo brzeskie. Straciwszy nadzieję przeproszenia kanclerza, M. dał się pociągnąć i przystąpił otwarcie do partyi Czartoryskiego (I, 70), który go głaskał jako największego faworyta, publicznie pieścił, w głowę całował, chwalił (I, 237), ale będąc mistrzem w sztuce wyzyskiwania ludzi, nic nie dawał, trzymając w ciągłéj ekspektatywie przyszłych łask i emolumentów. Matuszewicz nie należał do rzędu ludzi, którzy daliby się przywiązać jedynie karesami. Kiedy go ominęło i podkomorzowstwo a skończyło się na stolnikowstwie brzeskim, kiedy po śmierci kanclerza Sapiehy ustało i pisarstwo grodzkie, a nowy starosta brzeski Fleming podmówiony przez wroga Matuszewiczów Bystrego, pominął Marcina i mianował inną osobę, ostygł Marcin dla księcia Czartoryskiego, już kanclerza w. lit. i obrachowawszy że mu niekorzystnie utrzymywać sejmiki, azardować się bez rekompensy (I, 250), pokazał systematycznie swoją niby niezależność, a nawet począł ogłaszać że kontent jest iż się ks. kanclerz rozgniewał, a przeto uwolnił go od pracowitéj i ekspensownéj usługi (I, 260). Usługa często polegała w tém, żeby w sądzie kompromisarskim, albo w sądowéj komisyi sądzić nie jak sumienie kazało, ale jak interes promotora wymagał. W jednéj z takich komisyi, wołyńskiéj, sądząc szlachcica Kuczewskiego z ekonomią królewską, a zatém z podskarbim Flemingiem, M. tak zręcznie rzeczy pokierował że ekonomia przegrała, a wygrał szlachcic, z którego córką jeszcze przed końcem komisyi zaręczył się brat Matuszewicza (I,267). Kanclerz Czartoryski za wiele rzeczy urażony, czekał tylko okazyi, a tę nadarzył sejmik brzeski 1754, na którym Fleming, nie umiejąc się utrzymać przy lasce, uciekając od rozjuszonéj szlachty upadł i był haniebnie szablą po plecach opłazowany, nim go wyniósł z kościoła hajduk jego, porwawszy pod pachy (I, 41). Chociaż na sejmiku wcale nie był Marcin a tylko brat jego pułkownik, ale cały srom jaki spotkał podskarbiego, przypisano wpływowi Matuszewiczów i osnuto zemstę zupełnie owoczesnym obyczajom odpowiednią, i téj szlachcie od wieków na Litwie osiadłéj i wiadoméj umyślono zadać *imparitatem.* Józef Witanowski, którego niegdyś M. jako pachołka swego rózgami za złodziejstwo osmagał, wynalazł babę chłopkę Ginczukową, która należąc do Witanowskich i będąc od nich subordynowaną, podawała się za ciotkę Matuszewiczów pochodzących niby od chłopa Matysa. Babę wożono do Wołczyn do ks. kanclerza, który ją osadził w folwarku swoim Krynku (II, 84), a potém nawet kupił ją na własność (II, 131). Kanclerz nie myślał występować sam, zdałby robotę prawowania się na Witanowskich, zawieszeni w swojém szlachectwie

Matuszewicze pozwaliby którego z Witanowskich, a ten „hołopop“ wyniósłby się gdzie daleko i zniknął, Matuszewiczom przyszłoby się, na gołym objicyencie kondemnatę otrzymawszy, wiatr po ukrainach uganiać, a tymczasem przez lat cztery, ba i więcéj być civiliter mortui (II, 163). Niebezpieczeństwo zagroziło w téj właśnie chwili, gdy ojciec Matuszewicza umarł a sam Marcin miał się żenić z wdową po kowieńskim mieczniku Chełchowskim, z domu Szczytówną, kasztelanką mścisławską. Matuszewiczowie już dokonali akcesu do partyi radziwiłłowskiéj, mieli też stosunki z Mniszchem (II, 38, 64). Nasz Marcin sprawia naprzód paradny pogrzeb ojcu, na którym przez cały tydzień officyowali hojnie opłaceni księża: 324 ritus latini, 150 ritus graeci uniti, a cały kościół wewnątrz okryty był herbami i napisami świadczącémi o świetnych kolligacyach (II, 90, 91). Załatwiwszy się zaś z pogrzebem M. zdobywa się na krok śmiały: pozywa samego księcia kanclerza do statuicyi kalumniatorki pracowitéj Anny Szymczychy Gińczukowéj przed sąd trybunału litewskiego w Mińsku i do odpowiadania za krzywdy, jakie przez utrzymywanie jéj cierpią Matuszewiczowie na honorze. Pod przychylną laską Karola Radziwiłła, naówczas miecznika lit. przy największych forsach z obu stron i w skutek bardzo wątpliwéj równości głosów, bo ze 20 krések połowa tylko była radziwiłłowskich, a większość się uformowała w ten tylko sposób że niepoliczono czartoryszczykom jednéj kréski która była najnieprzyjaźniejszą dla Matuszewiczów, stanął wyrok pomijający kwestyę o odpowiedzialności kanclerza, ale nakazujący statuicyę baby Ginczukowéj (II, 165). Tryumf był wielki, ale podwoiło się niebezpieczeństwo, bo gniew i uraza kanclerza nie znały granic, a następne trybunały były już całkiem oddane familii i Matuszewiczom pozywanym przez kanclerza wypadało nie stawając na sądzie dać się raczéj kondemnować. Sam wyrok miński był zakwestyonowany jako fałszywie wydany niby większością głosów. Wojna otwarta wypowiedziana była szlachcicowi przez magnata, szlachcic niby się kłaniał i słał plackiem przed magnatem błagając o miłosierdzie, a tymczasem wchodził czynnie do wszystkich koalicyj przeciwko magnatowi, aż go zmęczywszy czołobitnością wymógł klejoną zgodę za przyczynieniem się króla i pośrednictwem potężnych medyatorów. Do zgody téj przyczyniło się najbardziéj to, że partya kanclerska pokrzywdziła okrutnie dwóch wpływowych ludzi na Litwie: Bohusza i Abramowicza, którzy trzymali się z M. za jedno i razem się z kanclerzem komplanowali.

Kanclerz w gruncie serca nie przebaczył, a tylko mścić się zaniechał, zaś M. musiał się z największym żalem swoim pozbyć

przyjemności, któréj się uporczywie dobijał mieć babę, którą tymczasem na własność od dawnego jéj właściciela Teletyckiego kupił, sobie wydaną i widzieć ją w Brześciu ręką kata u pręgierza rózgami bitą (II, 286). Stosunki które pozawierał M. w ciągu swéj wojny z kanclerzem były następne:

Matuszewicz się wkręcił do hetmana w. lit. Radziwiłła i stał się prawą jego ręką, kasyerem na wydatki sejmikowe, szafarzem łask, agentem obrabiającym interesa hetmańskie u dworu. Jeżdżąc do Wschowy, kłaniając się dworskiéj partyi to jest Mniszchowi marszał. nadw. kor. zięciowi Bryla, biskupowi Sołtykowi, M. przy tym ogniu i swoją smażył pieczeń, a nawet myślał o przeniesieniu się całkiem do Drezna dla hetmańskich i swoich interesów. Najdziwniejszym przypadkiem który bodaj tylko w ówczesnéj Polsce mógł się zdarzyć, ów szukający wszędzie protektorów i pieniędzy człowiek zdybał się w Białymstoku z lokatorem cudzych pieniędzy Szwajcarem Bekiem, sekretarzem hetmana w. kor. Branickiego i agentem francuskim, który to Bek, jak się okazało późniéj, był jednocześnie albo niewiele co potém sekretnym korrespondentem króla pruskiego (III, 61). Otóż Bek miał werbować stronników dla Francyi przeciwko partyi rossyjskiéj Czartoryskich, a że Matuszewicz z całém pieklem i to darmo by się sprzymierzył przeciwko kanclerzowi, więc propozycye Beka równały się dla Matuszewicza znalezieniu skarbu na gościńcu i złoto francuskie popłynęło rozrzucane hojnie na podsycanie partyi antykanclerskiéj, która była już teraz nie sapieżyńską ale główne radziwiłłowską, a dla któréj wedle niskiéj stopy owczesnych pojęć moralnych wcale zaszczytném było opierać się na tym niby aliansie zagranicznym. Pieniądze łatwo nabyte sypały się nawet nadto hojnie, łakomili się na nie nawet adherenci familii. Druh niby od serca i powinowaty Matuszewicza marszałek kowieński Zabiełło, który trzymał niby jego stronę, a tymczasem brał pokryjomu i zdradziecko od Fleminga pieniądze i bezpłatną dzierżawę Rzeczycy ekonomicznéj, napierał się gwałtownie tysiąca francuskich czerwonych złotych, a gdy zdemaskowany musiał się przyznać prawie do oszustwa, zakonkludował przypowieścią o podstarościm upickim i podkomorzym trockim, którzy oba brali od stron przeciwnych korrupcye a wkońcu sprzykrzywszy emulacye wzajem do siebie rzekli: Czego się kłócić, lepiéj i ty ber, i ja ber, a zgodzimy się. Nie chciałem być takowym *berkiem* powiada Matuszewicz (II, 220).

Zabiełło pieniędzy nie dostał, ale zdradził tajemnicę stronników francuskich, skarb się wyczerpał, panowie skąpili się na eks-

pensa, tak że na każdy sejmik aby się nie dać ostatecznie pognębić kanclerczykom, musiał M. dokładać grube summy z własnéj kieszeni, jak gracz, który raz do gry wciągnąwszy się, nie bastuje ale wciąż dokłada stawki. Sama partya radziwiłłowska rozkleja się dla braku rozumu i jedności w przywódzcach. Najprzód umiera (1760 r.) pan wielkiéj ręki a miałkiego rozumu, ale srogi i okrutny, trzymający wojska kilka tysięcy i w turmie siła niewolników, Hieronim Radziwiłł, chorąży lit. (III, 85, 86), a w papierach jego (o zgrozo dla hetmana w. lit.!) znalazły się dowody ścisłego aliansu jego z Czartoryskiemi za sprawą księdza biskupa Ryokura (III, 172). W ślad za chorążym, prawie w wigilią stanowczéj chwili, poszedł Michał Radziwiłł hetman w. lit. wojewoda wil., maksymą którego było zawsze z królem za jedno trzymać, pan miernéj penetracyi ale wielkiéj eksperyencyi przez praktykę (III, 175).

Wybiła godzina bezkrólewia. Familia oddawna była do niéj przygotowana ale przeciwników jéj ten wypadek złapał niby znienacka, każdy w téj partyi starorepublikańskiéj szedł swoją drogą nie pytając o innych, na Rusi Potocki w. kijowski, na Litwie Branicki i Karol Radziwiłł. Hetman w. kor. krewny Czartoryskich przez żonę Poniatowską, ale powaśniony z niemi od bardzo dawna, francuz ze swoich sympatyj, był konserwatystą w polityce, ale mocno dbałym aby nie tracić ze swoich milionowych dochodów. Karol Radziwiłł był to awanturnik i gwałtownik—całe tygodnie trzeba było czekać zanim można było rozmówić się z nim na trzeźwo. Prowadził go na pasku Pac podstoli litewski, łudząc najfałszywszemi nadziejami związku z familią Massalskich powiązanych najściśléj z księciem kanclerzem. I hetman i wojewoda wileński książę Karol słali do Matuszewicza list za listem wzywając go do rady i pomocy, ale M. niebył już wcale w wieku i usposobieniu robienia czegokolwiek bądź darmo dla dobra partyi bądź dla łaskawych względów wielkich panów. U Radziwiłła wiedział że niewytrzyma z powodu charakteru księcia, nastręczył mu więc mentora rozsądniejszego niż Pac, Bohusza, którego takt i rozum nie powstrzymały jednak księcia żeby w Węgrzech w Przeszowie nie strzelał z pistoleta do Bohusza a potém atakował go w mieszkaniu zbrojną ręką (IV, 305). Z hetmanem w. kor. Branickim Matuszewicz rzecz postawił otwarcie, rozmówił się bez ogródek; widząc progresa hetmańskiéj partyi niepomyślne, a książąt Czartoryskich górujące i mając obowiązek zapewnić los żony i dziatek, żądał przelania na jego imie prawa zastawnego na dobra radziwiłłowskie Orlą, zastawione Branickiemu w summie 300,000 zł. (IV, 205). Nie przystał na te warunki Branicki, a Matuszewicz wietrząc upadek swoich do-

brodziejów i bojąc się aby samém bawieniem się u Branickiego nie naraził się przeciwnikom, pośpieszył do Warszawy, skazując siebie na rodzaj dobrowolnego aresztu by uniknąć podejrzeń, ale dając téż kanclerzowi powód do powiedzenia: kiedy Matuszewicz odjechał, znać że hetman żadnych dobrych nadziei do utrzymania się niema. (II, 218). Kiedy wielkie statki tonęły od burzy, Branicki przez Karpaty uchodził do Bardyowa, a Radziwiłł na Wołoszczyznę, małe czółenko Matuszewicza było już w bezpiecznéj przystani, a pan stolnik brzeski trzymając się za połę nowego protektora swego Sosnowskiego przypatrywał się elekcyi i koronacyi Stanisława Augusta. Pokorny, wszystkim kłaniający się, spokojny o swoją skórę ale skazany jak się zdawało na zawsze na nieczynność, Matuszewicz zamyka na zaczynającym się 1765 roku księgę swego półwiekowego żywota, i nie bierze już jéj do rąk kiedy przez nagłe zmiany ról i działaczy na widowni politycznéj wypadło mu chociaż gorliwemu katolikowi konfederować się za dyssydentów i z adherenta Francyi stać się adherentem mocarstwa, które uprzednio miało swoją partyę w Czartoryskich. Przejście to dokonało się zapewne bez żadnéj wewnętrznéj walki w jednéj chwili, z takąż łatwością jak przejście od partyi Leszczyńskiego do Sasów, od księcia Czartoryskiego do Radziwiłłów, bo w całém swojém życiu Matuszewicz trzymał się wciąż i wyłącznie nie zasad ale osób, i ani jedną pracą, ani jedném zdaniem nie zdradził swoich przekonań i predylekcyj w wielkiéj kwestyi walki broniącéj się anarchii z nacierającą reformą. Matuszewicz byłby niezawodnie reformistą gdyby mu dał w swoim czasie książę kanclerz stanowisko i zajęcie jego talentom i ambicyi odpowiednie. Wszakże Matuszewicz w skrypcie swoim podczas bezkrólewia (1764) bezimiennie pisanym i do którego pewno by się nie przyznał przed Czartoryskim, pochwala nawet książkę księdza Konarskiego i głosowanie większością: (praepararunt in viris honestioribus assensum pluralitati votorum, libri reverendi patris Konarski scholarum piarum eruditissime nuper editi) i całą rzecz osnuwa tylko na insynuacii ad usum dworów wersalskiego i wiedeńskiego, aby ta butna, chciwa i przebiegła familia książąt Czartoryskich będąc na tron wyniesiona, przez jakie gwałtowne środki nie zapewniła sobie sukcessyi tronu, zaś związawszy się sojuszami z Rossyą, Prusami i Austryą nie zagroziła całéj Europie niebezpieczeństwem (IV, 189—192). Poznaliśmy już dostatecznie autora, wiemy co czynił i zamierzał, mamy pojęcie o tém jak się sam w utworze swoim odmalował. Przejdźmy teraz do samego dzieła i nie wyczerpując go, streśćmy uwagi jakie nastręcza ten obfity materyał historyczny. *(d. n.)*

O ZJAWISKACH RUCHU U ROŚLIN

przez

Dra Edwarda Strasburgera.

Częstokroć podczas gorących dni letnich widzisz w wilgotnych lasach delikatne śluzowe siecie, które pokrywają gnijące na ziemi liście lub pnie starych drzew. Jasną barwą już zdala zwracają one na siebie uwagę. Przyjrzawszy się im bliżéj, łatwo się przekonasz, że postać swą zmieniają. Pełzają zwolna na podłożu. Ostrożnie zdołasz je przenieść do domu i możesz następnie pod mikroskopem bliższemu je poddać badaniu. Tu czeka cię znowu nowe zupełnie i niespodziane zjawisko: cienkie sieci którym na zwilżone tafelki wpełznąć dozwoliłeś, są o tyle przezroczyste, że nawet przy znacznem powiększeniu, bezpośredniéj uledz mogą obserwacyi. Zauważysz teraz, że cała masa sieci składa się ze śluzowéj materyi, wewnątrz gęsto płynnéj i ziarnistéj, na zewnątrz zaś otoczonéj jeszcze gęstszą, bezziarnistą powłoką. W wewnętrznéj masie najrozmaitsze ujrzysz prądy. Na podobieństwo potoku ta istota płynie, pędząc liczne ziarneczka. Widzisz ją może właśnie, jak ciągnie ku brzegowi sieci, gdzie się nowy tworzy wyrost. Wyrost ten zrazu ciągle się powiększa; nagle jednak prąd się zatrzymuje, a nawet poczyna się cofać, wpierw zwolna, daléj coraz prędzéj i prędzéj. Cała zawartość opuszcza nowo utworzone ramię, które maleje a wreszcie całkiem zniknąć może, gdy inną znów razą, takie samo ramię, daléj odżywiane, rosnąć nie przestaje, a napotkawszy inny podobny mu wyrost, tworzy łącząc się z nim, nowe oko sieci. Wtedy w zlanym z obu ramion strumieniu łączą się dwa z rozmaitych kierunków nadchodzące prądy. Toczą się i nadal zgodnie w jednym kierunku, lub też drogi ich znów się rozchodzą, chociażby w przeciwległe strony.

Pod okiem naszém wytwarza się w ten sposób bogata sieć prądów, tak rozmaita, tak obfita, iż śledząc ją, nigdy nie doznasz znużenia. Lecz czémże jest owa istota, uzdolniona do tak zawikłanéj działalności? Jest to czysta *protoplasma* czyli zarodnia, która tu w tak znacznéj występuje masie. Mieliśmy przed sobą pewien stan rozwoju śluzowców (myxomycetae) tak zwane *plasmodium*, najwdzięczniejszy może przedmiot do badań nad ruchami protoplasmy. A jednak w istocie téj, choćby przy możliwie najsilniejszém powiększeniu, nie dostrzeżesz żadnéj złożonéj budowy.

Niezaprzeczenie skomplikowany jéj ustrój leży po za wszelkiemi granicami widzialności, tak, że masa cała wciąż się nam przedstawia jako gęsta, przezroczysta istota, tęższa nieco na powierzchni, a wewnątrz napełniona ziarnkami. Protoplasma należy do ciał białkowatych i ma nader złożony skład chemiczny, którego dotąd jeszcze zbadać niepodobna.

Plasmodium w którém zauważyliśmy tak silny ruch, powoli zaczyna ustawać i pelza już tylko leniwo. W głębi jego zaczynają się tworzyć gruczołki, ku którym zdążają wszystkie strumienie, i z których w końcu wytwarzają się napelnione drobnemi zarodkami kubki. Z tych zarodków możemy nowe wyhodować plasmodia. Wrzucamy je w wodę: wkrótce z każdego zarodka cała zawartość, składająca się z czystéj protoplasmy występuje. Przybiera wnet kształt gruszki, któréj cieńszy koniec wyrasta w długą, cienką rzęsę: zaledwie powstala rzęsa zaczyna bić wodę i wprawia w ruch całą ową małą gruszkowatą istotę. Widząc ją teraz jak w rozmaitych kierunkach przeszywa wodę, poczytałbyś ją za jakie zwierzątko, może za wymoczka.

My istotę taką zowiemy zarodkiem ruchowym. Zarodki te rozmnażają się przez dzielenie, w skutek którego z jednéj istoty za każdym razem dwie powstawają. Po niejakim zaś czasie wolnieją ruchy zarodka, traci on rzęsę i opada powoli na dno wody. Nie obumarł jednak, lecz przeciwnie rozpoczyna tu nowe życie; zmienia kształt swój i pełzając porusza się na podłożu. Niemniéj i teraz wydaje się być zwierzątkiem, zwierzątkiem z grupy *amoebów*, owych najprostszych organizmów, zaludniających nasze wody. Zarodnik gruszkowaty zamienił się w bryłkę, w któréj zdołasz zapewne rozróżnić jeszcze gęstszą kuleczkę, tak zwane jądro i pęcherzyk, który na przemian rośnie i niknie. Gdy dwie takie amoeboidalne bryłki się spotkają, łączą się ze sobą w jedną całość, wkrótce przybywa do nich trzecia, czwarta i dalsze jeszcze bryłki, aż wreszcie wszystkie się one zlewają w jedno wielkie ciało, w którém poznajemy na nowo plasmodium. Podobném plasmodium mianowicie jaskrawo żół-

téj barwy jest także kwiat garbnika zjawiający się częstokroć nagle, gdy wilgoć i gorąco sprzyjają, na dębnicy garbarskiéj. Objawia się on mianowicie też w cieplarniach, gdzie dębnicę na podkład używają. Plasmodia wtedy pełzną w górę po doniczkach a nawet po grubszych pniach pokrywając je żółtemi, śluzowemi sieciami. Do szczególnych albowiem własności tych istot należy jeszcze ta, iż się wbrew sile ciężkości poruszać mogą. Wieść niesie, iż szwedzki naturalista Eliasz Fries nazbierawszy raz plasmodii, włożył je do swego kapelusza by je bezpieczniéj przenieść do domu; w drodze podobno, wszystkie plasmodia wypełzły z kapelusza górnym otworem i rozpostarły się po nim w formie pięknéj delikatnéj sieci i to spowodowało odkrycie ich ruchu. Zarodniki kwiatu garbnika, zawarte są w placuszkowatych owocach, które prędko wysychają i z których wtedy miliony zarodników za każdem poruszeniem wydobywają się jakby pył węglany.

Zarówno w zoologicznych jak w botanicznych podręcznikach, prawie do połowy naszego wieku uczono, że ruch samodzielny jest cechą bezpośrednio odróżniającą zwierzę od rośliny. Jedynie zwierzętom przypisywano ruch samoistny, w skutek czego śluzowce musiałyby należeć do zwierząt, a jednak posiadają one tyle innych własności, które wskazują im stanowisko w państwie roślinném. Ruch samoistny już przestał być wyłącznym przywilejem zwierząt, a nawet ruch samowolny, który wtedy jako kryteryum stawiano nie mógł się w tém znaczeniu utrzymać. Któżby wreszcie umiał rozstrzygnąć czy wymoczki poruszają się dowolniéj niż ruchome zarodniki roślin? Ponieważ jednak wielu uczonych zalicza śluzowce do państwa zwierzęcego, szukajmy jeszcze innych przykładów ruchu u niewątpliwych roślin.

W bystro płynących strumykach znajdujemy częstokroć przyczepione do kamieni zielone niteczki, które pod mikroskopem okazują się jako złożone z pojedynczych komórek między sobą połączonych. Roślina ta zowie się *ulothrix;* komórki jéj mają kształt krótki, walcowaty. Posiadają one błonkę z *cellulosy* (błonnika). Ze strony wewnętrznéj dotyka téj błony warstwa protoplasmy otaczającéj przestrzeń napełnioną płynem wodnistym. W protoplasmie ściennéj rysuje się zielona wstęga, zawierająca ziarnka krochmalne; nadto dojrzeć można soczewkowatego kształtu jądro komórki.

W tym wypadku niezaprzeczenie mamy do czynienia z komórkami roślinnemi wybitnie nacechowanemi przez ścianki błonnikowe, a jednak przekonamy się, że i te komórki tworzą zarodniki obdarzone ruchem. Łatwo znaleść można pojedyncze komórki, w których protoplasma rozpadła się na pewną ilość kąciastych bry-

łek. Nagle ściana takiéj komórki pęka, a owe bryłki występują na zewnątrz. Otacza je zrazu cienki bezbarwny pęcherzyk, będący napęczniałą najwewnętrzniejszą warstwą ściany błonnikowéj. Po upływie kilku chwil pęcherzyk rozpływa się w otaczającéj go wodzie, a drobne ciałka rozpierzchają się we wszystkich kierunkach. Kolor ich jest zielony, a u przedniego bezbarwnego końca mają dwie długie, cienkie rzęsy; tuż obok widać czerwoną plamkę, którą przez długi czas uważano za wyłączną własność zwierząt, poczytując ją za oko. Zarodniki ruchome bujają teraz w otaczającéj ich wodzie, kręcąc się to w prawo to w lewo około swéj osi. Przy powiększeniu 300 razy, łatwo nam je śledzić jak w tym lub owym kierunku szybko mijają pole mikroskopu. Mówię szybko, przyczem jednak zauważyć winienem, iż widzę zarodnik ruchomy o 300 razy powiększony, że zatem i ruch jego o 300 razy prędszym niż w rzeczywistości przedstawiać mi się musi. Gdybym w tymże stosunku powiększył mój zegarek, ujrzałbym większą jego wskazówkę posuwającą się z równą prawie szybkością.

W rzeczy saméj większa częsć zarodników ruchomych nie przebiega więcéj nad jedną stopę drogi na godzinę; najszybsze tylko między nimi zdołałyby przebyć tę samą drogę w ciągu kwadransa. A i te nawet, co do absolutnéj prędkości, nie mogłyby iść w zapasy choćby z najgnuśniejszym ślimakiem, mogłyby jednak korzystnie z nim się mierzyć co do prędkości względnéj, to jest prędkości w stosunku do objętości ciał. Człowiek, idąc, w jednéj sekundzie zwykł przebywać przestrzeń o połowę mniéj więcéj mniejszą od swojéj długości. Szybki zaś zarodnik ruchomy przebiega przestrzeń około dwa i pół raza większą od swoich podłużnych rozmiarów. Zarodniki ruchome naszéj *ulothrix* rzeczywiście więc raźno się poruszają. Ruch ich trwa parę godzin, a przez cały ten czas nie dostrzeżesz na ich powierzchni ani śladu ściany błonnikowéj; składają się one li tylko z czystéj protoplasmy.

Gdy ruch wolnieć poczyna wykazać już można pierwsze ślady błony na ich powierzchni, a gdy błona ta dojdzie do pewnéj grubości, wnet wszelkie ruchy ustają, zarodnik wciąga swoje rzęsy, opada na dno wody i tu zazwyczaj bezbarwnym swoim końcem byle pierwszego czepia się przedmiotu. Wnet otaczająca go błona jawniéj występuje; zarodnik dzieli się wtedy na dwie połowy, które dzielą się daléj w tymże samym kierunku, tak, że z pierwotnie ruchomego ciała powstaje po niejakim czasie nowa nieruchoma niteczka złożona z szeregu komórek. Mamy tu więc ruchome zarodniki u niewątpliwéj rośliny. Spostrzeżenia te stanowczo znoszą kryteryum ruchu jako różnicy między państwem roślinném a zwierzęcém.

Jakżeby też inaczéj być mogło, kiedy materya tworząca ruchy jest wspólną zwierzętom i roślinom. Wspólność ta wynika niewątpliwie z nowszych badań, które tym sposobem przemawiają też za wspólném pochodzeniem obu państw. Na najniższéj stopie rozwoju nie ma w ogóle żadnéj ściśle oznaczonéj granicy między państwem zwierzęcém a roślinném; ztąd będzie zawsze pewnego rodzaju dowolnością, gdy zaliczymy tę lub ową istotę do jednego lub drugiego państwa. Minęły już czasy kiedy *oscillatorye*, wybitne wodorosty, jedynie dla tego poczytano za zwierzęta że się poruszały. Wyobraźnia niektórych badaczów, z początku naszego stulecia obdarzyła je nawet głową i ogonem, a ruchy ich opisywały się jako dziwne i poniekąd tajemnicze.!

W państwie zwierzęcém komórki zazwyczaj zachowują pierwotną swą nagość; ztąd swobodne ruchy tam są ogólną własnością; w państwie roślinném zjawiska ruchu nikną, w miarę jak cechy roślinnéj komórki wybitniéj występują, w miarę zatém jak komórki te we wszystkich stopniach rozwoju, otrzymują błonę z cellulosy. Łatwo jednak przekonać się, że protoplasma w roślinnéj nawet komórce zachowuje dawniejsze swe własności. Wystarcza, jeżeli w tym celu przyjrzymy się włoskowi pokrzywy przy stosownem powiększeniu; włoskowi zdjętemu ostrożnie bez żadnego uszkodzenia od naskórka na którym wyrosł. Włoski pokrzywy są jednokomórkowe, zaostrzone ku wierzchołkowi, gdzie ostatecznie tworzą, znów nabrzmiewając, drobny guziczek; guziczek ten wnika w naskórek ręki. która przypadkiem dotknęła pokrzywy, obłamuje się w nim i otwiera tém samém komórkę włoska, któréj ostry sok napływając do rany, wywołuje w niéj lekkie zapalenie.

W nienaruszonéj komórce włoska pokrzywy, protoplasma trzyma się błony zewnętrznéj w dość grubéj warstwie, prócz tego liczne jéj prądy w różnych kierunkach przenikają wnętrze komórki. Wśród tych prądów zawieszone jest jądro komórki; poruszają się one ku niemu lub od niego, nieraz wśród jednéj nici plasmatycznéj, w przeciwnych kierunkach. Przedstawiający się nam tu obraz zupełnie przypomina zjawiska, za któremi śledziliśmy w plasmodyach.

Podobne prądy dojrzeć możemy także w komórkach, które połączone w ścisłe tkanki, stanowią ciało najdoskonaléj uorganizowanych roślin. Weźmy naprzykład liść „Elodea canadensis“ tak zwanéj *zarazy wodnéj*, rośliny, która z ojczyzny swéj Kanady przewieziona przypadkiem do Anglii, rozmnożyła się w tym kraju w przeciągu jednego lat dziesiątka, do tego stopnia, iż zaczęła utrudniać rybołóstwo i żeglugę. Liście te tak są przezroczyste, że bez-

pośrednio pod mikroskopem badać je można. W każdéj komórce, widzisz przy ścianach grubą warstwę protoplasmy, w któréj znajduje się nietylko jądro, ale nadto inne zielone ziarna. Podobnym ziarnom rośliny zawdzięczają swą zieloną barwę. Pod mikroskopem dojrzeć można, jak w każdéj komórce protoplasma wzdłuż ściany żywo się posuwa. Postępuje ona ściśle oznaczoną drogą, wiodąc za sobą jądro komórkowe i zielone ziarna. Ziarne te zbliżają się lub oddalają od siebie. Częstokroć jądro utkwi w jednym z kątów komórki, a wtedy i zielone ziarna tu się gromadzą; nagle prąd wszystko porywa i w dalsze prowadzi drogi.

Opisywałem dotychczas najwybitniejsze objawy ruchu; częstokroć jednak ruchy te są tak powolne, iż niepodobna ich bezpośrednio dostrzedz. W ogóle śmiało twierdzić można, iż w żyjącéj komórce protoplasma nigdy całkiem nie spoczywa, a od czasu do czasu w każdéj bez wyjątku komórce nastają chwile silniejszego ożywienia i występuje ruch gwałtowniejszy; tak naprzykład, gdy komórka ma się rozmnożyć dzieleniem. Wtedy z jednego jądra komórkowego dwa nowe się wytwarzają, które muszą się oddalić jedno od drugiego, by zająć właściwe sobie miejsca w nowotworzących się komórkach. Daléj protoplasma komórki winna się rozdzielić na dwie połowy, co wywołuje tyleż równoczesnych, skomplikowanych objawów ruchu.

Zresztą i wzrost każdéj komórki pozostaje w związku z ruchem, a niemniéj i wzrost całéj złożonéj z kilku komórek istoty. Mianowicie téż przy tym ostatnim wzroście, uwydatniają się ruchy wydające się niemal samowolnymi, a to głównie wtedy, gdy wzrost po rozmaitych stronach pewnego ustroju z różną postępuje szybkością.

Najprostszy w tym względzie przykład podać nam mogą liście; za młodu zewnętrzna ich powierzchnia silniéj rośnie, a przez to samo gną się one ku wewnątrz, łącząc się tu, zazwyczaj z innemi liśćmi w zamknięty pączek. Późniéj jednak rozrost przeważa na wewnętrznéj ich stronie, w skutek tego widzimy, jak pączek się roztwiera, a liście powolnym ruchem się rozpościerają. Na pionowéj łodydze umieszczone stanęłyby one teraz poziomo, gdyby działanie słońca nie zmusiło ich do innego położenia. Wzrost tkanek ulega bowiem także wpływowi słońca, które zmusza powierzchnię liścia do zajęcia o ile można jak najprostopadlejszego kierunku względem dosięgających go promieni światła. Ztąd wydaje się jakoby każdy listek usiłował wywalczyć sobie stanowisko, które w rzeczy saméj przybiera li tylko przymusowo z zewnętrznych pobudek,

Wzrost łodygi może także niejednostajnie postępować, już to silniéj po jednéj, już po drugiéj stronie. Oś która kwiatostan czosnku podpiéra, nagina się to w lewo to w prawo i staje prostopadle dopiero wtedy, gdy kwiaty jéj rozwinąć się mają. Tu podobnie jak w liściu, dwie tylko przeciwlegle strony w prędkości wzrostu się współubiegają, u wijących się roślin zaś różnice wzrostu wykręcają powoli łodygę. Widzimy w skutek tego szczyt takiéj łodygi wykonywający w powietrzu spiralne ruchy. Szuka on poniekąd podpory. Gdy zaś ją znajdzie, okrąża ją licznemi splotami, które zrazu luźne, późniéj gdy się łodyga wydłuży, ściśléj do podpory przystają.

Takim sposobem wije się chmiel, fasola i liczne inne rośliny, których tu nie chcę wymieniać. Rzadko wiją się one w prawo, t. j. w stronę w którą obracają się wskazówki zegara: do tych należy chmiel i wiciokrzew. Najczęściéj wiją się w lewo, jakoto: fasola, mały i wielki powój. Czyż dostrzegający te ruchy, nie znając ich powodu, nie mógłby pomyśléć że są dowolnemi? Czyż w rzeczy saméj łodyga nie szuka podpory? Tak szuka jéj, lecz w jakże bezwłasnowolny sposób! Ruchy jéj sę wypływem li tylko jéj wzrostu postępującego jednostajnie w około. Ta własność wzrostu, wywołana zrazu przez wpływy zewnętrzne, może przez zmianę oświetlenia, stała się następnie dziedziczną z powodu korzyści, jakie przynosiła roślinie, stala się nią dla tego, że ten ruch wirowy, uzdolnił roślinę do wspinania się po innych i dosięgania bez większego wycieńczenia własnéj istoty, znacznych wysokości, gdzie po nad otaczającemi ją roślinami mogła rozpościerać wsród blasku słońca swe liście i kwiaty. Tak więc praktyczność téj nowo nabytéj własności polegala nie w jéj przyczynach lecz w jéj skutkach; nie w zamiarach lecz w korzyściach jakie niosla: i one téż zapewniły jéj byt.

Inna jeszcze własność rosnących organów bezpośrednią korzyść przyniosła wijącym się roślinom, mianowicie zdolność, którą te organa częstokroć posiadają, zwalniania swego wzrostu w punktach zetknięcia. Własności téj zapewne ten jest powód, iż przy najlżejszym nacisku na blonę komórki, protoplasma od niéj odstępuje, błona zatém w tém miejscu nie będąc odżywianą wydlużać się przestaje, pod czas gdy wszystkie inne miejsca rosną. To sprowadza wkrótce zagięcie się organu ku naciśniętemu miejscu.

U Przestępu zwyczajnego (Bryonia alba) np. najlżejsze już potarcie wąsa jest dostatecznem, by wywołać nagięcie się ku potartemu miejscu. Wąsy te nadto wykonywają krążące ruchy zupelnie podobne do tych, któreśmy u wijących się łodyg wzmianko-

wali. Jeżeli wąs końcem swym natrafi na nową podporę, i jeżeli objąć ją jest w stanie, staje się wnet wklęsłym w miejscu którém jéj dotyka. Jak zaś łatwo pojąć, w skutek tego nagięcia, wyżéj położona część wąsa zbliża się do podpory, część ta wtedy także się zagina, przyciska wyżéj położone miejsca do podpory i tak daléj i daléj, dopóki cały wąs w około niéj się nie owinie. Jeżeli zaś wąs nie napotka przedmiotu którego by się mógł uczepić, wtedy jeszcze długo wykonywa swe krążące ruchy, w końcu jednak wzrost jego zaczyna po jednéj stronie trwale przemagać i skręca się on w skutek tego w kształcie grajcarka. Podobnie téż u wąsa który objął podporę, nareszcie jedna strona bardziéj się wydłuża, ztąd wąs i tą razą zawinąć się musi, czyni to jednak ze zwrotami, to jest tak, iż jedno lub kilkakrotnie zmienia kierunek swych splotów. Że tak być musi, tego dowieść nie trudno. Jeżeli ciało usiłujące się skręcić, jest u obydwóch końców przymocowane, tak że te obracać się nie mogą, wtedy koniecznie w kierunku skrętów, okażą się zwroty. Przez swe skręcenie wąs się naturalnie skraca a przez to samo cała roślina zostaje przyciągniętą do swéj podpory. Ponieważ zaś roślina wąsy swe wysyła we wszystkich kierunkach, rzecz prosta iż jest ostatecznie silnie napiętą na wszystkie strony. W dalszym ciągu wąsy te drzewnieją, i mogą unieść wtedy każdy do kilku kilogramów. Nie użyte wąsy usychają i odrzucane zostają.

Najlepiéj pnącą się rośliną jest dzikie wino, które może nawet po gołym murze się wdrapać. Wąsy nabyly tę własność, iż końce ich, jeżeli przez czas dłuższy dotykają twardego przedmiotu, nabrzmiewają i tworzą sęczniki. Sęczniki te chwytają się silnie muru, po czém się wąsy skręcają, a stając się tém samém krótszemi, całą roślinę przyciągają do muru. Wąsy zaś przyciśnięte są dla tego do muru iż uciekają od światła. Dziwny widok przedstawiają, gdy rosnąc wzdłuż muru, w wirowym obrocie macają poniekąd w koło siebie, dopóki nie natrafią na zagłębienie, lub inne stosowne miejsce, wktórémby utworzyły swe sęczniki.

Otwieranie i zamykanie się kwiatów, polega niemniéj na nie jednostajności wzrostu. Nawet wtedy gdy kwiat najzupełniejszego dosięgnie rozwoju, listki jego u dołu nie przestają się przedłużać. Wzrostem ich kierują po największéj części, światło i ciepło. Jeżeli wystawisz na zimno otwarty kwiat krokoszu lub tulipanu, zobaczysz że się zsmknie, lecz najkrótszy pobyt w cieplejszém miejscu wystarcza, by spowodować znowu jego rozwarcie. Każdorazowe wzmaganie się ciepła, wywołuje silniejszy wzrost wewnętrznéj strony listków kwiatowych, z czego wynika, iż te poruszają się na

zewnątrz. Każde zaś obniżenie temperatury sprzyja wzrostowi zewnętrznéj strony; ztąd znowu listki na wewnątrz się wyginają. Nagłe usunięcie światła zamyka wiele kwiatów, tak naprzykład kwiat Nogietu; w świetle rozwija się on znowu i to tém prędzéj, im dłużéj pozostawał w ciemności.

Najciekawsze jednak bezwątpienia, są niektóre zjawiska ruchu objawiające się w wykształconych już organach.— Akacya np. składa wieczorem liście swe do snu, a następnego rana, niby budząc się, znów je rozpościera. Czułek przy najlżejszém wstrząśnieniu, opuszcza swe listki; mucholówka zwiera je za każdém dotknięciem. Przez długi czas przypisywano tym roślinom nerwy i mniemano, iż w czułku zostały ostatecznie wykazane, gdy udało się było zachloroformować, znarkotyzować i zadusić tę roślinę. Wtedy znieczulona znosiła ani drgnąwszy, najsilniejsze wstrząśnienie. Mimo to jednak zjawiska te zupełnie inną mają przyczynę, i to pewna że z działaniem nerwów nie mają bezpośredniego związku.

Podczas wzrostu (to przedewszystkiém uwzględnić nam tu wypada) wywiązuje się w roślinie pewien antagonizm między pojedynczemi jéj tkankami. W łodydze naszych roślin dwuliściennych np. zwykł rdzeń prędzéj rosnąć od kory, ta zaś prędzéj od naskurka. Ztąd rdzeń chciałby się przedłużyć, naskórek się skurczyć i tylko ścisły ich związek, nie dozwala urzeczywistnienia tego dążenia. Naskórek jednéj strony równoważy działanie przeciwległego naskórka i dość zedrzeć go po jednéj stronie, by się cała łodyga nagięła w przeciwnym kierunku.

Miałem tu na myśli cienki elastyczny pęd, u którego wszelkie naprężenie tkanek ginie, skoro on wyrosł a ściany jego komórek stężały. Istnieją jednak także i organa, które choć wyrosłe sprzężystość swą zachowały; co więcéj właśnie u nich, władza ta najsilniéj się objawia i uzdalnia je do wykonywania ruchów. Są to zwykle liście, lub co najmniéj liściaste organa, które własność tę posiadają, a siedziby jéj szukać należy w nabrzmiałych stawach u nasady ogonka liścia, jakoteż pojedyńczych listków. Równowaga wśród naprężonych tkanek jest tak sztuczną, iż najlżejsze przyczyny są w stanie ją zniszczyć. Najczęściéj wewnętrzne przyczyny, zmiany te wywołują. I tak pewna roślina indyjska którą telegraficzną zowią *(Hedysarum Gyrans)* w cieplarniach naszych często hodowana, przy temperaturach powyżéj 22 stopni Celsyusza bezustanne wykonywa ruchy. Widzisz w tenczas jak małe listki, umieszczone u nasady większych liści, wierzchołkami swemi w krótkich odstępach czasu koła opisują; obieg taki

trwa 2 do 5-u minut. Im wilgotniejsze i gorętsze otaczające powietrze, im silniejsza roślina, tém prędsze jéj ruchy. Niektórzy badacze twierdzą, że w Indyach wschodnich zliczyć mogli do 60-u małych poruszeń w ciągu jednéj minuty.

Lecz po cóż nam tak daleko szukać? Wszakże takich, telegraficznych roślin znajdziemy mnóstwo u nas: Koniczyna polna, zmienia także, jakkolwiek powoli, położenie swych listków; delikatny szczawik, który w lasach naszych mieszka, czyni toż samo. Z pododnych téż wewnętrznych pobudek akacya otwiéra i zamyka swe listki; że zaś to następuje z rana i wieczorem, przyczyną tego jest światło; reguluje ono bowiem tak, te wewnętrznie spowodowane ruchy, iż peryod ich odpowiada porze dnia i nocy. Jeżeli przeniesiemy akacyę na czas dłuższy do ciemnego miejsca, zobaczymy że listki jéj, bezustannie się poruszając, otwierać się będą i zwierać w nierównych przestankach czasu i zaniechają dopiero tych ruchów, gdy roślina, w skutek braku światła, obumierać zacznie.

Czułek równie jak akacya składa listki swe wieczorem, by z rana je znów rozłożyć; prócz tego jednakże jest on jeszcze wrażliwym na wszelkie dotknięcie. Wrażliwość tę, mówiąc nawiasem posiadają także i nasze akacye, choć w znacznie słabszym stopniu. Burza musi wstrząsnąć ich koroną, by się ich liście złożyły: u czułka najlżejsze ku temu wystarcza poruszenie. To téż u czułka staw przy nasadzie liścia dziwnie delikatnéj jest budowy. Składa się on ze środkowéj wiązki podłożonych komórek, któreby się skurczyć chciały, skurczyć się jednak nie mogą, ponieważ otaczająca je kora temu się sprzeciwia. Kora ta jednak jest krótszą po dolnéj aniżeli po górnéj stronie organu, i li tylko dorównywa po górnéj stronie, dla tego, że jest silnie wydętą przez nabraną wodę. Ta woda wydłuża ją do rozmiarów górnéj strony; przy najlżejszém wstrząśnieniu, traci ona jednak część téj wody i kurczy się, przyczém wierzchnia strona musi nagiąć cały organ ku dołowi. Lecz dolna strona poczyna powoli znów nabiérać wody, pochłaniając ją przedłuża się i podnosi organ do pierwotnego stanowiska. W tém stanowisku pozostanie on dopóki nie dozna nowego podrażnienia.— U nasady pojedynczych listków napotykamy podobny mechanizm jak u głównego ogónka, w odwrotnym jednak działający kierunku; ztąd to pochodzi, że listki nie w dół lecz w górę się składają. Jeden listek udziela drugiemu skutki podrażnienia, a jeżeli wstrząśnienie było silniejszém, nawet jeden liść drugiemu. Wtedy cała roślina opuszcza smutnie swe listki, lecz już po kilku minutach znów je podnosić zaczyna. Trudno zrozumieć dla czego tak nieznaczne przyczyny powodują ustąpienie wody

z dolnéj części stawu; najnowsze badania tyle jednak wykazały, że to protoplasma komórek tak łatwo zmienia swą przenikliwość względem wody, i że podrażniona przepuszcza wodę, któréj przed chwilą przejścia wzbraniała.

Jak widzimy najbardziéj nawet skomplikowane ruchy wskazują na protoplasmę, którąśmy téż jako sprawczynię stosunkowo najprostszych ruchów poznali. Tłómaczy téż nam to poczęści dla czego chloroform i jemu podobne ciała, na czułek tak samo jak i na nerwy zwierzęce działają, protoplasma bowiem tu i tam stanowi wrażliwą istotę.

Na ciągłe podrażnienie czułek w końcu przestaje być wrażliżliwym. Weźmiesz go np. ze sobą do powozu, za pierwszèm jego poruszeniem opuści liście, ale w końcu nawyknąwszy do tych ciągłych wstrząśnień, jakkolwiek ruch powozu nie ustał, liście swe podnosi. Zatrzymaj powóz a czułek, wnet odzyska swą wrażliwość i za nowém poruszeniem liście złoży.

Czułki żyją w międzyzwrotnikowych krajach, wymagają wiele wilgoci i ciepła. Murzyni Senegalu podobno roślinę tę nazywają „Dzień dobry,“ gdyż zdaniem ich, spuszczaniem głowy wita każdego który się jéj dotknie. W naszych cieplarniach możemy tylko małe tego gatunku chodować okazy, w tropikalnéj Ameryce są to nieraz drzewa, które kształtem swym przypominają pinie. Delikatna barwa ich liścia, nader malowniczo odbija od ciemnego błękitu nieba. Niektóre okolice wyłącznie prawie zarosłe są takiemi drzewami. Wstrząśnienie spowodowane przez konia przebiegającego, wystarcza by w ruch wprawić ich liście. Zaiste, podziwienia godne zjawisko!

Rzecz szczególna, że nie umiemy sobie dotychczas wytłómaczyć pożytku z tych ruchów, a jednak muszą one mieć jakiś cel; podobnie jak ruchy muchołapki, które niespodzianie udało nam się niedawno poznać w ich fizyologiczném znaczeniu. Liście téj rośliny po środku powierzchni dotknięte, szybko swe połowy ku górze składają. Zamknięcie ich jest szczelne, gdyż kolce na brzegu listka, jedne w drugie zachodzą. Jeżeli owad jaki spocznie na listku, to listek podrażniony wnet się zamyka, a owad tém samém schwycony zostaje w łapkę. Nie wydostanie się on też z niéj, gdyż łapka rozwiéra się dopiéro w tedy, gdy owad dawno już żyć przestał. Zastanawiano się nad okrucieństwem téj napozór zbytecznéj igraszki, aż się przekonano, iż roślina chwycone owady pożera. Cienkie włoski wyrastają z powierzchni liścia i zapuszczając się w ciało owadu, wysączają z siebie płyn, który go stopniowo rozpuszcza. Małe cząstki mięsa podane téj roślinie, także strawione bywają i nie

przechodzą w stan zgnilizny. Roślina więc tym sposobem powiększać może swój zasób związków azotowych.

Inna mała, piękna, napozór niewinna roślinka, żyjąca u nas na mokrych łąkach, posiada zupełnie te same zalety, co międzyzwrotnikowa jéj krewniaczka. Nazwano ją rosą słoneczną (Sonnenthau) dla tego, że mnóstwo kropelek z liści wydziela,— lecz jakże mało ona zkądinąd zasługuje na to poetyczne miano! Lepkie krople na kończynach włosków chwytają małe istoty, które się ich dotknęły, włoski wtedy nachylając się, przenoszą ofiarę na środkową powierzchnię liścia, gdzie zewsząd wydzielającemi się gruczołkami pochwycona, zostaje strawioną i spożytą.

Nawet i wodne zwierzątka wystrzegać się muszą tych drapieżnych roślin. Pospolita u nas w rowach *urticularia* (pływacz) i nader rzadka *aldrovanda*, łowią maleńkie jak łepek szpilki, raki i pozostawiają niespożyty z nich tylko pancerz.

Tym więc sposobem objawy ruchu u roślin mogą służyć za broń, niszczącą poezyę wiecznego pokoju nawet w państwie roślinném. Smutno przekonać się o tém, gdyż wzajemne niszczenie jest tu objawem zupełnie mimowolnym nie obmyślonym, trzeba by w tym razie obwiniać całą naturę, nie zaś niszczący osobnik. Zresztą samolubny instynkt zachowawczy w tych razach występuje tylko wybitniéj, ponieważ wiele innych objawów ruchu na pozór niewinnych, są bronią do walki, która bogatszemu organizmowi zapewnia zwycięstwo nad innymi mniéj szczodrze obdarzonymi. I tak *plasmodium* zapuściwszy się w głąb pnia drzewnego, przyczynia się do jego rozkładu; tak roślina wijąca wdrapując się po innych, rozpościera nad niemi swe liście i tym sposobem pozbawia je częstokroć niezbędnego do życia światła; co więcéj, z oburzającą niewdzięcznością, dusi nieraz w objęciach swych podporę, która do wyniesienia się jéj dopomogła.

Widzimy więc jak w nieświadoméj przyrodzie, pojedyncza istota bezwzględnie żyje li tylko dla samolubnych celów, a dopiéro u najdoskonaléj ustrojonych stworzeń, występuje współczucie jako świadomy bodziec przeciwdziałający nieświadomemu egoizmowi.

W tedy współczucie łagodzi walkę o byt; zresztą i tam nawet, gdzie walka ta bezwzględniéj się toczy, o tém na pociechę naszą pamiętać winniśmy, że jako zasada współubiegania się ogólnego, musi stać się także dźwignią postępu!

HEKABE.

Kasasndra: ......Matko! Ty dziatek
Twoich płakać nie będziesz, ale... wyć będziesz.
(J. Koch. W odprawie posłów Greckich).

1.

Coś wyje!—Czy to suka,
Kiedy szaleństwem tknięta,
Próżno ożywić szuka
Pobite swe szczenięta?
O nie! To z żalu kona,
Błękitne klnąc niebiosa,
Królewska niegdyś żona,
Hekabe siwowłosa!

2.

W królewskim niegdyś domu
Królów się ród z niéj chowa—
Dziś ona już nikomu
Ni krewna, ni królowa!
Dla tego prężąc szyję
W dymiącéj łuny zorze,
Z boleści ona wyje—
Bo płakać już nie może!

3.

O tak. Bo gdy ujrzała
Jak w płomienistéj fali,
Ilionu święta chwała
W gruzy się z trzaskiem wali—
I kiedy pierś Pryama
Przeszytą wskroś spostrzeże—
To wnet—nie wiedząc sama,
Uczuła w sobie źwierzę!

4.

Więc wyje, widząc zbliska,
W kurzawie bojów sinéj,
Wśród Troi rumowiska,
Porznięte swoje syny!
Wyje—bo w mgle ponuréj
Widzi, jak wznosząc miecze,
Wróg, jéj królewskie córy
Z świątyń za włosy wlecze!

5.

A daléj, jak przez tęgi
Rozpaczy bój i wrzawę,
Mkną w błyskawiczne kręgi
Hektora zwłoki krwawe!...
Ten kochał kraj swój błogi,
I śmierci miał pogardę—
I walczył... aż go Bogi
I losy zmogły twarde!

6.

O! ten bohater blady—
O ten, co był jedynėm
Zbawieniem od zagłady—
Toż przecie jéj on synem!
Wtém wskróś ją przejmą dreszcze...
O tak—bo ona matką
Hektora... lecz też jeszcze
Parysa z twarzą gładką!...

Felicyan.

WSCHÓD MUZUŁMAŃSKI

przez

A. JABŁONOWSKIEGO.

Islam w dziewiętnastém stuleciu. Studyum z historyi cywilizacyi przez Hermana Vambery'ego prof. zwycz. języków i literatur wschodnich w król. uniwersyt. w Peszcie— przekład Władysława Bogusławskiego. Warszawa — nakładem Michała Glücksberga księgarza 1876.

Tureckaja ciwilizacja, jeja szkoły, softa, bibliotieki, kriżnoje djeło. Iz pojezdki w Konstantinopol, letom 1875. W. Smirnowa. Wiestnik Jewropy 1876 — kn. VIII i IX.

Le religions et philosophies dans l'Asie centrale p. M. le Comte de Gobineau ministre de France à Athénes Paris 1866.

Złowrogie grozą chmury zawisły nad widnokręgiem „islamu"— straszliwa burza, co się ma, niebawem może, niepowstrzymanie rozszaleć, huczy już z oddali — zdaje się, że oto poczną już uderzać gromy ostatecznego sądu historyi — i rozedrą na szmaty zbutwiały pień potężnego niegdyś kultu i społeczeństwa, a wiatry rozwieją po świecie żywe gałęzie i liście zwiędłe wspaniałego drzewa! Ostateczny wszakże wynik — w ręku przyszłości. Nie wątpliwa atoli, że zbliża się już szybkiemi kroki stanowcza dla mahometanizmu godzina: wszystko ją dotykalnemi znakami zapowiada— nawet, drobnego znaczenia napozór, obecna wojna, jako przegrywka tylko srozszych nawalnic.— Nie mniéj przeto, pozostaje dziś jeszcze wielką zagadką: jakie następstwa sprowadzą dla islamu owe burze i grozy: upadek czy odrodzenie?

Upadek czy odrodzenie?— oto w jakim dylemmacie staje przed nami w obecnéj chwili etniczno-cywilizacyjna kwestya bytu świata muzułmańskiego.

Oczywiście, zrozumienie téj kwestyi tyle zawiléj będzie o tyle bliższém saméj istoty rzeczy, o ile się zna głębiéj dzisiejszy stan faktyczny islamizmu. Bez znajomości takowéj niepodobna uniknąć mimowolnéj nawet zupełnie, jednostronności sądu w tym przedmiocie— tak żywo, coraz bardziéj, cały świat cywilizowany obchodzącym. Ułatwiają to nam wszakże znacząco liczne prace, jakie ostatniemi czasy zostały wydane o muzułmańskim wschodzie— w najdrobniejszych odłamach życia onego.

Jedną z prac ostatnich, i prac pierwszorzędnych, jest niezaprzeczenie wymienione na czele dzieło Vambery'ego— Islam w XIX stuleciu, jako studyum z historyi cywilizacyi. Owoc to poważnych, głębokich, samodzielnych badań, w ciągu lat długich, człowieka niepoślednich zdolności a przejętego namiętném zamiłowaniem wiedzy i prawdy, dla którego wschód muzułmański stał się był drugą ojczyzną, i który téż zna ten wschód dokładniéj od własnych jego synów. Śmiały podróżnik po średniéj Azyi, ex-softa i ex-derwisz, a dziś uczony profesor wschodnich języków w stolicy swego rodzinnego kraju, Vambery jest zanadto powszechnie znanym, jako auctoritas w rzeczach wschodnich, abyśmy mieli tu potrzebę podnosić znaczenie i doniosłość powagi jego zdań o muzułmańskim świecie. Nikt téż może z europejskich badaczy nie zespolił się był tyle z owym światem, nie wcielił się tyle w jego byt i życie, ile ten rozbitek powstania węgierskiego. Przemawia za nim nadto wieloletnie doświadczenie. Nic dziwnego tedy, że praca ta jego ostatnia zjednała sobie powszechne w Europie uznanie i stanęła w szeregu dzieł klasycznych w owym przedmiocie.

Obejmuje ona, artystycznie zwarte w jedną organiczną całość, wszelkie żywioły stanowiące podstawy, treść, zadania, cele, formy i warunki życia wieloramiennego społeczeństwa wyznawców arabskiego proroka. Określa tu poważny oryentalista-etnolog dobitnemi rysami istotę głównych szczepów i ludów mahometańskich; charakteryzuje żywo kraje przestronne przez nie zamieszkane; obrazuje dosadnie główne cechy ich cywilizacyi; dotyka gruntownie konieczności reform, ich istoty i dróg jakiemi one przychodzą; określa państwo i stanowisko w niém najwyższego władzcy i dostojników; maluje żywemi barwy rodzinę i jednostkę; opowiada treściwie i zajmująco o szkole, wykształceniu i literaturze; niemniéj o przemyśle i handlu; stawi śmiało w obec siebie wzajem Wschód i Zachód, Islam i Chrześciaństwo; i nakoniec podnosi kwestyę przemożną— upadku i odrodzenia, w obec stanowiska względnego wielkich mocarstw europejskich i państw islamu.

W obliczu więc wytężenia, z jakiém uwaga publiczności naszéj zwróconą jest w obecnéj chwili ku wschodowi, nie wahalibyśmy się podać tu nawet, w ścisłém streszczeniu, jedynie ową bogatą i zajmującą wielce osnowę tego głębokiego studyum znakomitego oryentalisty— odsyłając czytelnika, co do szczegółów obfitych, co do tryskającéj życiem obrazowéj i anegdotycznéj strony, do samego dzieła.

Lecz sąd Vambery'ego, właśnie dla jego zażyłości z bytem muzułmańskim, niezależnie już wcale od innych, głębszych pobudek, mógłby się zdawać za wiele pobłażliwym lub za nieuzasadnienie optymistycznym. Otoż biorąc jego pracę za podstawę główną naszego zarysu, dla większego uwydatnienia przedmiotu wszakże, przeciwstawiemy słynnemu węgierskiemu podróżnikowi sąd doraźny, z pierwszego wrażenia, człowieka, który przez studya swe poprzednie dostatecznie potemu uzdolniony, z innego zupełnie niż tamten stanowiska, i przez inny pryzmat, na świat muzułmański, chociaż turecki jedynie, się zapatruje. Rozumiemy tu p. Smirnowa i jego artykuł pod tytułem: „Turecka cywilizacya.“ Wybór ten zaś zrobiliśmy dla tego, że naprzód autor należy do narodu, który w bieżącéj epoce wziął sobie, przed innymi, za otwarte hasło— tępienie islamu i tureckiego szczepu, a powtóre, że nakreślony przezeń obraz, obok powabu świeżości, ujmuje nadto prostotą i swobodą malowidła — przedstawiającego wszakże zupełnie poważnie przedmiot tak wielkiego znaczenia jak cywilizacya narodu. — Dla przedstawienia atoli naszego przedmiotu w zaokrągleniu i pełni— całkowicie wyczerpujących, nie mogliśmy téż pominąć i takiéj uznanéj w rzeczach wschodnich powagi, jaką sobie zasłużenie zdobył hr. Gobineau, autor skądinąd znanéj nam już pracy pod tyt. „Religije i filozofije w środkowéj Azyi;“ a jeden z najgłębszych znawców świata irańskiego — ten właśnie, który nam tak dzielnie rozsłonił tajemnice obecnego ruchu społeczno-religijnego w Persyi, wnoszącego pod nazwą Babyzmu nowe życie w łono butwiejących społeczeństw muzułmańskiego Wschodu.

Ale przejdźmy już do samego przedmiotu.

Pod nazwą islamizmu rozumie Vambery w swém dziele, jak sam powiada w przedmowie, przedewszystkiém świat mahometański niepodległéj Azyi. Miał on głównie na celu przedstawić w niém wschód muzulmański w zapasach z cywilizacyą zachodnią i skreślić wszystkie cierpienia i bole tego okresu przejściowego—uwzględniając wyłącznie stan rzeczy w państwie ottomańskiém, jako podległém bardziéj od innych zachodnim wpływom. W ogóle zaś chodziło mu o przedstawienie, w prostéj ale wiernéj formie, fak-

tów, na których opierają się jego poglądy tak na obecne przekształcenie, jak i na przyszłość islamizmu.

Podobnie też i my tu w naszym zarysie, będziemy zwracać wyłączniejszą uwagę na charakter obecnego życia świata muzułmańskiego, o ile takowe uwydatnia się przedewszystkiem w bliższéj nam Turcyi.

Świetnym prawdziwie wstępem (ust. I.) rozpoczyna Vambery studyum swe Islamu.— Zasłona, która ukrywała w ciągu przeszłego stulecia życie i działalność Wschodu przed wzrokiem Zachodu, uchyla się dziś stopniowo, powiada on, pod krzepką dłonią naszego wieku; różnobarwne mgły przysłaniające zwodnicze obrazy wschodniego świata, ustępują przed promieniami świetnego słońca naszéj oświaty, które przedzierają się do stref najbardziéj oddalonych. Wielkie słowo: „niech się stanie światło" bliskiém jest urzeczywistnienia, a niezadługo może nadejdzie czas, kiedy na nie odpowie echo: i „stało się światło!" W istocie — sam zakres wiadomości naszych o świecie wschodnim znacznie się w ostatnich dziesięciuleciech rozszerzył. Europa, wzmocniona wewnętrznie duchowemi zdobyczami, w promieniejący pancerz swéj wyższości uzbrojona, występuje jako niezwyciężony zapaśnik na wszystkich punktach kuli ziemskiéj: stara zatém Azya zniewalaną zostaje coraz bardziéj uchylać zwodniczą zasłonę dziecięciu swemu, by odkryć w całéj nagości twarz swą zeszpeconą zmarszczkami, jak niemniéj przez odmładzające kosmetyki. Jeżeli więc w obrazie azyatyckiego życia brakuje nam dziś jeszcze drobnych rysów i odcieni, — ogólne jego kontury znane są już dokładnie. Ileż tu czasem fantasmagoryj (woła ten znawca wschodu) ozłoconych złudnemi blaskami zachodzącego słońca Azyi, rozpływa się we mgle przed naszym wzrokiem, — chociaż nie jeden z nas pogardzając w poetycznym polocie prozą XIX wieku, poi jeszcze wilgotne od roskoszy oczy widokiem barwistéj zasłony! Pokazuje się zaś tymczasem, że ta lub owa pod niebiosy piętrząca się „porta" jest tylko zbutwiałym, przez robactwo toczonym gmachem, że nie jedna miejscowość, rozgłośnie współzawodnicząca z rajskiemi krainami, była straszliwą pustynią; olbrzymy zamieniły się w karłów, miliony w zera, a wyrazy „Azya," „azyatycki" stały się jednoznacznemi z pojęciem napuszoności i przesady. Lecz mimo to, iż powszechne rozprzężenie świata muzułmańskiego jest niewątpliwem, byłoby niesprawiepliwością zachowywać dla niego lekceważenie jedynie; owszem — Zachód winien wypisać na swoim sztandarze słowo: „humanitarność" i przyjść w pomoc Wschodowi — choćby nawet mimo jego woli, a nie skazywać go na powolny rozkład i śmierć powolną... Obowiązkiem

jest przecie samobójcę, przemocą nawet, ze szpon śmierci wydzierać— mniejsza o nienawiść, jaka zwykle w takim razie dostaje się wybawcy w nagrodę!

Lecz tu z przykrością musimy naznaczyć, że p. Vambery, jako prawy Madjaron, a więc członek narodu należącego do najbardziéj nieuprawnionych i nieproszonych dobroczyńców ludzkości, nie umiał się przecie powściągnąć, aby nie zepsuć pięknego swego wstępu końcowemi wyrazami, z których tchnie już tylko prosta cywilizatorska emfaza. Oto one: „A zresztą dość pomyśléć o wrogiem dla nas (?) usposobieniu Słowian i innych wschodnio-europejskich ludów, ażeby przekonać się, że i u nas w Europie są jeszcze źle wychwane dzieci, które nienawidzą nauczycieli swoich. Wiadomo przecie, że słowo „kafir“ lub „giaur“ w ustach mahometanina znaczy ani mniéj ani więcéj jak słowo „Niemiec“ w ustach Słowianina.“— Dziwne to zaiste ze strony byłego węgierskiego wychodźca, w którego przybranym języku nie obcym jest wyraz „Nemet“— i co gorsze jeszcze.— Lecz zwróćmy się do szczegółów dalszego przezeń obrazowania głównego przedmiotu. (Vmb. ust. II).

Wiadomo powszechnie, iż świat muzułmański jednolitym nie jest. Wprawdzie zasadą, że „wszyscy prawowierni są braćmi“— chciał Mahomet przełamać wcieloną dumę arystokratyczną Arabów i ukrócić nieposkromiony ich popęd do narodowego partykularyzmu. W ciągu dwunastu wieków walczyły atoli przeciwko téj zasadzie fakta, które będąc wynikiem niewzruszonéj logiki natury, przekształcały się w ogniu fanatyzmu, ale zupełnie usuniętemi być nie mogły. Różnice etnologiczne i klimatyczne, stały zawsze na przeszkodzie utrwaleniu téj spójni, do któréj dążył prorok. Utworzył się tylko łańcuch, którego ogniwa, jakkolwiek dość silnie z sobą złączone, formą jednak i treścią wewnętrzną nigdy nie wychodziły, ani wychodzić mogły, ze sfery odrębności. Jednym słowem islam nie miał mocy zatarcia narodowych indywidualizmów. Najświetniejszą illustracyę tego faktu psychologii etnicznéj znajdujemy w przytoczonym dziele hr. Gobineau.

Po mistrzowsku prawdziwie i z głęboką znajomością przedmiotu, nabytą długiém doświadczeniem życia, kreśli téż i Vambery etniczną charakterystykę odrębnych islamu indywidualizmów.

Wśród trzech rass głównych między któremi islam azyatycki, politycznie niepodległy, liczy najwięcéj wyznawców, przeważa dziś ta, która najpóźniéj mu się poddała. Istotnie bowiem Turanie przenoszą o wiele liczbą swą ilość Iranów i Semitów, razem nawet wziętych. Ludy tureckie, same w sobie uważane, równie

nie przedstawiają jednolitego zastępu: istnieje wielka różnica pomiędzy Uzbegiem turkestańskim a rumelijskim Ottomanem, wyobrażającym typ zlewkowy przeróżnych, nieturańskich większą częścią narodowości, pseudo-turański tylko— typ narodu powstałego na drodze orężnéj przeważnié. Ztądto Ottomanin—jeden w całym wielkim szczepie turańskim, mimo bezpośrednie zbliżenie się z kolebką, z głównym ogniskiem islamizmu, nie okazywał nietylko chwilowo, ale nigdy i w żadnych okolicznościach, tego gorączkowego uwielbienia dla nauki proroka, i nigdy też nie występował jako wyznawca owego ślepego fanatazmu, który zato jest i był po wszystkie czasy właściwością jego współwyznawców i współplemienników w głębokiéj Azyi. Autor art. o Cywilizacyi tureckiéj mniéj słusznie przypisuje u Osmanliów, zaciekłemu fanatyzmowi to, co może prędzéj być wynikiem instynktów narodowych, lub owocem upornéj niepospolicie azyatyckiéj kultury (Sm. ust. V). W ogóle zaś o ludach turańskich to można powiedzieć: im Turek daléj mieszka w głębi Azyi, tém głębszy jest jego fanatyczny, dla islamu zapał; i na odwrót: im bardziéj zbliża się ku zachodowi, tém trzeźwiejsze, rozważniejsze, choć zawsze silne są jego przekonania religijne. Główne cechy szczepowego charakteru tureckiego przechowali przecie Osmanowie. Któż nie podziwiał, pyta słusznie Vambery, łagodności, graniczącéj prawie z ospałością, spokoju i flegmy, szlachetnego i pełnego godności wyrazu twarzy Osmana, bądź w osobie prostego wieśniaka w połatanym kaftanie, w nędznéj mieszkającego lepiance, bądź też w postaci dostojnika siedzącego na sofie w świetnéj, złotem tkanéj szacie? Istotnie musi to przyznać każdy, kto tylko miał sposobność choć na chwilę znaleść się wśród Turków. Dodajmy do tego wschodnią gnuśność, i pobożne poddanie się niecofnionym zrządzeniom losu, powolność i spokój — ową tak ostro a humorystycznie przez p. Sm. (ust. VI) dotkniętą „chałatowość“ i wstręt do wszelkiego formalizmu, a będziemy posiadać pełny obraz Osmanlii. My bowiem Europejczycy, dodaje Vambery, wyrobiliśmy sobie przesądne pojęcie, że pod tém gładkiem zwierciadłem powierzchownego spokoju kipi war nieposkromionych namiętności, który roztrąciwszy, za lada sposobnością, zwierciadlaną powierzchnię, zatapia wybrzeża i szerzy naokoło groźne spustoszenia. Pojęcie takie zastosowane do innych ludów Wschodu np. do Semitów i Iranów, ma za sobą pewną słuszność, ale nie sprawdza się na Turkach, a tém mniéj na Osmanach. W parze z tą łagodnością idzie zawsze szczególna dobroć serca, ludzkość i zupełny brak arystokratycznych popędów. Nie ma też pragnący, jak sam

uprzedza, objektywnie oceniać moralny charakter Turków, p. Sm. (ust. VII), najmniejszego powodu obawy być posądzanym o obudzanie sympatyi ku nim, wypowiadając swą wątpliwość co do przyznanych im powszechnie cnót. Zgoda zresztą—w Turczynce więcéj może ludzkości, jak w jéj wszechwładnym mężu i panu. Zdarzające się atoli wybuchy namiętniejszego prześladowania inowierców, są to wyniki i właściwości nie świata tureckiego, ale islamizmu i fanatyzmu azyatyckiego w ogóle. Wreszcie w walkach rozpacznych z „rajahami“ w Rumelii np. miecz i głównie podpalaczy dzierżyli zawsze bośniaccy i albańscy mahometanie, którzy nie znając nawet języka tureckiego, z piętnem słowiańskiego lub łacińskiego typu na obliczu, srożyli się, i jeszcze się srożą, w zaciętym boju przeciw własnym braciom. Wszakże Osmanin dobrym jest muzułmaninem. W typowości jednak szczepowéj w ogóle prześcigają go jego wschodni pobratymcy—Turek irański z Azerbeidżanu i turkestański Uzbeg, któryto, przy dodatnich stronach swéj rassy, jak rzetelność i silny męzki charakter, jest wcieleniem najciemniejszego fanatyzmu wiary i istnie barbarzyńskiéj konserwatywności.

Szczep irański, drugie pod względem liczebnym wśród wyznawców Mahometa (pominąwszy muzułmańskich Hindów) zajmujący miejsce, różnił się zawsze stanowczo od swych turańskich współwyznawców. Ludy tego szczepu nie przyjęły bezwarunkowo zasad koranu; fanatyzmu nadto nigdy w usposobieniu nie mając, nie mogły też stanowić filarów islamizmu. Przepaść, jaką między Persami i Arabami różność sekt z samego początku wytworzyła, była więcéj wynikiem narodowego aniżeli religijnego zapału. Wyczerpująco przedmiot ten rozjaśnia w swém dziele hr. Gobineau (ust. II i III). Pozorne cechy religijności występujące w codziennem życiu Persów, mogą omamić powierzchownego tylko postrzegacza: religijny ich zapał nie głęboko sięga, a gorliwość sekciarska szyityzmu służy za broń polityczną przedewszystkiem; w ogóle zaś nie ma może w całéj Azyi kraju ani ludu, z wyjątkiem Chin, z tak małym zasobem zapału religijnego jak Persya. To zaś tylko jedynie może nam wytłómaczyć zarówno, tak nadzwyczajne wezbranie tam nowéj społeczno-religijnéj nauki, podnoszącéj kobietę, a znanéj pod nazwą Babyzmu, jak i upadek onéj—o czem mieliśmy sposobność szerzéj opowiedzieć gdzieindziéj (patrz Gaz. Pols. 1875 r. Nr. 222—226). Nie tylko też szyici, owi protestanci niby islamizmu, ale i sunniccy Tadżykowie w Turkestanie, tém gnieździe fanatycznéj religijności, nie są tak bogobojnymi muzułmanami, za jakich uchodzić pragną. Nawet koczownik Iranin różni się pod tym względem wielce od sąsiedniego nomady Turańca: epopeja narodowa

zastępuje mu religijne legendy. Kurd zaś, jak to mówią, zmienia swą wiarę stosownie do pory roku.—Co do charakteru narodowego Iranów, przyznają im powszechnie bystrość, dowcip, rzeźkość umysłu i energię, ale zarazem pomawiają o brak uczciwości, chytrość i dwulicowość. Mogło to pójść przeważnie z politycznego ucisku. Iranin bowiem, przedstawiciel duchownéj potęgi w Azyi, musiał chodzić długie wieki trwożliwym krokiem, gdy tymczasem Turanin, reprezentant brutalnéj siły, nosił wysoko podniesioną głowę. Dwulicowość zaś ową podtrzymuje u Persów, potężnie a zgubnie, osławiony ich „Ketman“ t. j. praktykowana powszechnie, bez różnicy sekt, bezduszna religijna hypokryzya, ile tylko takowéj osobisty interes wymaga. Europejczyk, powiada Gobineau (ust. I), gotów widzieć w trybie takim zachowywania się, który nie tylko upoważnia milczenie, lecz uprawnia kłamstwo na największą możliwą skalę, coś upokarzającego. Azyata, owszem, uważa go za zaszczytny. Ketman stanowi dumę tego kto mu się oddaje. Wierzący wznosi się we własném wyobrażeniu przez to wysoce nad tym, kogo oszukuje, choćby to był sam król; jest on dlań nędznikiem zaślepionym, nie przeczuwającym prawdy. Jakaż to rozkosz czuć się tak wyższym! Obłęd taki nie może więc nie oddziaływać niszcząco i na zakres moralny powszedniego życia. Pobratymiec Iranina Afgan nie jest również wielkim gorliwcem religijnym.

Semityccy Arabowie stanowią najdrobniejszy zastęp islamitów. Dziwnem zrządzeniem losu, lud który służył za podwalinę całemu światu mahometańskiemu, od którego wyszła idea muzułmańskiego wszechwładztwa, przed którym niegdyś Turanie i Iranie w pokorze kolana zginali, jako przed apostołami religii i zwycięzcami;—ten lud liczebnie jest najuboższy, rozgłos jego potęgi przebrzmiał już blizko od sześciu wieków, a z dawnéj wielkości nazwa tylko pozostała. Co do usposobienia religijnego Arabów, możnaby mniemać na pierwszy rzut oka, że ci twórcy islamizmu być muszą choćby tylko przez dumę narodową, fanatykami wśród swoich współwyznawców. Tymczasem rzecz się ma inaczéj: przeciętnie bowiem biorąc, islamizm silniéj się zakorzenił w twardéj czaszce Turańczyka, aniżeli w rozumnéj głowie Semity. Fanatyzm mahometański napotkać można tylko u napół koczujących Arabów-Dire. Arab zamieszkujący miasta, nie może być uważanym za obojętnego wyznawcę nauki Mahometa, a nawet w oczach niedoświadczonego Europejczyka często uchodzić może za wzór zapału religijnego; a jednak ta właśnie klasa Arabów dostarcza dość znaczny zastęp myślicieli i sceptyków, których nigdy nie napotyka się u Turków prowadzących ten sam tryb życia. Turek jest tylko czującym,

Arab zaś jednocześnie i myślącym religiantem. Dobitnie określa Gobineau tę stronę Arabów. Swoboda ruchu, powiada on, która tak im jest drogą w życiu na tym świecie, podniecа w nich popęd do krytyki negatywnéj, lub bardzo restrykcyjnéj przynajmniéj w rzeczach tamtego świata. Ztąd to przeszkadzali oni stanowczo pragnieniu Mahometa i jego usiłowaniom zrobienia z Arabii ziemi surowéj prawowierności. Za życia proroka i pod jego pierwszymi a zdolnymi następcami, było niemożliwem wcale przemożenie na tym punkcie. Obecnie nawet, niema w całém islamie jednego kraju, któryby był mniéj muzułmańskim (Gob. ust. III). Jedynie tylko w uczuciu dumy ze świetnéj przeszłości, silniéj odbija się islamizm wychudłych i spalonych żarem słonecznym synów Mekki i Medyny; ale i to uczucie ma cechę bardziéj narodową aniżeli religijną. Lekkomyślność Araba miast w rzeczach religii zabarwioną jest nadto ową jowialnością i swobodą stanowiącą wydatny rys jego charakteru—rys, który rzadko się przytrafia u Turków, częściéj u Persów, a który nie dozwala głęboko zanurtować uczuciom religijnym. Z tą oczywistą wyższością zapatrywania się na świat, łączy Arab zmysł praktyczny i ruchliwość umysłową. Z Arabami można się swobodnie wdawać w rozprawy o najdrażliwszych zagadkach islamizmu; oni jedni, oprócz Persów, podróżują po Europie, gnani żądzą wiedzy lub interesami handlowemi; oni też z własnego popędu, chętniéj aniżeli Turcy, zaznajamiają się z naszymi językami i obyczajami. Śmiałość i gorliwość, z jaką arabska ludność w Egipcie poddaje się przeróżnym reformom rządu wice-króla, musi wprawić w podziw każdego, kto się obeznał ze sprawami mahometanizmu. Dziesięć lat obcowania z Europą więcéj uczyniły z Kairu i Aleksandryi aniżeli z Konstantynopola półwiekowy wpływ Franków. Prawda, że wszystkie innowacye na wybrzeżach Nilu są w gruncie rzeczy tylko polorem równie zgubnym jak zwodniczym; ale sam fakt, że ten polor przyjął się tu o wiele łatwiéj aniżeli gdzieindziéj, przypisać należy giętkości i układności Araba. Dzięki temu właśnie przymiotowi, Arab przeznaczonym jest do odegrania ważnéj roli w przekształceniu stosunków azyatyckich, w razie gdyby go polityczne przewroty powtórnie na widownię dziejową wydźwignęły.

Zcharakteryzowawszy plastycznie trzy główne etniczne dźwignie islamu, przechodzi następnie (ust. III) Vambery do krytycznego poglądu na kraje przez wyznawców onego zamieszkałe. Zwraca tu podróżnik węgierski przedewszystkiem uwagę na względne ubóstwo Wschodu, wskazuje, że żyzność i zdatność do uprawy, w europejskim znaczeniu tego słowa, w krajach Azyi mahometańskiéj, z wyjątkiem niektórych miejscowości, zupełnie jest nie-

znana. Ilość więc ludności, mimo hyperbole wschodnie, musiała być tam zawsze mniéj znaczną; a co więcéj, w ogóle napróżnobyśmy szukali w przedstawicielach różnych rass na mahometańskim Wschodzie téj siły fizycznéj, która właściwą jest mieszkańcom północnéj i środkowéj Europy. Ta zaś niższość fizycznego ustroju wywiera stanowczy i daleko sięgający wpływ na ogólną ekonomię duchowych przymiotów muzułmanina w Azyi. Ma on polot i zapał, ale brak mu stałości i wytrwania, a owa ujemna strona charakteru snuje się niby nić czarna przez wszystkie fazy i epoki jego życia politycznego i społecznego.

Żywy, zajmujący treścią obraz przedstawia daléj w dziele Vambery'ego ustęp o cywilizacyi mahometańskiéj (ust. IV). Znakomicie też istotę charakteru onéj zarysowuje w dziele swém hr. Gobineau (ustawa II i in.) Epoka świetności w dziejach téj cywilizacyi jest powszechnie znaną: blask jéj dotąd w pamięci historyi przyświeca, była ona bowiem kamieniem węgielnym i naszéj europejskiéj kultury. Ale cywilizacya muzułmańska w czasie nawet najbujniejszego swego rozkwitu, była zbyt sporadyczną i nie dotykała wcale ludu. Wreszcie zajaśniala ona przedewszystkiem w Europie, w Hiszpanii, przy odrębnych etnologicznych i historycznych warunkach, i nie była udziałem całego świata arabskiego, a témbardziéj mnzułmańskiego. Islamizm w klimacie europejskim, na łonie czarującej natury andaluzyjskiéj, zupełnie inny przybrał charakter, aniżeli w pierwotnéj swojéj kolebce Azyi; a w starym sporze o wyższość duchową między dwóma odłamami świata mahometańskiego, zachodnim (Magribin) i wschodnim (Maszrikin)—pierwszy wziął stanowczo gorę, tak w zakresie wiedzy i sztuki, jak i urządzeń społecznych. Kulturę mahometańską w ogóle można uważać za aglomerat cywilizacyi ludów podbitych przez Arabów. W politycznym i społecznym ustroju wschodniego islamizmu, przeważył wpływ prastaréj kultury Persów; w zachodnim zaś znajdujemy mnóstwo widocznych śladów cywilizacyi byzantyńskiéj. Trudnoby więc było odkryć cechy samodzielnie narodowe w duchu mahometańskiéj cywilizacyi, gdyby nie szaty w które była przybraną, to jest języka rabski,—więcéj jednak dla niéj szkodliwy aniżeli korzystny, jako krępujący swobodny rozwój języków podbitych ludów, podobnie łacinie średniowiecznéj na Zachodzie europejskim. Dopóki tedy islam trzymał się na zenicie swéj potęgi, z jednéj strony siłą niekłamanego zapału, z drugiéj zepsuciem i grubem nieuctwem swoich przeciwników, dopóty dążenia cywilizacyjne gorący w wyznawcach jego znajdowały współudział. Co więcéj, dopóki gmach wiary obywał się bez kruchych filarów ślepego fanatyzmu, dopóty

duch w swobodnym polocie przenikać mógł w najdalsze sfery cywilizacyi i sztuki. Ale kiedy kalifat ustąpił miejsca sułtanatowi opartemu na absolutyzmie, a swobodna wiara ortodoksyi graniczącéj z ciasną bigoteryą, nastąpił zwrot przeciwny i powoli scholastyka wyrugowała swobodną wiedzę, świetna kultura islamu przygasła. Fatum etnologiczne nadto zrządziło, że po upadku kalifatu i przewagi Arabów, na całéj linii oddzielającéj dwa światy, jedynymi pośrednikami utrzymującymi łączność Wschodu z Zachodem, stali się wojowniczy Turcy, niezbyt dla dążeń cywilizacyjnych przychylni, i dzięki zakamieniałemu fanatyzmowi, zawsze dalecy od prądów swobodnego myślenia. Natomiast, podczas gdy w Azyi cywilizacya mahometańska olbrzymiemi krokami zbliżała się do upadku, na Zachodzie epoka wiary ustąpiła przed nową erą swobodnego myślenia; i możnaby nieledwie powiedzieć, że w miarę jak Europa postępowała naprzód, mahometanie ciągle w tył się cofali. Jaki też wszakże obrót byłyby wzięły rzeczy, gdyby na miejscu Ottomanów rozumni Iranowie pozostawali byli w ciągłéj z Europą styczności? — pyta Vambery. Pierwsi, przypomina on, z dobytym orężem chcieli zawsze stać na straży religii—drudzy odznaczyli się głównie w walkach na polu duchowém; czyż więc nie można przypuścić, że władcy perscy zostawszy panami Anatolii, a nawet Konstantynopola, byliby utrzymywali z chrześciańskim Zachodem „entente cordiale,“ i że między dwoma światami nie byłoby powstało tak surowego rozgraniczenia? Wszakże jeszcze przed 400 laty Uzun Hassan, słynny władca perski, chciał się sprzymierzyć z Wenecyą, Węgrami i Polską przeciw swym współwiercom Ottomanom! Wyznajemy przecie szczerze, że uwzględniwszy znany pochód wewnętrznych dziejów saméj Persyi, nie zgodzilibyśmy się na przypuszczenie optymistyczne wyników téj hypotezy. Dzieje wreszcie zdecydowały inaczéj — i kultura mahometańska śpi już od pięciu wieków, jakby snem śmierci, nieczuła i głucha na szum fal cywilizacyjnych, które roztrącają się u jéj granic, płynąc od zachodu. Nieczuła i głucha—ale nie nieświadoma wszakże potężnych przewrotów, wśród których chrześciański Zachód, wyswobadzając się z więzów starego świata, obudził się do nowego życia. Istotnie, nie można temu zaprzeczyć: Wschód bardzo wcześnie począł się przysłuchiwać wieściom o postępach kultury Franków. Panujący mahometańscy w Azyi, skoro tylko wznieśli się nad poziom powszedniości, daleko baczniejszą w ogóle zwracali uwagę na światło wschodzące od Zachodu, aniżeli jak to zwykliśmy przypuszczać.

W naturalném następstwie coraz widoczniejszą tedy stawała się w obliczu tego, konieczność naśladowania wyższych wzorów Europy, a zatém—zmian i reform u siebie. Ale masy zmartwiałe w nieruchomym konserwatyzmie, przemocą tylko mogły być pchnięte na nowe drogi — przemocą nietylko z wewnątrz, lecz i z zewnątrz. Przymusem też jedynie narzucano Wschodowi przekonanie, że młodzieńcza Europa posiada instytucye polityczne i społeczne, które bardziéj licują z godnością i prawami ludzkości, przyjaźniejsze są dla postępu i cywilizacyi—aniżeli stare pojęcia i zasady, w ciągu tysięcy lat służące za podstawę stanu rzeczy w Azyi. Przymus zaś ten, ta nauka przemocą narzucana, rozpocząć się mogły naturalnie dopiero od chwili, kiedy Europa wzmógłszy się sama na siłach, znalazła dostateczne środki do rozszerzenia wpływów duchowych i materyalnych po za ciasne swoje granice. Odtąd każdy tedy krok Europy, świadomie czy nieświadomie w Azyi robiony, pozostawiał za sobą posiew lepszéj przyszłości. Postępowanie Europy było bez zaprzeczenia gwałtowném, ale i dobroczynném niemniéj przeto. A więc—w Indyach upadło panowanie Wielkiego Mogoła, Persyę zmusiły do rozwagi bagnety grożące od strony Kaukazu, a Turcya surowie popchniętą została na ławę szkolną. Uczyć się—oto hasło, które tedy zabrzmiało wszędzie; wszędzie też dojrzało postanowienie przedsięwzięcia reform radykalnych, i przyswojenia sobie ducha europejskiego. Lecz że przymusowa nauka nie przynosi pożądanych korzyści, jakkolwiek jest zwykle pierwszym, niezbędnym początkiem wszelkiego postępu—rzecz niewątpliwa.

Niepospolicie zajmujący i żywy roztacza się daléj (ust. V) w dziele Vambery'ego obraz reform, dokonanych i dokonywanych na muzułmańskim Wschodzie—obraz pełen malowniczości i humoru, dowcipu i głębokich postrzeżeń, jakie tylko gruntowna znajomość przedmiotu i jasne pojmowanie istoty bytu wschodniego wywołać mogły. Uwzględnia tu autor przedewszystkiém Turcyę. Nieszczęsne to było, woła on, zrządzenie dla ludów Wschodu, że pierwszy krok ku reformom postawiły na gruncie wojskowości. Nieokrzesanym ludom imponowała po wsze czasy brutalna siła i przemoc. Prócz tego zabawka w żołnierzy, bogactwo barw europejskich mundurów — podbudzały i dziecinną wyobraźnię wschodnich reformatorów. Wreszcie żywiono tu przekonanie, że przewaga Zachodu polega na armiach regularnych. O postępach więc na polu ogólnéj oświaty, o europejskich urządzeniach społecznych i politycznych nikt początkowie nie chciał myśleć—i nie mógł myśleć,—bo jakimże sposobem lud prawowierny miał posiąść

tę cywilizacyę, która obywała się bez owego wzoru wszelkiéj mądrości — bez koranu. Pobawiwszy się jakiś czas cackiem zachodniéj wojskowości, ludy wschodnie przystąpiły wszakże zwolna i jakby z musu do reform i w politycznem gospodarstwie. Z inicyatywą na tém polu również wystąpiła Turcya. Następnie zaszły z konieczności pewne zmiany w stosunkach społecznych, w ubiorze i w trybie życia mieszkańców Wschodu. Całość przecie pierwotnych tych reform przedstawia się jedynie, powiada bystry postrzegacz, w postaci cienkiéj warstewki powlekającéj powierzchownie treść wschodniego życia. Nigdzie bowiem i w żadnych okolicznościach pierwsze reformatorskie tchnienie głębiéj przeniknąć nie mogło. Dziecinne naśladowanie europejskiéj wojskowości i cywilnych urzędów rzeczywiście nie nadało państwu ani siły wojskowéj, ani też przyniosło wewnętrznemu zarządowi użytek prawdziwy. Wiele rzeczy przeobrażonych niby idzie dotąd po dawnemu. Jednostki też, przyjąwszy strój europejski i niektóre europejskie zwyczaje, równie powolnym krokiem zbliżają się do właściwych reform i rzeczywistego przekształcenia dawnego stanu rzeczy. Najlepszą charakterystyką tego stosunku jest ta okoliczność, że wszelkie domowe reformy i pozorne zmiany w obyczajach miały przystęp wyłącznie do mężczyzny, i dokonać się mogły tylko w „selamlyku,“ to jest w części domu jedynie dostępnéj dla obcych, zewnętrznych wpływów. Kobieta i jéj siedziba —harem — zachowała dotychczas dawny, pierwotnie — wschodn charakter, mimo wszelkie zmiany trwające już od pół wieku. Dopóki wszakże, uważa daléj węgierski podróżnik, przekonanie o wyższości zachodniéj cywilizacyi, o potrzebie przyswojenia sobie nowych pojęć, nie wniknie do samego wnętrza życia rodzinnego mahometan, to jest do haremu,—dopóty o wszelkich usiłowaniach na tém polu będzie można powiedzieć to tylko, że podobne one są do zasadzonego na lotnym piasku drzewa, które obali się i zmarnieje pod najlżejszym podmuchem wiatru.

Obrazowiéj jeszcze i bardziéj humorystycznie, a z jednostajnie głęboką znajomością rzeczy i trzeźwym na nie poglądem, przedstawia Vambery drogi, jakiemi przychodzą reformy (ust. VI). W barwnéj, bogatéj urozmaiceniem, panoramie przesuwają się tu przed naszemi oczyma: tureccy dyplomaci przy dworach europejskich i na salonach świetnych stolic Zachodu; młodzież stambulska wysyłana na naukę do kolegiów zagranicznych i używająca tam życia, zwykle ze szkodą własną i kraju; następnie mamy i ciocie spotykające swych ulubieńców wracających od giaurów; potém Europejczycy—cywilizatorowie przebywający na Wschodzie, jako

dyplomaci, nauczyciele i wszelkiego rodzaju przemyślni wyzyskiwacze; nieszkodliwi wcale islamizmowi, chrześciańscy misyonarze nareszcie. Wszystko zaś typowe, ciekawe, mistrzowską ręką przesuwane. Nikt może lepiéj pod tym względem Wschodu nie odsłania. Oto wracający od Franków z nauki młodzi reformatorowie zwykle ulegają potém sami wpływowi domowego otoczenia; co gorzéj, często nawet taki wychowaniec wyższych zakladow stolic zachodnich staje się pod wpływem okollczności nietylko prawdziwym Turkiem, ale fanatycznym, nieprzyjaźnie dla Europy usposobionym mahometaninem, nienawidzącym Zachodu, i w skrytości bez porównania niebezpieczniejszym dla kultury onego, aniżeli pierwotne, prawowierne dziecię Wschodu, które zawsze zdala stalo od cywilizacyi. Wyjątków oczywiście nie brak, ale tych usiłowania były dotąd bezskuteczne prawie — co przecie jeszcze nie dowodzi wcale, jak sądzi wyobraziciel przeciwnego obozu, autor artykułu o Cywilizacyi tureckiéj (Sm. ust. VII), aby społeczność muzułmańska miala być z gruntu niepoprawną. Co się zaś tycze Europejczyków działających w dobréj woli na Wschodzie — tym stawaly na zawadzie nietylko apatya i dziki konserwatyzm miejscowy, ale i własne ich niedostateczne przygotowanie. Znali oni zwykle Wschód powierzchownie tylko, lecz nie zgłębili ducha cywilizacyi ludów, u których odgrywali rolę mentorów. Reformatorska ich działalność więc, nie mogla pozostawić po sobie głębszych śladów. Nigdy też oni dostatecznie nie rozważyli, a może nawet rozważyć nie mogli olbrzymiéj różnicy pomiędzy chrześciańsko-zachodnią a mahometańsko-wschodnią cywilizacyą. Dla tego wszelkie ich usiłowania musnęly tylko powierzchnię, wywolaly zaledwie ciche, slabe falowanie; a tymczasem właściwy rdzeń spoczywał w staréj, wieki, a może tysiące lat trwającéj zgniliznie. W ostatecznym jednak wyniku — jak z wielką przecie słusznością sądzi, zawsze przyjazny Wschodowi ex-derwisz—wina niepowodzenia ciąży nietyle na Azyatach i na wyslanych do nich Europejczykach, ile na tych rządach zachodnich, które bądź z pobudek politycznych, bądź ze względów humanitarnych, wywiesiwszy sztandar odrodzenia Wschodu, występują i chcą występować we wszystkich krajach Azyi w roli odnowicieli.

Smutny zatém, bardzo smutny obraz rozwija daléj Vambery, dotykając śmiałą, pewną dłonią istoty saméj wewnętrznego stanu państw na Wschodzie (ust. VII). Rzeczywiste położenie obecne Turcyi określa on wyczerpująco jednem orzeczeniem: wszystek świat wie o tém dobrze, że Turcya jest dziś na łaskawym chlebie u zasady całości ottomańskiego imperyum. „Wysoka Porta“ wraz

z „wysokim progiem szczęśliwości“ jest nikłym cieniem, który dla tego tylko ma przyznane sobie istnienie, że około miejsca, które zajmuje, sroży się dzika zawiść uniemożebniająca na długo jeszcze rozstrzygnięcie losów cienia. Reformy dotychczas w życie nad Bosforem wprowadzane mało znaczenia na zewnątrz Turcyi dodały. Mniéj jeszcze niestety wewnątrz przyniosły korzyści; bo jeżeli Wysoka Porta, w ostatnich dziesięciu leciech, oblekła się po wierzchu jakimś pokostem i miejscami na pozór blask jakiś zachowała,—to wewnątrz niéj zgnilizna jeszcze wyraźniéj się przedstawia. Na bardziéj smutną charakterystykę nie zdobyłby się i autor artykułu o Cywilizacyi tureckiéj. Istotnie bowiem zasada centralizacyi wprowadzona przez sułtana Mahmuda, w skutek któréj wszystkie soki żywotne, wszystkie siły zbiegły się z prowincyi do stolicy, ażeby tam paść ofiarą stugłowéj hydry zbytku i marnotrawstwa,—działała w Turcyi tak zabójczo, jak w żadném inném państwie na świecie. Wszędzie też widzieć się dają groźne ruiny tego reformacyjnego „Tanzimatu,“ który wywołał gwałtowny przewrot, chcąc jednym zamachem zmienić kraj wschodu słońca na kraj zachodu. Łatwo więc pojąć, że taki niepohamowany popęd, wszystko z dawnéj wytrącił kolei. Oczywiście zatém, że i rząd, który taki stan rzeczy wywołał, i popiera go ciągle mimo widocznie zgubne następstwa, nie może się cieszyć sympatyą, ani poważaniem. Nie było też na owym Wschodzie, gdzie osobistość panującego tak przeważną zawsze odgrywa rolę—i być nie mogło nawet, dodaje Vambery, ani jednego monarchy, nawskróś przeniknionego ideami postępu i przygotowanego do nich stosownem wykształceniem umysłowém. Nie był takim sułtan Mahmud II, a tém mniéj który z jego następców. Nie był takim zarówno i Mehmet-Ali twórca nowoczesnego Egiptu. Brakowało odpowiedniéj siły moralnéj a dostatecznéj wiedzy,—i słynnym dostojnikom postępowcom, jak Reszyd, Ali i Fuad baszowie. Jedynym człowiekiem Wschodu, który dorósł zadania, był minister perski Mirza Taki Chan (Emiri Kebir i Nizam zwany); lecz ten musiał śmiałą swą działalność własném opłacić życiem.

Podobne rozprzężenie, jakie istnieje u góry—w państwie, daje się dostrzegać i w rodzinie na Wschodzie; niemniéj, jak podobnaż chwiejność i niestanowczość—w jednostkach. W żywych, wybitnych rysach maluje nam to Vambery (ust. VIII) dotyka tego niemniéj poważnie z okoliczności nowoczesnego społecznego ruchu w Persyi i Gobineau (ust. XII). Przepaść między haremem i selamłykiem równie jest widoczną dla oka badaczy, jak różnica między reformami dotykającemi tylko zewnętrznéj powłoki organizmu państwo-

wego, a jądrem wewnętrzném chorującém na zastarzałe nadużycia. Dla zatwardziałych zachowawców harem stał się jedyném spokojném schronieniem; za to poważni nowatorowie, tak społeczno-polityczni jak i społeczno-religijni, uważają go za największy na drodze postępu hamulec. Reformy wprowadzone w selamłyku napotykają w haremie albo taktykę umyślnéj nieświadomości, albo zawzięty fanatyzm, który je tępi ze szczętem. Płeć niewieścia stojąc zdala od wszelkiego ze światem zewnętrznym zetknięcia, surowiéj jeszcze aniżeli mężczyzni przestrzega kierunku zachowawczego. To zaś co kobiety perskie i tureckie, wyższego świata, ustępując naciskowi mody, od Zachodu zapożyczyły, więcéj szkody aniżelii korzyści przyniosło. Z drugiéj strony przedsięwzięte przeobrażenie radykalne stosunków społecznych, rodzinnych i towarzyskich, przez słynną reformę religijną Babytów w Iranie, pozostało również dotąd bez szerokiego wpływu na massy. A wiadomo, że nauka ta wzięła sobie za zadanie podnieść osobistość i znaczenie istotne kobiety: znosząc wielożeństwo, życie haremowe, zasłonę oblicza i bezecnie lekkomyślne wśród szyitów rozwody. (Patrz Babyzm pr. A. J. „Gaz. Polska 1875 Nr. 222—226). Obok tego powszechném jest rozprzężenie finansowe w gospodarstwie domowém możnych rodzin—podobne do znanego nieładu finansów w państwie. Niemniéj też źle zrozumiane miłosierdzie, najszkodliwsze w obu sferach pociąga za sobą następstwa; nakłada ono bowiem na głowę rodziny zbyt ciężkie obowiązki ludzkości—względem uboższych i próżniaków nawet. Miłosierdzie zaś mahometańskie „Merhameti Islam"—jest, jak powiada tu ex-islamita, według pojęcia synów Wschodu, ową promienną cnotą, która przyświeca obyczajom wyłącznie muzułmańskiego świata. Na zachodzie chrześciańskim (twierdzą muzułmanie) kieruje wszystkiém ślepe samolubstwo; z twardéj opoki serc chrześciańskich słońce miłosierdzia nie zdolne jest wyprowadzić najdrobniejszéj trawki dobrego uczynku. Daléj, postrzegać się też daje ciągłe słabnięcie poszanowania—ile w państwie dla zwierzchników, tyle w ognisku domowém dla głowy rodziny. Sławiona owa patryarchalna powaga, którą pater familias nakazywał dawniéj kobietom w haremie, dzieciom i służebnéj czeladzi, jest dziś tylko pozorną i na formalnościach opartą. Odrębne zaś życie obu płci utrzymuje stale wyodrębnianie zobopólnych interesów. W rodzinnym stosunku brakuje ożywczego ciepła harmonii.—Największą atoli klęską, wynikającą z rozdziału pożycia obu płci, jest brak towarzyskości, a z nią razem i przyzwoitości towarzyskiéj. Niesłusznem atoli, zapewnia Vambery, byłoby twierdzenie, że ukształceni isla-

mici nie wiedzą o téj smutnéj stronie swych obyczajów. Owszem, robiono już nawet niejednokrotne próby podniesienia kobiety przez wychowanie, i zmiany dotychczasowych na łonie rodziny tosunków; ale próby te, bez odpowiedniéj stanowczości dokonywane, oczywiście zostały dotąd bez skutków prawie. Brak ten stanowczości, wieczne wahanie się w wyborze nowych zasad, jest obecnie niestety, cechą powszechną postępowych muzułmanów. Nie mają oni prawdziwego zapału. Czy wszakże ujemna ta ich strona jest w ogóle skutkiem braku energii, któréj sama natura niby odmówiła dzieciom Wschodu — jest rzeczą bardzo wątpliwą. Kiedy bowiem chodziło o pojęcia zgodne z duchem ich narodowym—mieszkańcy Wschodu występowali zawsze, i do dziś dnia są w stanie wystąpić, z dostateczną ilością zapału, okazując chłód i obojętność dla wszystkiego, co z ducha im obce i mniéj dla nich dostępne!

(D. c. n.)

PRZEGLĄD
RUCHU SPOŁECZNEGO

przez

Erazma Piltza.

I.

Treść: Historya angielskich *Reviews.* — Atlas Stanów Zjednoczonych *Walkera.* „Der Boden und die landwirthschaftlichen verhältisse Preussens“ vom *Meitzen.*—Atlas statistique physique, politique et économique par *Levasseur.*—Terminologia ekonomiczna w obec najnowszego postępu socyologii. —Sprawa międzynarodowych traktatów handlowych w związku z teoryą wolności handlu.—O zadaniach statystyki handlowéj i finansowéj.

Jedném z najbardziéj charakterystycznych zjawisk ruchu umysłowego ostatnich lat kilkudziesięciu jest niesłychany rozwój dziennikarstwa, stającego się dla ukształconych warstw europejskich społeczeństw, żywiołem coraz niezbędniejszym do życia.

Wszystkie różnorodne przejawy politycznego i socyalnego życia, wszystkie idee i myśli poruszające umysły i serca milionów, znajdują w niém silny i skuteczny oddźwięk.

Nigdzie jednak może prassa peryodyczna nie dobiła się takiéj potęgi, nie stała się wierniejszym synonimem opinii publicznéj, nigdzie nie skupiła w sobie więcéj promieni umysłowego ruchu jak w Anglii. Dla tego też rozpoczynając pierwszy przegląd ruchu społecznego za granicą—pragniemy dać na początek kilka interesujących szczegółów o prasie angielskiéj, a właściwie o specyalnéj jéj gałęzi, t. j. literaturze przeglądowéj, ponieważ ten rodzaj prasy peryodycznéj jest najlepszym obrazem ruchu społeczno-naukowego Wielkiéj Brytanii.

Literatura peryodyczna angielska XIX wieku opiera się przeważnie nie na codziennych pismach, ale na t. z. *Reviews* (przeglądach), wychodzących jużto tygodniowo, lub dwutygodniowo, jużto miesięcznie lub kwartalnie. Ta rzucająca się w oczy przewaga peryodycznego piśmiennictwa nad codziennem, stanowi oryginalność angielskiéj publicystyki, którą *Michelet* zdefiniował w sposób może nie zupełnie ścisły, ale dowcipny: „*Les anglais ne font guère que des articles des revues.*" Najbardziéj charakterystyczną gałęzią literatury przeglądowéj angielskiéj są t. z. *kwartalniki,* t. j. przeglądy kwartalne (1). Do najbardziéj wpływowych pomiędzy niemi zaliczamy głównie trzy: *Edinburgh Review*, *Quarterly R.* i *Westminster R.* Pierwszy reprezentuje kierunek liberalny, drugi konserwatywny, trzeci radykalny (w angielskiém znaczeniu tego słowa). Literatura przeglądowa XVIII wieku zasadzała się głównie na sprawozdaniach o nowo pojawiających się książkach i zarówno duchem swym jak i formą odróżnia się zupełnie od literatury przeglądowéj angielskiéj XIX wieku. Zawiązek krytycznego kierunku widzimy już wprawdzie w drugiéj połowie XVIII wieku, ale prawdziwy przełom w téj gałęzi angielskiego piśmiennictwa stanowi dopiero rok 1802, w którym pojawił się *Edinburgh Review*, odznaczający się od pierwszéj chwili śmiałą niezależnością swoich poglądów. Jako motto nowego pisma położył. *Sydney Shmith*, jego założyciel, te słowa Publiusza Syrusa: „*Judex damnatur cum nocens absolvitur.*" (Sędzia uniewinniający winnego zasługuje na karę). Po ustąpieniu Sydneya Smith'a objął redakcyę *Francis Jeffrey* i prowadził je przez lat 26, t. j. do roku 1829. Oprócz tych dwóch publicystów zasilali pracami swojemi przegląd edynburski: *Walter-Scott*, *Brougham*, *Hume*, *Adam Smith*, *Robertson*, *Thomas Reid* i inni.

Główna przyczyna powodzenia edynburskiego przeglądu leżała w ówczesnych przewrotach społecznych i politycznych. Wielkie kwestye socyalne, nieustanne wojny i rewolucye, rozbudzające się samopoznanie ludów, przedstawiały same przez się bogaty materyał dla wydawców *Review.* Spokojne i artystycznie obrobione *essays* w rodzaju *Addissona* nie odpowiadały już duchowi czasu. Zrozumieli to dobrze wydawcy przeglądu. Stworzyli oni nowy rodzaj prasy, może częstokroć zbyt namiętny i przesadzony, ale posiadający magnetyczny wpływ przyciągania. Oryginalność poglądów, bujność stylu, zmysł krytyczny, ujawniający się przy traktowaniu wypad-

---

(1) Patrz: „Deutsche Rundschau. Dr. M. Jutrosiński. „Englische Reviews.

ków bieżącéj chwili, wszystkie te przymioty zakreślały coraz obszerniejszy zakres jego wpływu we wszystkich warstwach społecznych Albionu. Tym sposobem „Edinburgh Review“ stał się potęgą groźną dla swych politycznych przeciwników, mianowicie torysów, którzy obawiali się wpływu pojęć liberalnych, szerzonych z takim skutkiem przez przegląd edynburski.

Wkrótce też połączonemi usiłowaniami torysów, za sprawą Walter-Scotta (który podówczas poróżniwszy się z Jeffreyem, wycofał się z Edib. R.),—powstalo w roku 1809 nowe pismo: *Quarterly Review* w Londynie, pod redakcyą *Williama Gifford*, znanego ze swego satyrycznego talentu.

Gorąca walka polityczna, która toczyla się podówczas pomiędzy partyą torysów i whigów odzwierciadliła się dobitnie w tych dwóch przeglądach. W obu pismach znaleźli się ludzie pierwszorzędnego talentu, którzy nadawali im impuls i kierunek. To wysługiwanie się politycznym partyom, jakkolwiek stanowiło warunek żywotności samego pisma, miało jednak i swoją złą stronę,—stawiało bowiem tamę prawdziwéj i bezstronnéj krytyce, nietylko w kwestyach socyalnych i politycznych, ale, co (jak w tym razie) ważniejsza, w sprawach literatury i wiedzy. Słynnym był swojego czasu wyrok przeglądu edynburskiego na *Byrona* za jego poemat: „*Hours of Idleness*“ (1808), odmawiający mu wszelkiego talentu i nauki. Napróżno po śmierci autora „Giaura“ wołano na tychże samych kolumnach pisma: „Nie ma więcéj króla w Izraelu! Grecya, Włochy, świat cały straciły wielkiego geniusza poezyi!.....“ i t. d. Zle naprawić się już nie dało.

Obok tych dwóch głównych organów literatury przeglądowéj angielskiéj stoi *Westminster Review*, wychodzący od roku 1824 i uważany jako organ t. z.: „filozoficznych radykalistów,“ nie dążących bynajmniéj do wywrócenia istniejącego porządku socyalnego, ale raczéj do szerzenia w społeczeństwie prawdziwie liberalnych pojęć. Jako założyciela tego stronnictwa uważać można *Jeremiasza Bentham'a*, starającego się zasadę utylitaryzmu zastosować nietylko w etyce, ale zarazem w prawie i socyologii. Pierwszymi kierownikami westminsterskiego przeglądu byli: *John Browning* i *James Mill.* Pod ich kierunkiem zdobył sobie *J. S. Mill* (syn) pierwsze ostrogi.

Przegląd westminsterski przez cały czas swego istnienia walczył za wszystkie idee liberalne: za uregulowanie stosunku kościoła do państwa, zniesienie niezliczonych synekur, daléj przeciwko podatkom niestałym, za wprowadzenie powszechnego głosowania, rozwinięcie oświaty ludowéj i t. d. W zakresie teoryi politycz-

nych stoi *Westminster R.* na gruncie anti-monarchicznym. Od chwili połączenia się z drugiém czasopismem: *Foreign Quarterly R.* przegląd westminsterski włączył w program swój przegląd literatury zagranicznéj (1).

Oprócz tych kilku głównych czasopism kwartalnych, wychodzi jeszcze w Anglii około 80 kwartalników pod rozmaitemi tytułami (*Journal*, *Circular*, *Magazine*, *Repository*), są to jednak przeważnie pisma specyalnéj poświęcone wiedzy. Pism kwartalnych z programem literackim wychodzi ogółem od 10—12.

Pozostaje nam dorzucić słów kilka dla wyjaśnienia, na czém polega potęga i wpływ tych kwartalników, których historyę staraliśmy się szkicowo nakreślić. Wpływ ten polega przedewszystkiém na umiejętności pochwycenia i przedstawienia we właściwém świetle najważniejszych spraw bieżącéj chwili. Wszystkie kwestye socyalne, polityczne i religijne, poruszające społeczeństwo angielskie w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, odbiły się kolejno w téj gałęzi literatury, jak w zwierciedle. Emancypacya katolików i żydów, kwestya wolności handlu, zniesienie cła zbożowego, rozszerzenie prawa wyborczego, reformy fabryczne i t. d., dostarczały dziennikarstwu obfitéj strawy i sposobnośoi do wyczerpującéj i namiętnéj polemiki.

Drugim warunkiem powodzenia Reviews jest różnorodność materyału i treści, nagromadzonéj w każdym zeszycie. Obok poezyi i romansu, obok filozofii i historyi, spotykamy całe szeregi artykułów traktujących najrozmaitsze kwestye z dziedziny socyologii, ekonomii, nauk przyrodzonych i t. d.

Lecz najważniejszym talizmanem wpływu i znaczenia Reviews jest idea przewodnia i metoda, podług któréj opracowywane są pojedyncze artykuły. Konieczność traktowania interesów bieżącéj chwili wymaga, aby śledzić za każdém pojawieniem się nowéj myśli, lub nowego faktu, i myśl lub fakt taki uważać jako punkt wyjścia do mniéj lub więcéj obszernego, lecz zawsze możliwie wyczerpującego studyum. O ile ważną i skuteczną jest krytyka nowo pojawiających się publikacyj, skutkiem rozwiniętego w nich krytycznego zmysłu, ogromnéj wiedzy i pięknej formy, to przecież wartość większéj części artykułów Reviews leży przeważnie w sumie ogólnych idei i zasadniczych praw, które stara się krytyk

---

(1) Prawdziwym międzynarodowym przeglądem literatury zagranicznéj, w obszerniejszém znaczeniu tego słowa, jest: „*Fortnightly Review.*

spopularyzować. Przyjmując tytuł książki jako główny motyw, jako punkt wyjścia, stawia się recenzent w ogóle na stanowisku, dającém mu możność przestudyowania danego przedmiotu nawet po za obrębem zakreślonym przez samego autora. Stosując przedewszystkiem metodę historyczną, doszukuje się przyczyn danego zjawiska w jego dziejowym przebiegu, następnie analizując przewodnie idee autora, porównywa je ze współczesnym rozwojem wiedzy i kończy własnym indywidualnym poglądem. Zamiast krytyki albo referatu daje nam recenzent „*essay*,“ t. j. samodzielne studyum z jednego odlane metalu, pod jedną przewodnią powstałe myślą, wyłączając wszystko, coby było niepotrzebnym balastem, a gromadząc wszystko, cokolwiek może się przyczynić do wyjaśnienia rzeczy i zainteresowania czytelnika. Tym sposobem jest on w stanie swoje własne wiadomości i osobiste zdolności swobodnie zużytkować i z prostego krytycznego referatu utworzyć studyum mające trwałą naukową wartość, wartość często równą, a niekiedy większą od wartości krytykowanego dzieła.

Przytém nie można zamilczeć i o zewnętrznéj formie angielskich essays. Zamiast nudnego i suchego przedstawienia rzeczy, właściwego wielu krytykom kontynentu, starają się oni oblec myśli swoje w formę jak najbardziéj zrozumiałą, ale zarazem wykwintną.

Pod powłoką żartu i satyry, żywości i humoru, podają oni posilną strawę umysłowi czytelnika; — utrzymując go w ciągłém natężeniu, przez świetną obrazowość stylu, genialność paradoksów, niespodziewane zwroty, olśniewające antytezy i szczęśliwie dobrane anegdoty,

W obec tych wszystkich przymiotów, nic dziwnego, jeżeli każde pojawienie się nowego zeszytu przyjmowane jest z żywém, prawie gorączkowém oczekiwaniem. Przed dwoma laty, jeden z takich kwartalników *Contemporary Review*, z powodu zamieszczenia artykułu *Gladstona* o rytualizmie angielskim, doczekał się w krótkim czasie 12 wydań. Mówcy w parlamencie niemieckim powołują się na powagę angielskich przeglądów, a niedawno telegraf rozniósł na wszystbie strony świata treść wstępnego artykułu *Quarterly Review*, p. t.: „Mowy Piusa IX-go.“

* * *

Dzięki uprzejmości jednego z członków amerykańskiéj legacyi za granicą, mieliśmy sposobność oglądania jednéj z najwspanialszych publikacyi kartograficznych XIX wieku, mianowicie *Atlas*

statystyczny Północnéj Ameryki (Statistical Atlas of the united States based on the remets of the ninth census 1870) wydany niedawno z polecenia i kosztem północno-amerykańskiego kongresu, pod głównym kierunkiem *Franciszka A. Walkera*, profesora Ekonomii w New-Haven (1).

Atlas ten w formie wielkiego in folio zawiera oprócz tekstu 77 przepysznie wykonanych map i tablic, przedstawiających sposobem kartograficznym stosunki fizyczne i socyalne Stanów Zjednoczonych, tak jak się one przedstawiały podług rezultatów spisu ludności w r. 1870.

Całe opracowanie odznacza się niesłychaną matematyczną dokładnością, a zarazem i jasnością, co w tego rodzaju publikacyach rzadko bardzo daje się skojarzyć.

Na początku znajduje się obszerny tekst pióra rozmaitych autorów, głównie zaś samego Walkera, objaśniający znaczenie pojedynczych map i tablic.

Sam Atlas dzieli się na trzy części:

1) *Physical Features of the United States.*

2) *Population, Social and Industrial Statistics.*

3) *Vital Statistics.*

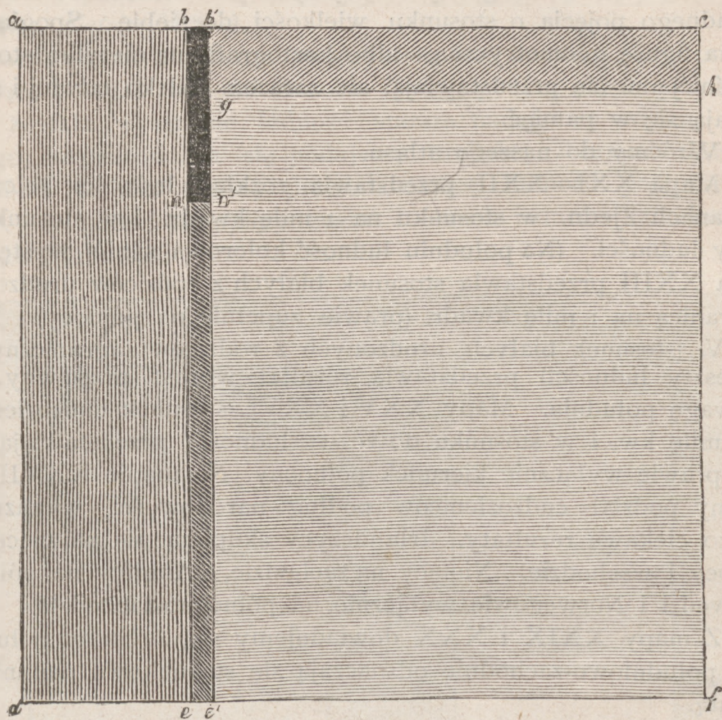
Pierwsza z tych częśei zajmuje się na 14 tablicach stosunkami fizycznemi Stanów Zjednoczonych, a więc: systemem rzecznym, temperaturą, rozkładem lasów, pokładów węgla i w ogóle stosunkami geologicznemi. Nad działem tym, chociaż bardzo interesującym zastanawiać się nie będziemy i przechodzimy wprost do działu II obejmującego stosunki socyalne: Pierwsza z map (XV) przedstawia historyczny rozrost terytoryum Stanów Zjednocznych. Z pomocą subtelnego stopniowania fioletowego koloru, oku widza przedstawia się z niezmierną plastyką cała historya polityczna Północnéj Ameryki od pierwotnych 13 stanów (1776), cessyi hiszpańskiéj (1819), francuskiéj (1803), meksykańskiéj (1848—1852), aż do anneksyi prowincyi *Texas* w r. 1848.

Mapy od Nr. XVI do XIX przedstawiają wzrost ludności w czasie od r. 1790 do 1820. Bardzo interesującą jest tablica XX przedstawiająca w figurach geometrycznych stosunek ludności

---

(1) O ile mi wiadomo, tylko bardzo mała ilość egzemplarzy tego Atlasu znajduje się w Europie. Przyp. aut.).

w każdym ze Stanów podług pochodzenia. Każdy ze stanów stanowi kwadrat podzielony na prostokąty, których stosunkowa wielkość określa właśnie stosunkowy podział ludności. Tak np. podział ten przedstawia się w stanie New-York w formie dołączonej tablicy (1).



Fgi. 1.

Na figurze tej pierwsza część kwadratu *abde* przedstawia tę część ludności stanu New-York, która została urodzona po za obrębem Stanów Zjednoczonych. Wązki pasek *bb'ce'* oznacza ludność murzyńską, która rozdziela się na urodzoną w Stanie New-York (*nn'ce'*) i po za jego obrębem (*bb'nn'*); prostokąt *b'ce'f* przedstawia ludność białą podzieloną w ten sam sposób, t. j. górna część (*b'cgh*) przedstawia ludność napływową, dolna (*ghe'f*) miejscową. Obok tego kwadratu, przedstawiającego ogół mieszkańców New-Yorku jest inny prostokąt oznaczający ludność należącą do Stanu New-Yorku, ale zamieszkującą w innych stanach. Górna część tego prostokątu przedstawia ludność czarną, dolna zaś białą.

(1) Za zasadę przyjęty jest u Walkera stosunek 35,090 ludności na 1 cal kw. ang.

Zamieściliśmy tę figurę głównie dla tego, aby dać czytelnikom naszym próbkę kartograficznego systemu, uznanego dzisiaj za nadzwyczaj dogodny do przedstawiania sposobem plastycznym rezultatów statystyki. Głównym przymiotem tego systemu jest jego jasność i zrozumiałość. Umysł ludzki z nieufnością spogląda na niezroznmiałe szeregi cyfr statystycznych — które mu nie dają dokładnego pojęcia o stosunku wielkości do siebie. Spoglądając zaś na figurę geometryczną,—albo kartograficzną nietylko stosunki te jaśniéj mu się przedstawiają, ale zarazem daleko łatwiéj i silniéj wrażają się w pamięć.

Wróćmy do naszego atlasu.

Mapa XXI—XXII przedstawia rozkład ludności kolorowéj w Stanach Zjedn. w stosunku na 1 milę kwadr. i w stosunku do reszty ludności. (Na południu ludność kolorowa silniéj występuje). Mapa XXIII przedstawia stosunek białych z rodziców urodzonych za granicą na 1 milę kwadr. (prawie zupełnie na północy). Mapa XXIV (stosunek białych urodzonych z rodziców zagranicznych— do reszty ludności) przedstawia rezultat wprost przeciwny, t. j. przewagę południa. Mapy XXV i XXVI (stosunek cudzoziemców na 1 milę kw. i w stosnnku do reszty ludności) przedstawiają zgodnie prawie wyłącznie kierunek północny. Na mapie XXVII znajdujemy podział cudzoziemców podług narodowości, wykazującéj bardzo ciekawe rezultaty. Irlandczycy skupiają się najwięcéj na północy i wschodzie,—Niemcy na zachodzie,—Anglicy na północy, a Szwedzi i Norwegowie wyłącznie na północno-zachodzie.

Z mapy XXIX i XXX dowiadujemy się, że Stany południowe i południowo-zachodnie odznaczają się stosunkowo najmniejszą oświatą.

Najoryginalniejszą (jak dla nas Europejczyków) z całego atlasu tablicą jest podział stanów podług ilości *miejsc w kościołach*. Każdy ze stanów stanowi prostokąt podzielony na dwie części, z których jedna przedstawia ilość miejsc w kościołach, — a druga część ludności, dla któréj nie ma miejsca w kościołach. Obok tego pierwsza część prostokątu podzielona jest na poddziały oznaczające różność wyznania religijnego. Zadaniem téj tablicy, pomyślanéj prawdziwie po yankesowsku, jest wykazać, które stany są najpobożniejsze, oraz jak się przedstawia podział ludności podług religii. Co do pierwszego, najciekawszém zjawiskiem jest stan *South West* (jedyny Stan, w którym zamieszkują *Mormoni*), odznaczający się tém, że cyfra ludności miejscowéj odpowiada zupełnie ilości miejsc w kościołach, t. j., że każdy z pobożnych mieszkańców tego stanu ma swój kącik w kościele, gdzie może swobodnie wzdychać

do królestwa niebieskiego. Charakterystycznem jest, że w stanie tym zamieszkują prawie wyłącznie katolicy i mormoni w równej liczbie.

Co do podzialu ludności podług wyznań, wypada zanotować, że stosunek procentowy przedstawia się w sposób następujący: Najliczniej reprezentowani są *Metodyści*, poczem idą *Baptyści*, *Presbyteryanie*, *Katolicy* i t. d.

Bardzo ważnym dla nas materyałem jest mapa XXXII przedstawiająca podział ludności Stanów Zjedn., podług zajęć, przyczem wziętą zostala wyłącznie ludność starsza nad lat 10 wieku. Dla lepszego zoryentowania się podajemy tu jedną z zamieszczonych tam tablic, to jest tablicę przedstawiającą ludność połączonych stanów. Za podstawę wzięty został stosunek jednego cala kwadr. do 350,000 ludności.

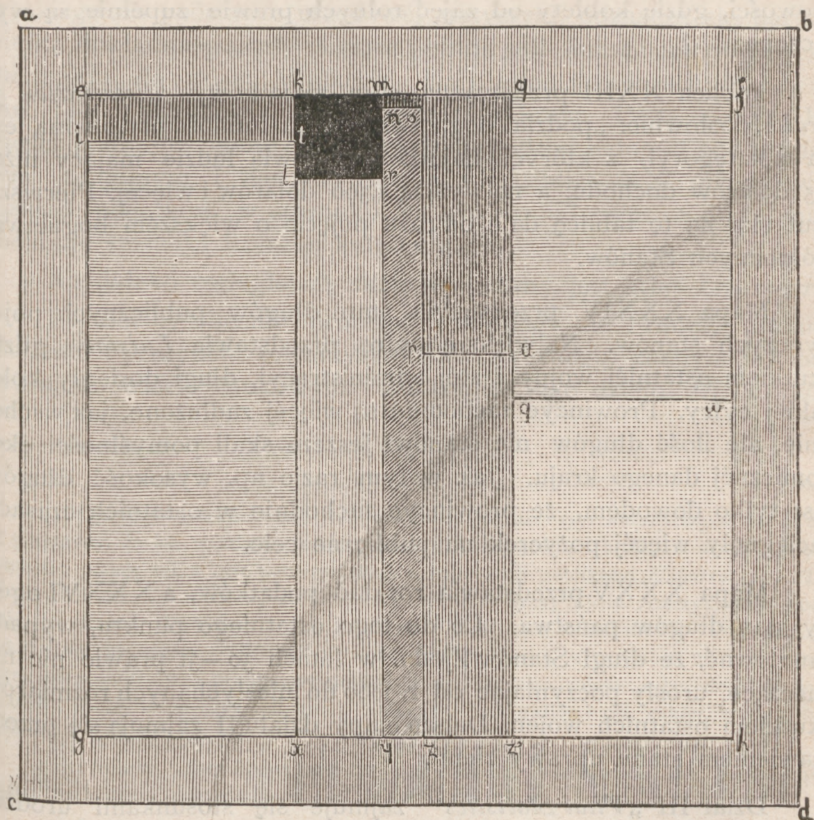


Fig. 1.

Na figurze tej rama obwodowa przedstawia całą ludność Stanów Zjedn. niżej lat 10 wieku. Kwadrat środkowy *efgh* oznacza ludność

starszą nad lat 10. Kwadrat ten dzieli się na 5 prostokątów. 1-szy z nich (*ekgx*) przedstawia ludność oddającą się rolnictwu, 2-gi (*kmxy*) udność pracującą w kopalniach i fabrykach, 3-ci (*moyz*) ludność oddającą się handlowi i komunikacyi, 4-ty (*ogzz'*) zajęciom wolnym (professions libres). We wszystkich tych 4 prostokątach, górne części ciemniejszą oznaczone farbą, przedstawiają ludność żeńską. 5-ty prostokąt (*gfz'h*) przedstawia uczących się w szkołach—górna część oznacza dziewczęta, dolna chłopców.

Uderzającym jest w powyższéj tablicy zbyt mały procent kobiet pracujących na roli. Przy rozpatrywaniu pojedynczych stanów stosunek ten zmienia się do pewnego stopnia na południu, gdzie ludność czarna przeważa, i gdzie kobiety większy stosunkowo stanowią procent. Przeciwnie na północy zdarzają się miejscowości, gdzie kobiety od zajęć rolnych prawie zupełnie są wyłączone.

Tablica XXIII przedstawia stan majątkowy *(distribution of wealth*, dosłownie: „podział bogactwa). Cała ludność podzieloną jest na 6 kategoryi, z których najniższą stanowią ludzie mający niżéj 175 dolarów dochodu, a najwyższą 1,300 dolarów i więcéj. Pierwszy rzut oka na tę tablicę daje od razu pojęcie o większém bogactwie Północnych Stanów.

Mapa XXXIV przedstawia stan długów publicznych pojedynczych stanów. Największą cyfrę przedstawia *Luisiana*, gdzie skutkiem ostatniéj wojny i złéj administracyi, długi dosięgły kolosalnéj cyfry. Prowincye zachodnie są więcéj zadłużone, jak wschodnie, ale ilość długów nie stanowi jeszcze skali pomyślności ekonomicznéj danego kraju. Jak w tym razie np. wysokość długów jest tylko dowodem, że prowincye zachodnie w ostatnich czasach zaciągnęły więcéj pożyczek na publiczne cele.

Mapa XXXV przedstawia rozkład podatków, a XXXVI ogólny stan długów państwa. Co do tego ostatniego punktu, wypada zanotować, że długi Stanów Zjedn. w latach 30—31 prawie nic nie znaczące, urosły poczyniając od r. 1860 do niesłychanych rozmiarów skutkiem ostatnich wojen. Dalsze mapy działu II zajmują się przedstawieniem stanu uprawy ziemi.

Dział III „*Vital Statistics*“ zajmuje się stosunkami urodzonych i zmarłych do ludności, oraz podaje szczegółową statystykę chorób grasujących w Północnéj Ameryce.

Na tém kończymy to pobieżne sprawozdanie o téj znakomitéj publikacyi, która stanowić będzie jeden z najpiękniejszych pomników stuletniéj rocznicy ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych, i która jak sądzimy, przyczyni się niemało do lepszego poznania stosunków amerykańskich, traktowanych dotąd przez europejskich publicystów a *vol d'oiseau.*

Obyśmy kiedyś doczekali się takiego narodowego pomnika!... (1)

* * *

Obok atlasu *Walker'a,* istnieją (o ile mi wiadomo) dwa w podobnym rodzaju atlasy: *Meitzena* (2) odnoszący się do Pruss i *Levasseura* (3) do Francyi.

Pierwszy z nich wydany przed kilku laty z polecenia rządu pruskiego na podstawie urzędowéj statystyki, odznacza się bardzo wielką dokładnością, nie dorasta jednak ani formą, ani objętością, ani treścią, do atlasu Walker'a. Caly atlas składa się tylko z 20 kart. I-sza obejmuje podział polityczny kraju, IV-ta podział ludności podług okręgów *(Kreisen),* V-ta podział ludności pod względem religijnym i narodowościowym. Tablica XX przedstawia rozkład podatków w stosunku na głowę ludności. Reszta map obejmuje stosunki fizyczne kultury ziemi.

Na daleko rozleglejszą skalę wykonany jest atlas *Levasseura.*

Levasseur, obecnie profesor w Collège de France, członek akademii i prezydent towarzystwa statystycznego, znanym jest oddawna w świecie naukowym. Znakomite jego dzieło: *Histoire des*

---

(1) Opisując atlas Walker'a nie podawałem nigdzie *cyfr statystycznych,* a to dla téj przyczyny, że ich w atlasie prawie niema. Ażeby jednak brak ten choć w części uzupełnić, podaję kilka cyfr poczerpniętych z najnowszéj publikacyi *Hübnera* (Stat. Tafel aller Länder der Erde. 25 Aufl. Frankft. 1876).— Stany Zjedn. Ameryki póln. obejmują 38 stanów i 10 terrytoryów. Ludność 38,950,000 mieszkańców. Powierzchnia 169,589 mil kw. geogr. Wartość wywozu wynosi 2,050, a przywozu 2661 milionów marek niem.— Główne przedmioty produkcyi są: Bawełna, mięso, ryby, złoto (60 mil. dolarów), zboże, tytoń (253 mil. fun.), Nafta (150 mil. gallon.) ryż, cukier, wyroby bawełniane i t. d. (*Przyp, aut.*).

(2) *Meitzen,* „Der Boden und die landwirthsch. Verhältnisse des preussischen Staates nach dem Gebietsumfange vor 1866.“ Berlin 1871.

(3) *Levasseur.* „Atlas statistique, phisique, politique et économique de la France.“ Paris, 1876.

classes ouvrières," cieszy się wielką powagą nie tylko w saméj Francyi, ale i po za jéj granicami. Niedawno opuściło prasę jego nowe dzieło: „*La France avec ses colonies,*" uważane jako wzór geograficznego przewodnika w najnowszém, naukowém pojęciu tego słowa. Wszystkie prace Levasseura wskazują, że jest to umysł trzeźwy, prawdziwie naukowy, pełen głębokiéj i wszechstronnéj wiedzy. Można więc było spodziewać się, że i ta nowa publikacya niepośledniéj będzie wartości. Rzeczywistość przeszła oczekiwanie ogólne. Atlas Levasseura chociaż wspaniałością i ogromem ustępuje o wiele atlasowi *Walkera*, niemniéj stanowi w góle dzieło znakomitéj doniosłości.

Cały atlas zawiera 123 kart. (1) Zaprowadziłoby nas zadaleko zastanawiać się nad każdą po kolei, ograniczymy się więc na wymienieniu tych tylko, które dla nas bliższy przedstawiają interes. Do takich należą: I. Podział Francyi pod względem politycznym, militarnym, sądowym i kościelnym przed rewolucyą 1789 roku. Część II, III i IV zajmują się geologią, oro—i hydrografią oraz meteorologią.

Część XIII poświęcona jest wyłącznie stosunkom ludności. Karta N. I przedstawia gęstość zaludnienia podług okręgów *(arrondissement);* karty zaś N. 2, 3 i 4 podług departamentów, z uwzględnieniem 3 epok: 1789, 1866 i 1872. Z karty téj dowiadujemy się, że więcéj jak $^1/_{10}$ część ludności Francyi koncentruje się w wielkich miastach (wyżéj 50,000 mieszk.), których liczba obecnie wynosi 23. Stosunek ludności miastowéj do wiejskiéj waha się między 61,5 (Dep. Sekwany) i 0,08 (Górna Sabaudya): 1. Jedna z dalszych kart przedstawia *ruch ludności*, z którego okazuje się, że w ogóle biorąc przypada przecięciowo we Francyi na 1,000 mieszkańców: 8 małżeństw, 26 urodzeń, 23 śmierci.

Bardzo szczegółowo opracowaną jest mapa dotycząca *oświaty publicznéj.* Cała mapa podzieloną jest na 16 okręgów akademickich (t. j. posiadających akademie): Paris, Douai, Nançy, Besançon, Dijon, Chambéry, Lyon, Clermont. Grenoble, Aix, Montpellier, Toulouse. Bordeaux, Poitiers, Rennes, Caen. W każdym z tych okręgów oznaczone są szczegółowo wszystkie wyższe i niższe zakłady naukowe. Następna karta przedstawia procent ludności *nieumiejących czytać.* Za podstawę wziętą została ludność starsza nad lat 5. Najniekorzystniejszy stosunek wykazuje departament Haute-Vienne i Corrèse (60%) ogólnéj ludności), daléj de-

(1) Patrz, Wiener Statistische Monatschrift. 1876. II. Jahrgang. V. Heft.

partamenty: Dordogne, Lot, Garonne, Guyenne, Gascogne, Vendée i t. d., wykazują 50% nieumiejących czytać. Najkorzystniejszy stosunek przedstawia departament des Doubs (Franche-Comté)—7%. W Lotaryngii francuskiéj i Burgundyi procent ten nie przenosi 10%, co dowodzi wpływów sąsiednich stosunków Niemiec i Szwajcaryi.

Ciekawe szczegóły podaje mapa porównywająca ukształcenie rekrutów z roku 1831 i 1872. Cyfra nieumiejących czytać spadła w ciągu tego czasu na 8%, a stosunek maximum do minimum wykazujący w roku 1831 — 82 : 20%, w roku 1872 przedstawiał się tylko jako 50 : 5%. (1)

Znakomitą wartość dla ekonomisty i socyologa przedstawia część VI atlasu, zajmująca się *stosunkami ekonomicznemi* Francyi, a opracowana więcéj szczegółowo nawet, aniżeli w amerykańskim atlasie Walker'a.

Z dwóch map poświęconych rolnictwu, pierwsza przedstawia stan produkcyi zboża i w ogóle produkcyj rolnych, kierunek handlu zbożowego, konsumcyę zboża, stopień wykształcenia rolniczego, oraz rozpowszechnienie machin rolniczych, obok tego wykazuje wartoś dochodu z uprawy ziemi podlug rezultatów z roku 1862, daléj podział powierzchni ziemi podług rodzaju kultury, ilość właścicieli ziemskich, handel międzynarodowy i t. d.

Druga mapa zajmuje się uprawą i konsumcyą wina, piwa i t. d. oraz rozkładem lasów. Następne karty wykazują stan hodowli zwierząt domowych oraz ich konsumcyę.

Podział powierzchni ziemi i dochodu, przedstawia się podlug Levasseura jak następuje:

---

(1) Porównywając te cyfry z cyframi rekrutów w Niemczech, możnaby sądzić, że Francya w oświacie publicznéj nie wiele ustępuje Niemcom, nieumiejących bowiem czytać rekrutów w Prusach 14%, w Saksonii 6%, w Bawaryi 7%. Rezultaty te jednak nie harmonizują ze stanem ogólnéj oświaty publicznéj. I tak np. kiedy w Niemczech na 10,000 mieszkańców przypada uczących się 1,500, to we Francyi tylko 900. Te ostatnie cyfry zdają się nam być więcéj znaczące, aniżeli cyfry rekrutów podane przez Levasseura. Sprawiedliwość wyznać nakazuje, że w ostatnich czasach zaczęto szczerze myśleć we Francyi o podniesieniu oświaty ludowéj. Na wniosek ministra oświecenia *Waddingtona* izba deputowanych zawotowała w Czerwcu miesiącu summę 600,000 fr. na zapomogę tym gminom, które uchwalą u siebie wprowadzenie obowiązkowego nauczania. Otwarte przed dwoma tygodniami rady departamentalne (Conseils générals) przemyśliwają nad powiększeniem liczby szkół, bez czego o wprowadzeniu przymusowéj oświaty marzyć nie można Charakterystyczném jest, że jednocześnie postawiony w parlamencie angielskim wniosek o wprowadzenie przymusowéj oświaty upadł dość znaczną większością głosów. (*Przyp. autora.*)

	Powierzchnia Milionów *Hektarów*	Dochód *Franków*
1. Uprawa zboża	15—16	6,000
2. Ugor	5	
3. Łąki, rośliny pastewne i t. d.	5 — 6	2,500
4. Pastwiska	12	
5. Uprawa wina	2,5	1,500
6. Lasy i sady	11	2,000
7. Ziemia nieprodukcyjna	1,5	—
8. Hodowla zwierząt		6,000
Razem	53,0	18,000

24 kart poświęconych jest przemysłowi. Tu należy zaznaczyć mapę, przedstawiającą produkcyę ciał kopalnych, daléj rozwój przemysłu fabrycznego, obliczenie siły parowéj maszyn i t. d.

Podług spisu ludności z roku 1872 największy procent *ludności przemysłowéj* przypada na departament Sekwany (1 milion), następnie idzie Flandre, Artois, Picardie i t. d.— Na każdy departament przypada przecięciowo 10,000 ludności przemysłowéj.

Statystyka handlu przedstawioną jest na 12 mapach, wykazujących: rozwój dróg komunikacyi, telegrafu, ruch transportowy, statystykę pocztową i podatkową.

Ogólny handel zewnętrzny Francyi, który wynosił na początku panowania Ludwika Filipa 1 miliard franków, wzrósł za czasów drugiego cesarstwa do 4, a obecnie wynosi już 9 miliardów. Wartość wywozu i przywozu podług krajów podaje Levasseur w sposób następujący:

	Wartość *przywozu*, do Francyi (w milionach franków)	 *wywozu* z
Wielka Brytania	800	1,200
Belgia	500	500
Niemcy	445	445
Szwajcarya	380	375
Włochy	450	350
Rossya	152	48
Indie ang.	115	10
Chiny	122	27

Ameryka półn. . .	200	400	
Egipt	55	55	
Brazylia	65	95	
Uruguay	50	55	i t. d.

Dział XII atlasu przedstawia na 12 kartach statystykę *sądowową, finansową* i *wojenną*. Ramy „sprawozdania“ nie pozwalają nam zastanawiać się dłużéj nad tą znakomitą publikacyą, polecamy ją więc tylko uwadze wszystkich miłośników wiedzy.

* * *

Niewtajemniczonemu w historyę rozwoju ekonomii w Niemczech, dziwną się wydawać może ta obfitość i różnorodność terminów, jakiemi oznaczają współcześni niemieccy pisarze naukę ekonomii jak np. *Politische Oekonomie*, *Nationaloekonomie*, i t. d. Przy uważniejszém jednak porównywaniu owych nazwisk z teoryami samychże terminologów, można dopatrzyć się głębszych przyczyn i analogii, aniżeliby się to na pierwszy rzut oka zdawało.

Najpowszechniejszym terminem jest wyraz *Ekonomia* (pochodzenia greckiego, dosłownie: gospodarstwo). Wyraz ten jednak dopiero w ostatnich czasach przybrał to znaczenie, jakie mu obecnie przypisujemy. Pierwotnie stosował się on do gospodarstwa domowego lub rolniczego. Jeszcze w XVIII wieku oznaczał on głównie jeden z kierunków ekonomicznych to jest fizyokratyczny. Współcześni ekonomiści niemieccy używają wyrazu „oekonomie“ tylko w połączeniu z odpowiedniemi przymiotnikami. Tak więc nazywają: *Politische oekonomie*, *Socialoekonomie*, albo *Nationaloekonomie*, stosownie do stanowiska z jakiego się autor na zadanie i kierunek ekonomii zapatruje.

Wyrażenie: *Politische oek.* jest najstarszém i wzięte zostało żywcem z terminologii angielskiéj i francuskiéj (political economie, économie politique). Termin *Nationaloek.* wprowadzony został przez założycieli szkoły ekonomicznéj narodowéj niemieckiéj, uważając jako punkt ciężkości ekonomicznego rozwoju nie *ludzkość*, ale *społeczeństwo* resp. *państwo*. Wyrazu *Socialoekonomie* używają przeważnie ci ekonomiści, którzy za zadanie ekonomii uważają przedewszystkiem dążenie do rozwiązania kwestyi socyalnych. Oprócz tego w ostatnich czasach zaczęto używać wyrazu „ekonomika“ (oekonomik), jako terminu oznaczającego „naukę ekonomii.“ *Roscher* używa tego wyrazu łącznie z przymiotnikiem „national,“ pisze zatém: „*Nationaloekonomik*.“

Obok tych kilku nazwisk na oznaczenie *ekonomii* mamy jeszcze w Niemczech dwa czysto-niemieckie to jest. *Staatswirthschaft* i *Volkswirtschaft* resp. *Staatswirthschaftslehre* i *Volkswirtschaftslehre* to jest nauka gospodarstwa państwowego i nauka gospodarstwa społecznego. Naukę *praktycznéj* ekonomii, w przeciwstawieniu do *teorytycznéj*, oznaczają Niemcy za pomocą wyrazów: *Volks albo Staatswirths Politik, Nationaloekonomische Politik*, a w specyalnych jéj częściach: *Agrar - Gewerbe - Handelspolitik* (polityka rolnictwa, przemysłu, handlu).

Cała ta massa terminów na oznaczenie *ekonomii*, maluje wybornie różnorodność kierunków, uwydatniających się w historyi rozwoju ekonomii nie tylko w Niemczech, ale i w całéj Enropie, niemniéj jednak nie odpowiada już ani poziomowi współczesnéj wiedzy, ani téż praktycznym potrzebom chwili. Z postępem ekonomii i w ogóle socyologii, zmieniały się również i pojęcia o zadaniach ekonomii, jak niemniéj o *subjekcie* ekonomicznym, jeżeli mi tak wyrazić się wolno. System *merkantylny* kładł główny nacisk na *państwo*, upatrując w jego rozwoju i wzmocnieniu najgłówniejsze zadanie ekonomii. Teorya atomistyczna *A. Smith'a*, w duchu współczesnego Smiles'owskiego *self-help'u*, uważała wyłącznie *jednostkę*, za taki subjekt ekonomiczny, koło którego wirują wszystkie interesa społeczne i ekonomiczne. Dopiero najnowszym teoryom ekonomicznym, a zwłaszcza niemieckim, przypada w udziale zasługa wykazania, że społeczeństwo jako takie, a zatém w przeciwstawieniu do państwa, jest jednym z najważniejszych subjektów vel organów ekonomicznego rozwoju. Przytém jednak niezaniedbano dążyć, do o ile można racyonalnego określenia wzajemnego stosunku jednostki, społeczeństwa i państwa do siebie. W tym kierunku odznaczyli się najwięcéj: *Schaeffle*, *Wagner*, *Lorenz*, *Stein*, *Schmoller*, *Hildebrandt* i t. d.

Najnowsze zdobycze wiedzy przyrodniczéj, wykazujące organiczną łączność zjawisk przyrody w czasie i w przestrzeni, musiały oddziałać i na rozwój socyologii,—a w dalszym rzędzie i ekonomii. Przeprowadzenie wyniklej ztąd analogii stanowi niepożytą zasługę dwóch współczesnych myślicieli: *Herberta Spencera* w Anglii i *Schaeffle'go* w Niemczech. Znakomici ci uczeni, stojąc wspólnie na przeciwnym biegunie w obec zasadniczéj teoryi *Adama Smith'a* usilują wykazać, że społeczeństwo nie jest luźnym aglomeratem jednostek, ale organizmem społecznym, w którym jednostki grają taką samą rolę, jak komórki w organizmie zwierzęcym, z których każda żyje i rozwija się, ale tylko *w* organizmie i *dla* organizmu.

Rozwój społecznego organizmu podpada analogicznym prawom rozwoju, jak organizm zwierzęcy, a zadaniem ekonomii jest właśnie badanie *ekonomicznéj* wymiany materyi, tak jak zadaniem nauk przyrodniczych jest badanie *fizycznéj*, *chemicznéj* i *organicznéj* przemiany materyi. W tym organizmie społecznym każdy z głównych organów ma przynależne sobie miejsce państwo, społeczeństwo, gmina, stowarzyszenia, rodzina i jednostka, wszystkie pracują nad jego rozwojem. Jednym z celów ekonomii jest właśnie wytworzenie harmonii i zakreślenie granic pomiędzy temi głównemi subjektami ekonomicznéj pracy. Prace *Schaefflego* i *Spencera* stanowią bez zaprzeczenia ostatni wyraz ekonomicznego postępu. Można uważać wytworzoną przez nich analogię fenomenów przyrody ze zjawiskami ruchu ekonomicznego za nieco przesadzoną, niemniéj jednak przyznać należy, że dali oni implus nowemu kierunkowi w nauce ekonomii, że wprowadzili ją na nowe tory, po których pewniéj niż dotąd kroczyć może ku ideałom dobra i prawdy.

W obec jednak tych faktów, cała dotychczasowa terminologia ekonomiczna w Niemczech upaść musi. Wyrazy: Staatswirthschaft, volkswirtschaft, tak samo, jak Nationaloekonomie, Polit. Oek. i t. d. wskazują na jeden tylko z organów (faktorów, ekonomicznych, podczas kiedy mówiąc o Ekonomii, jako takiéj, można tylko mówić o harmonijnéj kombinacyi wszystkich organów (rząd, społeczeństwo, rodzina, jednostka). Wszystkie więc dotąd używane przymiotniki, jakoto: nationale, politische, sociale i t. d. obok wyrazu „ekonomia" nie mają racyi istnienia, chyba jako oznaczenie *poddziałów* Ekonomii.

Wyraz „*Ekonomia*" dojrzał już zupełnie w pojęciu ogółu. Daje on nam najzupełniejsze i najwłaściwsze pojęcie o téj nauce, którąśmy dotąd pod tylu różnorodnémi nazwiskami domyślać się musieli, i dla tego zdaje mi się, że przyjęcie tego wyrazu, jako głównego naukowego terminu byłoby nietylko w ogóle, ale także i u nas ze wszech miar racyonalném. Wyrażenie „nauka gospodarstwa społecznego" może być uważane jako określenie terminu „Ekonomia," nie zaś jako sam termin. Zresztą Ekonomia nie może stanowić wyjątku w nazwiskach nauk, które we wszystkich językach mają jedno i to samo nazwanie i dla tego „Chowanna" Trentowskiego pozostanie na zawsze poronionym pomysłem.

Niemcy w ostatnich czasach zaczęli odróżniać wyraz *Oekonomie* od *Oekonomik* uważając pierwszy za synonim wyrazów: „Gospodarstwo społeczne," „volkswirthschaft,"— a drugi za naukę gospodarstwa społecznego, lub „volkswirthschaftslehre." Piszemy się

najzupełniej na to rozróżnianie i usilnie proponujemy upowszechnienie wyrazu „*Ekonowika*“ na oznaczenie „nauki ekonomii“ z poddziałami: *Ekonomika rolnictwa, przemysłu, handlu*, albo też *Ekonomika rolnicza, handlowa, przemysłowa* i t. d.

* * *

Na porządku dziennym stoi obecnie sprawa *odnowienia traktatów handlowych międzynarodowych*. Kwestya zarysowuje się tém ostrzéj w tych krajach, gdzie pewne partye zainteresowane bezpośrednio w upadku produkcyi handlowéj, upatrują przyczynę złego w zasadach, na których oparte są międzynarodowe traktaty handlowe. Tak się rzecz ma np. w Niemczech. To téż sprawą odnowienia traktatów handlowych interesują się tam równie gorąco, jak i w Anglii.

We *Francyi* większa część traktatów handlowych upływa w roku bież. Jeszcze, jeżeli się nie mylimy w roku zeszłym, rząd francuski zawezwał izby handlowe do wyrażenia swéj opinii w sprawie odnowienia traktatów. Obecnie leży przed nami raport Ministra handlu do Prezydenta Rzeczypospolitéj, resumujący opinie wydane przez francuskie izby handlowe. Większa ich część (46) oświadczyła się za utrzymaniem *status quo*, to jest za odnowieniem ekspirujących traktatów, czyli innémi słowy za utrzymaniem taryf *konwencyjnych*, (Paryż, Havre, Marsylia, Bordeaux i t. d.) Za wprowadzeniem jednéj, wyłącznéj taryfy generalnéj (1) oświadczyło się tylko 14 izb handlowych, między niemi Rouen, Arras i Amiens.

Zwolennicy taryfy *generalnéj* przytaczają na poparcie swoich żądań, że konwencye międzynarodowe uniemożebniają przez pewien przeciąg lat, zmodyfikowanie skali taryfowéj w miarę zmieniających się stosunków i potrzeb handlu. Ten system „nienaruszalności“ szczególniéj niewygodnym jest przy zmianie konjunktur handlowych, a bardziéj jeszcze politycznych. Tego wszystkiego uniknąć można przy zastosowaniu jednéj taryfy generalnéj, autonomicznéj, niezależnéj od międzynarodowych traktatów.

Propagatorowie taryf *konwencyjnych* oświadczają natomiast, że ustanowienie zasad taryfowych na zasadzie międzynarodowych układów, jest najlepszą gwarancyą przeciwko fluktuacyi systematów rzą-

---

(1) Winniśmy tu objaśnić, że pod taryfą *generalną* (tarif général) rozumiają francuzi taryfę celną główną, niezależną od traktatów handlowych, pod taryfą zaś *konwencyjną* (tarif conventionel) taryfę opartą na międzynarodowych traktatach.

(*Przyp. aut.*)

du, intrygom parlamentarnym i politycznym i tém samem zapewnia mu dwa niezbędne warunki: stałość i pewność.

Bądź co bądź, nie możemy przyznać słuszności wywodom niektórych ekonomistów francuskich, a w szczególności p. *Maurycego Block*, który w korespondencyi do jednego z niemieckich czasopism (1) dowodzi, że Francya całą pomyślność swego handlu międzynarodowego, zawdzięcza wyłącznie istniejącym traktatom, i z tego względu oświadcza się gorąco za ich utrzymaniem. Pan *Block* przytacza, jakoby na poparcie swego zdania, cyfry z historyi handlu francuzkiego. Handel z Anglią wzrósł w perodzie 1859 — 1874 z 869 na 1588 mil. fr., z Belgią z 328 na 932, z Niemcami z 254 na 729 mil. fr. Wszystko to bardzo pięknie, ale trzeba być wielkim pesymistą, ażeby te tak świetne rezultaty, przypisywać wyłącznie ustrojowi międzynarodowych stosunków handlowych. Jakto? więc tu nic nie zaważy na szali, ani rozwój dróg i komunikacyi, ani postęp w przemyśle fabrycznym, ani też najważniejsze w takich razach przyczyny etyczno-psychicznéj natury, w których najwięcéj kryje się talizman przemysłowych laurów Francyi?.. Jeżeli mniéj lub więcéj liberalny układ handlowy pomiędzy dwoma narodami, może być jedyną dźwignią ekonomicznéj pomyślności, to dla czegoż traktat handlowy niemiecko-francuski, nie wywarł tychże samych rezultatów w Niemczech, jak we Francyi?..

Nie! Nie ulega zaprzeczeniu, że rozumne urządzenie międzynarodowych stosunków przyczynia się niemało do ich ożywienia, ale uważać je jako *medium* na wszystkie ekonomiczne choroby — niesposób. .

O ile nam się zdaje, przyczyny podane przez izby handlowe *pro* i *contra* taryf konwencyjnych są parawanem, po za którym kryją się daleko ważniejsze powody, a mianowicie zasady *wolności handlu*.

Jeżeli zasady wolnego handlu coraz więcéj wchodzą na drogę praktycznego urzeczywistnienia, przypisać to należy przeważnie traktatom o jakich mowa. Przy zawieraniu bowiem takich traktatów, uwidoczniała się najlepiéj potrzeba wzajemnych ustępstw, mianowicie obustronnego obniżania taryfy dla niektórych ważniejszych przedmiotów, a nawet zupełnego uwalniania ich od opłaty celnéj. Tym sposobem, chociaż powoli, ale zawsze stanowczo i konsekwentnie kroczono do zasady wolności handlu.

---

(1) Patrz „*Vierteljahrschrift für Volkswirthschaft Politic u Culturgeschichte*" herausgegeben von *Julius Faucher*. Berlin 1876, str. 114.

Obecnie stosunki zmieniły się jeszcze więcéj na korzyść téj ostatniéj zasady. Rząd niemiecki, którego przedstawiciel na jednéj z ostatnich sessyi parlamentu, przy oklaskach całego audytoryum z dumą wygłosił „że wielki naród niemiecki potrafi utrzymać sztandar wolności handlu,“ nie poda zapewne ucha reakcyjnym zachciankom partyi feodalnéj, i przy odnowieniu traktatów handlowych, postara się jeszcze bardziéj uwzględnić liberalne wymogi ducha czasu. Toż samo w Anglii i Austryi. Francuscy zwolennicy więc taryfy generalnéj wiedzą bardzo dobrze czem to pachnie, i dla tego tak gorąco obstają przy swojém.

Najlepszym na to dowodem jest fakt, że 14 izb handlowych, które głosowały przeciwko taryfom konwencyjnym, znajdują się w okręgach, w których prawie wyłącznie rozwinięty jest przemysł bawełniany, potrzebujący najwięcéj protekcyi celnéj.

Wracając się do raportu p. Ministra Handlu, wypada zanotować, że większość izb handlowych wyraziła w konkluzyi następujące życzenia:

1. Wszystkie traktaty handlowe powinny upływać w jednym roku i rozciągać się najwyżéj na peryod dziesięcioletni.

2. Taryfa generalna, obowiązująca w stosunkach z państwami, z któremi traktaty handlowe nie istnieją, powinna być poddaną rewizyi.

3. Należy usunąć zasadę faworyzowania pojedynczych państw.

Obok tego zachodziła kwestya, czy przy taryfowaniu towarów utrzymać zasadę *wartości*, czy téż wprowadzić zasadę *gatunku* i *wagi*, jak to się dzieje w Niemczech.

37 izb oświadczyło się za niemieckim systematem, 12 za dotychczasowym! Wątpimy jednak bardzo, aby rząd francuski przeprowadził tę zmianę raz dla tego, że połączoną jest ona z wielkiemi trudnościami technicznémi, a powtóre ponieważ w samych Niemczech, gdzie taryfa od wagi istnieje, toczy się dotąd walka pomiędzy zwolennikami obu systematów *(werthzoll oder Gewichtszollsystem?)* bez stanowczego rezultatu (1).

Nie jesteśmy bynajmniéj zwolennikami bezwarunkowéj wolności handlu, jako uniwersalnego kataplazmu, za przyłożeniem którego ma się natychmiast ożywić handel, podnieść przemysł i rozwinąć ogólna pomyślność narodowa.

---

(1) W sprawozdaniu za rok ubiegły, przedstawioném przez ministra finansów *Bristowa* kongresowi Stanów Zjednoczonych, wykazaną jest również konieczność zastąpienia taryfy wartościowéj (*ad valorem duties*)—taryfą od wagi i gatunku (*specyfic duties*). (Przyp. aut.)

Bywają sytuacye, gdzie bezwzględna wolność handlu, może odrazu zniweczyć wszystkie siły, wysuszyć wszystkie źródła ekonomicznego bogactwa danego kraju, zalewając rynki jego zagraniczną produkcyą, któréj przemysł krajowy sprostać nie może.

Mimo to jednak zasadę wolności handlu uważamy jako cel, do którego dążyć muszą wszystkie ludy, w miarę sił i środków swoich, a na czele pochodu tego stać powinny narody bogato uposażone od natury, narody z rozwiniętym handlem i przemysłem, a więc nie lękające się obcéj rywalizacyi. Z tego względu szczerze przyklaskujemy liberalnym dążeniom, ujawniającym się w działalności izb handlowych francuskich.

* * *

Jednym z najbardziéj widocznych, ale zarazem i najbardziéj pocieszających wyników nowoczesnéj cywilizacyi jest bezwątpienia nadzwyczaj szybki wzrost handlu międzynarodowego. Nie biorąc już w rachubę epoki przedkolejowéj, weźmy cyfry chociażby z ostatniego dziesięciolecia. W roku 1866 handel zagraniczny wszystkich ludów na kuli ziemskiéj, wynosił podług sprawozdań statystycznych 18,231 milionów, w roku 1867—8 już 22,108, w latach zaś 1872—3 dosięgnął kolosalnéj cyfry 28,883 milionów. Nie będziemy w téj chwili zastanawiali się nad stroną etyczną tego faktu, nad zbawiennymi skutkami, jakie wynikają z coraz większego zbliżania do siebie pojedynczych narodów i jednostek dla celów cywilizacyi powszechnéj, chodzi nam głównie o zwrócenie uwagi na niezmierną ekonomiczną doniosłość tego zjawiska.

Dziwna rzecz jednakże! Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że właśnie na tém polu, gdzie wszystko opiera się na dokładnéj znajomości wzajemnych stosunków, powinna wytworzyć się najdokładniejsza *statystyka*, odzwierciadlająca w sobie warunki w jakich rozwija się handel międzynarodowy. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Z całego obszaru statystyki, mało jest gałęzi tak upośledzonych przez naukę i praktykę, jak statystyka handlu międzynarodowego.

Profesor uniwersytetu wiedeńskiego *Neumann*, znany pracownik na polu ekonomii, wydał świeżo obszerną w tym przedmiocie pracę (1), z treścią któréj, ze względu na ważność saméj kwestyi, pragnęlibyśmy choć pokrótce poznajomić naszych czytelników.

---

(1) *„Ueber Handelsstatistik u. Handelswerthe mit besonderer Rücksicht auf die neuesten Reformen in Oesterreich-Ungarn.“* (Hildebrandts Jahrbücher XVI Jahrg. I Band).

„Statystyka handlowa, mówi prof. Neumann, zyskuje coraz donioślejsze znaczenie nietylko w naukowéj teoryi, ale zarazem i w praktyce administracyjnéj. Mimo to jednak cała technika przygotowawcza pozostaje dotąd na bardzo nizkim stopniu rozwoju. Sposób formowania tablic; terminologia i klasyfikacya towarów, oznaczenie jednostki miary i wagi, oznaczenie wartości towarów, kierunku transportów i t. d., wszystko to dokonywa się podług najprzeróżniejszych planów, a częstokroć i zupełnie bez planu."

Kongresy statystyczne, które w innych dziedzinach statystyki dały impuls tylu reformom, tutaj nie wywarły żadnego wpływu. Na kongresie siódmym z rzędu w *Haadze* (1869) postanowiono utworzyć specyalną komisyę, dla ujednostajnienia metody statystycznéj przy zbieraniu danych dotyczących handlu, komisya ta jednak nie przyszła do skutku.

Komitet stały funkcyonujący podczas kongresu *Petersburgskiego* (1) zajął się szczerzéj tą kwestyą i w tym celu wypracował wykaz towarów obejmujący 15 grup i 103 gatunków, który przesłano wszystkim biurom statystycznym do ostatecznéj oceny.

Na kongresie tym postawiono następującą zasadę: „Statystyka ma prawo żądać z dokumentów celnych tych tylko wiadomości, które w interesie skarbu są tamże zamieszczane *(exigences du fisc)*." Zasadę tę powszechnie krytykowano. Słusznie powiedział z okoliczności téj znany niemiecki statystyk *Hirth* (2).

„Statystyka handlu i przemysłu powinna służyć nietylko interesom administracyi państwowéj, ale zarazem handlowi i przemysłowi oraz wymaganiom wiedzy. W interesie tylko tak państwa jak i publiczności leży, aby zadośćuczynienie tym wymaganiom nie dokonywało się z uszczerbkiem wolności komunikacyi i ruchu."

Ścisłe oznaczenie miejscowości *skąd towar pochodzi* i *dokąd jest przeznaczony* oraz wykazanie *wartości towaru* było również przedmiotem zajęcia komitetu petersburgskiego. Co do oznaczania wartości towaru, zaproponował ustanowienie ceny przeciętnéj każdego towaru z całego roku, podług notowań na giełdzie i cen bieżących.

System zbierania i opracowywania danych statystycznych może być albo *centralistycznym* albo *decentralistycznym*, stosownie do tego, czy formowanie tablic i ostateczne obrobienie ich poruczone

---

(1) Patrz „*Compte rendu de la huitième session à St-Petersbourg*, publié sous la direction de M. P. *Semenow*." St-P. 1872.

(2) Patrz „*Annalen des deutshen Reiches*" III B. 1870. S. 434.

jest pojedynczym urzędom celnym, czy też dokonywa się w centrum administracyjném. Pierwszy używa się w Anglii, Bremie i Hamburgu, ostatni we Francyi, Austryi i Niemczech Nie potrzeba dowodzić, że system *centralistyczny*, jako przedstawiający większą gwarancyę dokładności i jednostajności metody, jest daleko więcéj racyonalnym i dla tego komitet petersburgski za nim się oświadczył.

Wszystkie te jednak *pia desideria* petersburgskiego komitetu pozostały jak dotąd wyłącznie w sferze naukowéj teoryi.

Prof. *Neuman* zastanawia się w dalszym ciągu szczegółowo nad *teoryą oznaczania wartości towaru.*

Oznaczenie wartości towarów, będących przedmiotem handlu międzynarodowego jest ważnem: 1) dla państwa, ponieważ stanowi podstawę pzawodawstwa celnego i podatkowego; 2) dla świata handlowego i 3) dla nauki. Ta ostatnia znajduje w historyi i statystyce cen, bogaty materyał do rozwiązywania i wielu innych kwestyi; np. co do zmiany wartości pieniędzy w różnych epokach czasu, co do stosunku płacy robotniczéj do kosztów utrzymania i t. d.

Niemieccy ekonomiści, jak *Sotbeer*, *G. Hirth*, *Laspeyres* dawno już wypowiedzieli zdanie, że przeprowadzenie w praktyce teoryi oznaczania cen handlowych, zależném być musi bardzo często od interesów handlu. I tak np. *toerytycznie* byłoby racyonalnem to tylko oszacowanie, które opiera się na pojedynczych cenach każdego towaru po szczególe, i na wykazywaniu przeciętnéj wartości tegoż w małych odstępach czasu, co w praktyce przedstawia bardzo poważne trudności.

Największą *względnie* dokładnością odznacza się w tym względzie statystyka handlowa *Bremy* i *Hamburga*, z powodu dogodnego położenia geograficznego tych dwóch wielkich rynków handlowych. Szczególniéj w *Bremie* słatystyka wartościowa jest wielkiéj wagi dla nauki, ponieważ tam oznaczenie wartości, oparte jest na rzeczywistéj cenie handlowéj, podług faktury lub urzędowéj deklaracyi.

We wszystkich, innych państwach oznaczenie wartości dokonywa się na podstawie *cen średnich* (Mittel-preise) podług notowań lub oszacowań. Stosunkowo najdokładniejsze dane podawała dotychczas statystyka handlowa *W. Brytanii*, zwłasza wywozowa' gdzie od r. 1854 oznaczenie wartości towarów importowanych opierało się na cenach rynkowych, zaś eksportowanych na deklararacyach interesantów.

We *Francyi* istnieje już od r. 1848: „*Commission permanente des valeurs de douane*“ złożona z urzędników, kupców i fabrykantów, któréj obowiązkiem jest ustanawiać przecięciową, roczną wartość każdego towaru na użytek statystyki urzędowéj. Wadą statystyki francuskiéj jest brak wiadomości o stacyi pochodzenia i przeznaczenia towaru, daléj nieuwzględnienie każdomiesięcznéj fluktuacyi cen towarów.

Urzędowa statystyka *Cesarstwa Niemieckiego* zrzekła się przed niedawnym czasem (1874) wykazywania wartości towarów wywożonych za granicę z powodu trudności, jakie przytém napotykała.

W *Austryi* dopiéro od r. 1864 zaczęto prowadzić statystykę wartościową podług racyonalniejszych zasad. Obecnie centralna komisya statystyczna zostająca przy ministeryum handlu odniosła się do wyższéj władzy z następującem przedstawieniem:

„Wartość handlowa każdego towaru ma być corocznie oznaczana przez biegłych i w wykazach handlowych jako wartość rzeczywista (*wirklicher Handelswerth, real value*) obok dotychczasowéj urzędowéj (*Officieller Hw., official value*) przy każdéj pozycyi taryfowéj zamieszczaną.“ Jeżeli, jak spodziewać się należy, powyższe przedstawienie centralnéj komisyi przez rząd austryacki zatwierdzoném zostanie, wówczas statystyka handlowa Austryi pozyska większą niż dotąd naukową wartość.

Oznaczenie miejsca *pochodzenia* i *przeznaczenia towaru* jest również bardzo ważném zadaniem statystyki handlowéj; ale za to bardzo mało dotąd uwzględnianém. Tylko w Anglii, Irlandyi, i Bremie na okoliczność tę dokładną zwracają uwagę. W innych krajach, jak np. we Francyi, poprzestają na oznaczaniu miejsca przeznaczenia tylko w handlu przewozowym. W Niemczech dokładna statystyka w tym kierunku jest zastosowaną tylko do handlu morskiego. W Austryi, stojącéj pod tym względem na jednym stopniu z Niemcami, można spodziewać się reformy dopiero po przyjęciu zmian proponowanych przez centralną komisyę statystyczną.

Przechodząc do naszych stosunków lokalnych, wypada zanotować, że u nas statystyka handlu zagranicznego jest łatwiejszą do urzeczywistnienia, aniżeli gdzieindziéj, ponieważ w pogranicznych naszych urzędach celnych wymagane są od transportujących daleko więcéj szczegółowe daty, aniżeli za granicą.

* * *

Obok statystyki handlu międzynarodowego, coraz więcéj daje się odczuwać potrzeba wytworzenia międzynarodowéj *statystyki fi-*

nansowéj państw, opartéj na danych rzeczywistych, a nie illuzyjnych i zgodnéj z wymaganiami najnowszéj nauki.

Kongresy statystyczne zajmowały się tą ważną kwestyą, mianowicie zaś kongresy w *Hadze* i *Sztokholmie*. Na pierwszym z nich poruczono panu *Karolowi v. Riecke*, dyrektorowi biura statystycznego w Sztutgardzie przestudyowanie téj kwestyi. Obecnie wyszło z druku studyum *Rieckego* p. t. „*Die internationale Finanzstatistik, ihre Ziele u. ihre Grenzen.*“ (Stuttgart 1876). Studyum to, zawierające zresztą bardzo wiele ciekawych szczegółów, odznacza się przedewszystkiém raczéj negatywnym, aniżeli pozytywnym poglądem, wychodzi bowiem nasamprzód z zasady, że statystyka nie może mieć pretensyi do nazwy samodzielnéj nauki i całe jéj znaczenie polega na nagromadzeniu materyału, zużytkować się mającego w innych gałęziach wiedzy. Ten w ogóle niedostatecznie umotywowany pesymizm autora znajduje poniekąd usprawiedliwienie w drugiéj części książki, w któréj p. Riecke mówi *szczegółowo* o znaczeniu i celach statystyki *finansowéj międzynarodowéj*.

Opieranie statystyki tego rodzaju na budżetach państw, jest zdaniem jego fałszywe z dwóch względów, raz dla tego, że budżety mają zazwyczaj znaczenie więcéj dekoracyjne, aniżeli pozytywne, a powtóre, że budżety same przez się nie dają jeszcze miary o stosunkach finansowych danego państwa, i muszą być porównywane ze statystyką bogactwa państwowego, również dotychczas mało co posuniętą. Rozpatrując zbliska te wszystkie trudności piętrzące się przed badaczem w zakresie statystyki finansowości, można doprawdy zwątpić o bliskiem urzeczywistnieniu celów statystyki finansowéj t. j. otrzymania *dokładnych* danych z téj dziedziny gospodarstwa państwowego. *(D. n.)*

Kronika miesięczna.

W chwili kiedy na odległym zachodzie, dogorywa olbrzymia wystawa filadelfijska, o któréj, mimo licznych i dość ładnych opisów, a jeszcze ładniejszych rysunków, niepodobna zrobić sobie nawet słabego wyobrażenia, w chwili téj około połowy września, w północno-wschodnim zakątku Europy, — błysnęła i zgasła prowincyonalna wystawa w Szawlach (gub. Kowieńska). Rozpadała się ona na 21 grup mniejszych i 5 oddziałów większych, a mianowicie: oddział zwierząt domowych, — nasion i roślin, — wyrobów gospodarstwa wiejskiego,—mechaniki i budownictwa,—a wreszcie—buchalteryi wiejskiéj. Przyjmowali w niéj udział wystawcy, głównie z okolic najbliższych, w liczbie 200, między którymi znalazło się około 50 reprezentantek płci żeńskiéj i 30 włościan.

Podobną wystawę Szawle miały już w roku zeszłym, skutkiem czego wielu zeszłorocznych eksponentów obecnie do konkursu nie stanęło. Zmian świadczących o jakimś wydatniejszym postępie nie dostrzeżono, okazów osobliwych nie było, z wyjątkiem znakomitego zbioru z zakresu piscykultury, wystawionego przez p. Michała Girdwojnia, autora Monografii Pszczoły. Zbiór ten odnoszący się do hodowli pstrągów i łososi, a złożony z preparatów spirytusowych, rysunków, fotografii, akwaryów i przyrządu wylęgowego, szanowny twórca przeznaczył dla naszego muzeum. Najciekawsza więc i najbardziéj pouczająca część wystawy szawelskiéj nie będzie już dla nas straconą.

Nagród rozdzielono sporo, przy któréj to okazyi p. Girdwojń znalazł szczęśliwszego od siebie współzawodnika, w osobie... byczka rasy algauskiéj, należącego do barona Ropp! W skutek nalegania niemieckich wystawców, badacz sławy europejskiéj dostał

za pracę medal złoty mały, a byczek, za to że się algauerem urodził,—medal złoty duży. Ztąd brać mamy naukę, że w feodalnych kółkach sędziów kurlandzkich, czysta krew popłaca, i że nie skaziło ich jeszcze zgubne tchnienie przewrotnych demokratycznych idei.

Szawlom jednak moglibyśmy pozazdrościć: — pozyskały one bowiem prawo urządzania corocznych wystaw rolniczych, do których my, chorujący na progresistów oddawna i bezskutecznie wzdychamy. Dwie przecież kolejne próby, w tym i w zeszłym roku, kością w gardle widać stanęły Szawlom, naradzano się już bowiem nad zamianą corocznych na dwu lub trzyletnie wystawy.

Nie dobry to symptom, owe przedwczesne znudzenie. Wprawdzie, jak już wspomnieliśmy, pewna liczba wystawców dawniejszych nie przyjęła obecnie udziału, nie stanowi to jednak argumentu. Pamiętajmy bowiem o tysiącach, które dotychczas nie występowały w szranki, nie wystąpią może i w roku przyszłym, lecz mogą wystąpić za lat kilka. Im mniéj będzie bydła, trzody i koni ras obcych, wychowanych do pewnego stopnia w cieplarniach, im mniéj będzie machin z Rygi, Królewca, a choćby i z Warszawy, tém więcéj złotych, srebrnych i bronzowych medali, rozejdzie się między siermiężnych hodowców ras krajowych, i producentów wiejskiego przemysłu. Jeden i drugi podobny medal udzielony włościaninowi, da do myślenia i innym, zachęci ich do konkurencyi, dbałości, a choćby tylko do obejrzenia wystawy...

Stanowczo więc głosujemy za nietykalnością wystaw rocznych. Można zmniejszyć koszt urządzenia ich, zredukować wartość i ilość nagród, ale termin dotychczasowy utrzymać. Gdy masy na scenę wystąpią, budynki wystawy okażą się za szczupłe; chcąc zaś masy pociągnąć, trzeba nie zrażać się nawet ziewaniem szczęśliwszych wyjątków, które dotychczas stanowiły większość.

Swieżo ufundowane warszawskie muzeum przemysłowo rolnicze, ogłosiło także na rok bieżący dwie wystawy specyalne: wystawę owoców, ogrodowizn i nasion na październik, tudzież wyrobów metalowych i skórzanych na listopad. Pierwsza z nich, październikowa, z pówodu zbyt małéj cyfry deklaracyi upadła; przypisać to należy w części brakowi owoców w tym roku, w części „trudnym początkom,“ a w części może i niedbalstwu ze strony tych, którzyby mogli coś wystawić. Bądź co bądź owoców i ogrodowizn nie zobaczymy już, co zaś do nasion, zbóż i traw, których wystawę przeniesiono na listopad, zobaczymy... o ile takowe nadesłane zostaną. Będzie to zarazem ekspozycya naszéj dbałości o instytucye swojskie i pewnego rodzaju egzamin z poczucia oby-

watelskich obowiązków, które ze szczególną siłą uwydatniają się właśnie w drobiazgach.

Toż same muzeum posiada laboratoryum chemiczne do wykonywania analiz materyałów mających zastosowanie w przemyśle i rolnictwie. Obecnie laboratoryum ogłosiło sprawozdanie, które tu streszczamy:

Od początku maja do 1 października r. b., a więc w ciągu pięciu miesięcy nadesłano pracowni 59 zagadnień. Z tych 17 odnosiło się do rozbioru materyałów opałowych (węgle kamienne, brunatne i drzewo), 12 do nawozów naturalnych i sztucznych (szlam, margiel, odpadki, kości, popioły, odpadki papierni, potaż i gips), — 12 do minerałów (wapień, glina do celów rolniczych i przemysłowych, ruda żelazna), — 3 były analizy lekarskie (mocz), — 4 wody studziennéj (ze względów technicznych i hygienicznych),—1 analiza materyałów spożywczych (sfałszowanie mleka), — 5 materyi surowych lub produktów fabrycznych (soda, potaż, gliceryna), i nareszcie 5 okazów ziemi.

Regestr analiz przytoczyliśmy w tym celu, aby mniéj obeznanym z przedmiotem czytelnikom dać pojęcie o rodzajach prac dokonywanych w laboratoryum. Przy sposobności zaś zwrócimy uwagę na jedną bardzo doniosłą kwestyę, a mianowicie: na rażąco małą ilość analiz ziemi, których było pięć, a z tych 4 ziemi krymskiéj i *jedna tylko krajowa!*

Jedna analiza na kraj posiadający około 12 milionów morgów gruntu ornego, to trochę za mało. Cyfra ta stanie się śmieszną, jeżeli przypomnimy sobie, że w tym samym czasie dokonano 12 analiz nawozów. Na cóż się bowiem zdał choćby idealnie dobry rozbiór nawozu, jeżeli nie znamy natury ziemi, która ma nim być zasilaną?...

Wiadomo, że roślina do utworzenia się prócz pokarmów czerpanych z powietrza, potrzebuje jeszcze materyałów znajdujących się tylko w ziemi, jak: wapno, tlenek żelaza, potaż, soda, magnezya, kwas fosforny i t. d. Gdy w ziemi jednego lub paru materyałów zabraknie, wówczas grunt staje się jałowym, a roślina, mimo orania, bronowania, a nawet ubezpieczenia się w któréms z towarzystw np. od gradobicia,—nie zejdzie i nasion nie wyda. Rok rocznie każdy gatunek rośliny zabiera coś ziemi; to coś trzeba zwrócić w postaci nawozu, trzeba utrzymać równowagę między rozchodami i dochodami gruntu. Lecz zkądże dowiemy się o brakach i potrzebach téj nieszczęsnéj ziemi, jeżeli jéj analizy nie zrobimy?...

Na świecie oddawna już istnieje nauka o utrzymywaniu równowagi w gruntach i nazywa się statyką rolniczą, — istnieją też liczne laboratorya badające chemiczny skład ziemi i nawozów, pol, na których sieją się i sadzą różne gatunki i odmiany roślin, w celu zbadania, która z nich dla danéj okolicy jest najkorzystniejszą. Nam jednak Bóg miłosierny po wielu latach zesłał jedno tylko laboratoryum, a w niém po pięciu miesiącach jedną analizę ziemi, choć powszechne nieurodzaje w kraju wielkim głosem dowodzą, że równowagi nie ma, że grunta są wyczerpane, że trzeba je uleczyć a nadewszystko naturę choroby ich poznać.

Istotnie—rządzimy się tak, jak w ostatnich latach dzierżawy. Całą dla nas pociechą jest chyba to, że możemy wraz z niektórymi światłymi ekonomistami najnowszéj szkoły warszawskiéj, składać winę na „pijawki społeczne“ niemców kolonistów i żydów pachciarzy!

Muzeum wreszcie ma zamiar, a nawet prawo podnieść i systematycznie odtąd przeprowadzać odczyty z zakresu przemysłu i rolnictwa. Pierwsza kategorya, a mianowicie tak zwane odczyty dziesięciogroszowe rzemieślnicze, znane już są w Warszawie. Powtarzały się one przez lat kilka, w skład ich wchodziły: fizyka chemia, fizyologia, geografia, geologia, astronomia, nieco ekonomii —wszystko to jednak w roku zeszłym z powodu braku miejsca upadło.

Przerwane owe odczyty zasługują na wspomnienie: nie było w nich wprawdzie systemu, ale za to wiele dobrych chęci. Piętę achilesową ich stanowił brak czasu i okazów,—to też i pożytek nie był wielki.

Muzeum czas, miejsce i potrzebne okazy mieć będzie, może tém samém zapobiedz niedostatkom dawniejszym. Sądzimy też, że z pożytkiem dla ogółu mogłoby przyjąć następujący system wykładów.

Uprasza się kogoś, naturalnie znającego przedmiot, ażeby np. najprostsze i najpospolitsze zasady fizyki z odpowiedniemi doświadczeniami wyłożył w ciągu sześciu, zresztą—dziesięciu lekcyi. Na tę liczbę odczytów sprzedaje się bilety abonamentowe, jednocześnie zaś drukuje się same odczyty i po każdéj lekcyi rozdaje się broszurki obejmujące wykład. Słuchacz po wyjściu z sali zapomni wprawdzie wiele z tego co wysłuchał, po powrocie jednak do domu może odczytać broszurę i utrwalić wspomnienia. Jeszcze ważniejszém jest to, że ktoś z niebędących na lekcyi przejrzy broszurę i zażąda wyjaśnień, które i wyjaśniającemu i pytającemu znakomitą korzyść przyniosą: jeden bowiem przypomni sobie to co

słyszał, drugi zrozumie to co czytał i tym sposobem szczupłe kółko wiedzy rozszerzy się.

Może być, że przy takim trybie postępowania obudzi się po raz drugi w publiczności naszéj gust do książek poważnych. Nie dawniéj jak przed sześcioma laty, byliśmy wszyscy świadkami dziwnéj i pocieszającéj reformy. Oto: obok poezyjek i powieści ukazało się mnóstwo książek z zakresu nauk przyrodniczych, filozofii, historyozofiii,—słowem z dziedziny wiedzy poważnéj. Dziełka te, po większéj części tanie, ogół rozchwytywał w ciągu lat paru; stopniowo jednak zapał ostygł i dziś, bardzo dobre wydawnictwa znowu jak dawniéj drzemią na półkach księgarskich.

Smutny ten objaw, który oby jak najrychléj przeminął, ma wielorakie przyczyny. Najważniejszą z nich jest kilka lat nieosobliwego urodzaju i ogólnéj stagnacyi, a drugą—zakulisowe stosunki literackie.

Nim przejdziemy do tego ostatniego powodu, pozwolimy sobie zbić mimochodem jednę dość upowszechnioną u nas opinią, według któréj czytelnictwo poważne dla tego osłabło, że było zjawiskiem sztuczném, wywołaném przez kilka pism nowych.

Otóż wyraz „sztuczny“ nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia. W społeczeństwie albo wszystko jest sztuczne, albo wszystko naturalne, czy to chodzi o entuzyazm religijny lub polityczny, czy o wpływ dziennikarstwa na ogół. Daleko więc słuszniéj zapatrywać się na fakta podobne ze stanowiska ich trwałości. Gdyby chęć do czytelnictwa poważnego była trwałą i rozwijala się, najwięksi pesymiści nazwaliby ją naturalną. Gdyby wreszcie ów „sztuczny“ nastrój utrzymał się do téj pory, wydałby niezawodnie bardzo korzystne rezultaty.

Przechodzimy do zakulisowych stosunków literackich. I tutaj także niektórzy dopatrują niewłaściwych przyczyn obecnego zastoju, sądząc, że spowodowala go walka między tak zwaną młodą i starą prasą. Tak jednak nie jest, owa bowiem walka wywołała raczéj skutek wprost przeciwny, a mianowicie rozbudziła ogół. Przyczyna zastoju jest głębsza i tkwi właściwie w zatamowanym dopływie nowych sił literackich.

Około roku 1870 wystąpiło na piśmienniczą scenę odrazu kilkunastu nowych ludzi i ci przynieśli z sobą nowe poglądy i życie. Poglądy te mogły być niedokładne, lub nawet z gruntu fałszywe, —z czasem jednak wygładziły się i sprostowały, a dziś—żal nam, że podobny najazd świeżych sił nie powtarza się corocznie!

Z tych powodów uważamy za właściwe zwrócić się do kształcącéj się młodzieży z następującém upomnieniem: „nie zapominajcie

panowie o literaturze!“ Literat u nas przy talencie i pracy może mieć takie dochody, jak lekarz i adwokat, stanowisko jego jest niemniéj szanowne, a więcéj niezależne. Myśląc więc o różnych powołaniach, myślcie i o literackiém, które w przyszłości okazać się może jeszcze korzystniejsze niż dzisiaj; my bowiem piszemy tylko dla dziesiątków, wy — pisać będziecie już dla setek, tysięcy i milionów.

Serdecznie polecając młodzieży uniwersyteckiéj, ten projekt, nie możemy jednocześnie zamilczeć, że niemniéj ważną przyczyną małego ruchu w czytelnictwie naukowém, jest prawie zupełny brak krytyk, recenzyi, a nawet notatek bibliograficznych, odnoszących się do książek nowo wydanych. Panowie redaktorowie pism mają święty obowiązek zapobiedz tym brakom, panowie zaś księgarze dobrzeby zrobili ogłaszając nietylko tytuły, ale i rozdziały książek reklamowanych, co zagranicą praktykuje się oddawna. Sądzimy, że dwa te czynniki rozgłosu, w połączeniu z nadchodzącemi zimowemi wieczorami, przyczynią się choć w części do orzeźwienia omdlałego ruchu książkowego.

Zima, ta smutna pora roku, jest najwłaściwszą do poważnych rozmyślań, osobliwie na wsi, gdzie inteligentne klasy na nadmiar zajęć narzekać nie powinne. Gospodarstwo obejść można w ciągu godziny, młócki dogląda karbowy, pozostaje więc czytanie, polowanie i gra w karty. Sądzimy, że ostatnią tę rozrywkę czémś lepszém zastąpićby można, a mianowicie: zawiązaniem między sąsiadami bliższych stosunków.

Po ostatnich klęskach, nasi wiejscy obywatele żyją jak wilki. Dawniéj bywały kuligi, tańce, narady; dziś wszystko ustało. Nie mogąc wystąpić tak hucznie jak kiedyś, ludzie wolą się nudzić i marnieć w samotności.

Temu trybowi życia należy kres położyć, — aczkolwiek bowiem filozof Seneka twierdził, że go towarzystwo psuło; niemniéj jednak kształci ono i uszlachetnia zwykłych śmiertelników, a co ważniejsze, wytwarza te siły, jakie tylko z solidarności wypłynąć mogą. Interesów i potrzeb wspólnych dzięki kilkonastoletniéj stagnacyi, namnożyło się dziś tak wiele i przybrały one charakter tak gwałtowny, że dalsze odkładanie ich zagraża cofnięciem się w cywilizacyi.

Mniemamy, że nadszedł czas przynajmniéj do rozpatrzenia się i do skupienia rozproszonych i na własną rękę walczących z losem indywiduów. Poczucie podobne istnieje już między obywatelstwem, jak tego dowodzi agitujący się projekt „Towarzystwa Rolniczego“ w powiecie Rawskim. Myśl to dobra, wątpimy je-

dnak, aby dała się we wszystkich powiatach urzeczywistnić,—o koncesyi bowiem na zawiązanie około setki kółek rolniczych marzyć nawet w obecnych czasach niepodobna.

Dla tego zwrócimy uwagę ziemian na inny projekt. Piękną jest wprawdzie rzeczą towarzystwo powiatowe rolnicze,—miłém jest posiadanie prezesa, wiceprezesa, stołu z zielonėm suknem, własnéj pieczęci i dzwonka, wszystko to jednak razem wzięte stanowi dopiéro formę, o którą zbyt natarczywie dobijać się nie warto. Ważniejszém jest nierównie, aby obywatele zbierający się na wista lub preferansa, radzili raczéj bez dzwonka i prezesa o sprawach swoich,—na to bowiem i koncesyi nie trzeba.

Jednym z niecierpiących zwłoki przedmiotów narady, jest naprzykład bank rolniczy. Nie zdarzyło mi się spotkać obywatela któryby do instytucyi téj nie wzdychał, lecz zarazem nie widziałem ani jednego, któryby dla utworzenia jéj choć cośkolwiek zrobił.

Tymczasem pierwszy a konieczny krok, mianowicie dostarczenie informacyi, należy do obywateli ziemskich. Wszystkie deklamacye dziennikarskie o potrzebie banków na nic się nie zdadzą, gdy nie będą wiadome następujące szczegóły: 1) Ile pieniędzy potrzebują obywatele danéj okolicy i co z téj ilości ma pójść na usunięcie długów lichwiarskich, co na melioracye, a co na kapitał obrotowy? 2) Jakie są gwarancye zwrotu sum wypożyczonych?

Na te pytania każdy obywatel, przynajmniéj w poufném kółku odpowiedzić może, z odpowiedzi zaś pojedynczych nietrudno wyciągnąć cyfry odnoszące się do całego powiatu, i w pismach je ogłosić. Gdy w ten sposób utworzy się choć przybliżony obraz finansowych potrzeb kraju, łatwiéj wówczas podyskutować o tém zkąd wziąść pieniędzy. Łatwiéj téż znajdą się kapitaliści, którzy widząc interes jasno, podejmą się utworzenia tak upragnionych banków.

Drugą niemniéj ważną sprawą społeczną, są straże ogniowe, Sezon wielkich pożarów obecnie się skończył, i więcéj niż półroku mamy czasu do obmyślenia środków zaradczych na przyszłość. Środki te nie leżą po za obrębem możności, byleśmy tylko nie chcieli naśladować sławetnego miasta Lipna, które pomimo 5,000 stałych mieszkańców oświadczyło, że nie jest w stanie utrzymać ochotniczéj straży ogniowéj!

Tymczasem straż taka niewiele kosztuje, jak tego dowodzą przykłady Kielc i Włocławka o których mamy nieco więcéj szczegółów. W Kielcach straż złożona ze 182 członków czynnych, posiada około 1,500 rs. dochodu rocznego, z którego wydaje niecałe *tysiąc*

rubli. We Włocławku znowu przy 200 członkach czynnych wydano w ciągu roku nie całe 1,800 rs. Każda z tych straży dzieli się na pięć oddziałów: obsługujący sikawki, obsługujący beczki, toporników. oddział do ratowania rzeczy i oddział do pilnowania ich. Prócz tego obie straże mają sikawki, beczki, kiszki, drabiny, słowem — wszystkie potrzebne przybory. Fundusze zbierają się w części z dobrowolnych składek rocznych, w części z koncertów i widowisk amatorskich. Czy w obec tego można przypuścić, aby kilkotysiącznym nawet miasteczkom w Królestwie zabrakło sił na utworzenie podobnych instytucyi?

Nawiasowo dodamy, że Kielecka straż ogniowa podjęła się czuwać w nocy nad bezpieczeństwem miasta, oświecać ulice i oczyszczać place, za co magistrat płaci jéj 2441 rs. Taż sama straż ma zamiar utworzyć kasę wsparcia dla wdów i sierot pozostałych po tych członkach swoich, którzy przy ratunku stracili życie, lub ulegli kalectwu.

Tak więc urzeczywistnienie jednéj myśli uczciwéj i obywatelskiéj prwadzi za sobą cały szereg faktów stanowiących postęp społeczny.

Zachodzi teraz kwestya, czy w ruchu tym wsie mają pozostać na uboczu? Bynajmniéj. Świeżo dowiadujemy się z pism, że hr. M. właściciel dóbr Wielgie w ziemi Dobrzyńskiéj zorganizował wiejską straż ogniową, pod dowództwem dwu swoich synów.

Przykład ten zasługaje na rozgłos i naśladownictwo, tém bardziéj, że włościanie dotychczas w obec pożaru zachowują się bardzo apatycznie. Jeden podobny wypadek widzieliśmy na własne oczy: gorzała nowo zbudowana, pełna zboża zagroda; otaczał ją tłum ludzi silnych i odważnych, którzy jednak powsuwawszy ręce „za koszulę“ ograniczyli się na filozoficzném kiwaniu głową, przysłuchując się jednocześnie wrzaskom ziemskiego strażnika, który zamiast kierować obroną, wypytywał o przyczyny pożaru i niezmiernie wychwalał swoją gorliwość i działalność.

Ciż sami jednak wieśniacy gdy im dano przykład i wskazano co robić, krzątali się około ognia z ochotą, któréj nie zawstydziliby się nawet bohaterscy strażacy Warszawy.

Z takiego materyału wiele zrobić można. Niech tylko inteligencya wiejska podzieli swoich sąsiadów na grupy, wskaźe każdéj rodzaj zajęcia i odbędzie parę ćwiczeń przy niedzieli, a już wsie będą nierównie bezpieczniejsze od ognia niż dzisiaj.

Prasa nasza dużo zużyła papieru na agitacyą w sprawie sądów gminnych, zachęcając obywateli do brania w nich udziału

Obecnie zaś gdy rezultat wyborów przeszedł prawie nasze nadzieje i gdy działalność sądów znajduje się w pełnym rozwoju, prasa nagle umilkła.

Taka metoda postępowania jest błędną i szkodliwą. Sądy gminne są jedną z tych paru liberalnych instytucyj, o które najwięcéj powinniśmy być zazdrośni i czuwać nad nimi, jak nad arką, w któréj spoczywa pewna część tyle drogich każdemu narodowi swobód publicznych.

Aby teoryą wesprzéć własnym przykładem, zanotujemy parę faktów, które bądź widzieliśmy własnemi oczyma, bądź słyszeliśmy od wiarogodnych świadków.

Sąd gminny w osadzie B. posiada sędziego byłego urzędnika i czterech ławników, między którymi jest dwu włościan, jeden kandydat nauk przyrodniczych uniwersytetu Warszawskiego i jeden hrabia. Zebranie to rozpatruje sprawy w starym drewnianym domu przypominającym zajazd. Izba sądowa podzielona jest na dwie części, posiada stół, kilka krzeseł i parę ław dla szanownéj publiczności złożonéj z włościan i żydków.

Na pierwszy rzut oka łatwo poznać, że w młodém sądowém kole mimo różnicy stanów, panuje harmonia i poczucie godności. Ławnicy włościanie zadają stronom pytania rozsądne i dowodzące pewnego obycia się ze sprawami. Najpotulniejszym jest tu hrabia, o którym mówią: „W izbie, sędzia na fotelu a hrabia na krześle,— w drodze, ławnik w powozie, a sędzia w gnojówkach.“ W porze obiadowéj mitrowi i nieherbowni wynoszą się do izby jadalnéj, i znowu przy jednym stole piją herbatę i jedzą zrazy z kartoflami! Ten rodzinny stosunek między dawniejszym poddanym i panem, obustronny takt i godność, silne robią wrażenie. Czujesz, że dla kraju nowa zaczęła się epoka.

Za zbyteczne uważamy dodawać, że sąd gminny cieszy się ogólnym i głębokim szacunkiem wszystkich stanów.

Wspomnimy z kolei o dwu charakterystycznych sprawach.

Na polach właściciela większéj posiadłości, pana X., chłopcy włościańscy wpędzali bydło w szkodę. Uwiadomiony p. X. pojechał konno na miejsce. Nagle zaskoczeni szkódnicy, nie mając nic lepszego do roboty, przywitali poszkodowanego niskim ukłonem; jeden przecież z chłopców bardziéj oddalony od gromady począł uciekać. Pan X. pognał za nim, chłopiec zaś uciekł do chaty. W bramie ukazał się ojciec szkódnika, włościanin, i schwycił konia za cugle. Rozgniewany X. uderzył włościanina śpicrutą w twarz.

Sąd gminny, w składzie powyższym, skazał włościanina na 10 rs. kary, za robienie szkody, a p. X. na kilka dni aresztu za obelgi czynne. Okoliczna szlachta poczęła sarkać (naturalnie w sposób prywatny) na wyrok, naszém zdaniem bardzo słuszny. Nie można przecież wymagać od sądu, aby wyznaczał kary przyjemniejsze dla stron i wypada raz zrozumiéć, że pomiędzy twarzą włociańską i szlacheckim biczem stanęła jako przeszkoda... równość.

Ciekawszą jeszcze jest sprawa następująca.

Do pani A. przyjechali z wizytą państwo B. z synkiem. Pod wieczór zebrało się na zawieruchę, ponieważ jednak pani A. niezbyt natarczywie zatrzymywała swoich gości na nocleg, ci więc wyjechali do domu.

Spodziewana burza zaskoczyła podróżnych w drodze. Ciemno było tak, że pan B. wysiadł z powozu i prowadził konie przy pysku lękając się o życie żony i dziecka. Wśród deszczu, błyskawic i grzmotów dotarli wreszcie do folwarku pani A, którym rządziła jakaś niemka, panna C.

Po długiem dobijaniu się popartem zaklęciami na niebo i ziemię, drzwi wreszcie otworzono i puszczono gości do pustéj sali. Pan B. położył synka na krzesłach, sam myślał przeczekać burzę na podłodze, a dla żony swéj osoby dosyć wątłéj, poprosił o siennik.

Panna C. jednak nie spieszyła się.

— W takim razie, — zawołał pan B.,— jako krewny i sąsiad twéj pani, od któréj wracam, rozkazuję ci, ażabyś mi dała siennik.

Rozkaz poskutkował, co widząc p. B. rzekł do swéj żony.

— Przyznaj jednak, że postępować tak może tylko niemiec, albo..,. (Resztę zostawiamy domyslności czytelnika).

Usłyszawszy to panna C. wyniosła się z pokoju i w nocnym negliżu pobiegła do swéj pani, o kilka wiorst odległości, mówiąc: że pan B. dom napadł i jéj nawymyślał.

Bezwzględu na rady sąsiadów pani A, wraz z panną C. zaskarżyły pana B. do gminnego sądu o napad i obelgi. Pan B. obelgom nie zaprzeczał, kładł jednak nacisk na niegościnność panny C., burzę i obawę o swoją rodzinę.

Sąd za obelgi słowne wyrządzone kobiecie skazał pana B. na grzywny w ilości rs. 25,— krzyczący zaś fakt niegościnności dostatecznie osądziła opinia publiczna. Obie strony zaapelowały.

Aleksander Głowacki.
